

Aneta Prymaka-Oniszk
BIEŻENSTWO 1915
Zapomniani uchodźcy



W serii ukazały się ostatnio:

- Swietłana Aleksijewicz *Czasy secondhand. Koniec czerwonego człowieka* (wyd. 2)
Filip Springer *Miedzianka. Historia znikania* (wyd. 3 rozszerzone)
Aleksandra Łojek *Belfast. 99 ścian pokoju*
Paweł Smoleński *Izrael już nie frunie* (wyd. 4)
Peter Pomerantsev *Jądro dziwności. Nowa Rosja*
Swietłana Aleksijewicz *Cynkowi chłopcy* (wyd. 2)
Katarzyna Surmiak-Domańska *Ku Klux Klan. Tu mieszka miłość*
Jean Hatzfeld *Englebert z rwandyjskich wzgórz*
Marcin Kącki *Białystok. Biała siła, czarna pamięć*
Bartek Sabela *Wszystkie ziarna piasku*
Anna Bikont *My z Jedwabnego* (wyd. 3)
Martin Schibbye, Johan Persson *438 dni. Nafta z Ogadenu i wojna przeciw dziennikarzom*
Swietłana Aleksijewicz *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety* (wyd. 2)
Dariusz Rosiak *Ziarno i krew. Podróż śladami bliskowschodnich chrześcijan*
Piotr Lipiński *Bicia nie trzeba było ich uczyć. Proces Humera i oficerów śledczych Urzędu Bezpieczeństwa* (wyd. 2 popr. i rozszerz.)
Paweł Smoleński *Zielone migdały, czyli po co światu Kurdowie*
Wolfgang Bauer *Przez morze. Z Syryjczykami do Europy*
Cezary Łazarewicz *Żeby nie było śladów. Sprawa Grzegorza Przemyska*
Elizabeth Pisani *Indonezja itd. Studium nieprawdopodobnego narodu*
Beata Szady *Ulica mnie woła. Życiorysy z Limy*
Rana Dasgupta *Delhi. Stolica ze złota i snu*
Ed Vulliamy *Wojna umarła, niech żyje wojna. Bośniackie rozrachunki* (wyd. 2)
Andrzej Brzeziecki, Małgorzata Nocuń *Armenia. Karawany śmierci*
Katarzyna Kwiatkowska-Moskalewicz *Zabić smoka. Ukraińskie rewolucje*
Anna Sulińska *Wniebowzięte. O stewardesach w PRL-u*
Anjan Sundaram *Złe wieści. Ostatni niezależni dziennikarze w Rwandzie*
Ilona Wiśniewska *Hen. Na północy Norwegii*
Mur. 12 kawałków o Berlinie pod red. Agnieszki Wójcińskiej (wyd. 2 zmienione)
Iza Klementowska *Szkielet białego słonia*
Lidia Pańków *Bloki w słońcu. Mała historia Ursynowa Północnego*
Piotr Nesterowicz *Każdy został człowiekiem*
Dariusz Rosiak *Żar. Oddech Afryki* (wyd. 2 zmienione)
Anna Mateja *Serce pasowało. Opowieść o polskiej transplantologii*
Linda Polman *Karawana kryzysu. Za kulisami przemysłu pomocy humanitarnej* (wyd. 2)
Scott Carney *Czerwony rynek. Na tropie handlarzy organów, złodziei kości, producentów krwi i porywaczy dzieci* (wyd. 2)
Misha Glenny *Nemesis. O człowieku z faweli i bitwie o Rio*
Adam Hochschild *Lustro o północy. Śladami Wielkiego Treku*
Kate Brown *Plutopia. Atomowe miasta i nieznanne katastrofy nuklearne*
Drauzio Varella *Klawisze*
Piotr Lipiński *Cyrankiewicz. Wieczny premier*

W serii ukazą się m. in.:

- Mariusz Szczygieł *Gottland* (wyd. 3 zmienione)
Maciej Czarniecki *Dzieci Norwegii. O państwie (nad)opiekuńczym*

Aneta Prymaka-Oniszk

Bieżenstwo 1915

Zapomniani uchodźcy



Wołowiec 2016

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka

Projekt układu typograficznego Robert Oleś / d2d.pl

Fotografia na okładce © by Centralnyj gosudarstwiennyj archiw kinofotofonodokumentow Sankt-Pietierburga, P-199 sn. 32; fot. S. Łazowiert

Copyright © by Aneta Prymaka-Oniszk, 2016

Copyright © for the map by d2d.pl

Opieka redakcyjna Łukasz Najder

Redakcja Tomasz Zajac

Konsultacja merytoryczna prof. dr hab. Eugeniusz Mironowicz

Korekta Katarzyna Juszyńska / d2d.pl, Iwona Łaskawiec / d2d.pl

Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl

Skład Alicja Listwan / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8049-385-8

Spis treści

<i>Seria</i>	2
<i>Strona tytułowa</i>	3
<i>Strona redakcyjna</i>	4
<i>Dedykacja</i>	6
Wojna	14
Wyjeżdżajcie!	24
Utrata i samotność	56
My, bieżący	86
W pociągu	105
Matuszka Rossija	127
Rewolucja	164
Powrót	177
Hoły kamień	209
W nowej ojczyźnie	233
Nowe życie	252
To, co zostało	274
<i>Podziękowania</i>	284
<i>Bibliografia</i>	286
<i>Źródła fotografii</i>	291
<i>Przypisy</i>	292
<i>Kolofon</i>	296

Anastazji, Lidce, Piotrowi

74



[A]

Pamiętam niewiele. Prawie nic. Bo ile z podsłuchanych opowieści dorosłych może zapamiętać dziecko?

Wyjazd. Choć może to ucieczka? Wozy, całe morze wozów. Jadą w kilka rzędów, tarasują wszystkie drogi. Ciągną do Rosji. Do *Rasiei* – tak zawsze mówili. Potem jest step. Na horyzoncie majaczą ośnieżone szczyty. To Kaukaz. Akcent pada na ostatnią sylabę, brzmi więc trochę jak: „Kaukaaaz”.

Jest gorąco. Rosną arbuzy i winogrona. Może także pomarańcze albo banany? Gdy słucham tych opowieści na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku owoców południowych nie ma w sklepach, znam je tylko z książek. Na tym gorącym „Kaukaaazie” mieszkają piękni i dobrzy ludzie. Lubią śpiewać pieśni o Kozaku, co *po Donu gulajet*. Na brzegach rzek, pewnie także Donu, zalega zboże, całe sterty gnijącej pszenicy. Czasem rzeką płyną ludzkie ciała. Wtedy woda czerwienieje. Ciała wynosi się też z pociągu i układa na śniegu. Jest również *hoły kamień*. Zupa z lebiody i pokrzyw. I znów ciała. Ale to już po powrocie.

Bieżeństwo. Tak babcia i wszyscy wokół nazywają ten czas. Musi być ważny, skoro ich historia świata dzieli się na przed bieżeństwem i po bieżeństwie.

*

Pod koniec lat osiemdziesiątych podstawówka, do której chodzę, jedzie na wycieczkę do muzeum regionalnego w Sokółce. Na wystawie widzimy zdjęcia maszerujących oddziałów, sztandary i szable, trochę strojów ludowych. Przewodnik mówi o rezydencji królowej Bony, z którą są związane początki Sokółki, o Tatarach osadzonych w okolicznych wsiach przez Jana III Sobieskiego, o powstaniu styczniowym, Legionach Polskich i odzyskaniu niepodległości w 1918 roku. O bieżeństwie i historiach, które połowa uczniów zna z domu, nie wspomina.

Ale nikt nie dopytuje o nie. Ani nauczyciele, ani starsi uczniowie. O takich rzeczach się nie mówi, wtedy to dla mnie oczywiste.

*

Pomarszczona twarz. Czarne, gładko zaczesane włosy. Z tyłu są pewnie spięte półokrągłym metalowym grzebieniem. Usta się uśmiechają, ale w oczach smutek. Ile może mieć lat? Czterdzieści? Pięćdziesiąt?

Szukam innego zdjęcia. Babcia Nadzia – zdrobienie od imienia Nadzieja – ma na nim być młodą dziewczyną. Nosić dwa warkocze i bluzkę w drobną kratkę. Ponoć zostało zrobione jeszcze w Rosji. Ponoć kiedyś wisiało u nas w domu.

W moich wspomnieniach babcia jest już po osiemdziesiątce. Przychodzą do niej sąsiadki, rozmawiają. Chyba wtedy słyszę o stepie, ośnieżonych szczytach, arbusach i trupach wynoszonych z pociągu. Babcia umiera, gdy mam siedem lat.

Kiedy dorastam, te opowieści wracają. Pytam rodziców, ale niewiele pamiętają. Zaglądam do babcinego kufra, ale nie znajduję tam ani dokumentów, ani żadnych zapisków. Później uświadomię sobie, że chłopcy na początku XX wieku raczej nie pisali pamiętników, listów prawie też nie, a dokumenty, które przestawały być potrzebne, zwykle wrzucali do pieca.

Nie znajduję zrobionego na Kaukazie zdjęcia młodej dziewczyny. Jest tylko to małe, dowodowe zdjęcie czterdziesto-, pięćdziesięcioletniej kobiety. Przyglądam się mu zachłannie. Może zobaczę na nim choć cień przeżyć z czasów bieżącego?

*

Pod koniec lat pięćdziesiątych studiuje na Uniwersytecie Warszawskim. Siedzę w bibliotece, czytam jakiś podręcznik do historii. Wtedy po raz pierwszy widzę słowo „bieżeństwo” w druku. Dziś już nie pamiętam tytułu książki, ale choć minęło ponad dwadzieścia lat, wciąż mam przed oczami tę stronę. Tekst w dwóch kolumnach, gęstym drukiem, na żółtym papierze. I to zdanie na końcu akapitu gdzieś pośrodku drugiej kolumny. Że część ludności z ziem polskich w czasie I wojny światowej pojechała w bieżące w głąb Rosji.

Czuję się, jakbym odnalazła kawałek mojego świata, tego pominiętego przez muzeum w Sokółce i przez szkoły – zarówno wiejską podstawówkę, jak i białostockie liceum. Teraz czytam o nim w książce naukowej!

Zostawiam pracę semestralną, zaczynam szukać więcej informacji o bieżącym. Ale to hasło nie istnieje w katalogach. A ja, oprócz fragmentarycznej rodzinnej opowieści, nie wiem nic.

*

W starej babcinej szafie odnajduję rozsypujący się modlitewnik i Ewangelię. Są w języku staro-cerkiewno-słowiańskim. A więc babcia umiała czytać.

Przypominam sobie taką scenę. Jest Wielki Czwartek, wieczór, rodzice pojechali furmanką do cerkwi. Babcia zapala gromnicę. Bierze grubą księgę i czyta półgłosem; dziś wiem, że to Ewangelia, tego wieczoru czyta się dwanaście fragmentów o męce i śmierci Chrystusa. My, dzieci, siedzimy obok niej, na łóżku. Zapada zmrok, w świetle gromnicy ostre babcine rysy wydają się jeszcze ostrzejsze. Ona wciąż czyta. My, dzieci, siedzimy cierpliwie. Wiemy, że nabożeństwo Wielkiego Czwartku jest długie i kończy się w nocy. Dlatego rodzice nie wzięli nas ze sobą.

Babcia czytała w języku cerkiewnych nabożeństw. Może też po rosyjsku, bo ten język obowiązywał w świecie jej młodości. Po polsku raczej nie. Do końca życia zresztą słabo mówiła po polsku. Ani ona, ani jej sąsiedzi prawie nie używali tego języka.

*

Już samo słowo brzmi dziwnie. Obco. Nie akcentuje się go typowo po polsku, na przedostatnią sylabę. Tu akcent pada na pierwszą, na „bie-”. Brzmi więc trochę jak „bieeezeństwo”.

Dla tych, którzy – jak ja – w dzieciństwie słuchali babcinych opowieści, ta wymowa jest oczywista. Pozostali akcentują po polsku. Po wymowie tego słowa można się więc domyślać rodzinnej historii, może nawet religii mówiącego.

W języku rosyjskim, z którego słowo „biezeństwo” zostało zaczerpnięte, oznacza ono uchodźstwo. Ale dla wielu osób pochodzących z wschodniej Polski biezeństwo to rodzaj nazwy własnej. To najważniejsza i najbardziej wstrząsająca historia z całego XX wieku. Nawet bardziej destrukcyjna i tragiczna niż II wojna światowa.

*

Nie przestaję szukać. W 2012 roku, wiele lat po odkryciu słowa „biezeństwo” w uniwersyteckiej bibliotece, znajdę publikacje dotyczące tego wydarzenia. Choć zdarza się, że w niektórych z nich ten termin nawet nie pada.

Czytam o zapomnianej I wojnie światowej. O tym, jak w 1915 roku Niemcy i Austriacy przełamują front w Karpatach. Armia rosyjska nie jest w stanie ich zatrzymać; zarządza ewakuację opuszczanych ziem. Zaczyna się wielki odwrót. W głąb Imperium pociągami jadą urzędnicy i tony dokumentów, uczelnie, biblioteki i dzieła sztuki, a także fabryki z całym wyposażeniem i najważniejszym personelem. Gdy front jest już blisko, chłopci – dobrowolnie lub pod przymusem – pośpiesznie pakują dobytek i w rzędach furmanek suną na wschód. Jeszcze widzą, jak płoną ich domy. Dotychczasowy świat obraca się w ruinę. Prości ludzie tracą wszystko. To, co mają, i to, kim są. Na wiele lat staną się bieżeńcami.

Dane statystyczne, które znajdę w książkach, mnie porażą. Trzy i pół miliona bieżenców; niektóre opracowania mówią nawet o pięciu milionach! Jeśli liczyć tylko ludzi opuszczających granice współczesnej Polski – wyjechało nawet dwa miliony osób!

Czytam opisy, jak ogromne połacie ziemi zamieniły się w pustynię. Najmocniej bieżęństwo dotyka guberni grodzieńskiej. To w jej skład w 1915 roku wchodzi współczesna Białostoczczyzna. Z dwumilionowej populacji guberni w Rosji znajdzie się ponad osiemset tysięcy osób; wiele umrze po drodze. Z niektórych powiatów znika nawet osiemdziesiąt–dziewięćdziesiąt procent mieszkańców.

Pustoszeją wsie wschodniej Chełmszczyzny – z tego regionu wyjeżdża blisko trzysta tysięcy osób.

Bieżęństwo nie oszczędza także ziem ówczesnego Królestwa Polskiego. Z guberni łomżyńskiej jedzie blisko osiemdziesiąt tysięcy; z warszawskiej – siedemdziesiąt tysięcy, z suwalskiej ponad pięćdziesiąt tysięcy.

To dla mnie niespodzianka. Byłam przekonana, że to tylko historia prawosławnych spod Białegostoku. Ale sądząc po statystykach, które znajduję w książkach naukowych, bieżęństwo dotknęło także katolickich Polaków i Litwinów, Tatarów, Żydów, nawet Niemców. Dlaczego więc oni wszyscy – oprócz nas – o niej zapomnieli? Dlaczego wielu potomków tych, którzy wyruszyli na wschód w 1915 roku, nie rozumie dziś słowa „bieżęństwo”?

*

Gdy profesor Włodzimierz Pawluczuk, antropolog i badacz kultury ludowej, udaje się do rodzinnych Rybołów koło Zabłudowa, trzydzieści kilometrów od Białegostoku, wieczorem przychodzą gospodarze. Pawluczuk opowiada, że był na konferencji we Francji. „Jacy ludzie tam mieszkają? *Polscy* czy *ruscy*?” – pytają. „*Polscy*”. Profesor wrócił z wczasów w Bułgarii. „Te Bułgary to oni *ruscy* czy *polscy*?” – pytają. „*Ruscy*” – odpowiada profesor. Był we Włoszech. „A tam jacy?” „*Polscy*”.

To historia z lat sześćdziesiątych. Ale ten podział świata znam ze swojego dzieciństwa. Na Podlasiu nie znika on zresztą do dziś. *Ruscy* to prawosławni, *polscy* to katolicy. *Ruscy* przy tym odnosi się nie do Rosji, jak wiele osób dziś sądzi, ale do Rusi; państw Słowian wschodnich, gdzie żyli ludzie „ruskiej wiary”: prawosławni greckiego obrządku, przyniesionego tu jeszcze przez Cyryla i Metodego.

W szkole, do której chodzę w latach osiemdziesiątych, na pierwszy rzut oka nie sposób nas – *polskich* i *ruskich* – rozróżnić. Podobnie się ubieramy i bawimy, oglądamy

te same filmy, czytamy te same książki. Nawet język nikogo nie zdradza. W szkole wszyscy rozmawiamy po polsku.

Ale w domach już niekoniecznie. *Polscy* na co dzień mówią po polsku, *ruscy* – *po prostu*. Choć nie zawsze jest to takie oczywiste. W *ruskich* domach coraz częściej dorośli zwracają się do dzieci po polsku. A jednocześnie – wystarczy pojechać w poniedziałek na rynek do Sokółki, by zobaczyć, że katolik spod Suchowoli, prawosławny spod Krynek, nawet potomkowie *polskiej* szlachty z okolicznych zaścianków – wszyscy targują się *po prostu*. Tak określa się gwarę języka białoruskiego w okolicach Sokółki, Suchowoli, Gródka. Na południe od Białegostoku, pod Bielskiem i Hajnówką, gdzie ten wyznaniowy podział funkcjonuje tak samo, mówią *po swojemu* – w gwarach języka ukraińskiego i białoruskiego.

Polских i *ruskich* różni spojrzenie na historię, ale o tym się głośno nie rozmawia. Bywają tam bolesne momenty, jak to na pograniczu kultur, nikt ich jednak nie wyjaśnia. Milczymy. Każdy pielęgnuje własną opowieść, nie zna wersji drugiej strony. Bieżeństwo w tym podziale ma być historią *ruskich*.

*

W Warszawie, gdzie studiuje, a potem znajduję pracę, spotykam wielu *ruskich* z Białostoczczyzny. Kiedy dzielimy się rodzinnymi historiami, zwykle brzmią one znajomo.

Grzegorz Zinkiewicz wychował się na opowieściach babci Wiery, urodzonej gdzieś w Rosji. Gdy wracali z bieżeństwa, zmarła jej mama. Na którejś ze stacji bogate małżeństwo spod Moskwy chciało kupić trzyletnią sierotkę. Może adoptować, ale babcia używała słowa „kupić”. Obiecywali, że posła ją do szkół, że wyrośnie na wielką panią. Ojciec się nie zgodził. Przywiózł ją wraz z trzema starszymi synami do Stryków. Tu – opowiadała babcia Wiera – nie spotkało jej nic dobrego. Głód, nędza i praca ponad siły. Na dziecko spadły wszystkie kobiece prace: gotowanie, pranie, sprząatanie, dojenie krów, karmienie świń i drobiu, uprawa ogrodu i kartofli. Pewnie tam, w Moskwie, nie musiałyby się tak męczyć. Do końca miała żal – do ojca, albo po prostu do życia – o utraconą szansę.

Grześ, gdy podrósł, zaczął dopytywać: „A dlaczego pojechaliście *u hetu Rasieju*?”. Nikt mu nie potrafił odpowiedzieć. Ani babcia, ani ci, którzy pamiętali jeszcze 1915 rok. Mówili coś o strachu, o wojnie, o carskiej tropce, o Kozakach na koniach. Czasem wzruszali ramionami i milkli. „*Bo wsie jechali*” – odpowiadała babcia. „*Bo wszyscy jechali*”. I Grzegorz do dziś nie rozumie dlaczego.

Po opowieści takiej jak Grzegorza, ktoś inny zwykle zaczyna swoją historię: „Moi byli w Saratowie, Samarze, Władywostoku, Rostowie...”. Też nie zna szczegółów. Też nie potrafi odpowiedzieć na nasuwające się pytania. Wszystkim nam trudno zrozumieć to całe bieżenstwo.

*

Historycy, z którymi się spotykam, okazują się sceptyczni. Nie ma opracowań, materiały dotyczące bieżenstwa są rozproszone w archiwach całej Rosji, nikt ich nie przebadał. W dodatku mnie interesują chłopi. A oni – podkreślają moi rozmówcy – w zasadzie nie zostawili listów, dzienników i innych zapisków. Gdy w 2012 roku zaczynam zbierać materiały o bieżenstwie, nie ma wśród nich spisywanych na gorąco chłopskich relacji. Będę je znajdować później, często przypadkiem.

Nie zrażam się jednak. Chcę spojrzeć na bieżenstwo z perspektywy tych, którzy dla historyków zwykle są nieważni. Zanurzeni w kulturze tradycyjnej chłopi, nieruszający się poza obręb swojego powiatu, nagle jadą nie wiadomo dokąd, tysiące kilometrów. Ich świat zupełnie się rozpada. Jego filary – tradycja, władza, Cerkiew – chwieją się i po kolei padają. Zostają zupełnie sami, odarci ze wszystkiego. Jak sobie radzą? Kim się stają w tej podróży? Jaki świat odbudują po powrocie? Co przekażą kolejnym pokoleniom?

No i co współczesna pamięć o bieżenstwie mówi o nas, ludziach żyjących sto lat później?

Wojna

Nareszcie można odpocząć!

Dla Pawlika wybuch wojny przynosi odpoczynek. Nie spodziewał się go w środku lata. Na wsi to przecież czas ciężkiej pracy. W pamiętniku, który zacznie prowadzić w 1917 roku, wspominając 1914, zapisze: „Przez cały tydzień nikt nic nie robił. Po co robić? Tak czy inaczej przyjdzie Niemiec albo nawet swoje wojsko i wszystko zniszczy”^[1].

*

Szukam relacji, w których bieżący opowiadaliby o codzienności. O tym, jak się dowiedzieli o wybuchu wojny. Co wtedy robili? Co tego dnia jedli na obiad? Czy się bali? Bez tego trudno poczuć ówczesny świat, zrozumieć ludzi.

W mojej rodzinie historia zaczyna się wraz z bieżącym. Wcześniej opowieści nie sięgają. Podobnie u osób, z którymi rozmawiam. Nawet tych najstarszych, urodzonych w latach dwudziestych – kilka, kilkanaście lat po wybuchu I wojny. Niektórzy deklarują, że pamiętają opowieści rodziców. Że wojna wybuchła, że Niemiec nadchodził, Rosjanie odstępowali. Niemiec miał obcinać kobietom piersi, ludzie się bali... Słucham, nagrywam. „W końcu ci Niemcy przychodzą... zaczynają wywozić Żydów z Sokółki, Krynek czy Orli”. Przecież to musiało być w 1941 roku, nie w 1915! „Faktycznie, wszystko się miesza na stare lata” – przyznaje mój rozmówca. I znów się nie dowiem, jaka była pogoda w lipcu 1914 roku ani jak wieść o sarajewskim zamachu dotarła do moich Knyszewicz.

Gdy już tracę nadzieję, trafiam na *Pamiętniki chłopów*. W okresie międzywojennym Instytut Gospodarstwa Społecznego, badający problemy społeczne ówczesnej Polski, ogłasza konkursy na pamiętniki różnych grup społecznych, między innymi chłopów. Najciekawsze wydaje w dwóch tomach. Pierwszy ukazuje się w 1935 roku, drugi – rok później; w sumie zawierają sześćdziesiąt jeden prac.

Wyczytuję z tych pamiętników wiele. Na przykład, że pod Warszawą w dniu wybuchu wojny pada deszcz i moczy pszenicę stojącą w snopkach. Kiedy gospodarze wiozą na wozach to, co uratowali przed ulewą, widzą tłum przed urzędem gminy. Kobiety płaczą. Właśnie ogłoszono mobilizację.

W innym pamiętniku, gospodarza spod Łomży, czytam, że 1914 był wspaniałym rokiem. Wojska rosyjskiego w okolicy było mnóstwo, można było im za dobrą cenę sprzedawać plony, dzięki czemu autor kupił dwa konie.

Ale największym skarbem okazuje się pamiętnik, którego autor jest podpisany jako „gospodarz na 10 hektarach, najpierw rolnik, potem ogrodnik w pow. bielskim”. Wszystkie prace są anonimowe, więc jego danych tu nie znajduję. W pamiętniku wyczytuję imię – Pawlik, zdrobnienie od Pawła – oraz miejsce zamieszkania – Wólka Wygonowska pod Kleszczelami. To *ruska wieś*^[2], ale Pawlik przez długi czas jakby ukrywa swoją tożsamość, pilnuje, by nie wyrwało mu się nic, co mogłoby o niej świadczyć.

*

Zanim wojna przyniesie Pawlikowi odpoczynek, latem 1914 roku pracuje on ponad siły. Starsi bracia wyjechali: jeden dostał pracę na kolei w Warszawie, drugi wiosną poszedł do wojska, a trzeci wyemigrował do Ameryki. Oprócz niego zostali najmłodszy Wasyl i siostra. Pawlik ma czternaście lat; jako pierwszy z rodziny się uczy: został wysłany do Białegostoku do gimnazjum. Ale gdy przyjeżdża na wakacje, nikt go nie oszczędza. Roboty jest przecież mnóstwo. W dzień pracuje więc w polu, a w nocy pasie konie, by od rana mogły ciągnąć wóz z sianem lub czymś innym. Często zasypia przy tym ze zmęczenia i zwierzęta idą w szkodę. Ojciec się wtedy wścieka i wyzywa syna od leni.

Tego wieczoru chłopak wraca z pola. Mężczyźni stoją na ulicy i dyskutują, choć to roboczy czas. Był Żyd z Bielska i mówił, że wybuchła wojna, słyszy Pawlik. Gospodarze z Wólki jednak ustalają, że to nie może być prawda. „Gdyby wybuchła, z gminy przywieźliby pakiet z czerwoną pieczęcią, znaczy mobilizacyjny. Wojny nikt nie prowadzi bez rekruta” – twierdzi stary Kozłowski. W carskiej armii spędził kilkanaście lat; wie, co mówi. Już chcą się rozchodzić, gdy na koniu nadjeżdża stójkowy z gminy. Trzyma pakiet z czerwoną pieczęcią. A więc mobilizacja! A więc wojna! „Pewno znowu Napoleona wypuścili na Rosję” – wyrokuje inny weteran carskiej armii, pan Ziukiewicz.

Tej nocy nikt nie pasie koni. Kobiety pieką chleb i przygotowują synów do wymarszu, mężczyźni radzą, młodzież żegna zmobilizowanych kolegów. Jest płacz, są też śpiewy i tańce. Rano wszyscy ruszają odprowadzić odchodzących. Ilu ich może być? W Dawidowiczach, innej wsi w ówczesnym powiecie bielskim (dziś: białostockim), zmobilizowano wtedy sześć osób. „Płacz, narzekania, pożegnania – robiło się straszno, pomimo woli płakałem i ja, ale nie tylko ja, płakała i mdlała cała

wieś, nawet psy jakby odczuwały nadchodzące nieszczęścia, skowyczały i wyły w najrozmaitsze głosy” – relacjonuje Pawlik.

Potem zapada cisza. Choć wcześniej ludzie uwijali się w polu, jak to latem, teraz nikt nic nie robi. Tylko grupki mężczyzn stoją na ulicy i dyskutują o losach świata. Może Niemiec jest już pod Bielskiem? Albo co najmniej zajął Warszawę? Ale czy nasi by mu pozwolili? Carska armia to przecież nie przelewki! Ale po tygodniu, gdy żadnych wojsk nie widać, wychodzą na pole. Owies dojrzał; jeszcze trochę i zacznie się sypać na ziemię. Pogoda dobra, trzeba żąć.

Niby wszystko wraca do normy. Pawlik w dzień pracuje w polu, nocą pasie konie, znów zasypia zmęczony, wpuszcza je w szkodę. Ale ojciec krzyczy jakby mniej. Matka, gdy stawia na stole miskę z kartoflami, w milczeniu przypatruje się synom. Po zaczerwienionych oczach można poznać, że płakała. W taki letarg zapada zwłaszcza wtedy, gdy długo nie ma listu od Eliasza. Z wojska zabrali go na front. Raz napisał, że stracił swojego ulubionego konia. Zaraz potem – że na jego rękach skonał przyjaciel, chłopak z sąsiedniej wsi.

Kanonada spod Osowca zakłóca nabożeństwo w Sokółce

Do lipca 1914 roku kronika parafii prawosławnej w Sokółce jest zapisem wizyt duszpasterskich i rozwoju kariery tutejszego kleru. W 1908 roku w kwietniu wizytę składa biskup białostocki Włodzimierz, a we wrześniu przybywają biskupi grodzieński i brzeski. W 1909 roku psalmista Sobisiewicz zostaje diakonem, a w 1913 jego następcą Szumowski przenosi się na południe, do dekanatu bielskiego. Nic poza tym.

Po wybuchu wojny robi się gęsto od wydarzeń i emocji. Wróg jest tuż-tuż. Nie dalej niż sto kilometrów od Sokółki przebiega granica z Prusami Wschodnimi. Sześćdziesiąt kilometrów od miasta jest twierdza Osowiec, broniąca dostępu do Imperium Rosyjskiego. Pawlik pod Kleszczelami może sobie odpoczywać przez tydzień po wybuchu wojny; tu trzeba spodziewać się najgorszego. „25 lipca [7 sierpnia]^[3] weszły do Sokółki pierwsze frontowe wojska: gwardyjska dywizja piechoty z Warszawy. Miasto i okolice stanowi obóz wojskowy^[4] – notuje proboszcz Jakow Griszkowski. Większość mieszkańców miasta to żydzi i katolicy; prawosławni mieszkają głównie w okolicznych wsiach. „Nasi bracia katolicy, m.in. »Polacy«, sprzyjają nie nam, lecz naszym wrogom, w szczególności zaś Austriakom. [...] Pierwsze wieści o niemieckich bestialstwach w Polsce^[5] i apel najwyższego dowództwa »Do Polaków«^[6] – w sposób zdecydowany zmieniają nastroje katolików”.

W sierpniu wojska rosyjskie przekraczają granicę i ruszają na zachód i północ. Niemcy uciekają, szybko jednak opanowują sytuację i odwracają bieg tej ofensywy. Bitwa pod Tannenbergiem, a potem walki nad jeziorami mazurskimi doprowadzają do rosyjskiej klęski. Rozgromiona carska armia cofa się na swoje ziemie. Za nimi nadchodzi wróg. W Sokółce coraz głośniej słychać huk frontowych armat; widać wybuchy i pożary. „Święto Podwyższenia Krzyża Świętego [14 (27) września] przebiega przy akompaniamencie silnej kanonady pod Osowcem i nad Niemnem” – notuje ksiądz Grizkowski.

Z Sokółki wyjeżdżają władze powiatowe i administracja oraz część mieszczan. Przybywają uciekinierzy z Suwałk i Augustowa. Ówczesne gazety donoszą o szalonych cenach kwater w przyfrontowych miastach. Wśród przybyszów przeważają mieszczanie, sporo jest Żydów. Prawie nie ma chłopów, choć wielu z nich musiało opuścić swoje domy. Niektóre nadbiebrzańskie wsie pod Dąbrową i Lipskiem front dosłownie zmiotł z ziemi. Ludność jednak nie ucieka do oddalonych od linii walk miast. Chroni się w ocalałych sąsiednich wsiach. „Żyją u tutejszych chłopów, w strasznych warunkach, bez żadnej higieny – będzie opisywał je później korespondent wydawanej w Wilnie białoruskojęzycznej »Naszej Niwy«. – Zdarzają się domy, w których gnieździ się po 7–8 rodzin, wszystkie z dziećmi. W sumie jest tu co najmniej tysiąc dusz. Głównie biedota, która uciekła, jak stała. Nasi chłopci dzielą się z przybyszami tym, co mają, i jakoś wspólnie biedują z dnia na dzień. Aż strach pomyśleć, jak wysoką cenę mogą zapłacić za swoje dobre serce. Jeszcze za mojej bytności zaczęli w tym skupisku chorować na tyfus albo inne choroby, a to przecież idealne miejsce do wybuchu epidemii”^[7].

*

Czy w Sokółce we wrześniu 1914 roku wybuchła panika? Czy ewakuowani urzędnicy wyjeżdżają spokojnie, czy uciekają bezładnie, zabierając, co się da, i podsycając mieszczkańskie lęki? Ksiądz Grizkowski o tym nie wspomina; zresztą nie wiem, czy jako lojalny carski urzędnik mógłby pisać krytycznie o działaniach władz.

Imperium Rosyjskie wiele lat przed wojną dostrzegło trudności obrony swoich zachodnich krańców, otoczonych od północy i zachodu przez Cesarstwo Niemieckie, a od południa przez Austro-Węgry. W swoich planach strategicznych liczyło się z koniecznością oddania ich wrogowi. Przedtem jednak zamierzało wywieźć majątek państwowy.

Prawdopodobnie istniały też plany ewakuacji Sokółki.

*

Na południe od Sokółki, w graniczącej z monarchią austro-węgierską guberni lubelskiej, ewakuację skrupulatnie zaplanowano. Krzysztof Latawiec, młody lubelski historyk, na podstawie zachowanych dokumentów szczegółowo opisał przedwojenne przygotowania i późniejszą realizację tych planów.

Tylko z Urzędu Gubernatora Lublina i Rządu Gubernialnego Lubelskiego w razie wojny miało wyjechać sto dziesięć dorosłych osób, dwadzieścioro dwoje dzieci oraz pięćset szesnaście pudów^[8] bagażu. Koleją, w różnych kierunkach: do Petersburga^[9], Moskwy, Kijowa, Odessy, Pskowa, Riazania, Permu, Dźwińska (dziś: Dyneburg), Irkucka, Tuły, Czernihowa, Jałty, Saratowa, a nawet Władywostoku. Do tego należało wywieźć blisko czterysta pudów gubernialnej dokumentacji. Zakładano, że będzie to kosztować 2709,71 rubli.

W sierpniu 1914 roku, gdy Sokółka cieszy się jeszcze z udanej ofensywy carskich wojsk, na południu armia austriacka przełamuje rosyjską linię obrony i rusza w głąb kraju. Wybucho panika. Powiatowy Janów nie ma czasu skorzystać ze szczegółowych planów ewakuacyjnych. Urzędnicy uciekają, a kasa skarbową i dokumenty wpadają w ręce wroga. Brakuje czasu na wywiezienie osadzonych w więzieniu; stu sześćdziesięciu pięciu z nich wydostaje się na wolność. W ręce Austriaków, przez donos, wpada burmistrz Janowa Paweł Gierasimow. Zostaje osadzony w więzieniu w Ulanowie, skąd zresztą wkrótce ucieka.

Widząc to, gubernator lubelski zarządza ewakuację Lublina. Z Urzędu Gubernatora do Łukowa jedzie sto dwadzieścia pięć osób i ich rodziny. Wyjeżdżają urzędnicy z zagrożonych powiatów: janowskiego, krasnostawskiego, lubartowskiego, puławskiego i garwolińskiego.

Wojska rosyjskie jednak szybko przełamują złą passę i wypierają Austriaków z zajętych ziem, a rosyjskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych dopracowuje przepisy na wypadek przyszłej ewakuacji.

Czy wobec zagrożenia niemieckiego ewakuacja Sokółki we wrześniu 1914 roku mogła wyglądać podobnie jak ucieczka powiatowego Janowa w guberni lubelskiej? Nikt tego szczegółowo nie badał.

*

Knyszewicze leżą piętnaście kilometrów na południowy wschód od Sokółki. Niedaleko, to tylko trzy godziny spokojnego marszu. Jeszcze po II wojnie światowej kobiety co poniedziałek będą nosiły na targ masło, sery, mleko. Piechotą. Pewnie chodzą i w

1914 roku. Może czasem idzie z nimi i moja babcia Nadzia? Wioskowe dziewczyny z pewnością służą też u bogatych sokólskich Żydów.

Czy chłopci z Knyszewicz dostrzegają to, co opisuje ksiądz Griszkowski? Czy zauważają ucieczkę urzędników, wyjazdy mieszczan? Czy dociera do nich huk frontowych wystrzałów? Czy widzą łunę pożarów przyfrontowych wsi? Czy się boją?

Wydaje się, że coś musi do nich docierać. Bywają na poniedziałkowym targu. Służące u Żydów dziewczyny pewnie coś opowiadają podczas wizyt w domu. Wypytuje więc najstarszych ludzi, którzy mogą cokolwiek pamiętać z rodzinnych opowieści. Ale mówią tylko o wyjeździe w bieżące. Wcześniejsze wspomnienia, dotyczące lata i jesieni 1914 roku, się nie zachowały.

*

W listopadzie 1914 roku sytuacja na froncie w pobliżu Sokółki uspokaja się, zagrożenie mija. Do miasta wracają władze powiatowe i administracja. Wyjeżdżają uciekinierzy z Suwałk i Augustowa.

Proboszcz Griszkowski opisuje teraz zwykłe wojenne życie: „[...] mobilizacja, rekwizycje koni, powołanie ludności zdolnej do pracy (mężczyzn) do robót fortyfikacyjnych przy twierdzach, obozach, okopach. [...] Prace w gospodarstwie domowym, na polach i łąkach wykonują kobiety i nieletnia młodzież. Zostało we wsiach bardzo mało mężczyzn”.

Sprawą wagi państwowej staje się takie zorganizowanie ludzi we wsiach, by ziemia nie leżała odłogiem, ale by mogła żywić walczących żołnierzy. Wójtowie, urzędnicy, księża powołują rady dobroczynne i komitety sąsiedzkie. Do przełożonych płyną raporty w rodzaju: „Zbiór ziemniaków zakończony. Pola obsiane zbożami jarymi”. W guberni mińskiej drużyny uczniów wyjeżdżają do pracy na roli. Takie zarządzenia wydał minister oświaty.

Sokólski proboszcz też organizuje radę dobroczynną. Czuwa, by żony powołanych na front dostały pomoc przy pracach rolnych. Ludzie czasem się burzą – przecież one otrzymują zapomogi ze skarbu państwa, tak zwane *pajki*^[10]! Dlaczego mamy im jeszcze pomagać?

Pojawiają się wciąż nowe problemy związane z wojenną codziennością. W sąsiednim powiecie bielskim Łukia Krasowska z Pawłów (obecnie to powiat białostocki) pisze prośbę do władz wojskowych, by ratowały ją od śmierci głodowej. Tuż przed wojną podzieliła między synów swoje osiemnaście hektarów, oni w zamian mieli ją utrzymywać. Ale poszli na wojnę, kobieta straciła więc źródła dochodu. Synowym, zgodnie z prawem, gmina wypłaca *pajki*. Jej nic nie przysługuje, co uparcie

powtarzają w gminie. Zdesperowana kobieta pisze więc do władz wojskowych. Nie wiadomo jednak, czy otrzymuje pomoc.

Giermaniec wrzuca ludzi do ognia. W Wilnie rekwirują poduszki

„Nigdzie nie widać oznak przygnębiającego smutku, wszędzie spokojna i wytężona praca i modlitwa” – notuje proboszcz Griszkowski. Trudno mi uwierzyć w taki obrazek: prości, biedni ludzie, ale oddani ojczyźnie i carowi. Bardziej przekonuje mnie to, co pamięta Pawlik dorastający w powiecie bielskim, w Wólce Wygonowskiej: strach o walczących na froncie bliskich i niepewność własnego losu.

W swoich poszukiwaniach trafiam na *Pamiętnik z wielkiej wojny* Władysława Glinki. Ów ziemianin, działacz towarzystw i kółek rolniczych, pierwszy rok wojny spędza w swoim majątku Susk Stary pod Ostrołęką. To sto pięćdziesiąt kilometrów na zachód od Sokółki, front znajduje się również w niewielkiej odległości, realia mogą więc być dość podobne. Władysław Glinka opisuje codzienne życie swojego dworu i okolicznych wsi. Wprawdzie gdy w 1915 roku z tłumem bieżenców ruszy on na wschód, w patriotycznym uniesieniu będzie słaawił wspaniałość polskiego ludu, przeciwstawiając go „dzikiemu ludowi białoruskiemu” czy „rozpaczliwie dzikim” *ruskim* uchodźcom spod Chełma, na początku wojny jednak spogląda na „swoich” chłopów bez tej idealizacji; trochę z wyższością. Z *Pamiętnika wielkiej wojny* można więc wyczytać chłopskie nastroje pierwszego roku wojny.

*

Strach przed wrogiem. Na co dzień go nie widać, ale niewiele trzeba, by wybuchł z zadziwiającą siłą. „Jednego popołudnia jakiś człowiek, jadący z Ostrołęki, krzyknął koło mieszkań służby »Prusak w mieście rżnie ludzi« – notuje w pierwszych tygodniach wojny Władysław Glinka. – W 10 minut wszyscy nasi robotnicy, pracujący w polu, byli wraz z końmi, wozami i pługami na podwórzu. Zrobił się zgiełk, lament nie do opisania; kilka kobiet, w przystępie jakiegoś obłędu, tarzało się po ziemi, wydając dzikie krzyki, inne wyrzucały z mieszkań pościel, ubranie i zwijały je gorączkowo w toboły; najstarsze na klęczkach lub leżąc krzyżem, zawodziły na całe gardło litanie. Tymczasem dróżką od Ostrołęki widać było, pod słońce, dziesiątki ludzi pędzących wozami i pieszo w szalonych susach, wśród kurzu, z tobołkami na plecach”.

Glinka na próżno próbuje zapanować nad oszalałym tłumem. Jego tłumaczenie, że przecież Prusak nie może niespodziewanie zjawić się w Ostrołęce, a nawet jeśli – nie będzie bez powodu rżnął niewinnych ludzi, na niewiele się zdają. Panika zaczyna

opadać dopiero po dłuższej chwili. Wtedy Glinka każe zaprzęgać konie. „[...] podjechałem z córką pod mieszkania służby i oznajmiłem, że jedziemy na łąki do zaczętych stogów potrawu^[11], czekać na ludzi. Po chwili ujrzeliśmy podążające za nami najpierw dziewczyny, potem chłopców, dalej starszych, wkrótce zadudniły wozy i ruszyły pługi...”

Nastroje ludności podgrzewają też uchodźcy – chłopci z terenów ogarniętych wojną, koczujący w lasach, koło dworskich czworaków i we wsiach. Opowiadają o okrucieństwie wroga. O tym, że Niemcy podpalili ich wieś, a uciekających ludzi łapali i wrzucali w ogień. Gdzie indziej rosyjscy sanitariusze zbierający rannych po bitwie nie byli w stanie pomóc Niemcowi w ciężkim stanie. Ten, gdy „odeszli, podczołgał się, trzymając jedną ręką swe wnętrzności, pod chałupę, powstał i zapalką podpalił słomiany dach. Gdy mu ludzie chcieli przeszkodzić, zaczął strzelać z brauninga. Powłókł się tak samo do drugiej chałupy i do trzeciej. Podpaliwszy trzecią, stracił resztę sił, »Przewalił się, mówili Kurpie, i zdechł, wciąż przeklinając po swojemu«”.

Opowieści te roznoszą się po okolicy i zaczynają żyć własnym życiem.

*

Do lęku przed wrogiem ludzie z czasem przywykają. Wydaje się, że bardziej dokuczają im rekwizycje przeprowadzane przez swoich oraz inne obciążenia związane z wojną. Wojsko jest bezwzględne. Zabiera konie, krowę, często jedynych żywicieli wielodzietnych rodzin. Żołnierze wydają wprawdzie kwity, za które gmina ma wypłacić pieniądze. Ale czy wypłaci? I czy pieniądze w wojennych warunkach zachowają swoją wartość?

Oprócz wojskowych majątek rekwirują też korzystający z wojennego zamieszania liczni oszuści. Wobec nich lud wydaje się być bezradny. „W ostatnim czasie między mieszkańcami zaczęło się mówić, że policja kazała zebrać poduszki, prześcieradła i pościel i że na jedną osobę może pozostać w domu tylko po 1 sztuce powyższego. No i rzeczywiście jakaś banda chodziła po domach i zabierała od ludzi poduszki. Teraz szuka ich policja” – donosi „Nasza Niwa”.

W powieści wileńskim ktoś rozpuszcza plotkę, że wojsko będzie wkrótce zabierać żywiec i trzodę. Na targu pojawia się więc tyle zwierząt, że za krowę wartą dziewięćdziesiąt–sto rubli, handlarze płacą nie więcej niż czterdzieści–pięćdziesiąt. Innym razem wileńska intendentura ma skupować siano dla armii. Obładowane wozy zalewają całe miasto, wojskowi intendentzi nic jednak o skupie nie wiedzą. Gospodarze za pół ceny sprzedają więc siano spekulantom.

Co jest prawdą, co plotką? Ludziom trudno oddzielić jedno od drugiego. Podróżujący po zniszczonych ziemiach na północ od Sokółki korespondent „Naszej Niwy” słyszy od wiozącego go furmana absurdalną historię. Ponoć „królowi Czarnogóry bardzo spodobali się tutejsi ludzie, ich uroda, jasna cera, włosy. Król dogadał się więc z carem, że zrobią zamianę. Ten da mu 5 tysięcy swoich kobiet, a car tutejszych”. No i furmana dręczy pytanie: „Jak te baby będą wybierać? Po gminach czy po wioskach? Po dobrej woli czy pod przymusem?”.

Korespondent nie tłumaczy furmanowi, że to musi być plotka. Przecież i tak by mu nie uwierzył.

Codziennie słycać grzmoty dział

Eliasz, walczący na froncie brat Pawlika z Wólki Wygonowskiej, zostaje ciężko ranny. Píše o tym w liście ze szpitala w Kownie. Gdy rodzina po otrzymaniu tej wiadomości już się wypłacze, zwołuje naradę. Przychodzą dziadek z babcią, wujkowie, najbliższy sąsiad. Decydują, że ojciec pojedzie do rannego syna.

Tata wraca z Kowna spokojny. Możliwe, że Eliasz będzie nie do końca sprawny, może utykać na jedną nogę, ale dzięki temu nie wróci już na front. Za kilka tygodni, gdy wydobrzeje, mają go zwolnić do domu. Będzie więc gospodarzyć. Pawlik niecierpliwie czeka na brata. Chce wrócić do szkoły w Białymstoku, uciec od za ciężkiej dla czternastolatka pracy, od ciągłego niezadowolenia ojca.

W mieście trudno jednak chłopcu skupić się na lekcjach. Pod oknami gimnazjum wciąż maszerują nowe wojska. Czyżby aż tylu ich ginęło, że ciągle potrzebni są następni? – zastanawia się Pawlik.

7 (20) kwietnia 1915 roku^[12] nad miasto nadlatuje kilkanaście niemieckich samolotów, zrzucają bomby. Trzy z nich spadają na gimnazjum Pawła; kilku kolegów odnosi poważne rany. „Nasza Niwa” relacjonuje, że w bombardowaniu ginie dwadzieścia osób, a kilkadziesiąt zostaje rannych. Píše też, że wkrótce do większych miast, między innymi do Kijowa, przybywa wielu uciekinierów z Białegostoku. Pawlik w swoim pamiętniku notuje, że bogatsi uczniowie jego gimnazjum wyjeżdżają z rodzinami na wschód.

Nad miastem krążą nie tylko wrogie samoloty. Nocami nadlatują gigantyczne sterowce, oświetlają miasto i zrzucają bomby. Wprawdzie są mało zwrotne, ich ataki okazują się więc o wiele mniej celne niż samolotów; od bomb giną pojedyncze osoby. Ogrom sterowców i górowanie nad miastem sieją jednak przerażenie. Ludzie czują, że choć oddziały wroga są daleko, zagrożenie może przyjść z każdej strony; nawet z nieba.

W tej sytuacji trudno prowadzić normalne lekcje. Koniec roku szkolnego jest przyspieszony. 15 (28) kwietnia 1915 roku wszyscy uczniowie, bez egzaminów, uzyskują promocje do wyższych klas. Rozjeżdżają się na wakacje.

Pawlik wraca do swojej Wólki Wygonowskiej. Ale nawet na zapadłych wsiach nie sposób znaleźć już normalności i wiejskiego spokoju. „Ograniczona uprawa pól, ograniczone siewy. Mówią, że pod Osowcem wre zacięta walka. Codziennie słychać grzmoty dział, raz bliżej raz dalej” – zanotuje chłopak.

Wyjeżdżajcie!

Żywina zimą będzie przemierać głodem

1915. Nawet dla pszczoł to niedobry rok. „Oby dały rady nazbierać miodu sobie na przetrwanie, podbierać nie będzie czego. Choć rośliny kwitną, korzyść z tego niewielka, bo soku nie mają” – donosi w czerwcu korespondent „Naszej Niwy”, podpisany inicjałami L.C.

Wszystkiemu winna straszliwa susza. Takiej nie pamiętają nawet najstarsi ludzie. Opisują ją chyba wszystkie okoliczne gazety. „Nasza Niwa” drukuje nawet wiersz o tragedii wysuszonych pól autorstwa Jakuba Kołasa, klasyka białoruskiej poezji. Dramat najlepiej jednak widać w krótkich relacjach korespondentów – zamożniejszych gospodarzy albo wykształconych chłopskich synów. Jak u L.C. z Grodzieńszczyzny. Píše on: „Bezlitosne słońce wysuszyło ziemię na popiół. Rosy dawno już ludzkie oczy nie widziały. Łąki u wielu nawet nie było co kosić. Koniczyna ledwo od ziemi odrosła. Owies nie lepszy. Tak więc nasza żywina^[13] zimą będzie przemierać głodem, ludzie zresztą też. Żyto jeszcze jako tako, kartofle również, ale ogrody całkowicie przepadły: marchew, pietruszka czy mak nie wzeszły, reszta jak i wylazła z ziemi, to jest słabiutka”.

Ludzie są bezradni. We wsi Wierzchlesie pod Sokółką prawosławni mieszkańcy kosztem stu czterdziestu pięciu rubli fundują krzyż ze szlifowanego czarnego kamienia i ustawiają na placu naprzeciwko parafialnej szkoły. „Wybaw Panie i chroń od nieszczęść i niedoli wszystkich mieszkańców tej wsi” – proszą w wyrytym po rosyjsku napisie. Zamieszczają datę, z pewnością zgodną z kalendarzem juliańskim: „1914–1915 rok, 1 maja”.

Ustawienie krzyża i modlitwy mieszkańców Wierzchlesia opisuje w cerkiewnej kronice sokólski proboszcz Grizkowski. „Nocą z dnia 1 na 2 maja [14–15 maja] spadł pierwszy nieduży deszczyk wiosenny” – podsumowuje.

*

Gdy mieszkańcy Wierzchlesia cieszą się z wiosennego deszczu, od dwóch tygodni trwają bitwy, które zdecydują o ich losie. Nikt, nawet ksiądz Grizkowski, nie zdaje sobie jeszcze z tego sprawy.

2 maja (zgodnie z kalendarzem juliańskim jest jeszcze 19 kwietnia), połączone wojska niemieckie i austro-węgierskie atakują Rosjan w Karpatach, pod Gorlicami. Przygotowują tę ofensywę bardzo starannie. Wystawiają ponad dwieście tysięcy żołnierzy, po stronie rosyjskiej jest ich osiemdziesiąt tysięcy; tysiąc dział niemiecko-austriackich przeciwko dwustu rosyjskim. Na efekty nie trzeba długo czekać.

5 maja Niemcy i Austriacy przełamują rosyjską linię obrony i ruszają w głąb Galicji, zajętej wcześniej przez Rosjan. 15 maja są nad Sanem, 3 czerwca odbijają twierdzę Przemyśl, a 22 czerwca wkraczają do Lwowa. Zachodnie rubieże Imperium Rosyjskiego są poważnie zagrożone!

*

Wyblągany deszcz, który spadł po ustawieniu krzyża w Wierzchlesiu, pada krótko. Następnego dnia znów słońce pali niemiłosiernie, choć to dopiero wiosna. Zboże i łąki zupełnie wysychają. 13 (26) maja mieszkańcy Wierzchlesia obchodzą swoje pola z krzyżami i ikonami, śpiewają cerkiewne pieśni. 30 maja (12 czerwca) podobna procesja wyrusza z pobliskiej wsi Łaźnisko. Możliwe, że inne wioski też idą w błagalnych procesjach na swoje pola. „W nocy z 25 na 26 czerwca [8–9 lipca] i rankiem 26 padał bardzo ulewny, silny deszcz, połączony z burzą i gromami” – notuje ksiądz Grizkowski.

Te „burze i gromy” to ostatni wpis księdza w parafialnej kronice. Wkrótce wyjedzie on z Sokółki, znikną też jego parafianie z Wierzchlesia czy Łaźniska.

Zwycięska porażka Rosjan podpala cały kraj

Latem 1915 roku sytuacja na polach nie poprawia się. „Niebywała susza, trwająca od wczesnej wiosny do lipca, pozbawiła ludzi paszy dla inwentarza, wpłynęła szkodliwie na stan ozimin, a wprost fatalnie na jarzyny. Ziemniaki ucierpiały bardzo od 4-ro stopniowego mrozu, jaki był w pierwszych dniach czerwca. Dziś znów, w czasie żniw, codzienne deszcze przeszkadzają sprzętowi, grożąc drugą klęską” – donosi 15 sierpnia 1915 roku „Gazeta Białostocka”.

Rubryka „Wiadomości polityczne i wojenne”, redagowana w „Gazecie Białostockiej” na podstawie komunikatów urzędowych, wydaje się mniej dramatyczna niż doniesienia ze wsi, choć nieprzyjaciel doszedł daleko: 5 sierpnia zajął Warszawę, wcześniej Chełm, Lublin, Łomżę, Pułtusk; na północy jest już pod Rygą. Uważny czytelnik zorientuje się, że wojska rosyjskie cofają się na całej linii frontu. Mniej

uważny będzie zdezorientowany. Bo w „Wiadomościach politycznych i wojennych” jest pełno zwrotów typu: „zacięty atak pomyślnie odparty”, „bez większych strat”, „walki trwają”. Spokój. Jakby sytuacja na froncie była co najmniej stabilna. W innych ówczesnych gazetach też czytamy, że armia cofa się *pobiedonosno*, zwycięsko, a odwrót to manewr taktyczny, który ostatecznie pozwoli pokonać wroga i triumfować.

Propaganda robi, co może, ale klęska jest porażająca. Nie sposób dalej ukrywać głębokiego kryzysu w carskiej armii. Jest źle dowodzona, szafuje życiem poborowych – ofiary każdej z bitew liczą się w dziesiątkach tysięcy – do tego marnie zaopatrzona. Brakuje nie tylko nowoczesnej broni; żołnierze często nie mają amunicji, by strzelać do wroga. Zdarza się, że dowódcy wysyłają ich w bój bez karabinów.

Ten odwrót zyska przydomek „wielki”, jak sama wojna. I jak odwrót Napoleona w 1812 roku. Ówczesny rosyjski triumf przekuto w wielki narodowy mit. Niedawno świętowano setną rocznicę, cały kraj od niej huczał. Budowano cerkwie, urządzano parady, pisano opery i uwertury. W 1915 roku generałowie doskonale o tym pamiętają. Na zgubę milionów ludzi. Swoich, nie wrogów.

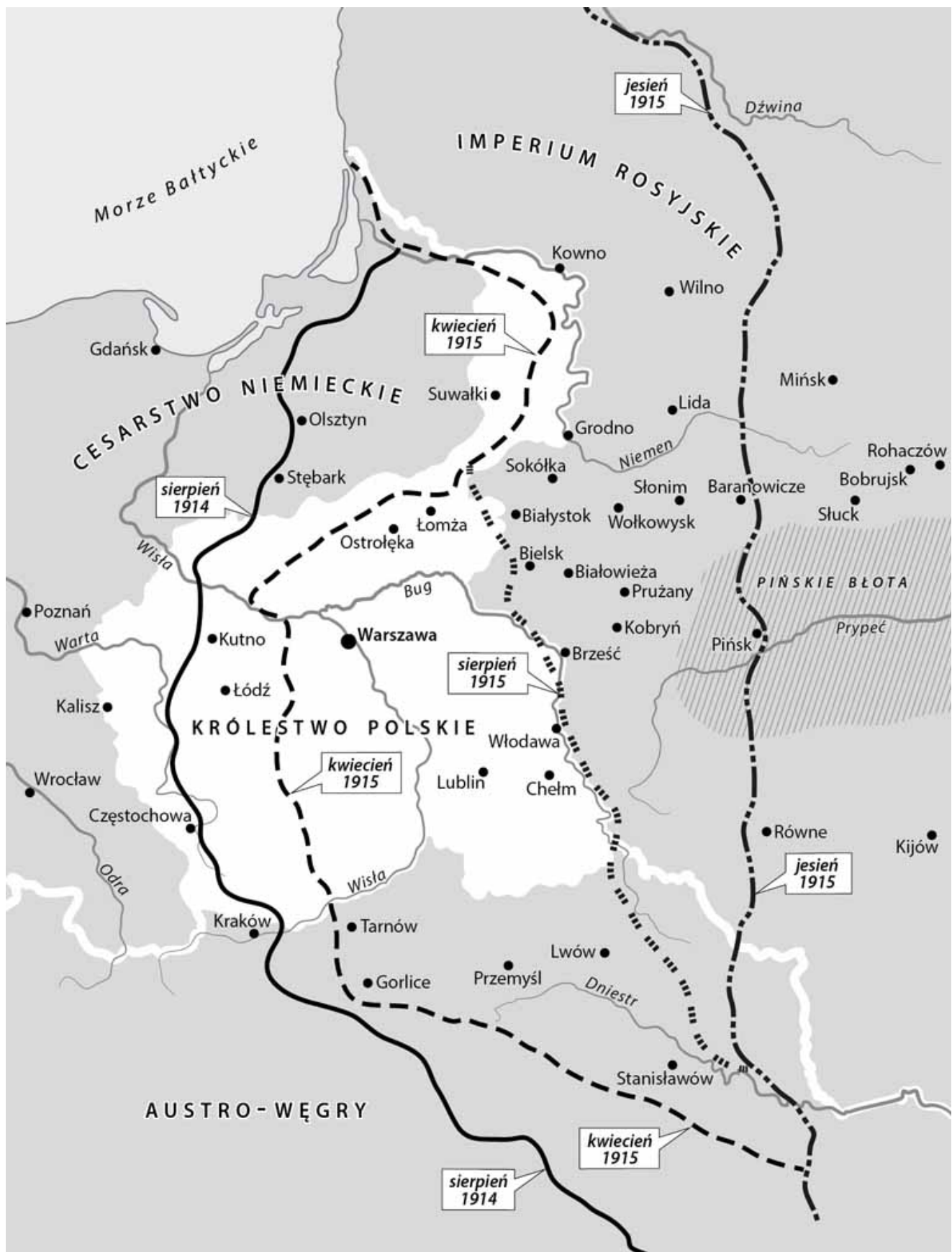
*

Ziemie, którym zagraża wróg: Królestwo Polskie i Kurlandia, to ważne centra przemysłu maszynowego w Imperium Rosyjskim. Nie można ich zostawić wrogowi. Wobec wielkiego odwrotu przydają się uwagi spisywane po ewakuacji Lublina czy Sokółki w pierwszych tygodniach wojny.

Z Warszawy na wschód jadą pociągami fabryki: Lilpop, Rau i Loewenstein, Norblin, Bracia Buch i T. Werner, Gerlach i Pulst, Temler i Szwede czy zakłady Ursus. Ponad dwieście firm. Wyjeżdżają warsztaty Białegostoku, Wilna, Kowna i Lublina. Zwłaszcza te, które uznano za najcenniejsze, bo pracują na potrzeby wojska. Jedzie też obsługa, niezbędna do uruchomienia fabryki gdzieś w Rosji. Przedsiębiorstwa podejmują tu różne decyzje. Jak pisze historyk Walentyna Najdus: „»Ursus« wywiózł 6 pracowników i 18 robotników, a zwolnił 440 robotników. [...] Natomiast zakłady firmy Gerlach i Pulst oraz Lilpop, Rau i Loewenstein wywiozły z kraju po paręset osób”. Wszystko odbywa się w straszliwym pośpiechu. Gdy brakuje czasu na ewakuację całych zakładów, władze zalecają zabranie części maszyn, by przynajmniej opóźnić wznowienie produkcji przez wroga.

Na wschód jedzie też tabor kolejowy wraz z kolejarzami, banki, kasy pożyczkowe, magistraty, urzędy, oczywiście z urzędnikami. Tysiące ton archiwów. Szkoły różnego szczebla, często z personelem. Uniwersytet Warszawski z najcenniejszymi zbiorami

bibliotecznymi odprawiono do Rostowa nad Donem. Wyjazd nauczycieli jest obowiązkowy, studenci sami mają podjąć decyzję.



Przebieg frontów wojennych w latach 1914–1915

Jadą zbiory biblioteczne i muzealne, dzieła sztuki, dobra kultury. Wyposażenie Zamku Królewskiego i Łazienek zostaje upchnięte w sześćdziesięciu pięciu wagonach i wysłane w kierunku Piotrogradu. „Nie ocalały nawet obrazy w plafonach ściennych umieszczone, odrywano okucia brązowe z drzwi, ozdoby z kominków” – relacjonuje Stanisław Dzikowski, dziennikarz tygodnika „Świat”. Wywożone są dzwony ze świątyń wszystkich wyznań – po wojnie Towarzystwo Opieki nad Zabytkami Przeszłości doliczy się dwunastu tysięcy zaginionych sztuk.

Jedzie wszystko, często ładowane bez ładu i składu. „Olbrzymie platformy wywoziły codziennie stosy akt i najprzeróżniejszych gratów urzędowych. Na jednym stosie widzieć można było nieraz wytworne meble z XVIII wieku i kulawe stołki z jakiegoś cyrkułu” – pisze Dzikowski.

Przed wycofaniem się z Warszawy – według relacji świadków – żołnierze rabują składy apteczne i rozbijają maszyny dla wyciągnięcia z nich kawałka miedzi. Na odchodnym wysadzają mosty, tory kolejowe, stacje, wieże ciśnień, wodociągi, kościoły czy inne górujące nad okolicą budynki. Ma zostać spalona ziemia. Taka, jaką w 1812 roku zastał Napoleon.

Ale to nie ewakuacja miast okaże się największym dramatem taktyki spalonej ziemi.

*

Jeszcze na początku czerwca 1915 roku, gdy Rosjanie dopiero wycofują się z Galicji, dowódca frontu południowo-zachodniego wydaje rozkaz wysiedlenia tutejszych chłopów i wywozu ich całego majątku. Przecież gdyby zostali, zasilą szeregi wroga, a ich plony będą karmić nieprzyjacielskie wojsko.

Szef sztabu generał Mikołaj Januskiewicz rozszerza ten rozkaz na cały obszar przyfrontowy. „W trakcie cofania się, zawczasu [...] niszczyć posiewy przy pomocy koszenia lub w inny sposób; ludność męską, prócz Żydów, w wieku, w którym obowiązuje służba wojskowa, wydalać na zaplecze, by nie zostawić jej w rękę przeciwnika; wszystkie zapasy chleba i paszy, bydło i konie obowiązkowo wywozić; łatwiej będzie ponownie zaopatrzyć ludność przy naszej ofensywie, niż zostawić przeciwnikowi, który i tak wszystko odbierze” – brzmi jego zarządzenie.



[^] Rosyjskie wojska, wycofując się, palą dojrzałe zboże

Zdarza się, że wojskowi próbują ewakuować tylko mężczyzn, a kobiety i dzieci bez środków do życia zostawić wrogowi. Porzucają jednak ten pomysł w obawie przed powszechnym buntem. Wyganiają wszystkich. Wydzielone zostają specjalne oddziały, których zadaniem jest „oczyszczenie” wsi.

Sfrustrowany brakiem naboju żołnierz, często głodny i przemęczony, z zapamiętaniem oddaje się rabunkowi i niszczeniu. Rozkaz dowództwa, nakazujący „niepozostawianie” majątku, usuwa wszelkie skrupuły. Historycy będą potem podkreślać, że armia, dotychczas zachowująca się wobec cywilów dość poprawnie, wobec własnej klęski jest bezwzględna. Wycofując się, niszczy wszystko.

Nie nakazuje się chłopów wyganiać, ale rekruta zostawić nie wolno

Władysław Glinka kupuje wszystkie drewniane skrzynie, jakie znalazł w Ostrołęce. Każe ustawić je w dworskiej piwnicy. Chciałby zmieścić w nich swoją bibliotekę: ponad osiem tysięcy tomów, przeważnie francuskich, angielskich i niemieckich. Ale

skrzyń jest za mało. Poleca więc znieść do nich najcenniejszy księgozbiór: francuski i polski – niepodległościowy, który najbardziej chciałby uratować od spalania.

To, że dwór w Susku Starym czeka pożar, wydaje się oczywiste. Teraz wszystko płonie. Niewiele brakowało, by i skrzynie poszły z dymem, gdy paliła się Ostrołęka – jak pisze Glinka – „podobno zapalona pociskami niemieckimi”. Ziemianie z położonych bliżej Narwi majątków przez cały lipiec jadą na wschód. Często zatrzymują się u Glinków na noc, wtedy opowiadają o swoich dobrach, spalonych przez „swoich” żołnierzy. O podpaleniach wsi i wypędzaniu ludzi kozackimi nahajkami mówią też koczujący wokół dworu chłopci, którzy puciekali z nadnarwiańskich wsi.

Na dworze w Susku stacjonują również przyfrontowe oddziały. Generałowie zasiadają razem z Glinkami do stołu, są wobec nich dżentelmenami. Zapewniają, że nie będą do niczego swoich gospodarzy zmuszać, ale gdy się wycofają, nadejdą frontowe wojska. A te mają być bezwzględne wobec wszystkich – zarówno chłopów, jak i ziemian. Skonfiskują konie, wszystko spalą, a ludzi popędzą na wschód. Generałowie radzą więc, by uciekać już teraz. Glinkowie mogą spokojnie zabrać, co chcą. Później będą musieli liczyć na łaskę frontowych, zwykle brutalnych, wojsk.

*

Krakowski „Czas” opisuje tragedię mieszkańców Lubelszczyzny w chwili przetaczania się przez nią frontu: „Od wsi do wsi pędzili Kozacy i podpalali wsie i osady, dając ludności zaledwie tyle czasu, ile trzeba było na ujście żywcom z płomieni”. Gazeta jest wydawana pod austriacką okupacją, w Warszawie carska cenzura takich opisów pewnie by nie puściła.

Podobnych relacji za to pełne są pamiętniki ziemian i arystokracji, nie tylko polskiej zresztą. O wyganianiu chłopów ze swojej ziemi, o bezwzględności wobec nich i o bezmyślności władzy w swoich zapiskach wspomina nawet wysoko postawiony rosyjski urzędnik Michaił Konstantynowicz Lemkie, cenzor przy sztabie generalnym. „W tym straszliwym zjawisku, któremu przyglądała się cała Rosja aż po szczyty Uralu, na nieszczęście ukazuje się bezradność wojennej i cywilnej władzy i całego rządu, ich niezdolność do przewidzenia konsekwencji wydawanych bezmyślnie zarządzeń” – pisze.

Latem 1915 roku o paleniu wsi i wyganianiu chłopów na zachodnich rubieżach Imperium aż huczy w piotrogrodzkich gabinetach. Podnoszą się głosy oburzenia i krytyki głównie pod adresem wojskowych, obdarzonych na czas wojny ogromną władzą.

Jeszcze w czerwcu dwaj członkowie Rady Państwa Imperium Rosyjskiego: hrabia Zygmunt Wielopolski i senator Aleksiej Borysowicz Niejdgart (szef Komitetu Wielkiej Księżnej Tatiany, która wkrótce zajmie się opieką nad wyganianymi masami), udają się na audiencję do dowodzącego wojskiem wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza. Po wyjściu dostojników natychmiast wzywa on do siebie generałów dowodzących frontami. Rozkazuje „stanowcze i natychmiastowe podjęcie środków zaradczych celem powstrzymania gwałtów stosowanych wobec ludności miejscowej i jej własności; niszczenie własności ludności miejscowej może być stosowane jedynie w wypadkach, gdy wymaga tego sytuacja bojowa i w ogóle cele wojenne, wyłącznie na mocy decyzji właściwego dowództwa”. Winni samowolnego wysiedlania lub niszczenia mienia mają być karani śmiercią.

Ten rozkaz jednak nie wystarczy, by zatrzymać rozpędzoną maszynę zniszczenia. Przy odrobinie dobrej woli dowództwa, a tej nie brakuje, każde zniszczenie mienia cywili da się uzasadnić sytuacją bojową.

*

Gdy pod koniec lipca 1915 roku Władysław Glinka słyszy coraz wyraźniejsze odgłosy walk, każe służbie pakować „najpotrzebniejsze z bielizny, ubrania, trochę pościeli, futra, srebra stołowe”. Dysponuje, jakimi końmi kto z nich pojedzie. Zapowiada, że jeśli będzie trzeba, wszyscy – zarówno państwo, jak i służba – udadzą się do majątku jego siostrzeńca, Kazimierza Popiela, w powiecie węgrowskim. Tam powinno być bezpiecznie.

Miejscowi chłopcy nie wiedzą, co robić. Pakować się i wyjeżdżać, kryć się w lesie czy czekać? Wciąż przychodzą do Suska Starego z pytaniami o radę. Potrzebują też pomocy w wypełnieniu druków, w których ma zostać spisany utracony dobytek. Rozdają je działające w miastach i miasteczkach Komitety Obywatelskie, powstające w całym Królestwie Polskim. Wypełnione druki należy poświadczyć u władz powiatowych, te jednak już się ewakuowały z Ostrołeki. Władze obiecują rekompensaty za utracony w wyniku działań wojennych majątek, ludzie boją się jednak, że bez kwitu pewnie nic nie dadzą nawet wtedy, gdy gospodarstwo pójdzie z dymem.



[^] Rusinki uchodzące z Galicji

Jakaś nadzieja pojawia się 1 sierpnia. Jeden ze stacjonujących w Susku wojskowych czyta chłopom rozkaz zabraniający armii palić domy i zmuszać ludność do opuszczania swoich siedzib. „A więc nikt nas nie wygoni?” – dopytują później we dworze, niepewni, czy dobrze zrozumieli. Władysław Glinka idzie do dowódcy. Ten uśmiecha się i czyta mu kolejny rozkaz: „Nie nakazuje wam się chłopów wyganiać ze wsi, lecz pożądane jest nie zostawić Niemcom ani jednego rekruta”.

Chłopi z Orchówka czekają na bumagę

Pod Włodawą chłopi też żyją w niepewności. 30 lipca padł Lublin, 1 sierpnia – Chełm. Wojska wycofują się już za Bug, wszyscy oczekują nadejścia wroga. Strach i niepewność nie różnią się od tych, które dopadają mieszkańców wsi pod Ostrołęką.

Pojawienie się i narastanie lęku opisuje W. I. Paszczuk, mieszkaniec Orchówka leżącego o dwie wiorsty^[14] od Włodawy. To jedna z niewielu relacji, które zostały spisane przez samych chłopów w trakcie bieżenstwa. Na początku 1917 roku wydrukował ją wydawany po rosyjsku biuletyn Komitetu Wielkiej Księżnej Tatiany.

Autor opisuje się jako „psalmista-bieżeniec W. I. Paszczuk”. W cerkwi psalmista to pierwsza po księdzu osoba. Kieruje chórem, czyta liturgiczne teksty.

Opowieść Paszczuka zaczyna się wiosną 1915 roku, gdy w okolicy Włodawy pojawia się coraz więcej przyfrontowych wojsk. Któregoś dnia sąsiad alarmuje, że na łące Paszczuka rozłożył się obóz wojskowy i pasie trawę, a nawet ją kosi. Ten leci tam natychmiast. Czym będzie karmić swoje bydło, jeśli żołnierze zniszczą jego łąkę? Próbuje ich powstrzymać i prośbą, i groźbą. Ci jednak nie słuchają. „Nie czas żałować trawy, gdy wkrótce nie tylko łąkę, ale cały dom i majątek przyjdzie zostawić Niemcu” – oświadczają.

„To był pierwszy zwiastun strasznej przyszłości” – zapisze Paszczuk w swojej relacji.

Wojskowi wkrótce przynoszą kolejne znaki nadchodzącego dramatu. We wsi kwaterują coraz to nowe oddziały. Jedne się wycofują, wkrótce nadchodzą kolejne. Z każdą zmianą żołnierze są coraz bardziej nerwowi, coraz bardziej wrodozy wobec chłopów. „Doszło do tego, że próbowali nas wyganiać z naszych domów. Uciekajcie, bo przeszkadzacie nam strzelać do wroga – krzyczeli” – notuje później Paszczuk.

*

Czy to „próbowali nas wyganiać” oznacza wysiedlanie? Czy Paszczuk i jego sąsiedzi boją się wygnania i spalenia swojej wsi? Czy opowieści o takich działaniach wojskowych krążą w okolicy? Wątpię, czy cenzura, której musi podlegać także biuletyn Komitetu Wielkiej Księżnej Tatiany, przepuściłaby takie informacje podane wprost.

Gubernię chełmską Rosjanie uznają za swoją ziemię; wiosną 1915 roku zostaje ona oderwana od Królestwa Polskiego i włączona do Rosji. W Królestwie mówi się więc, że żołnierz rosyjski, wstępując na ziemię chełmską, zaprzestanie niszczenia i palenia, a chłopów potraktuje jak rodaków i nie będzie wypędzał. Władysław Glinka cytuje nawet potwierdzający to rozkaz, który miał być odczytany przez wojsko po wstąpieniu na Chełmszczyznę. Mimo to – pisze ziemianin z Suska po rozmowach z kilkudziesięcioma Chełmianami: „palenie wsi i wyganianie ludzi odbywało się u nich tak samo jak u nas”.

Paszczuk nie wspomina o rozkazie nakazującym ochronę ziemi chełmskiej. Skupiony na losach swojej parafii, nie analizuje też sytuacji innych grup tutejszych mieszkańców. On jest *ruski* – należy do tutejszych Rusinów. Dziś powiedzielibyśmy o nim Ukraińiec; wtedy używano raczej określenia Małorusin lub Rusin. W Orchówku w 1915 roku mieszkają też utożsamiający się z polskością katolicy; we Włodawie – także duża społeczność żydowska. Losy tych grup okażą się wiosną i latem 1915 roku często bardzo różne^[15].

*

W Orchówku coraz mocniej czuć zbliżającą się wojnę. Nocą horyzont świeci łuną pożarów. W dzień dym z płonących wsi tak zasnuwa słońce, że widać tylko jego czerwone kontury.

30 lipca [12 sierpnia]^[16] wycofujące się za Bug wojsko zapowiada, że tej nocy do wsi wejdą Niemcy. Ludzie są przerażeni. Co robić? Boją się nocować w domach, chronią się w spichrzach, stodołach, gdzie kto może. W szopie Paszczuka nocują ojciec i szwagier z rodzinami.

Zresztą i tak nikt nie śpi. Ludzie wsłuchują się w ciszę. Przywykli do nieustannego huku dział. Teraz wszystko umilkło. Dlaczego nie słychać nawet strzałów karabinów? Co oznacza ten dziwny spokój? Dopiero nad ranem rozlegają się wybuchy od strony stacji. Ludzie mówią, że to wojsko wysadza dworzec i tory kolejowe.

Co robić? Większość orchowiaków nie ma pojęcia. Paszczuk proponuje, by jechać. Część mężczyzn się sprzeciwia. Mówią, że trzeba poczekać na bumagę z rozkazem dowództwa. Może władze cerkiewne coś zdecydują i przekażą to wiernym? Gdy tak radzą, ktoś przynosi informację, że we Włodawie nie ma już ani władz cywilnych, ani cerkiewnych. A więc bumagi nie będzie. Nikt nie pomoże im podjąć decyzji. Zostali sami.

*

Staram się wczuć w skórę orchowskich chłopów sprzed stu lat. Jeszcze tradycyjnych, żyjących tak, jak żyli ich rodzice, dziadowie, pradziadowie. Człowiek rodzi się; od chwili, gdy nauczy się chodzić i chwytać w ręce przedmioty, pracuje na roli. Będzie pracował zresztą do samej śmierci. Gdy dorośnie, weźmie ślub. Potem Bóg da dzieci, wnuki. W końcu ześle śmierć. Cykl się zamknie.

Dopiero pięćdziesiąt lat wcześniej chłopów wyzwolono od pańszczyzny. Przestali być dworskimi niewolnikami, ale wolność jest abstrakcyjnym pojęciem. Bo co miałyby oznaczać? Zdarza się, że najodważniejsi jadą szukać szczęścia do miasta, więcej bogacze wysyłają czasem dzieci do szkół, zasadniczo jednak ludzie żyją tak, jak żyli ich przodkowie; zgodnie z porządkiem uznawanym za odwieczny. Tak nakazuje tradycja, Kościół, władza, dwór. Właściwie to one wciąż decydują o chłopskim losie.

Ale teraz, gdy cały świat wali się albo płonie, ich wszystkich zabrakło. Chłopi zostali sami. Jak nigdy.

*

Gdy idąca z zachodu apokalipsa nadciąga nad Susk Stary, wszyscy tracą głowę. „Stali ludzie niemi, zapatrzeni w zniszczenie” – zanotuje potem Władysław Glinka. Sam też nie może oderwać wzroku.

Dworskie podwórko jest pełne żołnierzy. Jedni ryją okopy tuż za budynkami, inni ciągną armatę. Kilku rabuje spichlerze i kurniki. Kury drą się, pierze unosi się w powietrzu. Wokół płoną pola z dojrzałym albo zżętym, jeszcze nieuprzątniętym, zbożem. „[...] sterty pierwsze podpalone żarzyły się jak główne, inne płonęły jak pochodnie, a ze wszystkich wznosiły się skośnie, z lekkim wiatrem, wstęgi czarnego dymu. Za spichrzem ujrzałem jedno morze dymu: to owies na pniu palił się. Podobno kilkanaście razy go żołnierze nadaremnie podpalali, aż się nareszcie zajął. Po innych polach żołnierze biegali i zapalali snopki w dziesiątkach. [...] Na zachodzie czerniały dwie ogromne chmury dymu: to płonęły liczne budynki, otaczające stację, oraz folwark Ławy” – pisze Glinka.

Starsza kobieta bez chustki, z potarganymi włosami, wpada na dworski ganek. „Gdzie syn mój?” – krzyczy. Widząc samego pana, tłumaczy mu: „Kozacy ze wsi ludzi wyganiają! Uciekać każą! A syn do dworu poszedł!”. Gdy ten kręci głową, że syna nie widział, kobieta leci dalej. Ludzie jakby budzą się z letargu, rzucają się do mieszkań. Glinka też idzie się pakować.

„Była mniej więcej godzina 6-ta, gdyśmy się dowiedzieli, że cała służba nasza odjechała” – notuje.

Kilka godzin później wraz z całym dworem wyjeżdża.

*

W. I. Paszczukowi proboszcz nakazał nie opuszczać parafian do samego końca. Psalmista czuje się więc odpowiedzialny za swoją wieś. O tym, co się stało z księdzem, w swojej relacji psalmista nie wspomina. Może wyjechał razem z włodawskimi władzami?

Słyszając kolejne, powodowane przez wycofujące się wojsko wybuchy, Paszczuk każe ludziom zaprzęgać konie. Sam najpierw idzie do cerkwi. Zastaje tam dwóch wyglądających na szabrowników żołnierzy, wyprasza ich, a drzwi zamyka na klucz. Potem biegnie do domu, do żony i rocznego dziecka. Na wózek niemowlęcy kładą naczynia, połamany parasol, brudną bieliznę. „Sam nie wiem, dlaczego zabraliśmy brudną; czystą zakopaliśmy” – napisze potem. Swoje obejście zostawiają otwarte. Tuż za wsią Paszczuk przypomina sobie, że w zakopanym ubraniu zostały klucze do cerkwi.

Ale nie ma czasu na powrót. „Sąsiednie wioski, ze 2 wiorsty od naszej, płoną. Z lasu, 5–6 wiorst, rozlega się buch-buch – to rozrywają się nieprzyjacielskie pociski;

tak blisko, że widać rozbłysk” – notuje. Niektórzy załadowali fury tak, że koń nie da rady ciągnąć. Zrzucają więc nadmiar na pobocze.

Wreszcie dojeżdżają do mostu – pewnie na Bugu. „Wszędzie biegają ludzkie masy – pisk dzieci, płacz matek, krzyki mężczyzn, skowyt psów. Nawet zwierzyna wydaje żałobne dźwięki, czując nadchodzącą śmierć. Mosty już obłożone słomą, pewnie i benzyną polane. Obok żołnierze tylko czekają, by z nimi skończyć”.



[^] Chłopi z Włodawy dopiero wyjechali. Ich wóz jest jeszcze zasobny

Jak babę złapią, to cycki jej poobcinają

W guberni grodzieńskiej na przełomie lipca i sierpnia zdaje się panować jeszcze względny spokój. Ludzie słyszą już wprawdzie huk wystrzałów, widzą łunę pożarów; może nawet czują swąd spalenizny. Ale ten zwierzęcy lęk, którego doświadczają w tym czasie mieszkańcy Orchówka czy wsi pod Ostrołką, tu dopiero zaczyna kiełkować.

Pawlik jeszcze się nie boi. Wrócił z Białegostoku do Wólki Wygonowskiej i przygląda się żołnierzom, których zrobiło się w okolicy pełno. Bezbłędnie rozpoznaje

umundurowanie: pułki syberyjskie, kaukaskie; jednostki zmieniają się coraz szybciej. Nie liczą się z niczym i nikim. Gdy dostają rozkaz położenia linii telefonicznej, wycinają wspaniały sad tutejszego prawosławnego księdza, choć wystarczyłoby przesunąć linię o kilka metrów. Gdy ktoś protestuje, słyszy – jak psalmista Paszczuk na swojej łące pod Włodawą – że nie czas teraz chronić sady. Trzeba przygotowywać się na gorsze rzeczy.

„W rozmowach potocznych, na obrazkach, mówiono i pokazywano, jak Niemcy mordują i znęcają się nad mieszkańcami okolic, które zostały przez nich zajęte” – notuje Pawlik.

*

„Niemcy babom cycki będą obcinać, dzieci nabijać na szable albo wrzucać do studni, starych żywcem wpychać w ogień” – niesie się wśród ludzi. Czasem ktoś ścisza głos: „A mężczyzn będą kastrować”. Potomkowie bieżenców sto lat później ze szczegółami powtarzają mi plotki krążące w 1915 roku po podlaskich wsiach. Mieli rozpuszczać je wojskowi, miał powtarzać ksiądz prawosławny po niedzielnym nabożeństwie, a ludzie przekazywać sobie dalej.

Nikt tu nie jest pominięty. „Przyjdą i cycki ci obetną” – słyszy kobieta i bezwiednie łapie się za piersi. Albo: „Wrzucą żywcem w ogień” – starcy nie wątpią, że to może być prawda. Pracować przecież nie dadzą już rady, do wojska się nie nadają, wróg nie będzie żywić darmozjadów.

*

Przeoglądam monumentalny zbiór *Lud białoruski na Rusi Litewskiej*. Etnograf Michał Federowski na przełomie XIX i XX wieku zapisał przyśpiewki, legendy, przysłowia – całą kulturę ludową okolic Wołkowyska, Słonimia, Lidy, Nowogródka i Sokółki.

Znajduję opowieść Jana Dzieżki spod Suchowoli spisaną po białorusku – w języku, w którym na co dzień tu mówiono: „Bywało, że jak babę złapią, to cycki jej poobcinają; dzieci jak złapią, to za ławą posadzą i tak ścisną, że zaduszą”. Opowieść dotyczy wojny 1812 roku i armii napoleońskiej. „Obcinanie cycków” pojawia się też we wspomnieniach z wojen szwedzkich.

Czy więc w 1915 roku propaganda carska świadomie ożywia owe prastare, powtarzane w legendach lęki? Czy one same ożywają w obliczu nadchodzącej wojny? Trudno dziś powiedzieć, zresztą czy to ważne? Ludzie są przerażeni. Wojny nie widziano tu przez ponad wiek – właśnie od czasów Napoleona. Ludzie jej nie doświadczyli. Znają za to straszne opowieści.

*

„Szli dzień i noc. Hałas nie cichł nawet na chwilę” – wspomina Jan Ziniuk ze wsi Górne (dziś to część Hajnówki), w 1915 roku podrostek. Jaryna Ignaciuk z Dubiażyna, wtedy dziewięciolatka, pamięta: „Zza Buga ogromnym tabunem ciągnęli Mazurzy. Mówili, że Niemcy nadchodzą. Wojna będzie”.

Na sto pięćdziesiąt pięć wspomnień zebranych w pierwszym wydaniu tomu *Bieżanstwa 1915 hoda* [Bieżeństwo 1915] idący z zachodu uchodźcy pojawiają się tylko w dwóch relacjach. Raz trafiam też na wzmiankę o nich w zasłyszanej historii. Lidia Nowik z Hajnówki przypomina opowieść swojej dwunastoletniej wtedy matki Anastazji Opolskiej. Ze świtą i z wielkim stadem krów jechał „pan z Łomży”. Zatrzymał się w ich wiosce, wywołując poruszenie. Miejscowi bali się, że czeka ich ten sam los, zwłaszcza że już wcześniej zapowiadali to żołnierze z cofających się oddziałów. Możliwe, że widok ludzi uciekających przed frontem umacniał ich w przekonaniu o okrucieństwie nadchodzącego *Giermańca*^[17].

Mieszkańcy wsi pod Bielskiem, Hajnówką czy Sokółką muszą widzieć uchodźców spod Warszawy, Ostrołęki, Łomży. Może ktoś spotyka i tabor Władysława Glinki oraz jego służby? Początkowo chcieli oni zatrzymać się u kuzyna w powiecie węgrowskim, ale wojna była zbyt blisko. Pojechali dalej, w Hajnówce na darmo próbując dostać się do przepełnionego pociągu.



[^] Uchodźcy z Włodawy. Jeden z pierwszych odpoczynków po drodze

Główne drogi już są zatłoczone taborami. Ziemianie – jak Glinka – zatrzymują się na noc w zaprzyjaźnionych dworach albo na plebanii. Chłopi nocują pod gołym niebem. Rozpalają ogniska, łamią drzewa z pobliskiego lasu. Pasą konie na łąkach miejscowych chłopów, biorą po kilka snopków owsa na drogę, kopią ziemniaki z pól.

Pod Bielskiem, Białymstokiem czy Sokółką uciekinierów z zachodu pewnie trudno było przegapić. Ale nie przetrwali w masowej pamięci. Nie mogli. Tu panuje dziś graniczące z pewnością przekonanie, że ludzie spod Łomży i Ostrołęki, przecież katolicy, w ogóle nie jechali w bieżęństwo.

*

Koń jest piękny. Może biały? Długie, szczupłe nogi, kształtny kłęb, rozwiana grzywa. Z pewnością pański, rasowy. Pędzi przez pola, czasem zatrzymuje się na łące, przez chwilę się pasie. Albo nagle wychodzi z zarośli, rozgląda się wokół, strzyże uszami. Gdy ktoś próbuje do niego podejść, zrywa się jak oparzony, pędzi dalej i gdzieś znika.

Czy wierzyć własnym oczom? Może koń był tylko złudzeniem? Zjawą? Pośłańcem z innego świata?

Takie sceny wyobrażam sobie, gdy w „Naszej Niwie” czytam o tabunach koni, pędzonych z litewskich i białoruskich ziem na zachód, w kierunku frontu. I w przeciwną stronę, gdy armia rekwiruje zwierzęta od chłopów z opuszczanych terenów, by nie dać wrogowi. Zdarza się, że pojedyncze sztuki, czasem nawet całe stada, gubią się i blakają potem po okolicy, wywołując czasem poruszenie tych, którzy natknęli się na nie. To wszystko musi budować atmosferę lata 1915 roku.

Za końmi i źrebakami pędzonymi przez żołnierzy suną krowy i cielęta. Czasem biegną owce czy świny, choć taką drobnicę zwykle pomija się przy rekwizycjach. Idą też stada należące do uciekających ziemian. To parada modnych i nowoczesnych gatunków: krowy holenderskie, czerwone polskie, gdzieś stado owiec merynosów Rambouillet. „Podobne do saren” – cmokają chłopci na widok pięćdziesięciu krów Władysława Glinki rasy szwycy (o brunatnym umaszczeniu, z jasną pręgą na grzbiecie, hodowanych zwykle w Alpach). Nigdy nie widzieli podobnych.

Chłopi spod Płocka, Łomży, Ostrołęki prowadzą na sznurku pojedyncze zwierzęta. To cały ich dobytek. Tu krówka, tam świnka, gdzieś biegnie koza czy stado owieczek.

Wokół uchodźczych taborów kręcą się też psy. Niektóre przestraszone, z podkulonym ogonem, często od wielu dni nic nie jadły. Niektóre wściekle szczerzą kły. Zdarza się, że atakują człowieka. O takich zdarzeniach opowiadają sobie uchodźcy w taborach, pewnie także chłopci w leżących blisko dróg wsiach. „Psy takie złe jak nigdy dotychczas; czyżby ludzkiej krwi się już ponapijały?” – powtarzają.

Co ta psia wściekłość może znaczyć? Coraz bardziej zagubieni ludzie szukają jakichś znaków. Boją się, że ta psia wściekłość czy konie blakające się po mokradłach nie zapowiadają nic dobrego.

Nawet pies i kot wskakują na wóz

Z Wólki Wygonowskiej wojsko zbiera ludzi do kopania okopów nad Bugiem. A więc wróg jest tuż-tuż – dociera do okolicznych chłopów. To, że odgłosy frontu i łuna pożarów wydają się coraz bliżej, nie jest złudzeniem. Wojna ich nie ominie.

Każda rodzina musi kogoś wysłać. Po domowej naradzie jedzie Pawlik. Furmanki dowożą robotników na miejsce; każdy dostaje swoją normę do wykopania. Chłopak nie odczuwa ekscytacji bliskością wojny. Raczej zmęczenie ciężką pracą. Jako

piętnastolatek wśród dorosłych mężczyzn nie ma taryfy ulgowej. Może też dopada go strach? Myśli o ucieczce.

*

Jan Ziniuk spod Hajnówki pamięta oczekiwanie i niepewność. Podobnie jak zaraz po wybuchu wojny, w obliczu zbliżającego się frontu, zapracowani na co dzień ludzie porzucili zajęcia. Dojrzewa żyto, trzeba się szykować do żniw. Zamiast tego gospodarze radzą na ulicy lub czekają na jakiś znak. „Pewnego dnia przyjechał oficer. Zwołał ludzi i mówi, że tu, w Górnem, tuż przed Puszcą Białowieską, przygotowują pozycję obronną. Wszystko zostanie spalone, zrównane z ziemią. Trzeba zdać majątek wojsku, a samemu uciekać na głębokie tyły frontu” – wspomina po latach Ziniuk na łamach książki *Bieżanstwa 1915 hoda*. Kolejne zamieszczane tu relacje pomagają odtworzyć ówczesne nastroje.

Czternastoletnia w chwili wyjazdu Fiauronia Stocka pamięta zamieszanie ze zwierzętami. I pośpiech: „Przyjmowali tylko konie i krowy; owieczek i innej drobnicy nie brali. To miało zostać Niemcom. Tata popędził krowy – 5 sztuk u nas było – i zdał. Dostał za nie pieniądze i wrócił do domu. Ale my nie czekaliśmy. Mama zaprzęgała do dwóch fur i pojechaliśmy”.

Do Załuk pod Gródkiem wpada oddział Kozaków. „Machali czapkami i krzyczeli: »Uciekajcie, uciekajcie, Niemiec nadchodzi«. Zrobiło się straszliwe zamieszanie. Już i wcześniej mówiło się we wsi, że nas wysiedlą, bo tu ma przebiegać linia frontu, ludzie wciąż mieli jednak nadzieję, że to nieprawda. Po okolicy chodziły słuchy o Niemcach, że ludzi żywcem obdzierają ze skóry” – wspomina inna czternastolatka, Maria Lisowska.

Iraida Dobosz z Redut pod Bielskiem pamięta matczyną opowieść; ma wtedy niespełna rok. „Mama zawinęła mnie w chustę, zarzuciła na plecy, przywiązała i zaczęła zbierać się do wyjazdu. U nas stacjonowali rosyjscy żołnierze i oni radzili mamie, by nigdzie nie jechała. W tym czasie mój ojciec Chilimon był na froncie”.

*

Opowieści z takimi szczegółami, jak te zgromadzone w książce *Bieżanstwa 1915 hoda*, trudno dziś usłyszeć. Świadców właściwie już nie ma; w przekazywanych historiach szczegóły się pozacierają.

To znikanie uświadomiono sobie w latach osiemdziesiątych–dziewięćdziesiątych XX wieku. W Białymstoku, Bielsku Podlaskim, Hajnówce, Sokółce dorosło pierwsze pokolenie miastowych potomków bieżeńców. Jeszcze mocno związani ze wsią; urlop

spędzają u krewnych przy żniwach czy sianokosach. Niektórzy – nauczyciele szkolni i akademicy, dziennikarze, literaci, artyści, naukowcy – pracują na rzecz swojej kultury, teraz nazywanej kulturą mniejszości białoruskiej, ukraińskiej czy prawosławnej. Dostrzegają, jak ważne jest dla niej bieżenstwo. I że pamięć wkrótce odejdzie. Wiedzą, że oprócz kilkunastu artykułów w wydawanym od 1956 roku w Białymstoku białoruskim czasopiśmie „Niwa”, nikt jej nie utrwalił.

W latach dziewięćdziesiątych, podczas dużego ożywienia mniejszości białoruskiej, działacze organizują tak zwane *letniki*. Młodzież jedzie na obozy do okolicznych wiosek i spisuje wspomnienia okolicznych mieszkańców. Pierwszy *letnik* jest poświęcony bieżenstwu.

Eugeniusz Mironowicz, historyk (dziś profesor Uniwersytetu w Białymstoku, wtedy redaktor naczelny „Niwy”), wpada na pomysł, by ze wspomnień uczestników bieżenstwa wydać książkę. Dziennikarze i korespondenci tygodnika przez lata zbierają opowieści. Ich autorami najczęściej są ludzie, którzy w chwili wyjazdu mieli po kilka-, kilkanaście lat. Niektórzy wspominają ogólnie, faktograficznie: „Zajechaliśmy zimą 1915 roku, w 1917 wybuchła rewolucja...”. Inni szczegółowo: opisują pogodę w dniu wyjazdu, wymieniają, co położyli na wóz. Jednych w bieżenstwo wygnali Kozacy, inni jadą sami. Nie ma tu jednolitej wersji historii. Na opowieściach swój ślad odciskają też spisujący – oprócz dziennikarzy „Niwy” także uczestnicy *letników*; ponad czterdzieści osób.

Książka ukazuje się w 2000 roku po białorusku. Wygląda skromnie; ma miękką niebieską okładkę, na niej tytuł cyrylicą: *Bieżanstwa 1915 hoda*. Nakład – pięćset egzemplarzy – rozchodzi się błyskawicznie.

Znajduję tu barwny opis wydarzenia, które zmieniło bieg tutejszej historii. Widzę różnorodność ludzkich losów. Dostrzegam też obraz współczesnej pamięci o bieżenstwie, schematy i mity, które książka mimowolnie dokumentuje. Według tych samych schematów, choć już bez szczegółów, opowiadają mi potomkowie bieżenców w latach 2012–2015. Niezależnie od tego, czy czytali książkę.

W czasie moich poszukiwań dotrę też do innych relacji często spisywanych wcześniej, czasem na gorąco. Zdarza się, że pokazują one inny punkt widzenia, na co innego kładą nacisk. Ale sto lat po bieżenstwie są one na Podlasiu w zasadzie nieznanne.

*

Z książki *Bieżanstwa 1915 hoda*:

Nadzieja Nesteruk, urodzona w 1911 roku w Ochrymach, powiat prużański (dziś hajnowski): „Jechaliśmy na wozach, na które położyliśmy, co kto mógł. Bez dobytku, bez zwierząt. Dobytek nie był nam w głowie, my swoje głowy ratowaliśmy”.



[^] Sznur wozów ciągnie się po horyzont; nie widać początku ni końca

Włodzimierz Prokopowicz, urodzony w 1911 roku w Milejczycach, powiat brzeski (dziś: siemiatycki): „Gdy latem 1915 wszyscy zaczęli uciekać, dziadek Flor z babcią Marią wyprawili nas w drogę, a sami zostali pilnować gospodarki. Ojciec zakładał, że przez dwa tygodnie wojna się skończy i wkrótce wrócimy do domu”.

Konstanty Masalski, urodzony w 1907 roku w Folwarkach Tylwickich (miejscowi Białorusini używają często nazwy Podwarki), powiat białostocki: „Ojciec zaprzągnął konia, załadował na furmankę zapas jedzenia, mąki i zboża, pościel i ubrania. Przywiązał dwie krowy i zawołał wszystkich do domu. Pomodliliśmy się, potem tata poświęcił cały dom, chlewy, stodoły. Gdy wóz ruszył z miejsca, instynktownie wskoczyli na niego pies i kot”.

Jaryna Ignaciuk, urodzona w 1906 roku w Dubiażynie, powiat bielski: „Posadziła nas mama na furę. Troje małych dzieci – ja miałam 9 lat, młodsze siostry bliźniaczki – 2 lata. Dosiadła się babcia, 83 lata. Mama była gospodarzem, ojciec wtedy w armii służył. Zabraliśmy jedzenie, trochę bagażu, owieczki, krówkę i ruszyliśmy do Rosji”.

Wiktor Pawluczuk, urodzony w 1902 roku w Hołodach, powiat bielski: „W naszej wiosce już ludzie powyjeżdżali na łąkę pod Szczyty. Tylko nasi czekali [autor wspomnienia, podobnie jak Pawlik, był wywieziony do kopania okopów], wszystko było już przygotowane, wozy nakryte. [...] I my na drugi dzień ruszyliśmy, przed Spleniem^[18] to było. Dojechaliśmy do Nowego Berezowa [obecnie Nowoberezowo]. Stamtąd jeszcze dziadek poszedł do domu, do Hołodów, zobaczyć, co się dzieje. Ale tam już nikogo nie było. Tylko Kozacy łapali pozostawione kury i je zabijali, a potem piekli”.

*

Przed wojną uciekają mieszkańcy Pierożek. To wieś w powiecie sokólskim, siedem kilometrów od moich rodzinnych Knyszewicz. Jeśli wierzyć dzisiejszym mieszkańcom, w 1915 roku ma sześćdziesiąt chat. Gdy nadchodzi front, nie zostaje tu nikt. Ale zaraz za wioską część – dziś mówi się, że większość – skręca na łąki, które tu nazywa się *łuhem*. To teren zabagniony, trudno dostępny; gdy latem skosi się trawę, trzeba ją wynosić gdzieś wyżej i tam suszyć. Mnóstwo tu bagiennych zarośli. Jeśli ktoś wie, którądy iść, by nie utonąć, może się tu dobrze skryć.

Na *łuhu* przez dwa tygodnie chowają się mieszkańcy Pierożków, którzy nie chcieli jechać w nieznane. Widzą dym z płonącej wioski, czują zapach spalenizny. Może nawet odważniejsi idą nocą sprawdzić, co dzieje się z ich domami? Ale wioski nie zdołają uratować. Z pożaru, wznieconego prawdopodobnie przez wycofujących się Rosjan, ocaleją tylko dwie stodółki. Po powrocie z *łuhu* zamieszka w nich część pozostałych ludzi; reszta będzie kopać ziemianki.



[^] Jedna z płonących wsi na ziemiach białoruskich; najprawdopodobniej lato 1915

Podobnie pustoszeje Surażkowo pod Supraślem. To wieś drwali, zagubiona w Puszczy Knyszyńskiej. Mieszkańcy na czas przejścia frontu chowają się w lesie; potem wracają i próbują urządzić życie w nowych warunkach. Nie wiem, czy wieś płonie, czy chroni ją ustronne położenie. Choć pochodziła z niej moja babcia Ola, matka mamy, i w 1915 roku miała siedem lat, pamięć w rodzinie się nie zachowała.

*

Pawlik ucieka od kopania okopów nad Bugiem. Dociera do Wólki Wygonowskiej w ostatniej chwili. „Ludność zaagitowana przez księdza szykowała się do ucieczki do Rosji” – zapisze. Jeszcze próbują zwlekać, choć grzmoty dział i pukanie karabinów maszynowych słyszą coraz bliżej. Wreszcie 6 sierpnia^[19] frontowi Kozacy „stanowczo zażądali naszego odjazdu” – pisze Pawlik.

Wyjeżdżają wczesnym popołudniem. We wsi zostaje tylko kilkoro staruszków, którym śmierć niestraszna. Chcą, by ich kości spoczęły na własnej ziemi. Tak przynajmniej im się jeszcze wydaje.

Jadą powoli, oszczędzając konie. Pierwszego dnia przejeżdżają zaledwie dwanaście kilometrów; to cztery godziny spokojnego marszu. I od razu znajdują rozległe łąki, na których urządzają czterodniowy postój. Staliby może nawet dłużej, gdyby nie to, że czwartego dnia dogania ich dziadek Pawlika. Do Wólki zaczęły dolatywać frontowe pociski, zdruzgotaly kilka domów, bał się siedzieć tam dłużej.

W taborze wybucha lament. Wszystko stracone! Nie będzie do czego wracać! Nawet gdyby wojna szybko się skończyła, nie zdążą się odbudować do zimy. Decydują więc, że ruszają w dalszą drogę. „Wszystkich pocieszała myśl, że tylko dojadą do Puszczy Białowieskiej, odległej od nas o jakieś 30 wiorst, a tam gdzieś w gąszczu lasów przeczekają, póki przejdzie wojna, i wrócą do domu” – notuje Pawlik.

Lepiej o tym nie pisać

Chwila wyjazdu. Dramatyczny moment. Wciąż narastający strach, ten pierwotny, zwierzęcy. Niepewność, całkowite zagubienie. Właściwie zarówno wyjazd, jak i pozostanie to zupełnie niewiadome. Ludzie się wahają. Co robić? To pytanie musi tłuc się w głowach i tych, którzy w końcu ruszą na wschód, i tych, którzy gdzieś się skryją, jak mieszkańcy Pierożków czy Surażkowa.

Sto lat później to wahanie i związany z nim dramat znika z pamięci o bieżącej. Ale moment wyjazdu wciąż wywołuje silne emocje. Dotyczą one jednak raczej polityki i działań władzy oraz instytucji niż ludzkich wyborów.

*

Gdy w lutym 2014 roku uruchamiam stronę internetową Bieżąco.pl (adres pisze się bez polskich znaków), na facebookowych profilach zainteresowanych osób rozpoczyna się dyskusja. Dlaczego jechali? Dobrowolnie czy pod przymusem? Jaką politykę prowadzili wobec nich Rosjanie? Czy chcieli ochronić miejscową ludność, czy raczej ją wykorzystać? A może bieżący byli przedmiotem bezmyślnych działań wojskowych?

Odpowiedzi zwykle zależą od współczesnych poglądów dyskutantów. Rusofile, niedopuszczający krytyki wielkiego wschodniego sąsiada, podkreślają dobrowolność wyjazdów oraz szlachetność armii. Krytyczni – przemoc ze strony rosyjskiego wojska i nieliczenie się z cywilami.

Na spotkaniach o bieżącej, w których uczestniczę w 2014 i 2015 roku, pytanie: „Wyjeżdżali dobrowolnie czy pod przymusem?”, pada właściwie zawsze. Gdy podróżuję w poszukiwaniu bieżących wspomnień, w rodzinach albo między

sąsiadami nieraz wybuchają kłótnie. Kozacy byli w wiosce w momencie wyjazdu czy to jakiś wymysł? Wyganiaли czy ludzie sami jechali?

Im więcej zajmuję się tematem, tym bardziej czuję związane z tymi pytaniami napięcie. Czasopismo, do którego piszę artykuł o bieżenstwie, usuwa zdanie o taktyce spalonej ziemi i wyganianiu chłopów. „Przecież historycy są zgodni, materiały źródłowe to potwierdzają” – mówię. Tak, ale lepiej o tym nie pisać. Kiedy indziej lokalny działacz mniejszościowy przekonuje, że taktyki spalonej ziemi nie było. Żołnierze rosyjscy ofiarowali własne życie za bieżenców. Walczyli z Niemcem pod Bielskiem^[20] tydzień, by chłopci podlascy mogli odjechać i bezpiecznie schronić się w Rosji.

Za to w spektaklu *Bieżenicy. Exodus* przygotowanym w 2015 roku przez białostocki Teatr Dramatyczny imienia Aleksandra Węgieerki przez reżyser Agnieszkę Korytkowską-Mazur, wciąż słycać oskarżenia: „to Ruscy wygonili”. Historia bieżenstwa zostaje tu wpisana w polską opowieść o prześladowaniach ze strony Rosji, o zesłaniach i Sybirze.

*

To dramatyczne pytanie „Co robić?”, które latem 1915 roku unosi się nad wioskami, wydaje mi się najważniejsze dla zrozumienia wyjazdów. Ono przesuwaa akcent z wielkiej polityki i generalskich rozkazów na ludzkie wybory i losy. Oraz na rządzące tymi wyborami emocje. A one stawiają kwestię przymusu i dobrowolności w innym świetle.

Bo czy przekonany o śmiertelnym zagrożeniu człowiek wyjeżdża dobrowolnie? Czy ucieczka przed okrucieństwem wroga, który ma obcinać kobietom piersi, a dzieci wrzucać do studni – chłopci wierzyli w te plotki – to akt wolnej woli czy działanie wręcz instynktowne? Czy przymus wiąże się tylko z przemocą Kozaka na koniu, wypędzającego chłopów nahajką?

*

Ważna dla zrozumienia bieżenstwa i późniejszych opowieści o nim jest też różnica klasowa. Narracja szlachecka i narracja chłopska.

Latem 1915 roku na wschód masowo ruszają nie tylko chłopci. Przebywająca w Warszawie Maria z Łubieńskich Górska w lipcu notuje w swoim dzienniku: „Seweryn Światopełk-Czetwertyński dziś wyjechał, choć jest prezesem Towarzystwa Rolniczego i Komitetu Obywatelskiego. Poza Zdzisławem Lubomirskim nikogo z mężczyzn wielkiego świata nie ma. Wstydem niech zapłoną niegodni synowie

hetmańskich rodów – gdzie się podziała »dawnych Polaków duma i szlachetność«, a także odwaga?».

Z licznych zachowanych relacji wynika, że w drogę udaje się zdecydowana większość szlachty i ziemian. Nie będą oni jednak określać się jako bieżęncy – uciekinierzy. W listach, pamiętnikach, wspomnieniach mówią o sobie raczej: wygnańcy, którzy jadą pod przymusem niczym na zsyłkę. Swój los wpisują w narrację o prześladowaniach ze strony rosyjskiego zaborcy. Za to o chłopach, zwłaszcza białoruskich czy ukraińskich, chętnie piszą jako o dobrowolnych uciekinierach. Wielokrotnie w swoich zapiskach tę różnicę podkreśla chociażby Władysław Glinka.

A przecież z ziemiaństwem – u Glinki można znaleźć wiele potwierdzających to opisów – wojsko bardziej się liczy. Chłopów tłucze nahajką, czy to przy wypędzaniu, czy spotkawszy ich na drodze. Ziemian tak traktować się nie odważy.

Dwory oraz zbiory zboża są często palone, za utracony majątek ich właściciele mają otrzymać od carskich władz rekompensatę. Pod warunkiem oczywiście, że wycofają się wraz z wojskiem i wciąż będą przebywać pod rosyjskim panowaniem. Oczekiwanie na niemiecką okupację oznaczałoby rezygnację z rekompensaty. Z tego uciekający ziemianie doskonale zdają sobie sprawę. Pamiętniki Glinki są pełne rozważań na temat przyszłych odszkodowań. Głównie dla ziemian, bo – jak pisze – „chłop, jakkolwiek zniszczony i wygnany, po wojnie szybko odtworzy swą gospodarkę. Aby tylko sobie chatę sklecił, co sam własnoręcznie potrafi”.

Ów wyjazd ludzi chcących odzyskać swój majątek jest zrozumiały. Takie postawienie sprawy nie tworzy jednak zbyt dobrego wizerunku. Ziemiańska opowieść kładzie więc akcent na przymus oraz wygnanie i rozciąga je na polskich chłopów. Wyklucza za to chłopów *ruskich* spod Białegostoku czy Chełma – tych uważa za dobrowolnych uciekinierów. Tego, że ich wsie spłonęły, a oni sami byli przerażeni i wyjeżdżali przekonani, że ratują swoje głowy, ta narracja zdaje się nie zauważać. *Ruscy* chłopci są traktowani trochę jak obcy, ci, na których tle można oglądać własne polskie bohaterstwo.

*

W guberni grodzieńskiej czy chełmskiej, gdzie obok siebie żyją chłopci *ruscy* i *polscy*, prawosławni i katolicy, w zdecydowanej większości jadą ci pierwsi. Historyk Krzysztof Piotr Pękała w doktoracie obronionym na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej podaje, że z Chełmszczyzny wyjechało cztery razy więcej Rusinów niż Polaków. Nikt nie badał proporcji wyjazdów z Białostoczczyzny, wśród tutejszej ludności panuje jednak przekonanie, że jechali wyłącznie prawosławni.

Gdy zaczynam zbierać materiały o bieżenstwie, też jestem o tym przekonana. Podczas lektury zgromadzonych w tomie *Bieżenstwa 1915 hoda* wspomnień, w których wielokrotnie pada, że prawosławni jechali, a katolicy zostawali, nasuwają mi się jednak pytania. Dlaczego katolicy zostają? Czy nie przeraża ich łuna pożarów świecąca na zachodzie? Nie paraliżuje huk dział? Czy nie boją się, że Niemiec nabije ich dzieci na szable, a kobietom poobcina piersi? Do nich przecież też te plotki muszą docierać. W mieszanych wsiach prawosławni i katolicy wspólnie pracują, świętują, omawiają bieżące sprawy.

Pytam potomków bieżenców. Mówią, że wyjazd był przymusowy dla prawosławnych, katolicy mogli zostać. Że Niemiec miał się szczególnie znęcać nad ludnością prawosławną, a katolików oszczędzać. Na moje dociekania: jak egzekwowano przymus wyjazdu oraz dlaczego wroga armia miała inaczej traktować ludzi w zależności od wyznania, nikt nie jest w stanie odpowiedzieć.

W zachowanych dokumentach, w spisywanych niemal na gorąco wspomnieniach, we współczesnych opracowaniach nie znajduję niczego, co potwierdzałoby różnicowanie prawosławnych i katolików przez carskie wojsko czy przez nadciągającego wroga. Nie mogę jednak wykluczyć, że wojskowi wykorzystywali wyznanie w propagandzie. Wpadając do jednej ze wsi pod Bielskiem, Kozacy – według relacji wnuka bieżenki – mieli krzyczyć: „*Spasajsia, spasajsia prawosławnyj narod!...*”. „Ratuj się, ratuj, prawosławny ludzie!” Odwołanie się do jedności *ruskich* chłopów z prawosławną Rosją pewnie było skuteczne, możliwe więc, że wojsko powtarzało, że wróg będzie się znęcał właśnie nad „prawosławnym narodem”.

*

Postawa kleru. O tym spora część bieżenców i ich potomków mówi jako o czynniku przesądającym, że prawosławni pojechali, a katolicy zostali. Posłuszna władzy cerkiewna hierarchia, zanim sama wyjechała, dając wiernym przykład, zachęcała do ucieczki. Po niedzielnym nabożeństwie batuszkwowie straszili chłopów nadciągającym wrogiem i jego okrucieństwem. Może więc stąd też częściowo bierze się to przekonanie, że Niemiec ma szczególnie znęcać się nad prawosławnymi?

Ludność katolicka w kościołach musiała słyszeć co innego. Katolicka hierarchia była przywiązana do polskości. Wybuch wojny rozbudził jeszcze nadzieję na odbudowę niepodległej Polski. Lud winien był zostać na miejscu, by te dążenia wspierać. „Nie wolno nam rozpraszać się. Jak skała winniśmy stać na własnej ziemi, bo tu lepsza śmierć aniżeli życie tułacze wśród obcych” – pisała „Gazeta Białostocka”. Lud raczej prasy nie czytał, ale kler katolicki już tak. I przedstawioną tu politykę w zdecydowanej

większości wspierał. Namawiał wiernych, by chronili się w lasach, a potem wracali na swoje ziemie. Chłopskie poczucie przynależności narodowej dopiero się formowało, ale apele księży odnosiły skutek. Kościół zresztą i u katolików, i u prawosławnych był wówczas chyba największym autorytetem i jego zdanie miało ogromne znaczenie.

Wsie prawosławne więc w większości jechały, katolickie w większości zostawały. Mieszane najczęściej się dzieliły. Czasem jechała część katolików, a niektórzy prawosławni zostawali. I niekoniecznie decydowało wyznanie. Jeśli ktoś miał sąsiadów innowierców, ich postawa mogła wpływać na decyzje: jechać czy nie, nawet bardziej niż słowa księdza.

*

Na Białostocczyźnie, oprócz tej *polsko-ruskiej* mieszanki, mieszkają Tatarzy. W Kruszyńnianach i Bohonikach, w okolicznych wsiach. Ich losy układają się różnie; w większości jadą na wschód.

W miastach żyją protestanci. Wyjeżdżają, zanim rozpocznie się masowy *exodus* chłopów – w czerwcu, na początku lipca 1915 roku. Ale tu nie może być nawet mowy o dobrowolności. Zostają oni wysiedleni w głąb Rosji. Protestant znaczy przecież Niemiec. A Niemiec to wróg, trzeba się go pozbyć z linii frontu.

No i Żydzi. Przeważają wśród mieszkańców okolicznych miast i miasteczek; Krynki i Orla to ogromne skupiska żydowskiej społeczności. W rosyjskiej armii od początku wojny szerzy się antysemityzm, Żydów oskarża się o szpiegostwo i sprzyjanie wrogim wojskom. Zdarza się, że żołnierze ich rabują i mordują bez żadnego pretekstu. Już w 1914 roku bywają wysiedlani w głąb Rosji. W czasie wielkiego odwrotu nikt jednak nie zachęca ich do wyjazdu. Jako miejscy ludzie nie mają też koni, którymi mogliby ruszyć w drogę. W zdecydowanej większości zostają w swoich domach.

We wschodniej części powiatu bielskiego oraz – w mniejszym stopniu – sokólskiego, gdzie katolicy są nieliczni, pozostają spalone wsie oraz miasteczka zamieszkałe przez Żydów.

Szczęśliwy pech

Analizuję, co czuli tuż przed wyjazdem. Próbuję złapać ten moment podjęcia decyzji: jechać czy zostać. Gdy wczytuję się we wspomnienia, odkrywam jednak, że często decyduje przypadek. Czasem ludzki błąd, czasem fart lub pech. I że w ostatecznym rozrachunku nieszczęście w chwili wyjazdu okazuje się potem szczęściem. Albo odwrotnie – wielki fart przynosi ogromne nieszczęście.

*

Knyszewicze wyjeżdżają. Wśród nich rodzina mojej babci Nadzi. Ona ma osiemnaście lat, jest już dorosłą dziewczyną, urodziwą, z długimi warkoczami. Takie najmocniej boją się *Giermańców*, tego „obcinania cycek”. Może teraz pędzi owce albo krowy obok wozu? Jest najmłodsza w rodzinie.

Gdzieś w tym sznurze wozów jedzie jej przyszły mąż Siarhiej z matką Anną Prymaką i młodszym rodzeństwem. Nie wiem, czy już wtedy mają się ku sobie. Wieczorem wszyscy docierają do Miskienik. Wiele osób ma tu rodzinę, zatrzymują się więc na nocleg. Rano Anna Prymaka usłyszy od swoich krewnych: „Dokąd pojedziesz? Nie ma co dzieci ciągnąć. Jak boisz się być u siebie, zostań u nas, wspólnie przeczekamy”.

Anna się ogląda. Jej sąsiedzi już pojechali. Waha się, spogląda na najstarszego syna. Potem na najmłodszą córkę, trzyletnią Lubę. Mała jeszcze, czy wytrzyma podróż w nieznane? W końcu wyruszają. Siarhiej popędza konie, by dogonić resztę wioski.

*

Pawlik i ludzie z Wólki Wygonowskiej dojeżdżają do Puszczy Białowieskiej. Tu szukają miejsca, by się schować i przeczekać przejście wojny. Na próżno. „Z jednego miejsca wypędzono, z drugiego. Starsi mówią, że za późno przyjechali, teraz Kozacy naumyślnie szukają takich i wysyłają dalej, trzeba było ciągle jechać, a nie zatrzymywać się” – zapisze Pawlik w swoim pamiętniku.

*

Gdy Narewka wyjeżdża, matka Mikołaja Czarneckiego czuje się bezradna. Męża zabrali do kopania okopów, konia nie ma, za to jest troje dzieci. Najstarszy Mikołaj ma dwanaście lat, najmłodsze ledwo chodzi. Kobieta prosi brata, by zabrał ich na swój wóz. Ten zabiera, ale gdy koń opada z sił, zdejmuje dzieci z furmanki i mówi do siostry: „Idźcie dalej, jak chcecie”. I odjeżdża. Po pierwszym kilometrze taszczenia maluchów matka pada ze zmęczenia. Siadają przy drodze; czekają nie wiadomo na co.

Dziadkowie i matka Mikołaja Ptaszyńskiego z Michnówki dotarli do mostu. Tłok jest taki, że nie sposób na niego wjechać; ludzie się tratują. Wiadomo, że nielicznym uda się przedostać na drugą stronę. Żołnierze przygotowują się, by ten most podpalić, przywiązują słomę i leją benzynę. „Ratuj syna przed *Giermańcem*” – mówią Ptaszyńscy do córki. Ta zawija rocznego Mikołaja w chustkę i piechotą przeciska się między wozami na moście. Jej rodzice zostają.

Podobnych historii jest w tomie *Bieżanstwa 1915 hoda* kilka. Słyszę je także podczas moich rozmów. Na przykład od rodziny Sokołowskich z Suchynicz, wioski sąsiadującej z Knyszewiczami. Ich wóz połamiał się gdzieś pod Wołkowyskiem, matka-wdowa z podrastającymi synami nie dała rady go naprawić. Zostali przy drodze, czekali Niemców. Innym „pechowcom” okulał koń, jeszcze innym konia nocą ukradli. A Barwoczkę (zdrobienie od Barbary) z Soców pod Zabłudowem, młodą matkę z rocznymi bliźniaczkami, mąż bez słowa zostawił przy drodze, a sam pojechał do Rosji.



[^] Ci bieżęcy nie odjechali daleko. „Zostali zagarnięci przez Niemców”, jak wówczas mówiono

Wycofujący się rosyjscy żołnierze wszystkich napotkanych gonią na wschód. Czasem niektórych, zwłaszcza samotne kobiety z małymi dziećmi, zabierają na wojskowe wozy czy samochody i wiozą na stacje kolejowe. Ale takie „szczęście” spotyka nielicznych. Nie uśmiecha się ani do rodziny Mikołaja Czarneckiego z Narewki, ani do Sokołowskich z Suchynicz.

„Ci, co zostali, nic ze strachu nie widzieli” – wspominają czekanie na nadejście Niemca ludzie z Kuraszewa, którzy nie zdążyli przejechać przed spaleniem mostu.

Zastanawia mnie, dlaczego na części najpopularniejszych dziś zdjęć z pierwszego etapu bieżenia ludzie są ubrani tak, jakby na zewnątrz była przynajmniej późna jesień z przymrozkami? Dlaczego mają na sobie kożuchy i grube kufajki, nieważne, że często porwane, wyświechtane? Dlaczego kobiety obwiązują głowy wełnianymi chustkami? Czemu nogi okręcają szmatami? Przecież lato 1915 roku było gorące, we wspomnieniach pełno jest skarg na upał i suszę.

Później dowiaduję się, że wiele z nich przedstawia tych, którzy nie zdołali uciec. „Pechowców”. Fotografowali ich niemieccy żołnierze jako osobliwość zajmowanych terytoriów; niektóre ze zdjęć drukowano zresztą później w formie pocztówek. Wydaje się, że niedoszli bieżący ze strachu przed tym potwornym, zmitologizowanym już *Giermaniec* chowają się gdzieś w lasach, możliwe, że przez dłuższy czas. Może próbują naprawić wóz albo zdobyć konia, by móc wrócić do domu? To wszystko trwa. Gdy spotyka ich niemiecki fotograf z aparatem, jest późna, chłodna jesień. Stąd mające chronić przed zamrożeniem ubranie, często złożone chyba ze wszystkich szmat, które były na wozie.

*

Gdy rodzina Pelagii Pawluczuk z Kuraszewa dojeżdża do rzeki, most jest spalony. Ojciec mówi: „Nigdzie nie będziemy się ciągać. W wojsku służyłem wiele lat, na gorsze biedy się napatrzyłem niż ten *Giermaniec*”. Dwa tygodnie spędzają więc w pobliskim lesie. Ojciec chodzi do wioski, widzi, że wszystko stoi na swoim miejscu. Niemców wciąż nie ma. Pawluczukowie wracają do siebie.

Tuż przed przejściem frontu ojciec chowa się w studni i zakrywa ją z wierzchu deskami. Matka z małymi dziećmi zakopuje się w słomie w stodole. „Siedziałyśmy przez cały dzień. Słyszałyśmy wszystko: biegnących żołnierzy i świst kul” – wspomina w tomie *Bieżanstwa 1915 hoda* Pelagia, wówczas czteroletnia dziewczynka. Przeżyją wszyscy. I siedzące w stodole kobiety z dziećmi, i ojciec w studni. Ale starsza siostra Pelagii umrze kilka dni po tym, jak wyszli z kryjówek. „To ze strachu. Przelękała się, gdy siedziały w tej słomie” – mówi po latach Pelagia.

*

Część ludzi z Kuraszewa nie wraca, jak Pawluczukowie, spod spalonego mostu. Długo siedzą nad rzeką. W końcu widzą nadjeżdżających na koniach Niemców w charakterystycznych pikielhaubach, pewnie zwiadowców. Zaczynają się modlić; tym gorliwiej, im bliżej są żołnierze. Gdy ci w końcu podjeżdżają, jedna z kobiet rzuca się

na ziemię i pokazuje gest podcinania gardła. Błaga o szybką śmierć. Bez tortur, bez obcinania piersi.

Niemcy patrzą zdziwieni. Nie zamierzają nikogo mordować. Pytają o Kozaków. Gdy przekonują się, że rosyjskich żołnierzy tu nie ma, w stronę siedzących ludzi rzucają krótkie: „*nach Hause!*”. „Do domu!”

Utrata i samotność

Żywy łańcuch od guberni chełmskiej aż po Syberię

Włas Doroszewicz, rosyjski pisarz i publicysta, późnym latem 1915 roku stoi przy którejś z wiodących na wschód dróg zachodnich rubieży Imperium Rosyjskiego. Może gdzieś w guberni grodzieńskiej czy mińskiej? W jednym z felietonów napisze: „Oto idzie gubernia chełmska. Poznać ją można po uczesaniu kobiet. Tu zaś biłgorajki. Oto dalej z godnością sunie gubernia grodzieńska: poznać ją można po wozach, obciążonych samodziłami w kraty lub w pasy. Zniszczyli ich już wygnańcy, którzy szli przez ich okolice, a w rezultacie i im samym wypadło ruszyć. Oto w długich kożuchach z szerokimi kołnierzami baraniami, pięknie wyszytych czerwonym sznurem, w czapkach rogatywkach z pomponami, ciągną włościanie z guberni łomżyńskiej. Wąsy z podwąsem, a podbródki zarośnięte jak szczecina. Cichy lud, grzeczny i miły. Zwłaszcza kobiety ich mają szaty wspaniałe. Rękawy, kieszenie, kibić – wszystko wyszyte kolorowo. Teraz jest to zakurzone, zabłocone, poobrywane, podarte, ale widać, że było to niegdyś wystawne, piękne, bogate. Trzeci już miesiąc w drodze. Ktoś zapytany, jak dawno są w drodze, odpowiedział: »Już sam nie wiem. Nie wiem, czy to był sen, że miałem kiedyś dom, czym teraz zwariowałem. Dom spalony, żona w drodze umarła i dzieci dwoje z nią poszło; leżą pod krzyżami. Ja tylko i ten koń samotny na świecie«»^[21].

Początkowo, gdy w głąb Rosji zaczynają docierać pierwsi uchodźcy, ludziom wydaje się, że to kolejna osobliwość toczącej się wojny. O ile jednak nikogo nie dziwią bogacze (fabrykanci z Warszawy, Białegostoku, Grodna czy arystokracja) przyjeżdżający wagonami pierwszej klasy, o tyle wlekący się drogami nędzarze budzą niepokój. Gazety wysyłają na drogi ich przemarszu swoich korespondentów.

*

W Rohaczowie nad Dnieprem bieżeńcom przygląda się Fiedot Kudryński, nauczyciel, historyk, etnograf i pisarz. „Nie mogę oderwać wzroku od tego żywego łańcucha. W jednych miejscach grubszy, zbity, w innych cienki, wciąż faluje i się zmienia. Zaczyna się gdzieś pod frontowymi wystrzałami w guberni chełmskiej, a kończy się daleko w Rosji, gdzieś na Syberii albo jeszcze dalej. Każde ogniwo tego łańcucha to chłopska rodzina. Czasem mizerna, uboga. A czasem należy do niej kilka wozów,

obładowanych różnymi rzeczami, obok idzie stado bydła” – pisze w mającej formę dziennika książce *Ludskije wołny* [Ludzkie fale].

Kudryński pochodzi z Wołynia, mieszkał w Nieświeżu i Wilnie; w 1915 roku pracuje jako nauczyciel w rohaczowskim gimnazjum. Gdy miasto staje się jednym z większych skupisk bieżenców – przez kilka miesięcy przechodzi przez nie siedemset tysięcy osób, większość koczuje tu tygodniami – on całe dni spędza w bieżeńskich obozach. Chce zrozumieć nieznanne dotychczas zjawisko. W wydanych w 1917 roku *Ludskich wołnach* tworzy niezwykle portret bieżenców.

Początkowo, gdy widzi nadjeżdżające wozy, ma wrażenie, że to jacyś biali Cyganie. Albo że przesiedleńcy po pożarze wiozą resztki ocalałego majątku: „Na wozach – dzieci i kobiety oraz cały dobytek. Pierzyny, poduszki, uboga zastawa kuchenna, zboże, sterty siana, worek chleba, snop owsa, drewno na opał. Czasem gdzieś w kącie wisi święty obrazek. Do wozu przywiązane rozmaite kociołki i inne naczynia. I wszystko to ciągną dwa wynędzniałe koniki, noga za nogą, setki wiorst. Do mniejszych wozów zaprzężone nawet pojedyncze konie, w uprzężach z dużą^[22]. Czasem w dyszlach idzie jeden; drugi padł w drodze. Uprząż nieskomplikowana: szleja, rzadko chomąto, postronki w słabych miejscach powiązane sznurem.

Niektóre konie, zdaje się, za chwilę padną. Gospodarz czuje to i z trwogą spogląda na swego wiernego sługę, można powiedzieć – członka rodziny, i poklepuje po bokach. Na wzniesieniach pomaga, popychając wóz, napierając na niego jednym bokiem.

Przerazające wrażenie robią ci milczący ludzie, przesuwający się w rytmie ze swoimi końmi. Nic nie mówią, bo i o czym tu mówić? Wszystko już zostało powiedziane. Żal i rozpacz. Rolnicy w tę jesienną, tak pracowitą porę, idą bez celu. [...]

– Tata, czy długo nas będziecie jeszcze tak wieźć? – cieniutkim głosem pyta chłopczyk, wystawiając znad fury swoją jasną główkę.

Dzieciom nadojadła już ta długa, nużąca podróż. Trzęsie ich bez końca na wybojach. Ojciec milczy, patrząc w ziemię. Leniwie podnosi głowę, żeby machnąć batem.

Na drugim wozie chłopczyk niewprawnie trzyma lejce. Próbuje powozić. Własne ręce jakby nie chciały go słuchać, lejce chodzą w różne strony. Konik nie zwraca uwagi na swego młodego gospodarza, ciągnie się za innymi wozami.

– A gdzie twój ojciec? – pytam, nie spodziewając się, że pytaniem sprawię ból.

Chłopiec milczy. Znad fury podnoszą się kolejne dziecięce twarze.

– Gdzie ojciec, matka? – powtarzam.

Dzieci w płacz. Nadchodzący chłop wyjaśnia, że ich rodzice poumierali”.

Piją wodę spod końskich kopyt, czasem umierają z przejedzenia

Do prowadzonego przez Paszczuka taboru orchowiaków już pierwszej nocy przychodzi śmierć.

Jest ciemno, gdy zatrzymują się na nocleg w lesie. Rozpalają ognisko, część ludzi idzie szukać wody. Ta, którą wzięli ze sobą, pewnie się skończyła. Może zresztą nie zabierali jej wcale? Przecież w każdej wiosce jest studnia, zaczerpną, gdy będą potrzebować. Ale w tej wsi, do której po ciemku trafiają wysłannicy, miejscowi nie pozwalają skorzystać ze studni. „Wodę trudniej tu dostać niż wódkę” – napisze później Paszczuk. Mają szukać jeziora, tam będą mogli czerpać, ile chcą. Miejscowi pokazują im drogę; idą kolejne trzy wiorsty. Znajdują jezioro, ale woda wydaje się tu bardziej mętna niż mleczna kawa. Nabierają jej i wracają do taboru. Zaczyna się gotowanie. Gdy kolacja jest wreszcie gotowa, wielu ludzi już śpi. Jest po północy.

Rano budzą się mokrzy od rosy. „Straszna to noc zwłaszcza dla matek z dziećmi przy piersi, ale strachu było mniej niż w poprzednią, gdy w swojej wiosce czekaliśmy na przyjscie wroga” – zauważa Paszczuk. Ulga trwa jednak krótko.

Jeden z sąsiadów podnosi lament – umarła mu córka, ośmioletnia dziewczynka. Cała wieś w milczeniu patrzy na leżące w trawie ciało. Zastanawiają się, co robić. Nie wrócą przecież, by pochować ją na swoim cmentarzu. Jadą na najbliższy, zupełnie im obcy.

*

Bieżeńskie wozy posuwają się w żółwym tempie; nawet dziecko byłoby w stanie iść szybciej. Suną jeden za drugim, w kilka rzędów. Nie widać końca ani początku. Między nimi przeciska się wojsko – wciąż trwa wielki odwrót. „Gdy jakiś tabor lub artyleria nie mogły zatarasowaną szosą przejść, spychano furmanki włościańskie bez żadnego »ale« na odkos, i pędzono kłusem tabor wojskowy” – opisuje Pawlik.

Chłopi z Wólki Wygonowskiej przejechali już Puszczę Białowieską, w której mieli nadzieję się zatrzymać, by przeczekać front. Są już gdzieś pod Prużanami (obecnie w języku polskim obowiązuje nazwa „Prużana”); próbują nie wypaść z zatłoczonej drogi. „Być zepchniętym na odkos to znaczy, że trzeba dużo, dużo czasu stracić, czasami nawet kilka godzin, by z powrotem wdrapać się na tę szosę. I nic dziwnego, fur uciekinierów była moc tak duża, że czasami jechano w trzy rzędy, gdy spojrzeć naprzód i w tył, to ni początku, ni końca fur widać nie było. Zatrzymywano się w drodze b. mało, tak tylko, aby popaść konie i znowu dalej. Prawda, że jechali bardzo wolno, bo co

chwila wszystkie fury zatrzymywały się, zdawałoby się tak, bez racji, to znowu ruszały wolno stępa naprzód” – dodaje Pawlik.

Podobnie wygląda to na wszystkich prowadzących na wschód drogach: szosie brzesko-moskiewskiej, Białystok–Wołkowysk–Baranowicze, Bielsk–Prużany–Słonim–Baranowicze. Tworzą się tu gigantyczne zatory. W połowie sierpnia w jednym z nich, w okolicach Kobrynia, stoi dwieście tysięcy osób.

Pawlik gdzieś pod Prużanami nasłuchuje frontowych odgłosów. Czy poruszając się w takim tempie, zdążą uciec przed wrogiem?

*

Gorąco. Chce się pić. To zapamiętali ci, którzy byli dziećmi. Piotr Sołowiej z Rudni w powiecie wołkowyskim (dziś to teren powiatu białostockiego, wieś jednak zalano podczas budowy jeziora Siemianówka) do końca życia będzie wspominał okropne pragnienie. Opowie o nim w tomie *Bieżanstwa 1915 hoda*.

Latem 1915 roku ma dziewięć lat. Jego ojca Rosjanie zabrali do rycia okopów. Matka zaprzęga konie, zabiera dzieci i z sąsiadami wyrusza na wschód. Studnie, koło których przejeżdżają, są od dawna puste. Także w pobliskich jeziorkach i stawach nic już nie zostało. Upał straszliwy. Słońca wprawdzie nie widać za tumanami kurzu i dymu, ale to nie zmniejsza spiekoty.



[^] Sznur bieżeńców w okolicy Bychowa w guberni mohylewskiej

Po drodze pędzi kawaleria, spycha bieżeńców na pobocze. Ludzie zamykają oczy, ale kurz i tak się w nie wdziera. W ustach już dawno zaschło, spieczone wargi popękały do krwi. Wszyscy kaszlą. Dzieci domagają się coraz głośniej: „pić, pić!”. Nie ma ani kropli wody, więc płaczą. Dorosłym mącą się już zmysły.

Piotr Sołowiej też błaga matkę o picie. Ta, gdy w końcu pędząca kawaleria znika, podbiega do miejsca, gdzie niedawno szły konie. W przemieszanym przez nich piasku zrobiło się błoto. Kobieta kładzie na nim lnianą szmatkę, czeka, aż wchłonie wilgoć. Potem wyciska do kubeczka. Podaje synom mętny płyn.

*

Przy innej, równie zatłoczonej drodze, W. I. Paszczuk, psalmista z Chełmszczyzny przygląda się kobiecie pielęgnującej męża i małe dziecko. Są ranni – byli na wozie, gdy nadjechał wojskowy samochód, koń się przestraszył i poniósł; przygniotła ich przewracająca się furmanka. Dziecko jest nieprzytomne, poturbowany mąż cicho prosi o wodę. Kobieta nie może już znieść tego skamlenia. Podaje mężowi dzbanek.

„Przegotowana?” – pyta Paszczuk. Chłopka kręci głową: „A skąd miałabym wziąć przegotowaną? Jak przejeżdżaliśmy przez mostek, z rzeki zaczerpnęłam”.

Także stan żywności pozostawia wiele do życzenia. Początkowo uciekający ludzie wiozą z domu zapas chleba, w workach mają kaszę, w skrzynkach na wozie kury, obok pędzą owce i świnie. Jeśli ktoś prowadzi krowę, doi ją i mlekiem poi dzieci. Czasem trochę zostanie nawet dorosłym. Zwierzęta jednak, zmęczone długim marszem i brakiem wody oraz paszy, szybko tracą mleko. Dodatkowo zaczynają kuleć i ledwo wleką się za wozem. Ludzie zabijają je, by ocalić przynajmniej mięso. Tylko jak je przechować w taki upał?

Raz orchowiaci, którym zapasy już się skończyły, zdobywają dużo mięsa – wyjeżdżający chłopci za bezcen sprzedają im stado cieląt. „Ale lepiej by było, żeby tego mięsa zupełnie nie było. Niedogotowane na wygłodzone żołądki sprawiło, że wiele osób musieliśmy pochować” – notuje psalmista Paszczuk.

*

Ludzie masowo chorują. Szerzy się odra, tyfus, cholera. Wzdłuż bieżeńskich tras pojawiają się wojskowe punkty medyczne, ale to kropla w morzu potrzeb. Do większości bieżeńców początkowo nie dociera żadna pomoc.

Ludzie próbują więc wszystkiego. Fiedot Kudryński, przyglądając się bieżeńcom pod Rohaczowem, zauważa raz siedzące wokół ognisk dzieci z papierosowymi skrętami. U niektórych to tytoń, inne palą słomę lub suche badyle. „Pomaga na choroby – słyszy od krzątających się obok dorosłych. – Lekarz w Baranowiczach tak mówił. Miało leczyć tę, no jak to jej było... Ezefekcję...” „To dla dezynfekcji?” – dopytuje Kudryński. „Tak, na tę właśnie chorobę. Tak ten lekarz mówił...”

Innym razem zauważa na dziecięcych piersiach dziwny amulet. Wisi na tym samym sznurku, co krzyżyk. „To od szkarlatyny. Czosnek, cebula, kilka ziół...” – wyjaśnia mu jedna z kobiet.

Ale rozmaite ludowe sposoby, w których skuteczność wierzono po wsiach, są teraz najczęściej niedostępne. Na przykład na pomór dzieci zalecano, by kobiety w jedną noc wytknęły lniane płótno, tak długie, by opasać nim całą wioskę. Rano ofiarowało się to płótno do cerkwi. To zwykle pomagało – wspominają ludzie. Ale teraz nie ma lnu, nie ma krosen, nie ma nawet wsi, którą można byłoby opasać. Jest tylko zaraza, która dziesiątkuje dzieci i dorosłych.

Ojca wiozą na cmentarz i tam zostawiają

„Na tyle, na ile my się posuwaliśmy, do przodu szedł też nieprzyjaciel” – relacjonuje psalmista Paszczuk. Odeszli już wiele kilometrów od domu, ale wciąż są blisko przesuwanej się linii frontu. Zagrożenie i związany z tym lęk nie ustają.

Pawlik z Wólki Wygonowskiej nie może się od niego opędzić. „Najgorzej było w nocy, jakiś paniczny strach, czy może przecucie zbliżającego się nieszczęścia, tylko o tym, aby spokojnie zasnąć nie było mowy. Bo nocą strzały, krzyki było słyszeć wyraźniej jak w dzień, jakieś dziwne fantastyczne cienie snuły się ustawicznie około nas, łuny pożarów były zupełnie bliskie, rakiety, gdy wylatywały do góry, zdawało się, że opuszczają się na nas. Tuliłem się bliżej ojca” – zapisuje.

Nieszczęście w końcu ich dopada. Jadą całą wsią; mijają Prużany, za miasteczkiem droga gwałtownie skręca w lewo. Pawlik z bratem pędzą krowy przed wioskowymi wozami; mijają zakręt. Gdy chłopak spogląda za siebie, widzi, jak dojeżdża do niego furmanka ojca. Wtedy słyszy dziwny dźwięk. „Nagle nadleciały dwa aeroplany niemieckie – opisuje Pawlik – poznałem ich po krzyżach na skrzydłach, nie lecieli zbyt wysoko, znałem z Białegostoku, jak klekocze, spadając, bomba, właśnie usłyszałem podobny klekot – krzyknąłem bratu, uciekaj na puste łąki, co było momentalnie wykonane. Obejrzałem się, patrzę, bomba spadła akurat na zakręcie szosy. Jedna, druga, piąta, aeroplany odlecieli”.

Gdy Pawlik dobiega do zakrętu, widzi zdruzgotany wóz, martwe konie i ojca w kałuży krwi. Jest już w agonii. Chłopak ze strachem spogląda na rozrzucone wokół rzeczy, szukając matki. Gdy opadała z sił, wchodziła na wóz. Gdzie jest teraz? Na szczęście wkrótce nadbiega i ona. Szła z tyłu, dlatego ocalała.

Następnego ranka zwłoki ojca i innych zabitych w nalocie bieżący wiozą na cmentarz prużański i tam zostawiają. Nie grzebią ich; boją się, że Niemiec może przysłać więcej samolotów. Trzeba uciekać.

Pozostawianie ciał najbliższych bez grzebania, rzecz dotychczas nie do pomyslenia, staje się powszechne. Dobrze, jeśli akurat w pobliżu jest cmentarz. Coraz częściej jednak ludzie porzucają zwłoki najbliższych bezpośrednio przy drodze, gdzie leżą w upale i wśród wałęsających się psów. Pogrzeb to luksus normalności, teraz tylko szczęśliwcy mogą sobie na niego pozwolić.

*

Oprócz Doroszewskiego i Kudryńskiego, szaleństwo pierwszych miesięcy bieżącego przejmująco portretuje jeszcze jeden z rosyjskich literatów: Konstanty Paustowski.

Przerywa on studia w Moskwie i jako sanitariusz dołącza do zespołu rozwożącego do szpitali rannych na froncie żołnierzy. Latem 1915 roku trafia do guberni grodzieńskiej. Spotkanie z bieżęcami opisze w autobiograficznej powieści *Burzliwa młodość*, gdy będzie już pisarzem wymienianym jako kandydat do literackiego Nobla.

„Najpierw zobaczyliśmy dziecko – pisze. – Leżało przy drodze na kraciastej chustce, najwidoczniej chustkę tę zdjęła z głowy matka, na piersi dziecka ktoś położył rzepak wyrwany z korzeniem. Następnie zobaczyliśmy młodą wieśniaczkę z otwartymi, jasnymi oczyma. Spokojnie patrzyła w niebo, gdzie poprzez dym świeciło żółtawe słońce. Pszczoła zaplątała się we włosach kobiety i gniewnie brzęczała. Prawdopodobnie [...] dawno już była w ten sposób uwięziona i nie mogła się uwolnić”.

Paustowski z kolegami grzebią ciała.

„Kiedy odjechaliśmy już dość daleko od świeżych mogił – opisuje dalej – wysoki sanitariusz, człowiek nader łagodny, nazwiskiem Społoch, powiedział do mnie:

– No i pochowaliśmy kobietę, wasza wielmożność. Tak myślę, że to była matka tego niemowlęcia.

– Dlaczego?

– Bo leżała bez chustki. A jej chustka została przy niemowlęciu”^[23].

*

Kilka wiorst przed Kobryniem chłopci z Orchówka słyszą, że bieżęński zator ciągnie się daleko przed miejskimi rogatkami, a nowi podjeżdżający są natychmiast ograbiani. Wysyłają więc zwiadowców. Plotki są przesadzone, jadą. W sunącym powoli sznurze wozów wjeżdżają do Kobrynia. Choć lepiej byłoby, gdyby coś ich po drodze zatrzymało.

Gdy przejeżdżają przez centrum miasta, nadlatuje niemiecki samolot. Przed nimi są oddziały cofającego się wojska, za nimi przerażony tłum. Orchowiacy czują się jak w potrzasku. Nie ma dokąd uciec. Ludzie w panice zostawiają wozy, na których leżą małe dzieci i chorzy ludzie. Konie rżą przeraźliwie, stają dęba, wrywają się.

Tłum rzuca się do okolicznych budynków, te są jednak zamknięte. Paszczuk na darmo stuka w jakieś drzwi. Z żoną i dzieckiem chronią się pod własnym wozem. Modlą się i całują, jakby żegnali się już na zawsze, a potem moszczą pod furmanką. „Zastygliśmy w oczekiwaniu strasznej śmierci. [...] – Gdy tylko samolot odleciał, nie wiedząc, gdzie prawe, gdzie lewe, kto żywy, kto umarły, wsiedliśmy na furę i pognaliśmy przed siebie, byle tylko dalej od tego miejsca. W końcu udało nam się wydostać z tego piekła. Nadchodził wieczór. Słońce krwawo przebijało się przez pył i dym. Moja parafia rozbiegła się nie wiadomo gdzie” – opisuje psalmista.

Może pobiegł gdzieś, a może i Niemiec zabił

Rzędy furmanek posuwają się bardzo wolno. Dzieci wybiegają więc naprzód, potem przysiadają na przydrożnych kamieniach i bawią się, zanim nadjadą rodzice. Czasem zachodzą do mijanych wsi, rozglądają się za jabłkami, szabrują ogrody.

Andrzej Dembowski, ośmiolatek z Haciek, gdy przejeżdżają przez Puszcę Białowieską, wyprawia się z bratem po orzechy. I się gubi. Biega po lesie jak oszalały, ale w gęstwinie drzew nie dostrzega nawet prześwitu. W końcu wychodzi na drogę, ale nie widzi znajomych furmanek. „Z jakiej jesteś wioski?” – zagadują przerażonego chłopca ludzie. Wskazują kierunek, Andrzej biegnie. Sąsiedzi już pojechali, tylko matka czeka przy wozie, a ojciec chodzi po lesie i nawołuje.

Wielu takich zagubionych dzieci albo ich rodziców spotyka w Rohaczowie Fiedot Kudryński. Biegają w panice i pytają wszystkich, czy nie spotkali ich bliskich, często błagają o pomoc w poszukiwaniach. Albo po prostu siedzą i czekają. Jak Marcin Wakulewicz z Kobrynia. Gdy nadleciały niemieckie samoloty i zaczęły zrzucać bomby, kazał synowi – jedenastoletniemu Atanazemu – uciekać do lasu. Więcej go nie zobaczył. „Może pobiegł gdzieś dalej, a może i Niemiec go zabił” – spokojnym tonem Wakulewicz kończy opowiadać Kudryńskiemu.

Wasył Orenczuk z guberni grodzieńskiej też siedzi bezradnie. Jest kaleką, nie może chodzić. W dodatku ma pod opieką dwoje małych dzieci. „Ojciec powiedział, że złapie naszą kobyłę i nas na niej dogoni, żebyśmy więc szli prosto do Bobrujska. Poszliśmy, a stamtąd samochodami wojsko nas powiozło do Rohaczowa. Z siostrą i bratem prosiliśmy, by nas zostawili, tłumaczyliśmy, że musimy czekać na ojca. Ale oni nas nie słuchali. Przywieźli tu i już trzy tygodnie siedzimy” – opowiada.

Brat Wasyła poszedł szukać ojca, ale i jego nie ma już szósty dzień. Ruszyła więc siostra, zostawiając dwoje swoich dzieci. Szczęście, że sąsiadka im pomaga, bez tego kulawy mężczyzna nie dałby sobie rady.

*

Zespół sanitarny Konstantego Paustowskiego jedzie w kierunku Kobrynia. „Niebo za nami nabrzmiewało różowym dymem” – pisze Paustowski. To armia wysadza forty twierdzy brzeskiej. Sanitariusze mijają sznury ciągnących bieżeńców. „Koło Brześcia przygarnęliśmy dwoje dzieci, które straciły matkę. Stały na skraju drogi, przytulone do siebie – mały chłopczyk w podartym gimnazjalnym szynelu i chuda dziewczynka, może dwunastoletnia. Chłopiec płakał i nasuwał na oczy daszek czapki, żeby ukryć łzy. Dziewczynka mocno trzymała chłopca obiema rękami za ramiona. Posadziliśmy

dzieci na furmance i przykryliśmy starymi szynelami. Padał gęsty, dokuczliwy deszcz” – dodaje.

W Kobryniu sanitariusze rozlokowują się w synagodze i idą do kuchni polowej wydającej jedzenie bieżącym. Przygarnięty chłopiec drepcze za nimi. Paustowski opisuje: „Głodny tłum uciekinierów otaczał kotły. Napór ciżby powstrzymywali żołnierze. Pochodnie chwiały się i oświetlały, rzekłbyś, tylko same oczy – wypukłe, szklane oczy ludzi, nic niewidzące prócz otwartych dymiących kotłów. Tłum tutaj był jeszcze większy niż w Wiśnicy. – Pu-u-u-ść – krzyknął ktoś w tłumie. Ciżba gwałtownie ruszyła z miejsca. Oderwała chłopca od Społocha. Chłopiec potknął się i upadł pod nogi setek ludzi, którzy pchali się do kotłów. Nie zdążył nawet krzyknąć. Ja i Społoch rzuciliśmy się ku chłopcu, ale tłum nas odepchnął. Spazm ścisnął mnie za gardło. Wyrwałem z pochwy rewolwer i wystrzeliłem cały magazynek w powietrze. Tłum się rozstał.

Chłopiec leżał w błocie. Łza spływała jeszcze po jego bladym, martwym policzku. Wzięliśmy go za ręce i zanieśliśmy do synagogi. [...] Dziewczynka zobaczyła go i wstała. Drżała tak mocno, że słyhać było, jak stukają jej zęby.



[^] Ewakuacja bieżeńskich sierot z Bobrujska

– Mamo! – powiedziała cicho i zaczęła się cofać do drzwi. – Mamo moja – krzyknęła i wybiegła na ulicę. Turkotały wozy taboru. – Mamo! – z rozpaczą wołała za oknami dziewczynka.

Staliśmy w osłupieniu, dopóki Groński nie zawołał:

– Zawróćcie ją! Prędkiej, do stu diabłów!...”.

Na próżno. Dziewczynka zmieszała się z tłumem. Nie odnaleźli jej.

*

Rosyjskie gazety opisują tragiczny los bieżenców. Piszą o rozdzielonych rodzinach, zrozpaczonych matkach, zagubionych dzieciach, nieznających nawet swojego nazwiska.

W tym zalewie chwyającego za serce nieszczęścia wyróżnia się historia bieżenki, która zgubiła trzyletnią córkę. W końcu sama choruje i trafia do leżącego gdzieś przy trasie szpitala. Nocą przywożą do niego chore dzieci. Brakuje dla nich miejsc, kobieta

proponuje więc, że weźmie jedno do swojego łóżka. Jest ciemno, dziecko wtula się w pościel i zasypia.

Rano kobieta widzi śpiącą obok niej zagubioną córeczkę.

Ty *bradiaga*, takiego dzieciaka oddajesz

Anna Jefimiuk z Kleszczeli ma dziewięć lat. Pojechała z rodzicami i rodzeństwem.

„Było nas siedmioro: mama, tata, brat Mikołaj z 1900 roku, siostra Maria z 1903; ja z 1906, brat Siemion z 1909 i Anatol z 1912. Koło Baranowicz zatrzymaliśmy się pod gruszą. Mama prowadzi nas do wsi, ale sama wraca, bo niby kuferek zostawiła. Była chora i w lazarecie umarła – następnego dnia powiadomiła nas o tym sąsiadka. Tata wziął Marię i poszedł do tego lazaretu, a lekarz krzyczy do niego:

– Po co tu dziecko prowadzisz? Przecież tu azjatycka cholera panuje. [...]

Wykopali wielki rów i układali w nim trupy w prześcieradłach; ciasno niczym śledzie. Batuszka nad nimi panichidę^[24] odprawił.

W Baranowiczach zostawiliśmy wóz z końmi i pociągiem pojechaliśmy do Mińska. Tam ojciec wziął za rączkę małego Anatola i dokądś prowadzi. To siostra chwyciła małego za drugą rączkę i nie puszcza. Wtedy ojciec starszego złapał, Maria puściła Anatola i jego chwyciła. Ojciec szybko zabrał Anatola i poniósł do wagonu z sierotami. A siostra miłosierdzia, która opiekowała się tam dziećmi, krzyczała za nim:

– Ty *bradiaga*, takiego dzieciaka oddajesz! A ojciec bał się, że sam nie będzie dał rady wykarmić piątki dzieci.

Jak odjeżdżaliśmy, Anatol machał do nas rączką i płakał. I my płakaliśmy”.

Tę historię znajduję w tomie *Bieżanstwa 1915 hoda*. Mijają miesiące i lata, a ja wciąż nie mogę zapomnieć machającego rączką trzyletniego Anatola i jego odjeżdżającego rodzeństwa.

W jakiej sytuacji trzeba się znaleźć, by oddać własne dziecko? Do jakiej ostateczności trzeba być doprowadzonym, by skazać je na niepewny los sieroty w strefie przyfrontowej? Lęk hamuje moją wyobraźnię. Boję się nawet myśleć o własnych dzieciach postawionych w podobnej sytuacji.

*

Trafiam na historie jeszcze straszniejsze.

Władysławowi Glince „sanitariusz Czerwonego Krzyża [opowiadał], że widział chłopca wygnańca, kopiącego dół dla pochowania trupa żony i żywego niemowlęcia”. Gdy sanitariusz się na to oburzał, chłop rzekł: „A co z nim zrobię, toć nie mam

piersi, aby mu dać jeść!”. Katarzyna Sierakowska, historyczka zajmująca się I wojną światową, trafia w swoich badaniach na podobne relacje. Nieczęsto, ale to straszliwe wspomnienie powraca.

Tradycyjny podział ról, w którym dziećmi zajmują się wyłącznie kobiety, stawia mężczyzn w trudnej sytuacji. Gdy zabraknie żony, często czują się bezradni. Dobrze, jeśli opiekę nad dziećmi mogą przejąć inne kobiety: babcia, ciocia, siostra, nawet sąsiadka. Często jednak nie ma żadnej z nich. Poumierają, pogubiły się.

*

Brytyjski historyk Peter Gatrell, badacz uchodźstwa z 1915 roku, przestudiował zapiski rosyjskich generałów. Znalazł w nich opis ludzi idących przez Pińskie Błota. Brakuje jedzenia i wody pitnej, piją więc tę z okolicznych bagien. Śmierć zbiera obfite żniwo; wymierają całe rodziny. Zdarza się, że chorują matki. Czując bliski koniec, szukają kogoś, kto zaopiekuje się ich małutkimi dziećmi. Zwykle nie znajdują. Wtedy zdarza się, że topią własne dzieci. Nie chcą skazywać ich na powolne konanie przy matczynym trupie.

Liście, nie ludzie

„Staliśmy się nie ludźmi, ale liśćmi. Wiatr nas goni, gdzie chce” – mówi zrozpaczona bieżenka. Nie wiem, skąd pochodzi. Czy jest Rusinką, Polką czy Łotyszką? Zresztą to nieważne. Los wszystkich jadących jest równie tragiczny. Stracili wpływ na swoje życie.

Bieżenstwo to historia stopniowej utraty. Zaczyna się zaraz po wybuchu wojny – utratą męża, którego zabrali na front. Potem armia rekwiruje zwierzęta. W końcu nadchodzi wyjazd. Traci się dom, ziemię, cały świat. Korzenie i tożsamość. Odwieczne rytuały, sposób życia niezmienny od stuleci.

Po drodze giną resztki dobytku, trzeba zabić krowę żywicielkę. Umierają najbliżsi. Nieraz matka traci wszystkie dzieci. Zdarza się, że kilkulatkowie grzebią oboje rodziców.

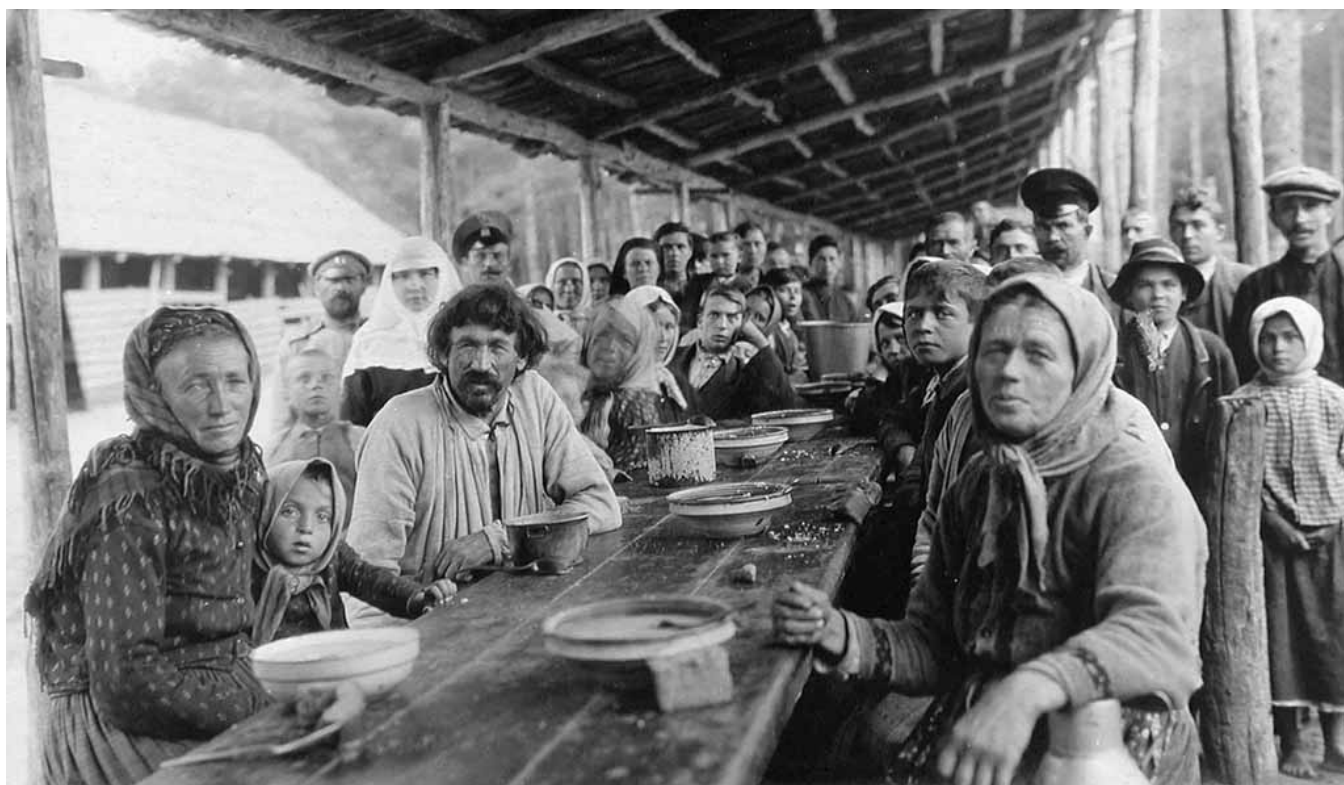
Czy to już koniec? Czy tym ludziom pozostało jeszcze coś do utraty?

*

Wzdłuż tras przemarszu bieżenców zaczynają powstawać punkty pomocowe z żywnością i prowizoryczną pomocą medyczną. Tworzą je organizacje samorządowe i charytatywne, wojsko, rząd. Na łamach biuletynu największej z tych organizacji,

Komitetu Wielkiej Księżnej Tatiany, kobieta podpisana jako E. Głuchowcowa opisuje swoją pracę w takim punkcie oraz pierwsze zetknięcie z bieżącami. Nie podaje nazwy miejscowości ani żadnych danych prócz swojego nazwiska. Znajduję je jeszcze u Kudryńskiego – gdy w kolejce po zupełny pewien bieżeniec ma atak cholery, właśnie Głuchowcowa wyprowadza go z tłumu i prowadzi do lekarza. Czy to ta sama osoba? Czy opisywany w biuletynie punkt pomocowy jest w Rohaczowie? Możliwe.

Głuchowcowa z innymi pracownikami punktu czekają na przyjazd bieżęców. Drewniane baraki są już zbite, stoły nakryte, zupa ugotowana. „Wiedzieliśmy z gazet, że ludzie uciekają przed wrogiem, porzucając swój cały dobytek, ale zajęci śledzeniem informacji z frontu i troską o rannych, nie zwracaliśmy na nich uwagi” – pisze kobieta.



[^] Bieżęcy w punkcie pomocowym w miasteczku Szubków w guberni wołyńskiej

Wszyscy są podnieceni. Mają nakarmić pierwszą partię bieżęców – dziewięćdziesiąt osób. Żartują z tej liczby, wydaje im się niewyobrażalna. Za jakiś czas dziennie przez punkt przechodzić będzie czterdzieści dwa tysiące bieżęców.

Radosny nastrój oczekujących przerywa krzyk: „Jadą!”. W absolutnej ciszy przybliżają się obładowane wozy, powoli suną ludzie. Ani krzyków, ani normalnego gwaru. Urywa się śmiech pracowników punktu, milkną żarty. „Budzili oni w nas niezrozumiałą wtedy trwogę; odruchowo skłanialiśmy głowę tak, jak skłania się ją przed procesją pogrzebową” – zapisze Głuchowcowa. I dalej: „Do baraków wlał się

ludzki tłum. Staruszkowie: wszyscy rośli, barczyści; niewielu młodych mężczyzn; kobiety: młodziutkie, dojrzałe i całkiem stare. No i dzieci. Całe morze dzieci. Prawie u każdej kobiety niemowlę na ręku, a kilkoro starszych drepcze tuż obok, trzymając się maminej spódnicy. Wszyscy niemal bezdźwięcznie zajmują miejsca i powoli jedzą”.

„Dlaczego nie jesz?” – Głuchowcowa zagaduje kobietę z trzyletnią dziewczynką na kolanach. Ta odpowiada: „Mała coś zachorowała, mleka nawet nie chce pić. A nie miała go przecież od czasu, jak wyjechaliśmy. Czyli już dwudziesty pierwszy dzień...”

Głuchowcowa opisuje: „Pochyliłam się nad dzieckiem i z przerażeniem odskoczyłam: wychudłe liczko pokrywała charakterystyczna wysypka.

– Twoja córeczka ma odrę – mówię.

Kobieta przygarnęła do piersi jasną dziecięcą główkę.

– Troje starszych pochowałam w drodze, tylko ona mi została, moja malutka – zachlipała”.

To przerywa ciszę. Ludzie zaczynają mówić o swojej tragedii.

„– Całą piątkę ziemi oddałam, gdy jechaliśmy.

– Syneczka nawet pochować nie zdążyłam; na drodze został. Znajdą dobrzy ludzie, może pochowają.

– [...] Chorą żonę zostawiłem w mieście, nie pamiętam nawet jego nazwy. Sam z małymi dziećmi jadę...”

Matka chorej na odrę dziewczynki płacze coraz głośniejsze. Głuchowcowa chce zabrać ją do lekarza, ale kobieta odmawia. Boi się, że dziecko zostawią w szpitalu. „Ciebie też położymy, będziesz leżała przy dziecku, odpoczniesz sobie” – przekonuje Głuchowcowa. Kobieta jednak kręci głową. Pokazuje na ludzi, z którymi jedzie: „Ale oni odjadą. Jak ich później dogonię? Nie mogę swoich zostawić. Sama jedna jestem, mąż u Niemców został. Pójdę z nimi, może malutka przeżyje? Może choroba odpuści?”.

To ostatnia więź łącząca kobietę z jej dawnym życiem. Ludzie ze wsi. Po jej zerwaniu może nie zostać już nic.

Kobieta zdobywa się na odwagę. Zostawia ludzi ze wsi i idzie z córką do szpitala. Zupełnie sama w tym bezkresnym ludzkim morzu.

*

Fiedot Kudryński któregoś dnia rowerem jedzie za Rohaczów. Wzdłuż dróg widzi mnóstwo świeżych mogił. Od frontu jest daleko, nie trzeba się spieszyć, można spokojnie pochować ciała bliskich. Na jednym z grobów ktoś położył świerkowe gałązki. Na drugim stoi drewniany krzyżyk przewiązany rozdartym ręcznikiem^[25]. „Jeszcze więcej takich mogił jest w okolicach Baranowicz i Lachowicz. Tam to dopiero

ludzie umierali” – mówią przejeżdżający uchodźcy z guberni grodzieńskiej. Kudryński zapisuje, że są z miejscowości Koszele, pewnie chodzi o Kleszczele.

Cmentarze wyrastają też przy prowizorycznych obozowiskach, gdzie bieżęcy czekają na pociągi w głąb Imperium. Dużo tu zbiorowych mogił, tak zwanych brackich. Kudryński widzi, jak do jednej z nich właśnie składają ciała jedenastu kobiet i siedmiu mężczyzn. Stawiają na nich cztery drewniane krzyże, niezgrabnie piszą imiona pochowanych. Często spotyka się mogiły kobiet zmarłych przy porodzie. Można poznać je po tym, że obok dorosłego grobu usypano maleńki, noworodka.



[^] Lachowicze. Przy punkcie żywieniowym dla bieżęców wyrósł cmentarz

Na grobach widać rozpaczliwą próbę zachowania cienia dawnego świata. To cała mozaika pogrzebowych zwyczajów zachodnich krańców Imperium Rosyjskiego. Na jednym leży bochen pozieleniałego chleba, na innych – skorupy rozbitych garnków. Krzyże z patyków związanych sznurem, nawet z badyli, z chwastów. Czasem papierowa ikonka. Albo wetknięte w ziemię polne kwiaty. Na jednej z mogił czyjeś ręce usypany po rogach cztery wzgórciki, w każdy włożyły gałązki dojrzałej jarzębiny. Czy leży tu czyjaś matka? Czy może ukochane dziecko?

„Te mogły nie przetrwać długo. Oczywiście nikt z ludzi ich nie ruszy. Ale tędy przechodzą tabuny owiec, krów... Z kopca usypanego na mogile wkrótce nie pozostanie nawet ślad” – zapisuje Kudryński.

*

Niemal sto lat później Iwona Zinkiewicz, prawnuczka bieżenców ze Stryków koło Bielska Podlaskiego, chodzi z ojcem po tutejszym cmentarzu. „Nie ma tu nikogo, kto urodziłby się w 1915 roku” – zauważają. Przypominają sobie ludzi ze wsi. Był mężczyzna chyba z 1915 roku, ale to katolik i jego rodzina nie wyjeżdżała. W sąsiednich Szastałach znali prawosławną kobietę z 1913 roku. „Dożyła ponad dziewięćdziesięciu lat, mówiło się we wsi, że w bieżęństwie odchody spod siebie jadła z głodu” – mówi Iwona.

Dzieci ze Stryków i okolicznych wsi, urodzone w 1914 i 1915 roku, drogi do Rosji nie przeżyły. Niewykluczone, że to ich prowizoryczne groby widział pod Rohaczowem Fiedot Kudryński.

Po przejściu bieżenców zostaje sterta końskich odchodów

Na łąkach, w lasach, na polanach nie ma ani źdźbła trawy. „Tysiące bieżenców, niczym szarańcza, ogołociły przydrożną okolicę” – wspomina Jan Ziniuk z Górnego pod Hajnówką w tomie *Bieżęstwa 1915 hoda*. Nie ma czym karmić koni, zwierzęta gwałtownie słabną. Jeśli padną, to koniec podróży. Chłopak, już podrostek, co noc idzie wiele kilometrów, by zdobyć snop owsa lub garstkę siana.

Raz dołącza do niego wioskowy kolega Hryszka, Grzesiek. Idą przed siebie. Widzą lipowy trakt prowadzący do pałacu, a obok – stogi niedawno zżętego zboża. Niewiele myśląc, chwytają snopy owsa. „Stać, złodzieje, bo spuszczę psa!” – za nimi wyrasta strażnik na koniu i z wielkim psem na smyczy. Prowadzi chłopców do pana. „Teraz dużo się tego paskudztwa rozplenilo” – mówi pan. Nie słucha tłumaczeń, każe się tytułować „ekscelencją” i wciąż upokarza chłopców. Na koniec poleca zamknąć „chamów” w wozowni i rano odwieźć do więzienia. Nocą chłopcy uciekają przez dach. „Owsa jednak panu nie darowaliśmy. Ponieśliśmy do swoich po dwa snopy i innym pokazaliśmy drogę. Do rana bieżęncy rozebrali cały stóg »jego ekscelencji«” – dodaje Jan Ziniuk.

*

Bieżeńcy są jak szarańcza. Pasą swoje zwierzęta na trawie i zbożu; zabierają snopy i siano ze stogów. Kopiają ziemniaki. Wycinają drzewa z lasu, a gdy ten jest daleko, na ognisko łamią przydrożne płoty. „Widzi pan – nigdy nie kradłem, byłem uczciwym człowiekiem. A teraz stałem się złodziejem” – słyszy Fiedot Kudryński od jednego z bieżeńców, którego przyłapał na kradzieży drewna. Drugi dodaje: „No i co z tego, że wzięliśmy? A czy naszego dobra nie zabrał Niemiec?”.

Gdy mijana wieś też szykuje się do wyjazdu, właściciele nie protestują. Im dalej od frontu, przyzwolenie na rabowanie dobytku jednak niknie. Bieżeńcy – zauważają zarówno Glinka, jak i Kudryński – starają się oszczędzać majątki chłopskie, bez litości za to biorą od panów. „A na czyjej krzywdzie nażył się on swojego majątku? Na chłopskiej” – tłumaczą zapytani o to przez Kudryńskiego.

Dwory wystawiają strażę, z widłami i psami. Gazety w Rosji piszą o demoralizacji bieżeńców, o braku szacunku dla cudzej własności. Donoszą, że nastroje w miejscowościach przy ich trasach są tak napięte, że władze obawiają się wybuchu zamieszek.

Trwa gorączkowa wymiana pism między urzędami. Zubczaninow, kierujący rządową Siewieropomoszczą, mającą zająć się bieżeńcami na północnej części frontu, pisze do Komisji Specjalnej: „Spokój mogłoby przynieść zapewnienie odszkodowań tym, którzy ponieśli straty z rąk bieżeńców”. Gubernator Mohylewa prosi o przysłanie oddziału Kozaków, by pilnował miejscowych majątków przed bieżeńcami. Obawia się rozlewu krwi.

*

Także w miastach ludzie patrzą na bieżeńców z niepokojem. Tarasują ulice, ich konie zostawiają sterty odchodów. Oni sami załatwiają potrzeby fizjologiczne, gdzie popadnie; toalet po drodze przecież brak. To grozi epidemią. Zresztą wśród idących ludzi już szerzą się cholera i tyfus. Niektórzy zatrzymują się pod miastami, rozbijają obozowiska i koczują. Miejscowi się obawiają. Czy nas nie zarażą? A jeśli przyjdzie im do głowy zostać tu na zawsze? Zjedzą całą żywność, zabiorą pracę.

Wokół dwudziestoosmiotysięcznego Rosławia w guberni smoleńskiej koczuje osiemdziesiąt tysięcy bieżeńców. Wokół niewiele większego Bobrujska – ponad sto tysięcy. Koło małego, zaledwie dziesięcioletniego Kobrynia – dwieście tysięcy. Przez niewiele większy Rohaczów w ciągu kilku miesięcy przechodzi siedemset tysięcy osób! Przez Baranowicze, Słonim, Lidę może nawet więcej? Skala bieżęństwa przytłacza miejscowych. Nikt sobie z tym nie radzi, władze rozkładają ręce.

O tym nie mówi się w rodzinnych opowieściach, przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Czasem ktoś z potomków – nie podając konkretnych przykładów – podnosi temat szlachetności ówczesnych ludzi i zestawia ją z dzisiejszą wrogością wobec uchodźców. Ale przecież relacje bieżęńców i mieszkańców mijanych wsi oraz miast nie mogą być proste i jednoznaczne. I na pewno nie dominuje w nich szlachetność.

*

Na ogromną falę bieżęńców nie są przygotowane ani władze cywilne, ani wojskowe. Decydując o wypędzaniu chłopów, generałowie nie analizowali realnych możliwości opieki nad nimi. Teraz próbują ratować, co się da. Kuchnie polowe na frontowym zapleczu żywią bieżęńców, lekarze wojskowi leczą. Ale to kropla w morzu potrzeb.

Z pomocą idzie Wszechrosyjski Związek Ziemstw i Miast – zrzeszenie samorządów: ziemstw i dum miejskich, na którego powołanie władza, przywiązana do samodzierżawia, zgodziła się dopiero w obliczu wojny. Związki miały dbać o zaopatrzenie armii i leczenie żołnierzy; teraz – zjednoczone – zajmują się też bieżęńcami. Tworzą punkty żywnościowe i herbaciarnie, otwierają ambulatoria, budują baraki szpitalne dla chorych, urządzają łaźnie. Zbierają osierocone albo zagubione dzieci i wysyłają do sierocińców.



[^] Żołnierze rozdają bieżęńcom żywność w jednym z punktów Czerwonego Krzyża

Podobnie pomaga Komitet Wielkiej Księżnej Tatiany. Jego pełna nazwa brzmi: Komitet Jej Cesarskiej Wysokości Wielkiej Księżnej Tatiany Nikołajewny do spraw Okazania Doraźnej Pomocy Ofiarom Wojny. Powstał zaraz po wybuchu wojny pod patronatem carskiej córki. Stanie się z czasem największą i bardzo wśród bieżących popularną organizacją. Ale jesienią 1915 roku też jest bezradny wobec uchodźczej tragedii.

Peter Gatrell zauważa, że w reakcji na bieżąco pierwszy raz w historii Rosji tworzą się organizacje obywatelskie. Czasem są małe, rodzą się spontanicznie, z inicjatywy kilku wykształconych kobiet. Zbierają pieniądze i inne dary, organizują bale charytatywne, koncerty. Rozdają bieżącym jedzenie, wodę, budują baraki dla matek z małymi dziećmi. Według historyczki Heleny Głogowskiej do 1916 roku utworzono w Rosji tysiąc trzysta instytucji i towarzystw do spraw pomocy uchodźcom. W Rosji dotychczas nie obserwowano takiej aktywności. „Ustalają się relacje między władzą a wykształconą częścią społeczeństwa” – pisze Peter Gatrell w książce *A Whole Empire Walking. Refugees in Russia during World War I* [Wędrowniki po całym Imperium. Uchodźcy w Rosji podczas I wojny światowej].

*

W Rohaczowie do przedstawiciela miejscowych władz Drybincewa przybywa z Moskwy delegat badający prawną sytuację bieżących. Drybincew tłumaczy mu: „Nazjeżdżało się tu mnóstwo różnych organizacji, chcą pomagać. Ale nie ma jedności, każda rządzi się sama. Nie ma wspólnego kierownictwa. Każdy boi się wziąć odpowiedzialność, bo przecież w razie czego może mieć kłopoty”.

Delegat zachęca go do objęcia kierownictwa, podsuwa rozwiązania prawne. Drybincew kręci głową: „Łatwo panu powiedzieć. Dobrze, jeśli nie zdarzy się żaden incydent. A jeśli się zdarzy? Nie opędzisz się wtedy od nieprzyjemności”. I przytacza przykład sprzed kilku dni. Przyjechał ktoś z wyższych władz, wszedł do baraku cholerycznego i pyta: „A na ile ludzi jest on przygotowany?”. „Na pięćdziesiąt”. „A ile leży teraz?” „Osiedziesiąt”. „Tak być nie powinno. Zamknąć”. Ważny delegat nie powiedział tylko, co po zamknięciu zrobić z chorymi.

*

Rząd widzi rosnące wpływy organizacji publicznych, zwłaszcza Związku Ziemstw i Miast. Nie chce stracić kontroli nad bieżącymi, to przecież miliony ludzi i coraz więcej milionów wydawanych na ich utrzymanie rubli. W lipcu 1915 roku powołuje dwie organizacje: Siewieropomocz (Pomoc Północna) na froncie

północno-zachodnim i Jugobieżeńiec (Bieżeńiec z Południa) na południowo-zachodnim. Kiedy na drogach rozgrywa się największy dramat, są one jednak zajęte tworzeniem swoich struktur.

Odczuwaliśmy konieczność zawiązania organizacji

Obok chłopskich wozów czasem przemykają „pańskie” powozy na wysokich kołach, zaprzężone w kilka par koni. Częściej jednak poruszają się one po bocznych drogach, gorszych, ale luźnych. Chłopi tam nie zbaczają. Boją się, że zabłądzą; przy tych drogach nie ma też punktów żywieniowych.

Los ludzi jadących powozami różni się od chłopskiego. Jedni i drudzy zostali pozbawieni domu i majątku, ale „pańskie” wykształcenie, obycie w świecie, znajomości w Imperium Rosyjskim i posiadane pieniądze pozwalają zachować kontrolę nad własnym życiem. Nawet jeśli „panowie” nie mają nikogo w Moskwie, Mińsku, Kijowie, umieją się w tych miastach odnaleźć. Po drodze nie cierpią głodu, nocują po zaprzyjaźnionych dworach czy hotelach. Im też oczywiście przytrafiają się tragedie. Władysławowi Glince na tyfus umiera ukochana córka, komuś innemu żona. Lato 1915 roku nie oznacza dla nich jednak utraty całego świata, jak w przypadku chłopów.

„Panowie” – ziemianie i arystokracja – to w zdecydowanej większości Polacy. Wśród chłopów dominują Rusini: Białorusini z Białostoczczyzny, Wileńszczyzny, Grodzieńszczyzny i innych wschodnich guberni białoruskich oraz Ukraińcy z Chełmszczyzny, Galicji i Wołynia. Są i Polacy, najwięcej z guberni łomżyńskiej, warszawskiej i suwalskiej, ale również z Białostoczczyzny, Chełmszczyzny czy Wileńszczyzny. O przynależności narodowej chłopów z tych wielokulturowych terenów decyduje zwykle katolickie wyznanie; po polsku często nie mówią nawet katolicy. Komitet Wielkiej Księżnej Tatiany oszacuje, że Polacy stanowią piętnaście procent bieżeńców (niecałe pół miliona), według polskich organizacji liczba ta jest większa nawet o kilkaset tysięcy.

Dla uznawanych za Polaków chłopów to, że w bieżeństwo ruszyło też ziemiaństwo i arystokracja, okaże się szczęściem.

*

Niektóre zapiski z pamiętnika Władysława Glinki w sierpniu 1915 roku przypominają kronikę towarzyską. W Prużanach notuje: „Zjeżdżało się wciąż mnóstwo osób z Królestwa: sędziwy hr. Zdzisław Zamoyski z Łochowa z córką, p. Władysław Sobański z Przeździatki, państwo Wężykowie z dziećmi, hr. Zygmuntostwo Jezierscy,

wszyscy z Siedleckiego; z Łomżyńskiego p. p. Jan Brudziński z Trynos, Andlauer z Grodziska, Feliks Ciemniowski z Lubiejowa [raczej: Lubiejewa], Henryk Apozański z Rusi [wydaje się, że chodzi o Henryka Apoznańskiego], Semplacy z Uśnika, Rzeczkowski z Osównego [najprawdopodobniej: Osobnego], Kuczyński z Pęchratki i inni, których mi trudno przypomnieć sobie”.

Mieszkają w hotelach; spotykają się w restauracjach i kawiarniach, zbierają u miejscowego księdza. Rozmawiają o rozgrywającej się na drogach i w obozowisku wokół miasta tragedii. „Tłumy wygnańców potrzebowały gwałtownie opieki. [...] Odczuwaliśmy konieczność zawiązania wśród nas jakiejś organizacji” – zapisze Glinka w swoim pamiętniku.

*

W tym czasie do Prużan przyjeżdża Władysław Grabski. W Warszawie był wiceprezesem Centralnego Komitetu Obywatelskiego, powołanego zaraz po wybuchu wojny, by pomagać poszkodowanym, prowadzić ochronki, jadłodajnie, schroniska. Tworzone przez Komitet struktury samorządowe miały przejąć władzę wraz z odzyskaniem przez Polskę niepodległości. Organizowały się też w terenie; prezesem ostrołęckiego oddziału Komitetu był właśnie Władysław Glinka.

Gdy władze CKO znalazły się w Rosji (oprócz Grabskiego są tu też Seweryn Światopełk Czetwertyński i Stanisław Wojciechowski), powołują Centralny Komitet Obywatelski Królestwa Polskiego w Rosji.

*

Władysław Grabski tworzy ze zgromadzonych w Prużanach ziemian jeden z pierwszych lokalnych oddziałów CKO w Rosji.

Początkowo wydaje on bieżącym Polakom zapomogę pieniężną, tak zwane strawne. „Okazała się jednak wielce niewłaściwą ta forma pomocy – przyznaje w swoim pamiętniku Władysław Glinka. – Od rana do nocy w ganku plebanii, gdzie panny Gieżyńskie i moja córka, przy pomocy paru młodych ludzi, wypłacały i zapisywały zapomogi, cisnęły się tysiące ludzi. Tłumy wygnańców były o wiele liczniejsze, niżesmy zrazu przypuszczali, a nadciągały jeszcze wciąż nowe, pieniędzy więc nie starczyło, na drugi dzień wydawaliśmy strawne już tylko na 3 dni, wreszcie na jeden dzień, skąd słuszne niezadowolenie i głośnie narzekania”.

Problemy te rozwiązuje organizowanie bieżących. Wzdłuż dróg CKO rozmieszcza swoich pracowników, którzy wyszukują polskich wygnańców, by do nich przemawiać, tłumaczyć potrzebę zespolenia, wpisywać do specjalnych książek legitymacyjnych

i organizować w grupy pod sterem przewodników partii. Partie – grupy liczące od pięćdziesięciu do trzystu osób – są formowane z mieszkańców tej samej miejscowości lub okolicy, by zachować więzi społeczne. Każda wybiera przewodnika, którego darzy zaufaniem. I to on otrzymuje żywność oraz zapomogę dla wszystkich i nią rozporządza. Dzięki temu CKO może rozdać prowiant lub zapomogi w godzinę, a nie stać kilka dni. Poprzez kontakt z przewodnikiem można też wpływać na całą grupę. Okazuje się to niezwykle ważne podczas pobytu w bieżniństwie.

W uchodźczym chaosie CKO i innym polskim organizacjom trudno wyłowić wszystkich Polaków; los tych, którzy znaleźli się pod ich opieką, zwykle będzie jednak lepszy od pozostałych.

*

„Dlaczego chodzą przedstawiciele władz i sami szukają Polaków wśród bieżnińców? Jak znajdą – natychmiast dają im i żywność, i siano, a nawet i pieniądze. [...] Dlaczego wszystkie władze o Polaków się troszczą, a naszemu człowiekowi to i w mordę dadzą?” – zastanawiają się we wrześniu 1915 roku bieżnińcy koczujący wokół Rohaczowa. Są prawosławni, przybyli gdzieś z guberni grodzieńskiej, chełmskiej albo mińskiej. *Ruscy*. Kudryński tłumaczy im, że Polakom daje ich komitet, polski. „A gdzie są nasze komitety? Czemu się o nas nie troszczą?”

„A u nas jest przecież Komitet Tatianowski, Siewieropomoszcz...” – tłumaczy Kudryński.

„A dlaczego Polacy i w Tatianowskim biorą, i w Siewieropomoszczu, i w swoim, a nam u nich nie dają?”

Poczucie, że Polacy są lepiej traktowani niż Rusini, pojawia się w wielu wspomnieniach. Chłopi nie rozumieją, dlaczego powstały polskie organizacje, a nie ma takich, które zatroszczyłyby się o nich, prawosławnych z Chełmszczyzny czy Grodzieńszczyzny. Przecież to ich wyznanie panuje w Imperium Rosyjskim. I jeśli już ktoś, to właśnie oni powinni mieć uprzywilejowaną pozycję. A mają najgorzej – powtarzają.

Brakuje im elit, które by się o nich upomniały i potrafiły – jak Polacy – zdobyć z carskiej kasy pieniądze na poprawę ich losu^[26]. Poza tym władze nie uznają istnienia narodu białoruskiego czy ukraińskiego, one wraz z Wielkorusinami są częścią narodu rosyjskiego. Pojawiające się więc nieliczne inicjatywy oddolne nie zawsze spotykają się z poparciem władz.

„Może powinniśmy przejść na katolicyzm?” – pytają z goryczą *ruscy* chłopi. Coraz mocniej boli ich własna samotność.

Pomodlimy się do Boga bez batiuszki

Z mieszkańcami Hostynnego, dużej wsi w powiecie hrubieszowskim na Chełmszczyźnie, los obchodzi się lepiej niż z innymi.

Opuszczają swoją wieś 15 (28) czerwca^[27], przez dwa tygodnie obozują pod Chełmem, tydzień w Uhrusku nad Bugiem. Mają nadzieję na powrót stąd do domu, wojsko pędzi ich jednak dalej. Idą aż do Rohaczowa. W linii prostej to pięćset kilometrów od Chełma. Daleka i wyczerpująca droga, ale choć wokół wymierają całe rodziny, u mieszkańców Hostynnego są tylko dwa zgony. Oba na cholere. „Nagle zmarli we wsi Zamszany – Prokop Burda i Anna Ulanicka z Łotowa, zaś inni, słuchając moich porad, uratowali się od tej okropnej epidemii” – pisze prawosławny ksiądz Jan Kotorowicz we wspomnieniach opublikowanych w 1941 roku, pod okupacją niemiecką, w ukraińskich „Wiadomościach Krakowskich”^[28].

Ksiądz Kotorowicz^[29] od początku idzie ze swoimi parafianami. Ma zaświadczenie ze spistem wszystkich wiernych, na jego podstawie w punktach żywieniowych dostaje chleb, mięso, cukier, kaszę. Wie, z kim rozmawiać, by zdobyć przydział drewna na opał czy obrok dla koni. „Oprócz tego jako diakon chodziłem w riasie i powszechnie brano mnie za księdza, i dzięki temu przychylniej postępowano z całą grupą, lepiej niż z takimi, które podróżowały bez swoich duchownych” – przyznaje.

*

Fiedot Kudryński też widzi różnicę w losie ludzi prowadzonych przez duchownych. Próbuje sobie wytłumaczyć, dlaczego jest ich tak niewiele. „Może to przez troskę o rodzinę?” – zastanawia się. Prawosławnych księży nie obowiązuje celibat, w obliczu nadchodzącej wojny ratują najbliższych. To Kudryński rozumie. „Jeśli chłopci, przyzwyczajeni do niewygód i biedy, z trudem znoszą położenie bieżącego, to jak można wymagać, by ksiądz na taki los wystawiał swoją rodzinę? Heroizm to wyjątek, nie reguła” – pisze.

Ale gdzie podzieli się mnisi, którzy nie mają rodzin i mogliby służyć pomocą bieżącym? Klasztory jednak ewakuowano na długo przed bieżącym. Kudryńskiemu trudno się pogodzić z taką postawą, daleką przecież od chrześcijańskiej.

*

W dokumentach, spisanych i usłyszanych relacjach szukam duchownych z guberni grodzieńskiej, którzy poszli razem ze swoimi parafiami.

Kilka zapytanych osób mówi mi o batiuszce Janie Chlebcewiczu, proboszczu z Klejnik w powiecie bielskim [obecnie hajnowskim]. „Jechał z bieżącami, przejmując tę drogę opisał” – opowiadają. Sięgam po wspomnienia księdza, wydane w 1917 roku w Syzranii jako hołd dla syna Wołodii, zabitego w Piotrogradzie w pierwszych dniach rewolucji lutowej. Jest tu opis życia przed 1914 rokiem i wojenne losy rodziny.

Ksiądz Jan Chlebcewicz, gdy front jest jeszcze daleko, odsyła do krewnych w Słonimiu żonę z córkami. Kiedy ruszają chłopi, jedzie i on z Wołodią, piotrogrodzkim studentem. Wolno, dwoma wozami posuwają się pełnym bieżąców traktem. Nagle nadlatuje samolot, nie wiadomo, czy swój, czy wrogi. Ludzie rozbiegają się, konie tratują pieszych, wywracają wozy. W wielu miejscach widać trupy.

Ksiądz Chlebcewicz przejmując opisuje zwykłych bieżąców. W jego wspomnieniach nie pojawiają się jednak parafianie. Brak wzmianek, by jechali razem i by duchowny poczuwał się do opieki nad nimi. Po przekroczeniu Narwi szuka zresztą alternatywy dla zatłoczonego, pełnego chorych ludzi traktu. Ruszają z Wołodią pustymi bocznymi drogami, na których chłopi boją się zabłądzić. Nie prowadzą ze sobą klejnickich wiernych.

*

Nie znajduję żadnych relacji o księżach z guberni grodzieńskiej idących ze swoimi parafianami. Wszystkie, na które trafiam, dotyczą kleru z Chełmszczyzny. Jest wśród nich nawet opis nabożeństwa odprawianego dla bieżąców pod Rohaczowem przez chełmskiego biskupa Anastazego; piszą o nim Kudryński i ksiądz Kotorowicz. Noc, tysiące ludzi stoi z zapalonymi świecami, po okolicy niesie się głośny śpiew. Już świta, a ludzie nie przestają śpiewać. Jakby nie chcieli zerwać tej wspólnoty, której tak bardzo im brakuje.

Kudryński zastanawia się, dlaczego wszyscy batiuszkowie idący ze swoimi parafianami są z guberni chełmskiej. Pytam o to i ja. Kontaktuję się z historykami w Białymstoku i Lublinie, ale nikt nie zajmował się tym tematem. Nieoficjalnie, poza mikrofonem, snujemy przypuszczenia. Może to w związku z tym, kiedy i jak nastąpił „powrót z unii do prawosławia”? Na Chełmszczyźnie stało się to w 1875 roku, o półtora pokolenia później niż w guberni grodzieńskiej (1839). Tu nastąpiła konfrontacja, rywalizacja o wiernych między Kościołem prawosławnym a Kościołem katolickim, która wymagała od duchownych więcej niż na spokojniejszej Grodzieńszczyźnie. Władze pozwoliły im na większą swobodę: niektórzy dostali pozwolenia na głoszenie kazań w języku wiernych, a nie po rosyjsku. Pod Sokółką było to nie do pomyślenia. Księża

pod Chełmem czuli się więc bardziej związani z wiernymi niż na Grodzieńszczyźnie, gdzie kler bywał bardziej cerkiewnym urzędnikiem niż pasterzem swojej trzody.

Może to przez wydarzenia z 1914 roku, gdy po zajęciu południowych ziem guberni lubelskiej i chełmskiej Austriacy rozpoczęli tropienie szpiegów oraz represje wśród ludności prawosławnej? Może to uświadomiło klerowi zagrożenie i potrzebę opieki nad ludem? Może to ich zjednoczyło?

*

Kler katolicki w zdecydowanej większości został w swoich parafiach i namawiał do tego wiernych. Władysław Glinka spotyka po drodze tylko kilku księży ewakuujących się na wschód. „Widocznie nie mają ducha społecznego” – stwierdza. Gdyby jeszcze szli z wiernymi, troszcząc się o nich po drodze, byłoby to godne pochwały. Oni jednak nie dość, że jadą sami, to jeszcze korzystają z wszystkich przywilejów związanych z noszoną sutanną.

Jednego z takich Kudryński widzi na drodze przed Rohaczowem. „Jechał zapyłonym, ciągniętym przez cztery konie powozem na resorach. Z tyłu przywiązany był wielki kufer. Jego woźnica smagał biczem, głośno krzyczał »hej!«. Bieżeńcy rozstępowali się”.

*

Możliwe, że Fiedot Kudryński spotyka batuszkę Jana Kotorowicza. Ludzie z Hostynnego docierają do Rohaczowa pod koniec sierpnia; akurat w tym czasie pisarz analizuje w dzienniku postawę kleru i relacjonuje rozmowy z napotkanymi duchownymi. Czy któryś z nich mógłby być Kotorowiczem?

Z pewnością nie jest nim ten, którego wierni – z miłości – wnoszą do pociągu, gdy wreszcie dostają wagony. On ich prowadzi, zawiaduje majątkiem, troszczy się jak o dzieci, których nie ma. Jest jednak już starszym człowiekiem, Kotorowicz ma trzydzieści siedem lat.

Nie jest też starszym batuszką spod Zamościa, wynędzniałym, głodnym, w porwanej riasie, który w drodze zgubił rodzinę i parafian, a majątek mu rozkradli. Gdy przychodzi do punktu żywienia, ludzie się rozstupują. „Dużo chłopów przed frontem w las się schowało, potem wrócili. I słusznie, nie było czego uciekać” – opowiada po ukraińsku. Chłopi pytają go: „Dlaczego was, batuszka, nie odwieźli? Przecież panowie wyjeżdżali wcześniej?”. Ale ksiądz milczy. Szybko kończy posiłek i bez słowa wychodzi.

Mam nadzieję, że nie jest też batuszką I. Ten brał od bieżenców po trzy ruble za pogrzeb, a gdy biskup kazał wszystkim grzebać bezpłatnie, stwierdził, że „odbije sobie” na wypisach metrykalnych.

A może to ksiądz opisany jako K.? Inicjał się zgadza. Zawraca on siedem tysięcy wychodzących z miasta bieżenców, na ich czele idzie do Rohaczowa i żąda od władz podstawienia wszystkim pociągów. „Przecież ci ludzie zginą w dalszej drodze” – tłumaczy.

Ksiądz Kotorowicz o tym w swoich wspomnieniach nie pisze. Przytacza coś innego. Gdy władze nakazują chłopom sprzedaż koni i wozów, by dostać miejsce w pociągu, on wysyła do urzędującego w Moskwie gubernatora chełmskiego prośbę o pozwolenie na załadowanie się z ekwipunkiem. Ku zaskoczeniu wszystkich pozwolenie nadchodzi. Te konie i wozy będą potem wielokrotnie ratować chłopów z Hostynnego od głodu i poniewierki.

Ale czy ksiądz Kotorowicz, załatwiający rzeczy niemożliwe, mógłby się porwać na czyn batuszki K.?

*

W rozmowach Kudryńskiego z bieżencami pojawia się niechęć do kleru. „Zakopimy, pomodlimy się do Boga... bez batuszki”, „Chciałam raz zawołać... Ale jemu trzeba zapłacić. Matka mówi, by mimo to wołać, a ojciec, że i tak będzie dobrze” – opowiadają o grzebaniu zmarłych. Mówią o ludziach, którym umarł synek. Gdy przejeżdżali koło cerkwi, „żeby batuszka nie zobaczył”, siedli na trumienkę. W mijanych miasteczkach są zwykle i cerkwie, i kościoły, kler jednak wydaje się nie śpieszyć bieżencom z pomocą.

Kudryński w obozie pod Rohaczowem widzi matkę przygotowującą pogrzeb syna, dziesięcioletniego Ignacego Drenzela z guberni łomżyńskiej, katolika. Trumna stoi na workach, by nie przewróciły jej biegające wokół świni. Obok dzieci sadzą kwiatki. „Zaraz przyjdzie ksiądz?” – zagaduje. „Ksiądz? – kobieta patrzy zdziwiona. – A broń Boże! On za nic nie przyjdzie. Daj mu pieniądze, o wtedy przyjdzie”.

*

W jednym z baraków rohaczowskiego lazaretu rozpoczyna się nabożeństwo. Kudryński obserwuje gromadzących się ludzi: „Z łóżek, na których – wydawało się – leżą obłożnie chorzy, prawie umierający, pojękując i postępując, podnosiły się ludzkie postaci i w milczeniu stawały przed ikoną.

Błahosłowien Boh nasz... [Błogosławiony Bóg nasz] – rozległ się równy, miarowy głos batiuszki.

Odpowiedział mu dość strojny chór, stworzony z pacjentów i sanitariuszy. Wciąż nadchodzili chorzy i ranni z innych baraków, żarliwie się żegnając i modląc. Czuło się, że bardzo na to nabożeństwo czekali, że to nie jest po prostu obrzęd, ale coś, co w tych okolicznościach jest dla nich niezbędne”.

Czy bieżącym należy się odszkodowanie, czy filantropijna pomoc?

„Mobilizacja”, „rekwizycja”, „ewakuacja”, „rejestracja”, „kwitancja”. Wojna przynosi nieznane dotychczas słowa. Choć często przekręcane, a nieraz błędnie używane, wchodzi do chłopskiego słownika. Największą karierę robi „bieżeństwo”. Uchodźstwo. Pojawiło się niedawno, ale staje się nową tożsamością milionów ludzi. Do większości z nich przyłgnie na zawsze.

Władze forsują zresztą ten termin. Zdejmuje on odpowiedzialność z wojska. Bieżących-uchodźców z domu wygoniła wojna; to ona jest winna tej katastrofie. Inny popularny wówczas termin: „wysieleńcy” (czyli przesiedleńcy, wygnańcy) nasuwa pytanie o sprawców. Bo kto i po co wysiedlał? Kto wyganiał? Przesiedlać można co najwyżej Niemców, ale to coś zupełnie innego. Choć od lat mieszkają w Rosji, należą do narodu nieprzyjaciela.

„Bieżęństwo” pojawia się w dokumentach i oficjalnych wypowiedziach. Wykształcona, liberalna część społeczeństwa je kwestionuje. Michaił Konstantynowicz Lemkie pisze w pamiętniku: „Bieżali-uciekali tylko bogacze, masy gnano przymusowo ze swoich ziem i pogorzeli, gdzie zostawiali wszystko. Bieżęcy przynieśli we wschodnią część Rosji kapitał, z którego żyli na nowym miejscu, wygnańcy dowlekali się z połową rodziny, resztę pogrzebawszy po drodze, z pustymi rękami, głodni, chorzy, nikomu niepotrzebni”.

Polscy działacze też kwestionują termin „bieżeństwo”. Władysław Glinka relacjonuje, że podczas posiedzenia założycielskiego komitetu CKO w Prużanach „ożywioną dyskusję wywołała kwestia, czy mamy na pieczęciach użyć wyrażenia utartego już »zbiegów« (»bieżęców«), czy też »wygnańców«. My, starsi, byliśmy za trzymaniem się wyrażenia urzędowego, jednak syn mój przeparał w obu językach następującą redakcję: »Komitet Obywatelski Opieki nad Wygnańcami z Królestwa Polskiego« (po rosyjsku wysieleńcami)”.

Taka decyzja, choć może się wydawać nieistotnym czepianiem się słówek, ma ogromne znaczenie dla wielkiej polityki.

„Udało mi się – pisze w swym pamiętniku Stanisław Grabski, pracujący wraz z bratem Władysławem w CKO – na specjalnej naradzie dla spraw wygnańców, powołanej w drodze ustawodawczej, przeprowadzić uchwałę potępiającą przymusowe wysiedlenie ludności z terenu wojny i uznanie wygnańców nie za »bieżeńców« dobrowolnie opuszczających swe siedziby, lecz za ofiary barbarzyńskiego sposobu wojowania, którym należy się odszkodowanie, a nie filantropijna pomoc. Uchwały narady stały się podstawą dla otrzymania od skarbu państwa funduszków na dawanie wygnańcom stałych zasiłków miesięcznych i ulgowych pożyczek na poczet poniesionych strat majątkowych”.

*

Wśród chłopów tłoczących się na drogach albo gromadzących się w obozach forsowany przez władze termin się przyjmuje. Stają się „bieżeńcami”. Wszyscy się do nich tak zwracają – i wojsko, i pracownicy punktów pomocowych, i lekarz, jeśli uda się do niego dostać. Sami zaczynają o sobie tak mówić.

Możliwe, że potrzebują jakiegoś określenia. Nowej tożsamości. Dotychczasową przecież stracili. Nie są już chłopami. Nie uprawiają ziemi; zwierzęta, które hodowali, zostawili, a jeśli zabrali ze sobą – albo już zarżnęli, albo sprzedali. Tego, kim są, nie określa też miejsce zamieszkania. Nie mają domu. Przestali być nawet matką czy ojcem – dzieci często umarły. Są nikim. Stają się więc bieżeńcami. Nieważne już, katolicy czy prawosławni; Rusini, Polacy czy Litwini. Bieżeńcy. Po prostu.

Z czasem zacznie się to zmieniać. Chłopi spod Łomży czy Ostrołęki zaczną mówić o sobie tak, jak określają się polskie komitety: wygnańcy, tułacze, wysiedleńcy.

Do prawosławnych z Białostoczczyzny i Chełmszczyzny, pozbawionych własnych komitetów, bieżeńska tożsamość przyłgnie na całe życie. Określi też późniejszą pamięć, zleje ją z tym, co forsuje propaganda. Że to Niemiec jest winny ich tragedii. Że otrzymana pomoc jest dobroczynnością, a nie obowiązkiem państwa. I że powinni być za nią wdzięczni. Będą. Do końca życia. Ich potomkowie często zresztą też.

*

„Używając terminu »bieżeństwo«, przejmujesz carską propagandę”. Taki zarzut słyszę i ja, prowadząc stronę Bieżeństwo.pl.

Tak mówią mi ludzie z Warszawy, Łomży lub Zambrowa. Oraz świadomi bieżeństwa Rosjanie (choć temat w Rosji w zasadzie nie istnieje). Potomkowie bieżeńców z Podlasia w większości nie rozumieją, w czym problem. Znają rodzinne opowieści, nie orientują się zbyt mocno w politycznych kulisach bieżeństwa, niuansach

carskiej propagandy. Przez całe życie słyszeli właśnie o „bieżeństwie”. Ich dziadkowie byli bieżeńcami. Tak o sobie mówili. Dlaczego oni, potomkowie, mieliby nazywać ich inaczej?

Też nie czuję sensu przemianowania bieżeństwa na wygnanie czy tułaczkę. Nie mam prawa odbierać bieżeńskiej tożsamości swoim przodkom ani jej przerabiać. Chcę ją zrozumieć i opisać.

My, bieżący

To jakaś stacja z *Piekle* Dantego

Na całym bieżęńskim szlaku tworzą się prowizoryczne obozy. Najwięcej wokół stacji kolejowych. Stąd pociągi mają rozwozić ludzi po całej Rosji. Pociągów na razie nie ma, z każdą godziną przybywa za to bieżęńców. Tysiące, dziesiątki, a nawet setki tysięcy. Nie sposób ich policzyć. Często okolica jest tak przepełniona, że trudno znaleźć miejsce nawet na postawienie wozu. Część przyjeżdżających, nie widząc szans na dostanie się do pociągu, po krótkim odpoczynku jedzie dalej. W następnej miejscowości zwykle nie jest jednak lepiej.

Ludzie koczują na wozach, w prowizorycznych szałasach. W pobliżu wyrastają punkty żywieniowe i medyczne. Organizacje pomocowe budują szpitale, łaźnie, a nawet ochronki dla dzieci. Wokół tworzą się cmentarze. Błyskawicznie powstaje cała struktura związana z bieżęńskim życiem.

Fiedot Kudryński często odwiedza te skupiska wokół Rohaczowa. „Z nasypu kolejowego rozciągał się widok na bieżęński obóz – widzi któreś nocy. – Ogromny plac 4 na 5 wiorst zasnuty był gęstym dymem. Jego kłęby unosiły się, lekko kołysały od nocnego wiatru i zlewały się z płynącymi po niebie obłokami. Nad ziemią słał się duszny smród spalenizny, zmieszany z wonią smoły. Z tej chmary wciąż dobiegał hałas, wciąż coś się w niej kłębiło. To dawały o sobie znać tysiące ludzi i zwierząt. Krzątający się ludzie wyglądali jak miniaturowe figurki w »babilońskim piecu«, oprawione w ramki nocnej mgły. [...] Nie, to nie bieżęńcy. To jakaś stacja z *Piekle* Dantego”.



[^] Obóz bieżęńców przy stacji Berezyna (dziś obwód miński)

Schodząc niżej, Kudryński widzi namioty i szałas. Są sklecone byle jak, naprędce, z tego, co było pod ręką. Na przykład z drewnianych płotków, które zimą ustawia się po obu stronach torów kolejowych dla ochrony przed zamieciami. Ale przed deszczem to żadne schronienie. Niektórzy narzucają więc dodatkowo gałęzie, szmaty, derki. Mimo to zwykle i tak wszystko przecieka, a wewnątrz szałasów hula wiatr. „Całe bogactwo bieżęńców – węzłki i worki – rozłożone w bardziej przemyślany sposób, mogłoby dać mniej lub bardziej ciepły kątek przynajmniej dla dzieci. Ale chłopom nie chce się tym zajmować. »Awoś« i »jakoś tam będzie«. Wszystko jedno bieda” – zauważa Kudryński. Ani razu nie widzi porządnie zrobionego namiotu. Trudno mu to zrozumieć. Przecież ci ludzie mieszkają tak tygodniami i dłużej!

Tylko czy bieżęńcy mają świadomość tych tygodni? Są tu przecież na chwilę, tymczasowo. Wierzą, że zaraz odwiozą ich dalej.

Czort wie, do czego to jedzenie podobne

To może być pierwszy kontakt z innością. Przed bieżęństwem wydawało się, że własna wieś jest centrum wszechświata. Teraz bieżęńcy odkrywają jego różnorodność.

Uświadamiają sobie własną odrębność. Codziennosc nie jest już powtarzalna. Codziennosc jest ciągłą nowoscia.

*

W punktach żywniowych wokół obozów bieżęcy dostają jedzenie. Trzeba odstać swoje w kolejce, ale głodu już być nie powinno. Przynajmniej teoretycznie.

Bieżęcy z Hołodów koło Bielska wciąż nie dojadają, choć w punkcie wydają im różne produkty. W końcu Pawluczuk, jeden z odważniejszych mężczyzn we wsi, idzie do kierownika. „Nie ma nam tu czego jeść – mówi. – Owszem, dostajemy słoninę. Ale do tego dajcie *piroh* – białą bułkę. A z bułką przecież słoniny się nie je. My przyzwyczailiśmy się do czarnego chleba”.

Kierownik może być zdziwiony. To nie bułka, to pszenny chleb. Taki w żyznych regionach Rosji je się na co dzień. Nie musi wiedzieć, że na marnych podlaskich ziemiach lepiej udaje się żyto, a biały, pszenny chleb piecze się tylko na Wielkanoc. Następnego dnia jednak bieżęcy dostają czarny chleb. „Wszyscy jakby ożyli, wróciła energia i pogoda ducha” – wspomina Wiktor Pawluczuk, syn „odważnego mężczyzny”.

Bieżęcy z Orchówka z kolei nie chcą jeść rosyjskiego barszczu, który wciąż dostają. Pływa w nim wszystko: mięso, kapusta, buraki, marchew, pietruszka, szczaw, cebula; do tego nieznane im papryka i pomidory. „Czort wie, do czego to podobne, ale na pewno nie do jedzenia” – mówią.

*

Zakurzeni ludzie, niemyte twarze, zmięte włosy, podarte ubrania. Do tego obrazka wszyscy przywykli, także Kudryński. Czasem jednak widzi on brudnego człowieka w czyściutkim, świątecznym ubraniu. Śnieżnobiała bluzka, szeroka, paradna spódnica, wyszywana chustka, czasem jeszcze korale. Wszyscy oglądają się zdziwieni. Przecież to zwykły dzień powszedni, żadne święto. Okazuje się jednak, że po wielu tygodniach podróży wystrojonej osobie zostało już tylko świąteczne ubranie, reszta się wydarła.

Zdarza się, że ludzie próbują to paradne ubranie sprzedać. Niosą na targ na miejskim placu albo na jeden z powstałych na obozowisku – bieżęcy przecież potrzebują pieniędzy. Oferują wyszywane bluzki, pasiaste spódnice. Ludzie przechodzą, oglądają, dotykają tkaniny. Chwalą wzory i precyzyjną robotę chłopki. Często cmokają z zachwytem. Ale odchodzą. „U nas się takich nie nosi” – mówią na do widzenia.

Strój mogliby kupić jedynie mieszkańcy tej samej co sprzedający guberni. Może nawet powiatu albo gminy? Tylko oni mogliby go nosić.

*

Kudryński obserwuje, jak ludzie z Białostoczczyzny i Chełmszczyzny przyglądają się tym spod Łomży. Niegdyś białe, długie, sukmany, niektóre obramowane kożuchem. Na głowie czapka, rozszerzana ku górze; zwisają z niej pompony. *Ruscy* chłopci liczą je i się naśmiewają. „Cztery gubernie, piąty powiat”. „A wy to koszulacy” – odwdzięczają się Łomżyniacy, wymyślając przezwisko od noszonych przez *ruskich* mężczyzn długich lnianych koszul.

Przybysze z Chełmszczyzny patrzą na tych z Grodzieńszczyzny. Ta sama prawosławna wiara, język też podobny, choć z zupełnie inną melodią. Ale wyglądają inaczej. U tych spod Chełma jasne, wesołe kolory ubrań, u sąsiadów z północy – czerwono-brązowe, mroczne, jakieś ponure, choć misternie wyszywane. Ci spod Chełma śpiewają dźwięcznie i energicznie, ci z północy – melancholijnie przeciągają frazy.

Etnografa Kudryńskiego zachwyca ta różnorodność. Dla bieżenców jednak bywa szokująca i trudna. Gdy tylko w obozie pojawiają się konflikty czy spory, ludzie ze złością wytykają sobie różnice.

*

Po kilku tygodniach „śmieszny rosyjski barszcz” zaczyna smakować bieżencom z Orchówka. Niektórzy nawet krzywią się, gdy czasem trafia się zupa bez pomidorów czy papryki. Mało tego – zaczynają jeść surowe pomidory, najodważniejsi próbują papryki. Do jedzenia na co dzień białego chleba, choć dotychczas był synonimem luksusu, trudniej przywyknąć.

To nie anioły. To bieżency

W relacjach ciągle pojawia się głód. Nie wszyscy dają radę dopchać się do kotłów. Ale czasem ktoś umiera z przejedzenia. To paradoks bieżęństwa. Sytuacji ostatecznej i granicznej.

Orchowiakom kilka razy trafia się okazja. Raz zatrzymują się we wsi, która właśnie wyjeżdża, więc ludzie wyprzedają wszystko: cielaki za grosze, owieczki niemal za darmo. Ktoś inny w lesie spotyka bezpańskie stado, jeszcze inny – zarekwirowane wcześniej chłopom zwierzęta, których wojsko chce się pozbyć i oddaje bieżencom.

Ludzie korzystają. „Ale lepiej, żeby tego jedzenia nie było” – napisze psalmista Paszczuk. Wyposzczeni jedzą bez opamiętania; nie są w stanie nasycić niezaspokojanego od dawna głodu. Potem chorują. Niektórzy umierają.

Post i obżarstwo zlewają się w jedno. Asceza i grzech. Wszystko się pomieszało.

*

W Rohaczowie jest późny wieczór, właściwie noc. Kobieta wraca z punktu żywieniowego. Zdobyła grochówkę okraszoną słoniną. Pogania męża: „Jedź szybko, nie ociągaj się. Przecież jutro piątek!”.

Nawet gdy o jedzenie trudno, naruszenie piątkowego postu jest dla większości bieżenców nie do pomyślenia. To silne religijne tabu. Zdarza się, że ogranicza wędrujących. Nie mogą zjeść tego, co jest dostępne, bo akurat wypada postny dzień. Ale to ograniczenie daje złudzenie łączności ze starym światem. Jakieś poczucie przynależności.

*

I religijność, i moralność w warunkach bieżencstwa wciąż są poddawane próbom. Coś, co było uświęcone tradycją, przestaje być oczywiste.

Psalmista Paszczuk opisuje, jak radzą sobie z brakiem naczyń kuchennych: „Kobiety wchodziły do opuszczonych domostw i brały wszystko, co im się podobało, czasem rzeczy zupełnie niepotrzebne”. Korzystają z każdej okazji, które przynosi los, jakby zniknęły wszelkie zasady. Zwyczajni ludzie, wcześniej pobożni, wciąż zresztą regularnie się modlą.

Gdy i na nich przychodzi niepowodzenie, u Paszczuka pojawia się myśl, że to kara za grzechy: „kupowanie owiec po 5 kopiejek i cielaki za pół rubla od nieszczęsnych wyjeżdżających”.

*

W Imperium Rosyjskim w czasie wojny obowiązuje prohibicja. Nie można sprzedawać alkoholu.

Orchowiacy zatrzymują się na trzy dni w jednej ze wsi pod Słuckiem. Pogoda się popszała, bez przerwy leje. Choć czy tylko przez pogodę? „Poprzedniego dnia spuszczano spirytus z beczek tutejszej gorzelni^[30]. Miejscowi sprzedawali go teraz po 3–5 rubli za butelkę” – relacjonuje Paszczuk. Cała wioska jest pijana, przyjezdni też.

Kudryński w Rohaczowie przysłuchuje się rozmowie mężczyzn przy kartach. Grają na pieniądze, a jakże.

„Kiedyś, gdy się wygrywało, zaraz można było wychylić małego”.

„Teraz też można, tylko drożej. Każdy gospodarz ci sprzeda. Tylko zapłać odpowiednio”.

„Ech, chcesz wiedzieć, gdzie wódka, przejdź się nocą po mieście i wachaj, w którym miejscu czuć denaturat...”

*

Którejś nocy Kudryński idzie do bieżńskiego obozu opłotkami, przez tory i zarośla. Najpierw wpada na chłopców zastanawiających się, jak wywabić z obozu bieżenkę, która wpadła im w oko. Potem płoszy parę w niedwuznacznej sytuacji. Kobieta zrywa się i ucieka, mężczyzna udaje, że przecież nic nie było. „No cóż, życie” – stwierdza Kudryński i idzie dalej.

Na drzewach i słupach organizacje pomocowe naklejają ogłoszenia przestrzegające młode dziewczyny przed korzystaniem z różnych „okazji”. Gazety opisują, że cwaniacy werbują je do domów publicznych. Możliwe, że pracownicy organizacji pomocowych też obserwują ten proceder. Młode chłopki, często osamotnione w drodze, mogą być łatwym łupem.

*

Bieżństwo nie uczyniło z ludzi aniołów. Nie przerobiło na superbohaterów, których zwykle chcielibyśmy widzieć w uczestnikach tragicznych wydarzeń. Postawiło ich za to w niezwykle trudnym położeniu. Ekstremalnym. Żyją w ciągłym napięciu. Często w żałobie po stracie najbliższych. W świecie, którego nie znają. Czasem stają przed wyborami, gdzie każda z opcji jest zła.

W takiej sytuacji ludzie nie stają się lepsi. Zwykle wtedy trudniej jest postępować wyłącznie szlachetnie.

Pogrzeb żywej dziewczynki

Wysoki, barczysty mężczyzna z dziewięcioletnią dziewczynką przeciska się przez tłum wokół punktu pomocowego. Popycha ją w kierunku pracujących tam kobiet. Wśród nich jest Głuchowcowa, która to potem opisze.

„Zabierajcie – mówi szorstko mężczyzna, prawie krzyczy. – Dwa miesiące ją wiozłem, dalej nie dam rady, sił brak”. Kobiety patrzą zdziwione; milknie też napierający tłum. „To siostrzenica – tłumaczy przybyły. – Jej matka, moja siostra, zmarła w drodze, chora była już, jak wyjeżdżaliśmy. Tego samego dnia umarła i moja żona. Nocą na drodze je zostawiłem, bo nie było kiedy pochować”.

Mężczyzna mówi wolno, jakby ważył każde słowo. Tłum jeszcze bardziej cichnie.

„Własnych dzieci mam czworo. Gdy pada deszcz, przykryję je derką. Nic więcej z domu nie wzięliśmy... W ostatniej chwili wyjeżdżaliśmy. Niemcy wchodzili już do wsi. Tak... Więc derką dzieci przykryję, a sam i ona mokniemy po drodze jak te psy. Mnie nic, ja mężczyzna, ale ona... żal patrzeć. Drży jak liść. Wóz u mnie malutki, swoje dzieci ledwo się mieszczą do spania. A ona na ziemi się kładzie. Żal oddawać, ale co mam robić? Swoich nie wyrzucę... Z jedzeniem to samo – jej daję, swoim od ust odbieram. Nie dam już rady; zabierajcie. I tak ją zostawię”.

Dziewczynka spuszcza głowę, biała chustka zasłania jej oczy. Chude rączki międlą rąbek fartuszka. Mężczyzna wyjmuje papiery, szuka dokumentów dziewczynki. Podaje je Głuchowcowej i kryje twarz w czapce. Wydaje się, że hamuje narastający szloch. Odwraca się i odchodzi. Tłum rozstępuje się. Gdy wieś dziewczynki odjeżdża, ona wciąż stoi przed punktem pomocowym. Ludzie schylają głowy, mężczyźni zdejmują czapki. Jakby żegnali nieboszczyka.

„Pogrzeb żywej dziewczynki” – tak tytułuję w myślach tę historię.

Co ona, ta dziewięciolatka, musi czuć? Niedawno straciła matkę, dom, swoją wieś. Teraz odchodzą ostatnie znajome osoby: wujek, jego dzieci, sąsiedzi. Mężczyźni, którym zawsze się kłaniała, uciekają przed nią wzrokiem. Może zresztą dziewczynka tego nie widzi; wciąż ma spuszczoną głowę. Głuchowcowa ją przytula, potem lekko popycha do przodu. Gdzieś idą.

Łatwiej byłoby mi chyba, gdyby na miejscu wujka był jakiś egoista, cwaniak, ktoś zły. Ale nie. To – wydaje się – wrażliwy, przyzwoity człowiek. Gdy umarła mu żona, próbuje opiekować się czworgiem małych dzieci. Z troską zajmuje się też osieroconą siostrzenicą, widzi jednak, że nie podoła. Czy oddanie siostrzenicy to najlepsze wyjście? Czy powinien był pozwolić jej zostać, mimo głodu i chłodu? Jak się w tym połapać? Do czego się odwoływać? Czy to, co dziś uznajemy za moralność, można przykładać do takich sytuacji jak ta?

Głupia wioskowa baba

Wozy z Wólki Wygonowskiej posuwają się wolno. Część koni osłabła, marsz opóźniają małe dzieci i starcy. Czują, że nie uda im się uciec przed Niemcem. Wujek Pawlika rusza sam do przodu. „Zdziwiłem się – notuje chłopak. – Wujek, mając czworo drobnych dzieci, pozostawił je tylko z ciotką, a sam poszedł. Po co? To coś niezrozumiałego. Matka mi wytłumaczyła, że poszedł, bo miał dużo pieniędzy. »Nie można stracić tak dużo pieniędzy«”.

Część innych rodzin też się rozdziela. Matka wysłała i Pawlika. Jest młody, niech się ratuje; w Rosji zresztą będzie mógł się kształcić. Ona już nie ma siły, zostanie. „Do worka włożyła bochenek chleba, kawałek słoniny, dała ojcowskie buty, »a pieniędzy, synku, weźmiesz u Chamańskiego, on pojechał wozem i zabrał nasz mały kuferek, a tam leży pięć złotych«” – opisuje chłopak tę sytuację.

*

Fiedot Kudryński spotyka blakającą się młodą kobietę z małym dzieckiem. Płacząc, opowiada mu swoją historię. Mąż powiedział jej: „Zaczekaj chwilę, idę po papierosy”. I przepadł. Ludzie ze wsi odjeżdżali, ona nie pojechała. Czekala, przecież miała czekać. W końcu wyszła go szukać. Pytała żandarmów kierujących ruchem bieżących, ale ci żartowali: „On na pewno sobie nową żonę znalazł”. Sama nie wie, co robić. Może gonić swoich? Ale jeśli on wróci?

*

W Rohaczowie mają otworzyć przytułek dla sierot i osób niedołączonych. Kudryński zbiera przyszłych podopiecznych. Ludzie w obozie wskazują mu osierocone dzieci, samotnych starców. Czasem przychodzą mężczyźni. „Ojcowskie dzieci przyjmujecie?” – pytają. Kudryński początkowo nie rozumie. Ojcowskie? „No, chowane bez matki” – tłumaczą i nie chcą słuchać odmowy.

Gdy idzie przez obóz, pokazują mu kobietę. Siedzi na łachmanach przy ognisku, tuli się do niej pięcioro dzieci, jedno mniejsze od drugiego. Sama je wychowuje. „Weźcie od niej choć jedno albo dwoje. Jej tak ciężko w drodze” – proszą sąsiedzi. Kudryński podchodzi więc. Pyta o nazwisko. Kobieta wzrusza ramionami. Ludzie ze wsi podpowiadają: Oniszczyk. Ona protestuje: nie, chyba Żuk. Nie, Oniszczyk – krzyczą wioskowi. Kudryński zapisuje oba nazwiska. Odchodząc, upewnia się:

„Znaczy oddaje pani jedno dziecko do sierocińca?”

„Jak to do sierocińca? Za nic w świecie!”

„No przecież przed chwilą się pani zgodziła”.

„Myślałam, że to na odzież piszecie. Że chcecie dać coś, w co dzieci ubiorę...”

„Głupia, oddaj jedno – przekonują ją stojący wokół ludzie. – Przecież zostaje ci jeszcze czworo”.

„Żadnego nie oddam! Nie, nie oddam. Nie!” – krzyczy kobieta i zaczyna przygarniać do siebie dzieci, które z płaczem skupiły się wokół matki. Kudryński odchodzi. Kobieta jednak, taszcząc na ręku któreś z dzieci, biegnie za nim.

„Wypiszcie mnie! Proszę mnie wykreślić! Nie chcę! Myślałam, że to na przydział odzieży pan pisze! Nie oddam! Nie oddam!”

„Siłą nikt nie bierze do sierocińca. Nie chcecie, to i nie trzeba”.

Ale kobieta nie słucha.

„Wypiszcie, proszę! Ja widziałam, że pan zapisał!”

Chwyta rękę Kudryńskiego, całuje. Ten wyciąga długopis.

„Katarzyna Oniszczyk i jeszcze Żuk?”

„Tak”.

„Więc proszę patrzeć. Wykreślam panią”.

I długo kreśli długopisem po zeszytcie. Kobieta nareszcie się uspokaja. Dziękuje i odchodzi.



[^] Kolejka za chlebem w punkcie żywieniowym Czerwonego Krzyża w Mińsku

*

Katarzyna Oniszczyk i jeszcze Żuk. Wiejskiej kobiecie nazwisko do niczego niepotrzebne. Jedno jest ojcowskie, drugie męzowskie. Jej nawet na ślubie nie prosili o podpisanie się, robił to za nią zwykle świadek – jakiś mężczyzna. Niepiśmienna, nieobyta w świecie, nie może się opędzić od gromady zasmarkanych dzieci. Pewnie nikt we wsi jej szczególnie nie szanuje, nie poważa. Bo i za co szanować zwykłą wioskową babę? „Ot, głupia” – powtarzają przy ognisku po tej wizycie Kudryńskiego. Siedzą tu mężczyźni; kobiety zwykle zajęte są dziećmi i zdobywaniem jedzenia dla rodziny. „Mogła przynajmniej jedno oddać, a tak wszystkie z głodu będą zdychać. Ot, głupia baba”.

Trafiam na kilka podobnych historii. Dotyczą nie tylko matek, czasem starszych siostr. Gdy w drodze powrotnej ginie ojciec Niury^[31] Romaniuk z Pawłów, a potem przepada matka, Maria – najstarsza z siostr – ma piętnaście lat, młodsza – siedem, Niura jest jeszcze przy piersi. Maria słyszy wtedy od sąsiadów, szanowanych mężczyzn: „Ty, oddaj do przytułku choć tę najmłodszą, co z niemowlakiem zrobisz? A tak pójdiesz paść krowy czy dzieci niańczyć, na swój chleb zarobisz”. Maria nie oddaje. Po paru dniach matka się odnajdzie. Niura opowiada mi tę historię w 2013 roku. Ma dziewięćdziesiąt dwa lata, mówiła o tym już nieraz. Zawsze wtedy płacze.

Kobiety, młode dziewczyny, często zostają z gromadą dzieci. Mąż jest na wojnie lub umiera po drodze. Albo rodzice umierają i trzeba zająć się młodszym rodzeństwem. Tradycyjny podział ról, zamykający kobiety w domu, nie przygotowywał ich do takiej sytuacji. Podobnie z mężczyznami – nikt ich nie uczył opieki nad dziećmi i bez żony są bezradni.

Ale – o dziwo – ta niby głupia baba, choć bez męża, sobie radzi. Sama, bo gdy wokół wszyscy walczą o przetrwanie, szlachetność silniejszych, którzy mieli się opiekować kobietami, jest wyjątkiem, nie regułą.

„Te kobiety były bardziej zaradne niż dzisiejsza potoczna wiedza by wskazywała – przyznaje Katarzyna Sierakowska, doktor habilitowana zajmująca się historią społeczną I wojny światowej. – Bo wyobraźmy sobie: wybucha wojna. Kobiety podnoszą lament, tak mówi się w opowieściach; taka jest zresztą ich społeczna rola. Ale po tym płaczu przychodzi normalna praca – pieką i suszą chleb, pakują wóz, zakopują rzeczy. Przygotowują wyjazd. A potem to one przez całą drogę troszczą się o dzieci, wciąż krzątają się, by jakoś wyżywić rodzinę. W swoich badaniach nie zetknęłam się z opowieściami, że kobiety oddawały swoje dzieci. One walczyły do końca. Paradoksalnie, choć uznawane za słabe i bezradne, zwykle radziły sobie w tej ekstremalnie trudnej sytuacji lepiej niż mężczyźni, którym umarły żony”.

*

Książka Fiedota Kudryńskiego dostarcza wiele materiału do analiz ówczesnych ról społecznych i ich skutków w tej ekstremalnej sytuacji.

Gdy przychodzą jesienne chłody, Kudryński widzi posiniałe z zimna, drżące dzieci i kobiety. Bose, lekko odziane, w samych bluzkach, często zniszczonych i podartych. Dzieci niemal zupełnie gołe. Tylko mężczyźni są w butach, często skórzanych. Także ubranie mają lepsze.

To najbiedniejsi z bieżenców. W tym pochodzie idą też zamożniejsi, odziani bardziej odpowiednio. Kudryński jednak nie może zapomnieć tych najuboższych dzieci i kobiet. Dlaczego były ubrane tak nędźnie? Dlaczego gorzej niż ich mężczyźni?

Przyglądam się zdjęciom z 1915 roku, zarówno tym robionym przez Rosjan, jak i przez Niemców. Że też nie zauważyłam tego wcześniej! Nawet na początkowym etapie, gdy ubrania nie są jeszcze zniszczone, a ludzie wynędzniali, widać tę dysproporcję. Większość mężczyzn w długich, skórzanych butach; kobiety najczęściej boso. Tę prawidłowość zauważam nawet wśród dzieci. Na jednym ze zdjęć ich gromada pozuje na tle rozwalonego domu. Wszystkie dziewczynki, oprócz najstarszej, są bez butów. Chłopcy – nawet najmłodszy, może dwuletni – są obuci. Na zdjęciu zrobionym przez Niemców gdzieś na Białorusi chłopcy stoją przed nędzną szopą, jakby oderwani od pracy. Wszyscy w kozuchach; mężczyźni mają jednak buty, kobieta jest boso.

Kudryński w końcu pyta o te buty bieżenka z guberni wołyńskiej. Słyszy: „Bo mężczyzna w polu pracuje, jeździ do miasta, do lasu. Musi mieć solidne buty. A kobieta tylko na ogród wyjdzie czy do sąsiadki; po co jej więc ciepłe ubranie czy buty?”.

Tfu na wszystkich policjantów! Samemu carowi to powiem!

Gdy przybywający bieżenci słyszą, że w Rohaczowie na Dnieprze nie ma żadnego mostu, najczęściej nie wierzą. „Przecież nas tu urzędnicy skierowali, po tym moście mamy przejść rzekę” – tłumaczą. Ktoś nawet widział na mapie, że most w Rohaczowie jest. Kudryński sprawdza – rzeczywiście, na niektórych most zaznaczono. „To żeby zmylić Niemca” – żartują rozgoryczeni ludzie.

Gdy docierają nad Dniepr, do przeprawy na drugą stronę, nikomu nie jest do śmiechu. Do promu stoi gigantyczna kolejka. Tłok, ścisk, przepychanki. Brzeg jest wysoki, konie boją się schodzić po urwistej skarpie. Potykają się i przewracają, rwą uprząż, łamią nogi. Czasem wóz się przewraca. A wycofać się nie sposób, bo tłum z tyłu napiera.

Daleko przed brzegiem, na końcu kolejki, dwóch mężczyzn siedzi na wozie. Wypominają sobie pięćdziesiąt kopiejek. „Mówiłem, nie dawaj” – powtarza młodszy. „A skąd miałem wiedzieć, że to oszust?” – denerwuje się starszy.

Poprzedniego dnia na bazarze podszedł do nich żandarm. „Jutro o świcie będę stał na przeprawie przez rzekę. Dacie pół rubla, wpuszczę bez kolejki”. Dali, zresztą nie tylko oni. Następnego dnia żandarma na przeprawie nie było, nikt z oszukanyimi nie chciał rozmawiać. „A na policję chodziliście?” – pyta Kudryński. „Nie ma głupich. Mamy na policji skarżyć się na policję? Wtedy wszystko by nam zabrali, ostatnią koszulę zerwali”.

Podobnych historii słyszy się od bieżenców wiele. Gdzieś po drodze stał człowiek i nie przepuszczał, zanim nie dało mu się dwóch kopiejek. Gadał jak urzędnik, coś tam sobie pisał, ludzie więc płacili. Potem na moście stał inny, jemu trzeba było zapłacić pięć kopiejek. Gdzie indziej jeszcze trzy kopiejki. „A pokwitowanie dawał?” Nie, żadnego pokwitowania nie dostali.

Kudryński przypomina sobie, jak w Kijowie przed wojną wchodził na wzgórze z pięknym widokiem. Przy ścieżce czekał człowiek i żądał za przepuszczenie „opłaty krajoobrazowej”. I ludzie płacili. Gdy Kudryński zaczął dopytywać, inkasent puścił go za darmo. „Zniżka dla inteligentów” – wyjaśnił i zaraz zniknął.

*

Nie sposób odróżnić oszustów od urzędników na służbie. Gdy przez Rohaczów idzie największa bieżenska fala, przy głównej drodze żandarm w mundurze sprawdza przepustki. Niektórzy pokazują, inni zgubili albo o przepustkach nic nie wiedzą. Żandarm zresztą ledwo umie czytać; przepuszcza wszystkich. „Kazali sprawdzać, to sprawdzam. Mam nie puszczać bez przepustki, ale co z nimi zrobić? Nie puszczyć, to zatarasują całą ulicę” – tłumaczy Kudryńskiemu. Przepustki, jak się okazuje, wydają w punkcie pomocowym rodzinom wielodzietnym, uprawniają one do przejazdu koleją. Ale nawet gdyby żandarm nie puszczał, na dworzec wiedzie wiele niestrzeżonych dróg. Kto chce, przejedzie.

Na dworcu inny żandarm każe przyjeżdżającym wpisać się na papierze zapełnionym już imionami. „Pan się przecież i tak w tym nie połapie” – dziwi się Kudryński. Słyszy w odpowiedzi: „A to już nie mój interes. Porządku tu nigdy nie było i nie będzie. Mnie kazali zapisywać, więc zapisuję”.

*

„Przyłączył się do nas sierota, chłopczyk lat dwanaście–trzynaście, bez ojca i matki – opowiadają siedzący przy ognisku ludzie przedstawiający się jako mieszkańcy wsi Muchowłok w guberni grodzieńskiej (prawdopodobnie chodzi o Muchowłoki w rejonie kobryńskim, po białorusku Muchawłoki). – Nędznie ubrany, wychudzony. Ludzie zlitowali się i kupili mu buty. Tylko co chłopak je założył, przyszedł strażnik, powiedział, że te buty są kradzione, i zabrał je sobie. A my przecież za nie dwa ruble zapłaciliśmy. No i chłopak marznie teraz bosy”.

Bieżeńcy opowiadają, jak policjanci, strażnicy czy urzędnicy wyciągnęli od nich pieniądze. Oszukali, okradli. Jeden z chłopów chce Kudryńskiemu przekazać swoją historię, ale się jąka. „To strażnik go zbił. Od tego czasu zaczął nieczysto mówić. Jakby coś mu w gardle przeszkoczyło” – tłumaczą ludzie. Jąkający się w końcu też przemawia: „Gdybym tylko miał pałkę... jak poszedłbym... Raz na prawo, na lewo. Tym strażnikom by dopiero przeszkoczyło, nie tylko w gardle...”.

Coraz częściej Kudryński, przechodząc przez obozy bieżeńców, widzi grupy mężczyzn pięściami boksujących powietrze. Wsłuchuje się: „Ja go pałką! O tak! O tak!”.

Gdy po torach przejeżdża carski pociąg, ktoś się denerwuje: „Jeździ sobie to tu, to tam. A ty, prosty człowieku, czekaj. Przez drogę cię nie przepuszczą, cały świat zatrzymają, bo car jedzie. Do diabła z wszystkimi carami. Pół dnia tu sterczymy o głódzie i chłodzie”. Ludzie uciszają, pokazują stojącego nieopodal policjanta. Chłopa to nie powstrzymuje. „Tfu na wszystkich policjantów. Samemu carowi to powiem, niech tylko mnie dopuszczą...”

Czasem ludzie mówią z goryczą: „Niech już ten Niemiec szybciej przyjdzie, porządek wreszcie zrobi”.

*

Organizacje charytatywne w Rohaczowie rozdają bieżeńcom ciepłą odzież. Przyszły jesienne chłody, na które większość jadących nie jest przygotowana. „Takiego solidnego ubrania nie mieliśmy, jak żyjemy” – cieszy się ktoś. I szybko odchodzi, chowając zdobycz; jakby się bał, że ktoś mu ją odbierze.

W kolejce krzyk, przepychanki. By dostać odzież, potrzebne są kwity, wydawane gdzie indziej. Ale ludzie stoją bez kwitów; boją się, że gdy oni będą chodzić za papierami, tu odzież już rozdadzą. Chudy chłopiec strasznie trzęsie się z zimna. „Dlaczego zdjąłeś buty? Przecież drżysz...” – zaczepia go Kudryński. „A skąd pan wie, że zdjąłem buty?” – dziwi się chłopak. „Po odcisniętych śladach na nogach”. Chłopak

się tłumaczy: ma kwitek na bieliznę i ciepłą czapkę, ale boi się, że jeśli zobaczą buty, uznają go za bogacza i nic nie dadzą.

*

Raz do punktu pomocowego przychodzi mieszczanin, „inteligent”, jak o nim pisze dyżurujący tam akurat Kudryński. „Idę dziś rano ulicą i widzę: bieżęncy niosą ciepłą odzież – przedstawia swoją sprawę mieszczanin. – Taka solidna, pięknie uszyta. Pytam, skąd mają. Mówią, że u was dostali. Pomyślałem – u nas jest służąca, biedna dziewczyna, nie ma co na siebie włożyć. Może i jej byście dali? Jej sytuacja nie jest wcale lepsza niż tych bieżęnców...”

Kudryński tłumaczy przybyłemu, że skoro to jego służąca, sam powinien się o nią troszczyć. Mieszczanin nie chce jednak o tym słyszeć. „Ona też jest biedna, nie ma ciepłej odzieży” – powtarza.

*

Innym razem Kudryńskiego obstępuje grupa mężczyzn. „Gdzie tu rozdają ciepłe rzeczy, bo myśmy jeszcze nie dostali?” – pytają. „Wy i tak nie dostaniecie. Ciepłe rzeczy rozdajemy biednym, potrzebującym, a wy na takich nie wyglądacie”. Kudryński pokazuje długie płaszcze i solidne buty przybyszów. Wywołuje ich wściekłość. „Dlaczego ludzi oszukujecie? Jak rozdawać, to wszystkim, co to za porządki? My i z rosyjskim carem się jeszcze policzymy. Ludzie powinni sami dzielić rzeczy, a nie panowie dzielą, jak im się podoba”^[32] – krzyczą.

Gdy strażnicy rozdają kwitki na ubranie, buty, drewno, otacza ich taki tłum, że dają, komu popadło. Czasem najsilniejsi wyrywają cały plik i dzielą po swojemu.

*

W powtarzanych dziś wspomnieniach nie ma jednak tej złości. Nie mówi się o wściekłości na wojskowych, na cara, na urzędników. Dopiero w spisanych na gorąco relacjach widać temperaturę ówczesnych nastrojów.

Co robić z tymi ludźmi? Ja zamykam oczy

Konstanty Paustowski ze swoim zespołem sanitarnym wciąż jeździ po przyfrontowym terenie. Są już pod Baranowiczami. Rosjanie wciąż się cofają, wróg ciągle jest tuż-tuż.

Sanitariusze pomagają głównie bieżęncom; raz w lesie Paustowski odbiera poród pośladowy, matka i dziecko cudem przeżywają. Innym razem na ich drodze stoją

uzbrojeni żołnierze. Pokazują na widoczną z szosy wieś. Mówią, że mają rozkaz wysłania tam personelu dla udzielenia pierwszej pomocy, bo zebrało się tam wielu chorych bieżenców. Trzy wozy sanitarne, w jednym z nich jest przysły pisarz oraz jego narzeczona Lola, więc jadą do wsi.

Kilometr od szosy widzą w krzakach żołnierzy z karabinami. „Czyżby Niemcy byli już tak blisko?” – dziwią się. Gdy podjeżdżają do wsi, od zachodu, skąd powinien nadejść wróg, widzą także leżących na polu wojaków. „To osłona bojowa” – sanitariusze popisują się przed pielęgniarkami. Stary woźnica kręci jednak głową. Pokazuje na wschód. Tam też pełno żołnierzy. „Cała wieś obstawiona. Dookolusieńka. Czuję tu coś niedobrego” – mówi.

Okazuje się, że we wsi panuje czarna ospa. Wojsko ma rozkaz nikogo z niej nie wypuszczać. Zaraza nie może przedostać się do armii. Sanitariusze są więc w pułapce. „Gdyby nas nie oszukano, zabralibyśmy ze sobą wszystko, co potrzebne przy ospie. A teraz nie mamy nic, nawet szczepionki!” – denerwuje się Lola. Potrzebne lekarstwa ma lekarz przybyły tu wcześniej. Gdy ich widzi, pada ze zmęczenia i zasypia.

„Chodziliśmy po chałupach, zastrzykiwaliśmy ludziom morfinę, poiiliśmy umierających wodą i z milczącą rozpaczą patrzyliśmy, jak zachorowują ci nieliczni, którym choroba udzieliła zwłoki” – pisze Paustowski. Trupy znoszą do stodoł, które po kolei podpalają.

Nikogo z przebywających we wsi ludzi nie uratują. Zarazi się za to Lola. „Jeżeli umrę, nie spalcie mnie w stodole” – prosi chwilę przed śmiercią. Paustowski trzyma ją za rękę. Następnego dnia na wzgórzu za wsią, pod starą wierzbą, sanitariusze kopią jej grób.

*

Pracując w punktach pomocowych, ludzie ryzykują swoje zdrowie. Niektórzy urzędnicy narażają karierę. Nie bacząc na biurokratyczny bezwład i brak przepisów, wydają bieżencom jedzenie, wpuszczają do przepełnionego szpitala, budują sierocińce. „Tu nikt nie rejestruje zgonów, nie wydaje żadnych aktów. Ale co tam martwi, Bóg z nimi. Ja mam tu masę żywych dzieci, bezimiennych. Pozostawionych przez rodziców, zgubionych. Nie potrafią podać nazwiska ani miejscowości, z których przybyli. Co z takimi robić? Albo inna sytuacja. Do grupy zagubionych dzieci przychodzi dziewczynka. Rzuca się na szyję malutkiemu chłopcu, mówi, że to jej brat. Co mam zrobić?” – zastanawia się Drybincew, przedstawiciel władz Rohaczowa. Ma jej uwierzyć na słowo czy żądać dokumentów? Wie, że jeśli ktoś z władz zechce, może wykorzystać przeciwko niemu jego życzliwość wobec bieżenców.



[^] Obóz bieżenców w Słucku

*

Kudryński rozdaje bieżencom odzież przyslaną przez organizacje pomocowe. Praca idzie wolno. A na dworze zimno, nocami zdarzają się przymrozki. Chce więc zaangażować uczniów szkoły, w której uczy. Idzie do dyrektora, zaczyna opowiadać.

„Tak, to ogromna tragedia. A teraz jeszcze ten chłód. Straszne. Aż słów brak” – przerywa dyrektor.

„Teraz rozdajemy im ciepłe ubrania. Przydałoby się...”

„Proszę nawet nie mówić. Już sił brak do tego wszystkiego. Staram się tego nie zauważać...”

„Ale dobrze byłoby, gdybyśmy...”

„Wie pan, ja po prostu zamykam oczy, by niczego nie widzieć. To jest zbyt straszne”.

Kudryński po właściwie nieprzeprowadzonej rozmowie wraca do obozu. Wydaje potrzebującym odzież. O pomocnikach już nawet nie myśli.

*

30 października wokół Rohaczowa wciąż koczują tysiące bieżenców. Jest mroźno. Dym z ognisk zasnuwa całe miasto; najwięcej go jednak wokół dworca, gdzie zebrała się ogromna liczba uciekających.

„Zawsze u was tu taki dym?” – dopytują tragarza pasażerowie w poczekalni dworcowej. Damy przytykają do nosa perfumowane chusteczki.

„Jak powieje wiatr od bieżenców, to oddychać nie ma czym” – kiwa głową tragarz.

Senną atmosferę poczekalni ożywia spór dwóch prawników. Jadą na konferencję dotyczącą bieżenców.

„Przede wszystkim – kto to taki bieżenicy? Z prawnego punktu widzenia to określenie nieadekwatne” – mówi jeden.

„Dlaczego nieadekwatne? To obywatele, którzy tak jakby zostali czasowo pozbawieni swego poprzedniego statusu. Proszę tylko powiedzieć, jak oni w tej sytuacji powinni się zachować?”

„Na ich miejscu przede wszystkim zadbałbym o wyjaśnienie statusu prawnego...”

Rozmowę przerywa zapłakana kobieta, bieżenka. Otwiera drzwi poczekalni. Tu wstęp mają tylko ludzie z wykupionymi biletami. „Jest tu może doktor? – pyta nieśmiało. – Dziecko zachorowało. Wciąż wymiotuje, nic mu nie pomaga”. Doktora nie ma, ludzie kręcą głowami. Kobieta jednak wciąż stoi w drzwiach i płacze. Ktoś ją litościwie pyta, z której jest guberni. Z grodzieńskiej. Widząc zainteresowanie, zaczyna mówić o swoim nieszczęściu.

„Odejdź stąd, matko, nic tu po tobie. To nie jest ci apteka” – strażnik dworcowy wypycha ją w końcu za drzwi. Nie mija kwadrans, do drzwi dobija się kolejna bieżenka, prosi o wrzątek, choć odrobinę. „Na peronie macie kocioł z wodą, tam idźcie” – odpowiada ostro strażnik. Bieżenka tłumaczy, że właśnie zimnej nalali, długo trzeba czekać. On jednak nie daje się przebłagać. „Tu wam nie bufet; nie macie tu czego szukać”. I zatrzaskuje drzwi.

Zupełnie nie jest nam już do żartów

Na szybki powrót do domu już chyba nikt z bieżenców nie liczy. Niemiec ciągle naciera, wciąż trwa „zwycięski odwrót”. Jesień przyszła na dobre, nocami bywają przymrozki. Teraz tylko wyglądać pierwszego śniegu. A tysiące ludzi wciąż koczuje wokół stacji kolejowych. Jakies pociągi odjeżdżają. „Ale łatwiej chyba wspiąć się na niebo, niż dostać się do wagonu” – pisze Paszczuk.

Prowadzeni przez niego orchowiacy tułają się między stacjami. Próbują szczęścia. Miejscowe władze kierują ich do Kobrynia, ale tam tłum straszliwy; o miejscu

w pociągu nie ma mowy. Mają jechać na Baranowicze. Ruszają, ale zawracają ich wojskowi. Do Baranowicz bieżącym nie wolno, niech jadą do Lachowicz. Ale w Lachowiczach na stacji tłok, że szpilki nie wetkniesz. Pociągi, owszem, przyjeżdżają, orchowiaci je widzą. Panowie z kokardami i panie w kapeluszach jadą na dachu, bo miejsc nie starcza. Wciąż ewakuowani są urzędnicy z rodzinami, liczni dostojnicy.

Kierują się na Słuck. Pogoda się psuje. Przez trzy dni bez przerwy leje deszcz, wieje silny wiatr. W jednej ze wsi miejscowi litościwie przyjmują do domów kobiety z dziećmi przy piersiach. Reszta musi się urządzić na zewnątrz. Paszczuk robi pod wozem prowizoryczny namiot. Kradzieże są plagą; trzeba pilnować dobytku. W nocy budzi się w kałuży – ściany jego schronienia są zbyt słabe, by zatrzymać płynącą wodę. Gdy czwartego dnia przychodzi słońce, orchowski chór śpiewa dziękczynne pieśni.

W Słucku ktoś radzi, by jechać do małej stacji Urzecz. Rzeczywiście, ludzi tu jakby mniej. Przez pięć dni orchowiaci czynią starania o wyjazd. „Przyszło nam się płańczyć, błagać, nawet cwaniakować przed kierownictwem miejscowej stacji kolejowej, zgodnie ze wszystkimi zasadami sztuki, włącznie z tytułowaniem »ekscelencją«. Bo zupełnie nie było nam już do żartów. Co noc przymrozki coraz większe, rano wszystko pokrywała gruba warstwa szronu” – napisze Paszczuk.

W pociągu

Nie wsiedli do pociągu, ich problem

W Rohaczowie podstawiono wagony towarowe. Takimi w dalszą drogę mają jechać bieżący. Wszyscy z zazdrością patrzą na wsiadających. Już nie będą marznąć na stacji. Kudryński dowie się później, że są z „Soczi” bielskiego powiatu. W ówczesnym powiecie bielskim miejscowości o takiej nazwie nie ma; są tylko Soce. Dziś to jedna z najładniejszych na Podlasiu wsi (należy do powiatu hajnowskiego). W 1915 roku do Rosji pojechali stąd wszyscy.

Po załadowaniu pociąg przez kilka dni stoi na bocznicach. Czasem kolejarze podczepiają lokomotywę, przepychają, doczepiają kolejne wagony, znowu przepychają. Nikt nie zwraca na to uwagi. Część pasażerów idzie zdobyć jedzenie na drogę, ktoś udaje się za potrzebą. Dzieci bawią się na piasku, obok przysiadły grupki dorosłych. Przed odjazdem konduktor będzie głośno dzwonił i na koniec gwizdał, by wszyscy zdążyli wsiąść. Tak jest zawsze.

Tym razem jednak konduktor nie dzwoni i nie gwizda. Kolejarze podczepiają lokomotywę, przepychają na inny tor. Ale pociąg zamiast się zatrzymać, jedzie dalej. Mijając stację, osiąga niemal pełną prędkość.

„Pociąg odjechał, nasi pojechali!” – krzyczy ktoś. Młoda kobieta rzuca się biegiem po torach. Tam są jej dzieci! Za nią ruszają następni. Ze stacji obserwuje ich grupa gapiów. Jeszcze przed chwilą zazdrościli, teraz się śmieją: „Szybciej, może dogonisz!”. „Dobrze biegnie!” – pokazują młodą kobietę na czele. Rozwiązuje się jej chustka, zsuwa z pleców, wiatr ją porywa. Na końcu dziwnego peletonu kuśtyka staruszek. Wzbudza wesołość.

Nagle dziewczynka, może dziesięcioletnia, potyka się i spada z nasypu. Śmiech na stacji milknie. „*Hospodi!*” – wyrywa się komuś. Dziewczynka wstaje, ale iść już nie da rady. Padają kolejne osoby. Pozostali też się zatrzymują. Pociągu już nie widać. Słychać tylko, jak dudnią żelazne przesła mostu na rzece Druć (prawy dopływ Dniepru, wpada do niego dwa kilometry od Rohaczowa), przez który właśnie przejeżdża.

Podnoszą się płacz i krzyk. Nie zdążyło wsiąść do pociągu co najmniej dwieście osób! Rodzice nawołują dzieci, mężowie szukają żon. Dziewczynka, na oko trzyletnia, leży na ziemi i krzyczy. Została sama. Strażnik bierze ją na ręce, mała mu się wyrywa. „Nie rozpaczajcie, oni zaczekają na was na najbliższej stacji, w Żłobinie” – mówi ktoś z gapiów.

Kudryński pyta żandarma o naczelnika stacji. „Je śniadanie, a może i odpoczywa. Zresztą panu nic do tego, bieżęcom też nie” – słyszy. Idzie więc do kolejowego biura. Kilka osób w mundurach siedzi wokół brudnego stołu i coś pisze. „Nie wsiedli do pociągu – ich problem. Stał tu cały dzień, mogli wsiąść. Kim pan zresztą jest, byśmy się mieli tłumaczyć?!” – krzyczy zastępca kierownika stacji.

Potem okaże się, że to ze złości konduktor odprawił pociąg bez uprzedzenia pasażerów. Właśnie został zwolniony z pracy, bo za trzysta sześćdziesiąt rubli dał wagon grupie bieżęców. Nie podzielił się łapówką, więc koledzy na niego donieśli.

Najpokorniej prosimy o radę

Problem narasta. Widzi to wojsko, widzą władze cywilne. Setki tysięcy osób koczują na stacjach w straszliwych warunkach; dziesiątkują ich epidemie. Dla większości z nich to drugi albo i trzeci miesiąc tułaczki. Przyszła jesień; w dzień posiniałe z zimna dzieci biegają wokół wozów; wieczorami tłoczą się przy ogniskach. Zziębnięte przysuwają się tak blisko, że czasem zapala się na nich odzież. Trudno gojące się rany pooparzeniowe stają się w obozach powszechnym problemem. Nocą nad namiotami niesie się kaszel. Kaszlą wszyscy: i dzieci, i dorośli. Wkrótce może spaść śnieg. Wtedy będzie jeszcze gorzej.

1 października 1915 roku – jak pisze historyk Oleg Łatyszonek – w sztabie Naczelnego Dowódcy zapada decyzja, by rozwiązać ten problem jak najszybciej. W dniach 5–15 października ma zostać zorganizowany masowy wywóz uchodźców w głąb Rosji. Kolej ma wygospodarować tabor i odprawiać co najmniej po tysiąc dwieście wagonów dziennie.

Badacze policzą później, że we wrześniu i w październiku w przesiedlaniu bieżęców wzięło udział sto piętnaście tysięcy wagonów; jedna piąta całego posiadanego przez Rosję taboru.

*

Związek Ziemstw i Miast z dwustu dwudziestu sześciu ochotników formuje trzynaście grup, które mają pomagać bieżęcom w dalszej podróży. W skład każdej wchodzi przewodnicy – najczęściej studenci, i siostry miłosierdzia – zwykle studentki kierunków medycznych, uczennice szkół pielęgniarskich.

Na początku października grupa złożona z czterech przewodników i czterech sióstr jedzie do poleskich stacji Kalinkowicze, Żytkowicze i Ptycz. Już z okien pociągu widzą prześwitujące między drzewami ogniska bieżęców. Dostrzegają ich bardzo wiele,

zarówno blisko stacji, jak i na odludziach. Orientują się też, że miejscowi chcieliby się tych nieproszonych gości jak najszybciej pozbyć. „Naczelnik stacji Kalinkowicze informował przewodnika, że w lasach wokół stacji skupiło się ponad 5 tysięcy bieżenców. Czynią oni bezprawie, na przykład po pożarze domu w miasteczku, jaki wydarzył się 5 [18] października, rozkradli uratowane od ognia mienie; wg innych relacji palą oni sady i niszczą majątek mijanych wsi i osad” – piszą przewodnicy i siostry w sprawozdaniu.

Rozmawiają z bieżencami i relacjonują: „W okolicy stacji Ptycz znajdował się cały tabor – około tysiąca ludzi, wszyscy z końmi i trzodą. Do ostatniej chwili nie chcieli nic sprzedawać, by – jak tylko Niemca odgonią – móc wrócić do swoich domów. Ale coraz chłodniejsza jesień zmusiła ich do pomyślenia o dalszej podróży i 6 [19] października wysłali pieszo delegatów do Rzeczyca, by dowiedzieli się o warunki przyjmowania trzody i koni”.

Koni, trzody, wozów – największego bieżenckiego majątku – nie można zabrać do pociągu. Władze tworzą specjalne punkty skupu, ale idzie on bardzo wolno. Trzeba czekać wiele dni, a czasem i tygodni.

*

Władysław Glinka rozważa sprzedaż koni i wozów, na których jedzie służba, i dalsze odprawienie ludzi pociągami. Widzi jednak, jak bardzo chłopci się tego boją. „Okazywali jakiś instynktowny lęk na myśl o zejściu z tych wozów, które były dla nich jakby częścią, resztką Ojczyzny. Póki na nich z rodzinami siedzieli, mieli poczucie, że są w czasowej podróży, a jeśli je opuszczą, to pożegnają się z Polską” – notuje.

*

Większości bieżenców jest już wszystko jedno. Chcą jak najszybciej wyjechać z obozów. Zostały w nich głównie kobiety i dzieci; mężczyźni poszli z końmi do miasteczek, gdzie znajdują się komisje przyjmujące trzodę.

Przewodnicy ustalają, że komisje pracują tylko w wybrane dni tygodnia i że chłopci muszą czekać w kolejce tydzień, a nawet dwa. Jedynym sposobem przyspieszenia procedury jest łapówka. „Bez tego – mówią chłopci – zapisujący się w kolejkę nawet po tygodniu–dwóch nie są wzywani przed komisję, gdy ci, co przyjadą później (za łapówkę), zdają konie w dzień–dwa”.

Próby interwencji u kierowników punktów nie przynoszą rezultatów. „Przydzielony weterynarz często musi wyjeżdżać w sprawach służbowych; wtedy przyjmowanie jest

zawieszono. Poza tym komisja może przyjąć dziennie nie więcej niż sto–sto pięćdziesiąt koni. Więcej się nie da” – słyszą przewodnicy.

Bieżeńcy błagają ich o pomoc. Proszą zresztą każdego, kto okaże im choć cień zainteresowania. Jednemu z urzędników wręczają następującą prośbę: „*Wasze wysokobłagorodije*. Najpokorniej prosimy o radę, co mamy robić. Przybyliśmy z dalekiej chełmskiej guberni, włodawskiego powiatu, gminy Nikołajew-Sobibór, wieś Siedliszcze i dalej nie jesteśmy już w stanie jechać, dlatego że nocami jest już bardzo zimno i dzieci nie są w stanie tego wytrzymać, nawet nam dorosłym ciężko jest znieść te noclegi pod gołym niebem, a po drugie nie mamy skąd i za co wziąć paszy dla koni. Pokornie prosimy Waszej Ekscelencji o łaskawe spojrzenie na nas, biednych bieżeńców, i na nasze trudne położenie: prosimy o przyjęcie na skarb państwa naszych koni i wozów, byśmy mogli dalej jechać pociągiem, by zbawić się od wrogich *giermańskich* rąk, tak jak ratowaliśmy się od nich do tej pory”.

*

Sytuację wykorzystują handlarze i oszuści. W Rohaczowie punkt Związku Ziemstw i Miast za konia z wozem płaci trzydzieści–pięćdziesiąt rubli. Handlarz daje dziesięć–piętnaście. U niego nie trzeba jednak czekać. Sam przychodzi, zabiera konie i płaci od ręki. Wielu sprzedaje więc handlarzom.

Kudryński widzi tę scenę we wrześniu. Żyd targuje się z chłopem o krowę. Daje trzydzieści pięć rubli, choć taka kosztuje jeszcze nawet sześćdziesiąt. Ceny wkrótce kilkakrotnie spadną. „Dawaj czterdzieści pięć i zabieraj” – mówi chłop. Stojąca obok żona ma łzy w oczach; siedzące na wozie dzieci tylko patrzą. Podchodzi inny handlarz, ogląda krowę. Daje trzydzieści siedem rubli, w końcu czterdzieści. „Mamo! Mamusiu! Nie sprzedawajcie!” – rozlega się z wozu. Dzieci zrozumiały, co się święci.

Krowa zostaje sprzedana za czterdzieści pięć rubli. Gdy handlarz zaczyna odwiązywać ją od wozu, wszystkie dzieci płaczą. „A nie zarzniecie jej?” – pyta chłopczyk. Matka już nie wstrzymuje łez; ojciec jeszcze walczy. „Nie, będziemy ją hodować. Gdy będziecie wracać, zajedźcie, to sam zobaczysz” – kłamie handlarz. Ojciec, choć normalnie skrzyczałby płaczące dzieci, tłumaczy im: „Ta krowa to było całe nasze dobro. Ale nie mogłem postąpić inaczej”.

W końcu i handlarze przestają kupować inwentarz bieżeńców. Zdarza się, że ludzie zostawiają dobytek pod płotem lub na polu, by tylko wsiąść do pociągu. „W Rohaczowie – notuje Kudryński – 12 [25] października spada pierwszy śnieg”.

*

„Trzeba zobaczyć te kobiety z malutkimi dziećmi, nocujące pod gołym niebem, przy ognisku, by zrozumieć, jaką podłością są te wszelkie przymusowe przesiedlenia” – piszą w sprawozdaniach przewodnicy i siostry miłosierdzia. Gdy zgłaszali się do tej pracy, inaczej sobie wyobrażali bieżęński los. Tak naprawdę chyba zupełnie nie wyobrażali.

*

Polskie organizacje pomocowe namawiają podopiecznych do niepozbywania się koni i wozów. Własny transport daje przecież niezależność. Zawsze można samemu wrócić, nie trzeba czekać na państwową pomoc. Wóz z koniem umożliwia też zarobek. Można się wynająć u rolników, być wozakiem w mieście. Każą więc swoim podopiecznym wciąż jechać wozami i jak najbliżej szukać miejsca na osiedlenie się – robi tak zresztą służba Władysława Glinki, znajdująca kwatery w okolicy Mińska. Co bardziej operatywni działacze polskich komitetów załatwiają załadunek bieżęńskich wozów do pociągów.

„Dlaczego Polacy nie sprzedają swojego dobytku? Dlaczego pozwalają im ładować się z wozami i końmi?” – pytają Kudryńskiego prawosławni bieżęńcy z guberni grodzieńskiej i chełmskiej. Oni sprzedają. Chyba że ktoś jest takim szczęściarzem jak ludzie z Hostynnego, których prowadzi batuszka Jan Kotorowicz. Choć nie bardzo wierzy w powodzenie listu, wysłała z Rohaczowa do urzędującego w Moskwie gubernatora chełmskiego prośbę o pozwolenie na załadowanie się z ekwipunkiem. I pozwolenie nadchodzi. „Niektórzy nawet pozamieniali złe wozy na dobre i tak wyjechaliśmy na stację Czyplajewo, z jakiej odprawiono nas w dwóch transportach” – napisze Kotorowicz.

*

Bieżęńcom z Orchówka, którzy błakają się między stacjami, w końcu udaje się zdobyć sześć wagonów do przewozu koni. Mają nimi jechać dalej, trzysta osób, po pięćdziesiąt w jednym wagonie. Konie sprzedają handlarzom; za sztuki warte sto rubli dostają dwadzieścia pięć–trzydzieści, słabsze idą nawet za trzy ruble. Wozów nikt nie chce, porzucają je na stacji, podobnie jak niemieszczącą się w wagonach część bagażu. Niektórzy podpalają je przed odjazdem, inni łamią. „To kara za owce po 5 kopiejek i cielaki za pół rubla, które kupowaliśmy od wyjeżdżających gospodarzy” – przejdzie przez myśl psalmiście Paszczukowi.

Gdy rano pociąg rusza, ludzie płaczą jednak ze szczęścia. Intonują hymn *Spasi Hospodi* [Zbaw, Panie, lud Twój]. Stojący w pobliżu urzędnik kolejowy, słysząc

cerkiewny śpiew, zdejmując czapkę, żegna się i schyla głowę przed rozpędzającym się pociągiem.

Bardzo prawdopodobne, że orchowiacy śpiewają na melodię popularnej uwertury *1812*, napisanej przez Piotra Czajkowskiego na pamiątkę zwycięstwa nad Napoleonem. Wyobrażam sobie, że w zamyśle kompozytora miała ona umacniać mit o poświęceniu swojej ziemi, o spaleniu jej i wygnaniu ludzi, by odnieść zwycięstwo. Zaczyna się cicho. Potem dołączają poszczególne instrumenty, a w wykonaniu cerkiewnych chórów – kolejne głosy. Śpiew nabiera mocy, rozbrzmiewa tak, by zadrżały mury. Orchowiacy, ofiary mitu spalonej ziemi, raczej nie dostrzegają ironii sytuacji.

Szmaciany pociąg Zofii Oleszczuk

Zofia Oleszczuk w 1915 roku ma czternaście lat, skończyła dwie klasy w miejscowej szkole. Ze swojego Kulika na Lubelszczyźnie dotychczas nie wyjeżdżała. Teraz też jej rodzina nigdzie się nie wybierała. Ale gdy na podmokłe łąki zaczęły padać pociski, wyrzucając do góry gigantyczne fontanny, cała wieś uciekła.

Od tamtej pory Zofia wciąż się dziwi. Gdy dojeżdżają do Włodawy, aż przystaje. „Tata, co to za chałupki”^[33] – pyta. „To nie chałupki, to wagony. Do wożenia” – mówi ojciec. Gdy którejś nocy docierają do Kobrynia, w oknach tutejszych domów błyszczą światła. Co to takiego? Czemu na ich wsi tak nie błyszczało? „Tak się w miastach świeci” – odpowiada ojciec.

We wspomnieniach, które Zofia spisała pod koniec życia, w 1983 roku, ciekawość i zachwyt mieszą się z przerażeniem i smutkiem. Ale nawet te trudne wspomnienia są kolorowe i plastyczne. Czy to specyfika młodości, właściwie jeszcze dziecięcej wyobraźni? Czy może dar, który posiadała Zofia Oleszczuk? Nigdy jej nie poznam; umrze w 1992 roku. Zeszyty z jej wspomnieniami córki przekażą Bibliotece Narodowej.

*

W Bobrujsku wielu mężczyzn wciąż czeka w kolejce, by zdać konie. „Kto miał ładne konie, to wojskowi kupowali, ci z gorszymi zostawali i jakoś tam je sprzedawali, a potem szukali swoich rodzin” – wspomina Zofia Oleszczuk. Pozostali próbują się dostać do pociągu. Część – w tym wujenka i babcia z dziadkiem – jedzie wcześniej. Ona z matką i siostrami trafiają do „szmacianego” składu.

Mimo że jest już chłodna jesień, kolejarze podstawiają odkryte platformy. Mają z boku tylko po jednej wąskiej desce. Gdy pociąg rusza, robi się przeraźliwie zimno.

Kiedy zatrzymuje się w lesie, ludzie wycinają drzewa i gałęzie, potem przymocowują je do boków, a na te prowizoryczne stelaże naciągają szmaty. W takich budach jest trochę cieplej, choć wygląda to dziwacznie. Ludzie w mijanych miejscowościach przychodzą ich oglądać.



[^] Bieżeńcy jadący na odkrytych platformach; gubernia wołyńska

Dojeżdżają do Połtawy; stąd – wspomina Zofia – widać już Charków^[34], świecą cerkiewne kopuły. Na stację zlatują ludzie, bieżeńcy i miejscowi. Chłopak z Kulika, Antko Muzykant na niego wołali, wyciąga skrzypce i zaczyna grać. Drewniany peron zapełnia się tańczącymi. Wirują spódnice miejscowych dziewcząt: szerokie, wełniane, kolorowe, migają białe wyszywane bluzki; furkoczą sznury koralu, obowiązkowe u każdej. Robi się wesoło. Następnego dnia wszyscy płaczą. Kaśka, córka Dziekowskiego, niosła wodę ze stacji i gdy przechodziła pod wagonem, pociąg ruszył. Odciał jej lewą nogę i dziewczyna umarła. Jechała sama: matka zmarła po drodze, ojciec został w Bobrujsku z końmi.

Za Połtawą kulikowian przesadzają do pociągu ze ścianami i z dachem, nawet z żelaznymi piecykami w wagonach. Na piecyku każda rodzina po kolei gotuje

jedzenie, jest ciepło. Ale gdy raz pociąg hamuje, babcia siedząca na ławce z wnuczkiem na ręku leci z impetem do przodu, wprost na gorący piecyk. Wylewa się stojące na nim jedzenie, rozsypuje żar; między tym wszystkim leży chłopczyk. „Zabiłam dziecko!” – krzyczy przerażona kobieta. Dziecku jednak – cudem – nic się nie stało.

Gdzieś za Połtawą udaje się też połączyć rozdzielonym w Bobrujsku mieszkańcom Kulika. Okazuje się jednak, że nie ma już babci Zofii. Na stacji wyszła za potrzebą i nim zdążyła wrócić, pociąg ruszył. Wujenka dawała trzydzieści rubli, żeby ktoś wyskoczył, odnalazł staruszkę i by razem dogonili pociąg. Zgłosiła się tylko jej własna córka, ale wujenka nie pozwoliła dziewczynie skakać.

Choć rodzina Zofii Oleszczuk będzie szukać babci przez cały pobyt w Rosji, nigdy jej nie odnajdzie.

Chcieli jechać do Samary, trafili do Samarkandy

Kilka dni od wyjazdu ze stacji Urzecze na pociągu bieżeńców z Orchówka pojawia się napis: „Tomsk”. „Jeśli to daleko, wszy nas tu zjedzą, tak się rozplenili” – komentują ludzie. I dopytują kolejarzy: „Do tego Tomska jest tak daleko, jak z Chełma do Warszawy czy jak z Chełma do Kijowa?”. Kolejarze się śmieją. To nieporównywalna odległość. Przecież to Syberia! Podnosi się płacz. „Jak to Syberia? Za co nas tam wiozą? Tam zsyłają tylko za najcięższe przewinienia! Przecież pomrożą nas tam na śmierć”.

Kilka dni później kolejarze zmieniają zdanie. Pociąg pojedzie nie do Tomska, ale „w taurydzką gubernię”. Napis na wagonach się zmienia. „Gdzie jest ta taurydzka gubernia?” – dopytują ludzie. Na Krymie. Orchowiacy padają sobie w ramiona z radości. Uratowali się od Syberii! Gdy po drodze zaczyna się ocieplać, są szczęśliwi.

*

Większość bieżeńców nie ma wpływu na to, gdzie ich wiozą. Nie dopytują nawet, bo i tak nazwy miast nic im nie mówią. Pociągi rozwożą ich po całym Imperium. Zwłaszcza na żyzne ziemie, gdzie brakuje rąk do pracy. Nad Don i Wołgę, w okolice Uralu, na Syberię. Choć ta ostatnia na ogół wywołuje lęk, zdarza się, że ktoś prosi o ten kierunek. Chce jechać do swoich.

Gdy pod koniec XIX wieku władze carskie rozpoczęły politykę osadniczą, na Syberię w poszukiwaniu lepszego losu wyruszyły chłopskie rodziny z zachodnich krańców Imperium. Czasem jechała połowa wsi albo nawet więcej. Jak mieszkańcy Nowego Berezowa pod Hajnówką, którzy niedaleko Permu założyli swoją wieś. Teraz ich rodziny albo dawni sąsiedzi proszą o wysłanie w tę okolice.

*

„Wszyscy zgadzaliśmy się na to, że należy możliwie zapobiegać wysiedleniu ludzi za Ural, gdzie otrzymaliby grunta i wynarodowiliby się” – zapisuje Władysław Glinka po jednym z posiedzeń Centralnego Komitetu Obywatelskiego. Niekorzystne byłoby także rozproszenie ludzi na ogromnym terenie Imperium: trudno utrzymać jakiegokolwiek struktury organizacyjne, a bez tego nie da się zachować wpływu na ludzi. Po zakończeniu wojny niełatwo będzie także zorganizować powrót do kraju. Polskie organizacje pomocowe walczą więc, by Polaków rozmieścić w europejskiej części Imperium, przed linią Wołgi.

Działacze wyszukują Polaków w bieżeńskich obozach i na stacjach. Często siłą wyciągają ich z kierowanych za Ural pociągów. To pracowników polskich organizacji mają pewnie na myśli prawosławni chłopci z Grodzieńszczyzny i Chełmszczyzny, skarżący się Kudryńskiemu, że o Polaków władze bardziej dbają, bo same ich wyszukują i nie pozwalają wsiadać do wagonów.

Taka praca wymaga od polskich organizacji ofiarności. Podczas niej zaraza się tyfusem i umiera żona Stanisława Grabskiego, zaangażowana w pomaganie polskim uchodźcom. Podobnych przypadków jest więcej. Ale dzięki temu poświęceniu cel zostaje osiągnięty. „Ta bezkompromisowa postawa uchroniła wielu Polaków przed wywózką w odległe rejony Imperium” – napiszą potem historycy.

Władysław Grabski w wydanej w 1932 roku *Historii społecznej*, drugim tomie *Polski w czasie wielkiej wojny (1914–1918)*, będzie wspominał: „Gdy w Rosławiu utworzył się istny zator z parusettyśięcznych tłumów wygnańczych i gdy masy ich zmuszano tam do wsiadania do pociągów, które setki tysięcy Białorusinów powiozły wtedy nad Wołgę i na Syberię, C. K. O., wbrew rozporządzeniom i rozkazom władz, sam się rozporządził, by 5000 wozów z 45 000 polskich wygnańców zwrócono z szosy moskiewskiej w bok na południe do zamkniętej zupełnie dla wygnańców południowej części gub. mohylowskiej, gub. czernihowskiej i stamtąd z górą 18 000 osób przeprowadził następnie w powrotnym kierunku ze wschodu na zachód, z lewego brzegu Dniepru na prawy i w ten sposób znaczną ilość rodzin, zagrożonych wywiezieniem za Wołgę, rozmieścił w gub. kijowskiej, wołyńskiej i podolskiej.

Tylko świadomej akcji C. K. O. można przypisać ten wielce znamienity fakt, że Polacy, a głównie włościanie polscy, zostali rozmieszczeni stosunkowo bliżej kraju niż inni wygnańcy”.

Wielu Polaków, głównie chłopów, osiada na terenach dzisiejszej Białorusi i Ukrainy. Nie bez znaczenia jest fakt, że w tym czasie blisko połowa ziemi znajduje się tu

w rękach Polaków. Pomagają oni stworzyć struktury pomocowe, dają pracę przybywającym polskim chłopom.

Rozmach i skala działania polskich organizacji pomocowych robią wrażenie. To nie tylko Centralny Komitet Obywatelski; także Polskie Towarzystwo Pomocy Ofiarom Wojny w Rosji z podobnie jak CKO rozbudowanymi strukturami oraz wiele innych, często lokalnych organizacji. Działają tu niemal wszystkie znaczące polskie partie, pomoc uchodźcom wpisują one do swoich programów.

Oczywiście nie mogą w tak krótkim czasie objąć opieką wszystkich Polaków. Spora ich część nie trafia na swojej drodze na przedstawicieli polskich organizacji. Zostają rozrzućeni po całym Imperium, w tysiącach miast, miasteczek, a jeszcze częściej – zapadłych wsi. Polskie organizacje będą się jednak starały odnaleźć ich i nawiązać z nimi kontakt.

*

Mieszkańcy Hostynnego, dzięki batiuszce Kotorowiczowi, załadowani do wagonów wraz z końmi i wozami, po kilku tygodniach dojeżdżają do Samary. Tu panuje już mróz. W punkcie pomocowym wydają im zapomogę oraz obrok dla koni i każą szykować się do dalszej drogi. „Część ludzi pojedzie do Taszkientu, a druga – do Omska” – zapowiadają. Gdy Kotorowicz idzie błagać urzędników, by nie rozbijać rodzin, nie rozdzielać sąsiadów, rozdzielone składy odjeżdżają. Zostaje na stacji sam.

*

Prosił o gubernię samarską, a trafił do Samarkandy – żartują przewodnicy Związku Ziemstw i Miast. Ale nie jest im do śmiechu. W ich sprawozdaniach jest wiele żalu i goryczy. Najwięcej chyba pod adresem kolejarzy, zwłaszcza tych niższego szczebla. Przewodnicy zarzucają im złą wolę i złośliwość: nie chcą udostępnić wagonów, dają je dopiero po interwencji u przełożonych; nie sposób dowiedzieć się, kiedy pociąg odjedzie. Stoi wiele dni, a gdy przewodnik oddała się na chwilę, wtedy niespodziewanie rusza. Ten goni go innym składem, ale tam, gdzie pociąg miał być zgodnie z informacjami od kolejarzy, nie ma go. I nikt nic nie wie o jego losie. Albo – to najczęstszy zarzut – kolejarze wielokrotnie zmieniają destynację, dzielą składy tak, jak im się podoba. A to rozbija wsie i rodziny. Niszczy naturalne związki bieżenców. Jedyne, co im na świecie pozostało.

Przewodnik podpisany jako T-ki wiezie „swoich” bieżenców do Kostromy – tam jest już ich starosta, będą mogli wspólnie się urządzać. „W Orłowie jednak skierowano ich do Ufy, przy czym dwa wagony odczepiono i przyłączono do innego pociągu”.

Inny przewodnik skarży się: „Wieczorem mieliśmy odjechać. Decyzją dyżurnego stacji kilka naszych wagonów zostało odczepionych od pociągu, przyczepiono za to 12 wagonów udających się w innym kierunku i należących do innego przewodnika. Wielokrotnie prosiliśmy, by nasze przyczepiono z powrotem, a cudze odczepiono, na co początkowo słyszeliśmy: »Dobrze«, a potem: »Takie dostaliśmy zarządzenie«. W międzyczasie przyczepiono do naszego pociągu lokomotywę i o odczepianiu wagonów nikt nawet nie myślał. Na pytanie, czy zaraz to zrobią, usłyszałem, że pojedziemy w takim składzie, jaki jest. Oddali nam nasze wagony dopiero, gdy zagroziliśmy, że w tej sytuacji zmuszeni jesteśmy telegrafować do dyrektora oddziału”.

Czasem pomaga prośba, czasem groźby, czasem nic nie działa. „Bieżeńcy pytają, dokąd ich wysyłają, i nie możemy im dać żadnej pewnej odpowiedzi” – rozkładają ręce przewodnicy.

*

Księdzu Kotorowiczowi jeszcze tej samej nocy udaje się dogonić parafian. Gdy do nich dojeżdża, część jednak odprawiono już do Omska, na Syberię. Pozostali rzucają się ze złością na ukochanego dotychczas batuszkę. „Ludzie płaczą, nie chcą się rozstawać, kłócą się i klną. Ktoś nawet zarzucił mi, jakobym wybrał sobie »lepszych«, tak by »gorsi« zamarзли w Sybirze!” – pisze ksiądz Kotorowicz.

Zakłada szaty duchownego i idzie do naczelnika stacji. „Był widocznie dobrym człowiekiem – od razu zatelefonował, by zawrócono pociąg. W związku z tym musieliśmy wyjechać, nie czekając na powrót tegoż pociągu, zostaliśmy jedynie zapewnieni, że do nas dojedzie”.

Tak słodkiej kapusty Zofia nigdy nie jadła

Przewodnik podpisany w sprawozdaniu jako G., obejmując pociąg z bieżeńcami, dostaje mapę. Zaznaczono na niej punkty żywieniowe na trasie, w których mają otrzymać ciepłe posiłki. Wydają się one zlokalizowane tak, że nikt nie powinien głodować. Ale już na jednej z pierwszych zaznaczonych stacji, w Kinielu, figurującego na mapie punktu nie ma. Dyżurny wzrusza tylko ramionami. „Żadnego punktu żywnościowego tu nie ma i nigdy nie było”.

Jadą dalej. „W Bugurusłaniu punkt był, ale na moje usilne prośby o nakarmienie bieżeńców kierownik odpowiedział, że punkt powstał na potrzeby wojskowe i obsługuje tylko pociągi z jeńcami wojennymi” – relacjonuje G. Odjechali głodni.

Przewodnicy Ł. i S. mają pod opieką czterdzieści osiem wagonów z 1189 bieżęcami. Trasa jest przepełniona bieżęciami, więc długo czekają, aż będą mogli ruszyć. Nie dojeżdżają do stacji, gdzie mieli dostać jedzenie. Próbuje zatem zdobyć je sami. W sklepach i magazynach w najbliższym miasteczku znajdują tylko kilka bochnów chleba, słoniny nie ma w ogóle. „Przed odjazdem w dalszą drogę wysłaliśmy telegram do punktu żywieniowego w Jelcu, by przygotowali gorący posiłek naszym bieżęcom. Przyjechaliśmy tam jednak o pierwszej w nocy i punkt żywieniowy był zamknięty. Po naszych usilnych prośbach wydano nam biały i ciemny chleb, cukier i herbatę”. Dopiero w kolejnym punkcie, do którego docierają po południu, dostają zupę.

*

Kierownik punktu w Poczepie jednego dnia musi wylać całą ugotowaną zupę. Nie przyjechał żaden pociąg z bieżęcami. Następnego dnia już w południe brakuje jedzenia. Pociągi jadą jeden za drugim, z nich wysypują się głodni ludzie. Gdy przyjeżdżają dwa ostatnie, garnki są już puste, zapasy wyczerpane. Bieżęcy nie dostają nic.

Kierownik prosi więc na stacji w Homlu, by codziennie telegrafowali i podawali liczbę bieżęców, jaką wysyłają w ich kierunku. Wtedy będzie wiedział, ile jedzenia przygotować, tak by starczyło dla wszystkich. Nie będzie też musiał nic wylewać.

Ten pomysł bardzo podoba się przewodnikom. Telegrafują na kolejne stacje, by tamtejsze punkty przygotowały jedzenie ich bieżęcom. Sprawozdania pokazują jednak więcej rozczarowań niż sukcesów w tych działaniach. Przewodnik T.: „Bieżęcy przez trzy dni nie dostali ciepłego posiłku. W Nowozybkowie gotowano im zupę, ale władze stacji zdecydowały, że pociąg odjedzie, zanim jedzenie było gotowe”.

*

We wspomnieniach Zofii Oleszczuk nie ma przewodników ani sióstr miłosierdzia. Widocznie nie trafili do ich pociągu. Jest za to dobry maszynista. Raz zatrzymuje się w polu z dojrzałymi słonecznikami. Ludzie wyskakują, zaczynają zrywać. Gdy pociąg trąbi, większość z nich rzuca słoneczniki i leci do wagonów. Tylko najmłodszy, w tym Zofia, może nieświadomi ryzyka, rwać dalej. Maszynista na nich czeka; dzieci przez resztę drogi będą miały co łuskać.

Innym razem zatrzyma pociąg obok pola kapusty; po kilku minutach zostaną po niej tylko sterczące głąby. „Tak słodkiej kapusty nigdy nie jadłam” – będzie wspominać Zofia.

W pociągu, dzięki Bogu, wszyscy zdrowi

W pociągu prowadzonym przez siostry podpisane jako Ży-wa i Ł-na jedzie tysiąc sto dwadzieścia osób. Wykaz chorób z ich sprawozdania zajmuje całą stronę biuletynu Związku Ziemstw i Miast – w sumie opisano tu dwadzieścia pięć jednostek.

U niemal wszystkich bieżęćców rozstrojony jest żołądek. Gdy tylko pociąg się zatrzyma, masa dorosłych i dzieci wyskakuje za potrzebą. Osiemnaścioro dzieci cierpi na przewlekłą biegunkę. Jedno zachorowało właśnie na tyfus, troje ma odrę, a u czworga pojawiły się powikłania po przebytej szkarlatynie. Pięćdziesiąt sześć osób ma gorączkę. Siedemdziesięciu dorosłych i trzydzieścioro dzieci kaszle, dwadzieścia jeden osób ma bronchit, sześć – zapalenie płuc. Na czerwonkę choruje osiemnastu dorosłych i ośmioro dzieci. Osiem osób jest poparzonych i wciąż dochodzi do kolejnych poparzeń. Trzydzieści cztery osoby zmagają się z trudno gojącymi się ranami, a dziesięć cierpi na dotkliwy ból oczu. W wagonach wciąż dymią ogniska czy piecyki, dym wgrzyza się w oczy. U niektórych zaczynają one łzawić, powieki puchną, wydobywa się spod nich ropa. Panoszą się też choroby weneryczne, ale do nich ludzie przyznają się niechętnie; wiadomo o pięciu przypadkach w pociągu. No i porody. Urodziło się czworo dzieci; na szczęście obeszło się bez komplikacji.

Podobnie jest w innych składach. Gdy siostry na początku podróży obchodzą wagony i pytają o chorych, słyszą jednak niezmiennie: „Dzięki Bogu wszyscy zdrowi”. Ludzie nie chcą ujawniać chorych, bojąc się, że wysadzą ich z pociągu i zaginą albo i umrą samotnie. Pochować nawet nie będzie komu. „Gdy zauważyłam, że ludzie tak się zachowują, po wejściu do wagonu zaczęłam tłumaczyć, że nikt nie zabierze ich chorych – piszą w sprawozdaniu siostry Ży-wa i Ł-na. – Damy im tylko lekarstwa, spróbujemy podleczyć w pociągu. A jeśli będzie potrzeba zabrania do szpitala, chory nigdzie nie zginie. Rodzina dostanie adres szpitala i będą mogli go odnaleźć po wyleczeniu i dalej być razem. I co się okazało? Że dezynteria ukrywa się wszędzie, w głębokich kątach i pod narami [pryczami]”. Ujawniły się także choroby zakaźne, o których wcześniej nikt nie mówił.

Ta wiedza na niewiele się siostronom jednak zdaje. Wiele z nich nie zaopatrzone nawet w apteczkę. Same ją kompletują po drodze, ale nie mogą dostać lekarstw na większość chorób. „Od piątej rano – czytam w kolejnym sprawozdaniu – gdy tylko bieżęćcy zaczynają się budzić, prowadząca pociąg siostra zaczyna obchód. Ale przy braku jakiegokolwiek apteczki, ogranicza się on właściwie do policzenia chorych. Siostra może dać co najwyżej kilka kropli »tinct. opi i Simpl.« na rozstrój żołądka”.

Zgodnie z instrukcjami otrzymanymi przez pielęgniarki, bieżenców na stacjach powinien zbadać lekarz. Siostry Ży-wa i Ł-na piszą jednak, że opieki lekarskiej w zasadzie nie było: „W Brińsku lekarz w 5 minut obszedł cały nasz pociąg, nie stwierdzając u nikogo żadnej choroby. W tym mieście 2 sieroty wzięto do przytułku. W Orle nikt nie przyszedł oglądać naszego pociągu: lekarz Związku Ziemstw nie chciał, siostr miłosierdzia nie potrzebowaliśmy. Na stacji Wierchowcie lekarz przeszedł obok pociągu, bieżenców o nic nawet nie spytał. W Jelcu po naszych usilnych prośbach dali felczera [...], którego poprosiliśmy o zabranie do szpitala człowieka z ostrą postacią czerwonki. Zapisał dane, ale zabrać nie mógł – rodzina gdzieś go tak ukryła, że nie sposób było odnaleźć. Na stacji Griazi lekarza nie było. Wszystkich obsługiwała felczarka, która przed nami odprawiła 3 pociągi i ze zmęczenia ledwo stała na nogach, do nas więc już nie przyszła. W miastach Kozłow, Tambow, Kirsanow nie było żadnej pomocy medycznej. 22 października [4 listopada] na stacji Rtiszczewo nasz pociąg obejrzał lekarz Związku Miast. Bez sprzeciwu wchodził do wagonów i dokładnie badał chorych. Na naszą prośbę zabrał chorego na gruźlicę chłopca; wszyscy chorzy dostali lekarstwa, do tego lekarz nakazał w punkcie żywieniowym wydać chorym mleko. Bardzo dobrze też zajęli się naszymi ludźmi dwaj lekarze – jeńcy wojenni: Turek przyjmował chorych w ambulatorium, Austriak chodził po wagonach i wyszukiwał chorych. Od Penzy do stacji docelowej nie przyszedł do nas żaden lekarz”.

Na stacji docelowej, gdzie siostry „zdają” swój transport, lekarz cały czas jest zajęty. Nie wychodzi do bieżenców, nie spotyka się z siostrami, nie odbiera ich raportu o stanie przybyłych.

*

„Wieczorem nie sposób było wyjść z naszych *tiepluszek* – piszą dalej siostry Ży-wa i Ł-na. – Cały pociąg płakał. Dzieci z chłodu, dorośli – z chłodu i głodu. Drewna przecież albo dają bardzo skąpo, albo w ogóle nie dają. By nie zamarznąć, musimy albo kraść, albo rąbać przydrożne słupy. Nawet u nas, w ogrzewanym wagonie przewodników, było tak strasznie zimno, że odrywaliśmy deski z wagonu i rąbaliśmy je na opał. A co dopiero mówić o bieżencach... Drewno i świece zdobywamy albo prosząc ze łzami, albo robiąc wielką awanturę”.

Warunki higieniczne to kolejna beznadziejna sprawa. „Nigdzie nie mogliśmy umyć rąk – relacjonują siostry. – I tak, po zbadaniu weneryka szłam do małego dziecka. Nie dali nam żadnych środków do dezynfekcji rąk, gdybyśmy je nawet mieli, nie było gdzie myć rąk. Straszne też było przyjmowanie chorych w tym wagonie, w którym

mieszkaliśmy. U bieżeńców była masa różnych insektów, one natychmiast lały na nasze fartuchy, włosy. W takich warunkach przychodziło się jechać 2–3 tygodnie”.

„I my, zmęczeni fizycznie i psychicznie, czuliśmy się tak bezsilni. Nie mogliśmy pomóc bieżeńcom w ich beznadziejnym położeniu” – podsumowują swoje raporty przewodnicy i siostry miłosierdzia.

*

We wspomnieniach pamięć o tych szlachetnych młodych ludziach nie przetrwała. Może przewodnickich grup było za mało? Może większość tych, którzy przekazywali pamięć o bieżeństwie, na nich nie trafiła? A może ich wspomnienie zostało przykryte przez coś innego? Przez traumę drogi i wielotygodniowego czekania na pociąg, a potem – przez trud układania życia w nowym miejscu? Zdaje się, że bieżeńcy zapomnieli o szlachetnych przewodnikach i siostrach miłosierdzia z pociągów. Podobnie zresztą – i z tym łatwiej mi się pogodzić – jak nie pamiętali o nieuczciwych urzędnikach, cwanych policjantach, strażnikach złodziejach.

Ludzie-wrony i zwierzęta widma

Bieżeńcy już prawie wyjechali z Rohaczowa. Pozostały dopalające się resztki szalaszów i wciąż niesprzątnięte kupy końskich odchodów na ulicach. Oraz małe obozowiska poukrywane gdzieś w lesie. Jeszcze do niedawna bieżeńcy dawali łapówki, by dostać wagony. Teraz policja wyłapuje ich i siłą prowadzi na stację, gdzie od razu podstawiają im pociągi.

Mówi się, że bogatsi chłopcy nie chcą wyjeżdżać. Dlatego się pochowali. Że to głównie bieżeńcy chełmscy i lubelscy; często Polacy. Kudryński chciałby ich poznać, idzie więc do lasu. Spotyka pojedynczych ludzi, którzy widząc go, gwizdzą albo kraczą niczym wrony, jakby dawali umówione znaki. Odpowiadają na pozdrowienia, ale rozmawiać nie chcą. Zaraz po tym, gdy się z nim miną, skręcają z drogi i gdzieś znikają.

*

Podczas jednej z takich wędrówek uwagę Kudryńskiego przykuwa dziwny dźwięk. „Ni to gwizd, ni to koncert. Na początku – pisze Kudryński – brałem to za zwyczajny śpiew telegraficznych słupów, ale im dalej szedłem, tym dźwięki stawały się głośniejsze. Ba, toż to stada! Wpatrując się w dal, ujrzałem na łące, na szerokości 2–3 wiorst poruszające się gęsto zbite stado trzody. Zboczyłem z szosy i ruszyłem w jego kierunku. Krowy nie mają czego jeść, stoją więc i ryczą. Niektóre już dogorywają, tu i tam leży padlina.

Odoru jeszcze jednak nie ma. Stado wrywa zżółkłą trawę, wacha suche kępy, liże piasek. I ten ich przejmujący ryk, jakby przeczuwały zbliżającą się śmierć”.

Nadchodzi chłop, którego Kudryński bierze za pastucha. Zaczynają rozmowę:

„Skąd przygnaliście to stado?”

„Znikąd. One dzień i noc stoją w lesie. Intendenci je tu spędzili”.

„I zdychają...”

„A jak mają nie zdychać, gdy jeść nie mają czego?”

„A dlaczego by nie podzielić tego stada na mniejsze? I części nie przegonić na przykład na drugą stronę, za Druć?”

„O nie, nie trzeba. Tam linia kolejowa, różne naczałstwo jeździ, niedawno car przejeżdżał. Wojsko »na Bułgarów« jechało^[35]. Nie można carowi czegoś takiego pokazać. Niech lepiej tu zdycha”.



[^] Bieżeńcy w okolicy wsi Kownaty na pograniczu litewskim

Chłop odchodzi. Z lasu wyłania się beczące stado owiec. Z pochylonymi głowami, jakby czegoś szukały, idą po drózkach i ścieżkach. Są żywsze, bardziej ruchliwe niż krowy. Rozbiegają się. Lecą, gdzie popadło, zawsze coś znajdują. Kudryński długo im się przygląda. Nie widzi pastucha tego stada.

„Nie od Niemców my giniemy. Nie oni są naszymi największymi wrogami, ale my sami. Słyszycie, jak zwierzyna ryczy? Myślicie, że to ku dobremu? Głód idzie! Nieporządek, rozruchy!” – mówi Iwan Czebreczuk, napotkany w lesie chłop z folwarku Horostyta pod Włodawą w guberni chełmskiej. On próbuje zostać w okolicy Rohaczowa. Nie chce już jechać dalej, wolałby jak najszybciej wrócić do siebie. Ma szczęście – przyjął go do domu chłop w jednej z okolicznych wiosek, za trzy ruble opłaty miesięcznej. Iwan próbuje zarabiać jako cieśla; obchodzi okoliczne dwory. Ale teraz nikomu nic niepotrzebne, nikt nie chce budować, rozbudowywać, naprawiać. Wszyscy boją się, że i tu przyjdzie Niemiec. Zarobku więc nie ma. Jeść bieżęcom dają w punkcie żywieniowym, ale i ten zaraz zamkną. Jeszcze do niedawna codziennie była zupa, od wczoraj tylko chleb. Bieżęców zostało w okolicy niewiele. „Co będzie dalej?” – pyta Kudryńskiego Iwan Czebreczuk. Ale nie spodziewa się odpowiedzi.

*

Wracając z leśnej wyprawy, Kudryński wciąż natyka się na kolejne akty zwierzęcego dramatu.

Patrzy w wielkie ciemne źrenice białej krowy, która leży przy drodze i nie ma siły się podnieść. Kona. Potem, przy moście, widzi bieżęńską rodzinę. Matka i dzieci zbierają pojedyncze źdźbła trawy i zielska, cokolwiek znajdą w ogołoconej okolicy, i podtykają kolejnej leżącej krowie, pewnie ich własnej, gładząc po wychudłych bokach. Zwierzę bierze źdźbła w pysk, ale przeżuć już nie da rady.



[^] Tyle pozostało po bieżeńskim obozie

*

Na rohaczowskim peronie na odjazd czeka już jedna z ostatnich bieżeńskich grup. Kilkunastoletni chłopak coś pisze na kartce. Kudryński zagląda mu przez ramię – cała wypełniona jest imionami, przy każdym stoi numer.

„To ziomkowie, ludzie w mojej wsi. Żebym nie zapomniał” – mówi chłopak. Na kartce jest też sto osiemnaście numerów.

„A ile było wszystkich ludzi we wsi?” – pyta Kudryński.

„Ze trzy setki...”

„Wszystkich pamiętasz?”

„Tak. Wspominam ich wszystkich domami, po kolei... Bardzo miło jest tak ich przypominać i zapisywać”.

Przywieźli nas nad Wołgę, by potopić

To zdjęcie lubię najbardziej ze wszystkich bieżeńskich, które widziałam. Cztery kobiety na drewnianym, grubo ciosanym, surowym pomoście. Za nimi sterta beczek ułożonych jedna na drugiej. Każda z kobiet trzyma dziecko. Obejmują je obiema rękami, mocno

przycupają. Nie czują się tu pewnie. Siedzą niemal na krawędzi wysokiego pomostu, nad samą rzeką. Jeden nieostrożny krok i dziecko wylądnie w wodzie. Jedna z kobiet przycupła dwoje maluchów. Dodatkowo kilku-, może ośmioletni, chłopczyk przycupł u jej stóp. Wszyscy spoglądają w dal. Niby spokój, jak to nad rzeką. Ale z tego zdjęcia czuć lęk.

Rzeka. Potężna, kobiety z pewnością nigdy podobnej nie widziały. Z innego świata niż ich Narew, Supraśl, Sokołda, Bug czy nawet Wisła. Przychodzi mi do głowy, że to prawie morze, ale one pewnie o morzu nie mają pojęcia, bo skąd? W oddali majączy brzeg. Na zdjęciu to właściwie cienka kreska. W jego kierunku patrzą kobiety. Co je tam czeka?



[^] Biezenki przybyły do Astrachania nad Wołgą i czekają na dalszą podróż



[^] Bieżeńcy odprawiani z Astrachania do wsi docelowych

Jedna z kobiet, ta z trojgiem dzieci, spuściła wzrok. Trzy pozostałe wpatrują się w ziemię obiecaną po drugiej stronie. Może ta jedna wciąż myślami jest jeszcze w świecie, który właśnie zostawia? Przypomina sobie Narew, która płynęła za stodołą i której może już nigdy nie zobaczy? Albo wspomina zmarłego męża czy starych rodziców, których trupy zostawiła przy drodze? Może w duszy opłakuje swoje czwarte dziecko, którego nie dała rady wyrwać chorobie?

Gdy widzę to zdjęcie po raz pierwszy, mam wrażenie, jakbym zobaczyła swoją babcię Nadzię albo prababcię Annę Prymakę z trzyletnią Lubą na rękach. Te wszystkie kobiety, które z babcią Nadzią wspominały *Rasieję*, gdy jako kilkuletnia dziewczynka bawiłam się obok. Zaraz zostawią bezpieczny ląd i wsiądą na statki, które powiozą je nie wiadomo gdzie.

*

„Gdy pociągiem dojechaliśmy nad rzekę Wołgę, bieżeńcy zaczęli płakać, że Rosjanie nas tu przywieźli, żeby potopić. Trzeba było ludzi siłą zmuszać, by wsiadli na

przygotowane dla nich statki” – wspomina Piotr Sołowiej, wtedy dziewięcioletek, w tomie *Biezaństwa 1915 hoda*.

Zdarzało się, że ludzie, którzy po raz pierwszy zobaczyli pociąg, nie chcieli do niego wsiadać. Potem przez długie tygodnie wagony były ich domem, tu poczuli się bezpiecznie. Teraz muszą wejść na pokład statku. Idą w kolejne nieznanne.

*

Siostra Ży-wa i Ł-na przywiozły swój transport do stacji Dawlekanowo, sto kilometrów od Ufy. Tu już mróz, zima. Bieżeńcy słyszą, że dalej pojedą końmi sto pięćdziesiąt–dwieście wiorst. „Płakali, że nie wytrzymają chłodu. Rzeczywiście nie do pomyślenia było, by ci niemal goli ludzie mieli jechać w tak długą drogę”. Wielu z nich jest bez butów; dzieci zawinięte jedynie w lichą, porwaną chustkę.

Człowiek podpisany jako Rudniew, pełnomocnik oddziału do spraw bieżeńców notuje: „W Kindiakowie 28 września [11 października] bieżeńcy z całego pociągu zostali przesadzeni na podwody i wysłani do b-kiego powiatu. Ziemstwo nakazało wszystkim jadącym z podwodami, żeby przywieźli ze sobą odzież wierzchnią, by wspomóc nią bieżeńców. I ta odzież uratowała od śmierci niejedno bieżeńskie dziecko, które w ogromnej większości jadą niemal nagie”.

*

Babcia Nadzia, jadąc w bieżeństwo, jest jeszcze panną. Jej najstarsza córka urodzi się w 1921 roku. Nie może być więc żadną z kobiet ze zdjęcia, siedzących na pomoście nad przypominającą morze rzeką. Już prędzej mogłaby tam być przyszła teściowa Nadzi, prababcia Anna, ze swoją najmłodszą córką Lubą.

Ale żadna z nich nie mogła tam być. Zdjęcie zostało zrobione w Astrachaniu nad Wołgą. Zarówno babcia Nadzia, jak i rodzina prababci Anny pojechały do Stawropola, na Kaukaz, dokładniej – na Przedkaukazie. Rzeka w ich opowieściach będzie się pojawiać, ale dopiero w późniejszym czasie. Gdy jesienią 1915 roku cztery kobiety z sześciorgiem dzieci siedzą na pomoście, one mogą wypatrywać swojej przyszłości przez szpary wagonu towarowego. Dojeżdżają już do Stawropola. Gdy pociąg zbliża się do miasta, widać je jak na dłoni. Na jednej z rosyjskich stron internetowych znajduje zdjęcie przedrewolucyjnego Stawropola, właśnie z perspektywy pociągu. Na zboczu rozłożystego wzgórza rozrzucone są niskie murowane budynki. Na płaskim szczycie – kopuły okazałej cerkwi, obok, niczym minaret – strzelista dzwonnica.

Nie wiem, czy moje babcie widziały ten obrazek przez szpary swojego wagonu. Możliwe, że były już zbyt zrezygnowane i zmęczone, by patrzeć. Może wciąż jeszcze

bardziej interesował je ten swojski świat, który zostawiły. Albo wszystko im już zobojętniało?

Matuszka Rossija

Tak dobra matka wita swoje dzieci

Rodzina Tichona Trochimiuka z Kleszczeli dojeżdża do Rostowa nad Donem na początku listopada. W wagonie tłoczy się sześć rodzin, nikt jednak nie narzeka. Jest ciasno, ale przynajmniej ciepło. Nie to, co w bieżęńskim obozie w Żłobinie nad Dnieprem. Tam tuż przed odjazdem padał już śnieg, wiał mroźny wiatr. Żał tylko konia, który wiózł ich ponad sześćset kilometrów od domu i wciąż był silny. Musieli sprzedać go za bezcen.

W Rostowie pociąg stoi kilka dni, w końcu rusza. Dokąd jadą? Ile czasu będą jeszcze w drodze? Nie mają pojęcia. Lokomotywa powoli ciągnie sześćdziesiąt towarowych wagonów. Na pierwszej stacji odczepiają dwa ostatnie; na następnej – dwa kolejne. Po dwóch dniach podróży, w nocy, przychodzi czas na wagon Trochimiuków. „To była stacja Karpowska [raczej Karpowka], 40 wiorst od miasta Carycyn [później: Stalingrad; dziś: Wołgograd] – opowiada Tichon w tomie *Bieżanstwa 1915 hoda*. – Rano przyjechały na stację podwody. Do naszego wagonu podszedł chłopak, lat z osiemnaście, i mówi: »Kto chce jechać do chutoru Bierasławskiego, 4 wiorsty od stacji, mogę zaraz zawieźć, jest przygotowana kwatery, ojciec zaprasza«. Wóz jest zaprzężony w parę gładkich, tłustych koni. „Jak ktoś ma takie konie, dobrze mu się powodzi. Może i nam będzie tam dobrze?” – myśli ojciec Tichona. Zgłasza się. Po dwudziestu minutach są na miejscu.



[^] Przyjęcie uchodźców na dworcu w Niżnym Nowogrodzie; lokalni dostojnicy chętnie pozują na tle „biednych” bieżęców

*

Roman Bagrowski z Suchowolców: „Pociągiem dojechaliśmy do celu: gubernia rzyńska, wioska Bolszoje Pirogowo. Tam zaprowadzili nas na kwaterę. Po wielotygodniowej tułaczce w kurzu i smrodzie łóżka z czystą pościelą i zwyczajna domowa cisza wydawały nam się rajem. Natychmiast zasnęliśmy. Gdy się obudziliśmy, na stole stał chleb, bułki i mleko”.

Gdyby kręcić film z opowieści o bieżęństwie, ta scena musiałaby się w nim znaleźć. Pościel, obowiązkowo bielutka, nakrochmalona, pachnąca świeżością. Dodatkowo, gdy przybyli ludzie zasypiają, za oknem pada deszcz. Rano wychodzi jasne słońce; to nic, że akurat zaczyna się zima. Promienie przebijają przez zasłonki, tańczą po śpiących twarzach. Jasne przebudzenie po koszmarnym śnie. Nowa rzeczywistość.

*

Chutor Bierasławski, do którego zdecydowali się jechać Trochimiukowie, jest niewielki – dwadzieścia dwa dwory. Ich osiedlają w małym domku zbudowanym z gliny: cztery na sześć metrów, większą część izby zajmuje gliniany piec, na którym zimą będzie spać ich cała siedmioosobowa rodzina. Gospodarze mieszkają obok; w większym i okazalszym budynku. Tichon Trochimiuk: „Przyjęli nas tak, jak dobra matka wita dzieci po długiej rozłące. Gospodyni przyniosła dwa bochny białego pszenicznego chleba i gorący mięsny obiad. Wieczorem gospodarz przyniósł lampę i 10 litrów nafty. Pokazał na pryzmę słomy obok chaty: »U nas palą słomą. Grzejcie, nie żałujcie, w domu musi być ciepło«. Wkrótce chata się zapełniła – przyszli okoliczni ludzie. Z pustymi rękami nikt nie szedł. Nieśli wielkie bochny chleba, kilka kilogramów mięsa czy słoniny”.

*

Dostatek. Jedzenia tyle, ile dusza zapragnie. „Mnóstwo mięsa wołowego, całe krowy pomrożone, tylko skóra zdjęta, stały przy ścianie, jedna przy drugiej. Gdy było trzeba, odrąbywało się kawałek. Baraniny też dużo było” – wspomina Zofia Oleszczuk, która trafiła do guberni permskiej.

Podobne opisy czytam w tomie *Bieżanstwa 1915 hoda*, wiele ich we współczesnych opowieściach. Że gdy Kozak nad Donem spodziewa się gości, idzie do kurnika, macha toporem i ile kogutów zabije, tyle bierze. Jeśli mało, macha jeszcze. Nikt tu jedzenia nie wydziela. Jest dostatek mleka i sera. W Permie na bazarze najmniejszą miarką masła jest wiadro; normalnie sprzedaje się je w „półbeczkach”.

No i chleb. Puszysty, z białej pszennej mąki, w złocistych bochenkach. Piecze się go codziennie, a wczorajszy wyrzuca świniom jako nieświeży. Jakby Wielkanoc była tu codziennie. Tam, skąd przyjechali, biały chleb był tylko w wielkie święta, a na przednówku brakowało nawet czarnego. Gospodarz wydzielał każdemu porcję, a pozostały chował.

Do tego ludzie. Niespotykanie dobrzy. Przyjmują pod swój dach albo wpuszczają do domu, w którym na co dzień nie mieszkają. Potem znoszą taką ilość jedzenia, jakiej bieżęncy nigdy nie widzieli. Pomagają, jak mogą. „O nas bardzo dbali, i dlatego ci, co byli w bieżęństwie, ciepło wspominają naród rosyjski, bo lepszego w świecie nie ma” – wspomina Mikołaj Panfiluk z Dubicz Cerkiewnych w *Bieżanstwie 1915 hoda*.

*

Z wielu bieżęńskich opowieści, zwłaszcza tych spisanych po latach, wyłania się obraz Rosji jako krainy mlekiem i miodem płynącej. Ziemi obiecanej.

Chciałoby się w to uwierzyć. Po takim koszmarze należy się ludziom życie w spokoju i dostatku. Wystarczy jednak poczytać podręczniki historii, by zobaczyć daleki od rajskiego obraz Imperium. Wprawdzie przed wojną kraj przeżywa swoisty rozkwit. Zaczyna się rozwijać przemysł, wskaźniki skaczą z roku na rok, rosną miasta, przybywa robotników. Ich życie niekoniecznie jest jednak słodkie, chłopskie zresztą też. Trzy czwarte mieszkańców Rosji żyje z rolnictwa, a to, mimo rozpoczętych prób reform, jest zacofane (choć na żyznych, bogatych terenach można spotkać bardzo jak na tamte czasy nowoczesny sprzęt rolniczy). O pomyślnym zaopatrzeniu kraju w żywność decydują dobre urodzaje, gdy zdarza się susza, niektóre regiony głodują. Wojna i ogromne nakłady na nią obnażają słabość kraju. Brakuje wszystkiego, nie tylko broni i amunicji. Szwankuje zaopatrzenie; słaba infrastruktura transportowa nie pozwala dowieźć do miast żywności z urodzajnych terenów. Dalsze prowadzenie wojny umożliwiają jedynie gigantyczne kredyty. I tak niewysoki poziom życia rosyjskich mas wciąż spada. Chłopi i robotnicy zaczynają się burzyć.

*

Perspektywa przybyłych bieżenców może być inna niż ogarniających całość badaczy tematu. Podróż po ówczesnej guberniach ufijskiej i samarskiej zaskakuje nawet Jana Glinkę, syna Władysława, znającego wskaźniki, krytycznego wobec Imperium. „Przy nieprawdopodobnym braku organizacji gospodarczej kraju i słabym rozwoju techniki – pisze w liście do ojca – nie można nie podziwiać niezwykłego bogactwa tej części Rosji. Łatwo sobie wyobrazić, co by mogły produkować te olbrzymie przestrzenie czarnoziemiu i łąk o soczystej i wysokiej trawie, porznięte spławnymi rzekami, pełnymi ryb!”

Chłopi przybywający z piaszczystego, niezbyt żyznego Podlasia czy Mazowsza, bez horyzontów Jana Glinki, studiującego przed wojną filozofię w Genewie i agronomię w Lipsku, widzą tylko urodzajną ziemię i plony, jakie daje. Musi to na nich robić gigantyczne wrażenie. Jeszcze ich potomkowie pod Sokółką, Bielskiem, także Ostrołęką i Łomżą, będą opowiadać nieprawdopodobne historie. O pszenicy, która bez obornika (tu suszy się go i pali w piecu) rośnie tak, że człowieka z koniem przykrywa. Ba – zdarza się, że z jednego ziarna wyrasta kilka grubych kłosów. Czasem zaczynają się one od samej ziemi, pustej słomy nie ma. Konie rosną tu większe, krowy dają lepsze mleko, w rzekach można złowić rybę tak wielką, że trudno sobie wyobrazić.

*

Często mam wrażenie, że te baśniowe opowieści o dostatku mogą nie tylko opowiadać o przeżyciach, lecz także odgrywać jakąś inną rolę.

Próbuję się wczuć w docierających gdzieś na Syberię czy nad Don ludzi. Przyjeżdżają wynędzniali, często chorzy, cały ich świat zniknął, część bliskich umarła. Przeżyli – może wciąż przeżywają? – traumę. Trudno mi uwierzyć, że po nocy w białej pościeli wstaje słoneczny poranek; nowa, jasna rzeczywistość. Że kąpiel w rosyjskiej bani zmywa z nich dramat podróży, a dostatek białego chleba zabliznia rany w sercu.

Próbuję zrozumieć, jak sobie radzą. Zastanawiam się, kim staje się człowiek, którego świat całkowicie runął. Z czego buduje nową rzeczywistość? Skąd czerpie siłę? Kim staje się cała społeczność, która utraciła wszystko?

Czytam wspomnienia po raz kolejny. Przy uważnej lekturze dostrzegam także trudności, nie tylko rzucający się na początku zachwyt nad urodzajem. Docieram do relacji spisanych na gorąco.

Na peronie czeka sam diabeł

Chłopi z Hostynnego dojeżdżają do Michałówki (prawdopodobnie chodzi o miejscowość, która nazywa się dziś Sarykemer) niedaleko Taszkientu. To ostatnia stacja; tu kończą się tory. Ludzie wyskakują z pociągu, natychmiast jednak wracają. Na peronie widzą postaci w kolorowych ubraniach. Ostre rysy, skośne oczy, długie nosy, poczerńiałe twarze. Tak może wyglądać tylko diabeł!

Wołają swojego batiuszkę Kotorowicza. Okazuje się, że to delegacja miejscowych Kirgizów oraz Sartów – tak nazywa się tu osiadłych mieszkańców miast pochodzących z plemion azjatyckich – wyszła przywitać bieżenców. Podają im bochen białego chleba i zapraszają na wysokie, dwukołowe wozy – arby, które stoją obok stacji.

*

Gdzieś w okolicy Taszkientu po trzytygodniowej podróży dojeżdżają też mieszkańcy Odrynek nad Narwią. Przez szpary w wagonach towarowych obserwują to, co widzieli parafianie z Hostynnego. Stojący na peronie Sartowie też ich przerażają. Ale bieżenci z Odrynek nie mają batiuszki, który wyszedłby do czekających, a potem uspokoił swoich, mówiąc, że to zwyczajni ludzie, tyle że tutejsi.

W końcu wysiadają; miejscowi zapraszają ich na przerażająco wysokie arby. Ktoś odważny pyta po rosyjsku: „Czy są tutaj tacy ludzie jak my?”. W odpowiedzi słyszą: „Nie, nie ma”.

Niektórzy zaczynają płakać.

*

Ludzie, którzy właśnie doświadczyli własnej odrębności w kontakcie z mieszkańcami sąsiednich guberni, teraz będą doświadczać różnorodności ludów zamieszkujących Imperium Rosyjskie. W okolicach Ufy zetkną się z Baszkirami, Tatarami i Chińczykami. W guberni samarskiej pojedą do wsi zamieszkałych przez Czuwaszy i Tatarów. Trafiają na Syberię, do Kazachstanu, Uzbekistanu czy na Kaukaz; z całym bogactwem żyjących tam narodów.

Krajobraz i klimat zdziwią przybyszów, ale chyba jeszcze bardziej różnorodność języków. Jak oni tutaj mogą rozumieć tę dziwną, do niczego niepodobną mowę? Rosyjską, polską, białoruską, ukraińską, prostą, swojską – każdą da się jakoś pojąć. Nawet żydowską. Ale to? Przecież to brzmi jak bełkot!

No i te zwyczaje. Niektóre trudno im zaakceptować. Ci, którzy zajechali daleko do Azji, widzą, że Chińczycy zakuwają dziewczynkom nogi w kłody, by u dorosłej kobiety zachowały dziecinne rozmiary. Przecież to, oprócz tego, że boli, czyni z dziewczynki kalekę na całe życie. Ledwo się na nich trzyma, o szybkim marszu, biegu czy pracy w polu nie ma mowy.

*

Przybysze z Hostynnego mają własne wozy, które dzięki batuszce załadowali do pociągu; nie muszą korzystać z budzących przerażenie kirgiskich arb. Okazuje się jednak, że urzędnicy chcą podzielić ich na małe grupki i rozsiedlić po całym powiecie. Podnosi się krzyk. Ksiądz Kotorowicz prowadzi długie rozmowy. Udaje się wszyskich rozmieścić w sąsiednich wsiach – Pokrówce i Grodikowie.

Tam spotyka ich niebywałe szczęście. Witają ich podobni do nich ludzie, mówiący w tym samym co oni języku! Okazuje się, że oprócz Kirgizów i Sartów mieszkają tu Ukraińcy przesiedleni wiele lat wcześniej^[36]. Dzięki nim ludzie z Hostynnego oswoją też tych, których początkowo wzięli za diabłów. Cały pobyt będą wspominać bardzo ciepło.

*

Opowieść Anastazji Opolskiej z pobytu wśród Sartów bywa dramatyczna. Chwilę po przyjeździe miejscowy urzędnik przestrzega bieżenców, by pilnowali dziewczynek. Może je ukraść ubogi Sart, którego nie stać na kupno żony.

Osiedlają ich w barakach. Obok w podobnych mieszkają kobiety z zakrytymi twarzami i szczelnie zasłoniętymi nogami. „To żony Sartów” – słyszą. Tych bogatych; taki może kupić sobie wiele żon.

Wszystko jest tu obce. Nawet nazwa miejscowości: Nowyj Czardżuj [raczej: Czardżuj, dziś: Türkmenabat]. Nie pomoże nawet wizyta z ojcem na miejscowym bazarze. Anastazji od kolorów mieni się w oczach, od słodkiej woni kręci w głowie. Ojciec kupuje po trochu wszystkich owoców, na spróbowanie. Gdy przynoszą do domu, matka krzyczy na ojca. Żal jej wydanych pieniędzy, których w tym nieprzyjaznym świecie mogą bardzo potrzebować.

Bieżeńcy z Odrynek nie nauczą się żyć w Czardżuju. Gdy nadejdzie wiosna i wszystko wokół zbudzi się do życia, nieprzyzwyczajeni do tutejszego klimatu, wciąż osłabieni podróżą i niedożywieni ludzie, zaczną chorować i masowo umierać.

Ta brzydka miejscina ma być Krymem?

Mieszkańcy Orchówka zatrzymują się na niewielkiej stacji Dżankoj. Wokół płaska równina, ani jednego drzewka. Brzydko, brudno. Gdy słyszą, że to już Krym, nie wierzą. Sam car ponoć przyjeżdża tu wypoczywać, ale gdzie tu piękno? W ich Orchówku wystarczy wieczorem wyjść na skarpe i spojrzeć na Bug. Albo rano, gdy nad wodą unoszą się mgły. Aż dech zapiera! A tu? Wszystko wyschnięte.

Do tego ludzie są niesympatyczni. Gdy pociąg się zatrzymuje, kobiety bieżeńskim zwyczajem między wagonami rozpalają ognisko i gotują. „Tu wam nie mińska gubernia” – krzyczy stróż, rozrzuca tłące się polana i gasi. Wyzywa od złodziei. „A drewno skąd wzięliście? Pewnie też ukradliście!”

Kolejarze każą im wysiadać. Orchowiacy odmawiają. W tym okropnym miejscu? Chcą jechać do Symferopola. Są przekonani, że w dużym mieście łatwiej znajdą pracę; tam działają też organizacje pomocowe, do których opieki zdążyli się już przyzwyczaić. Może przy okazji liczą też na awans społeczny, który daje miasto?

*

Najłatwiej osiedlić i wyżywić bieżeńców na wsi na żyznych terenach: nad Wołgą i Donem, na Syberii. Przemawia za tym dostatek jedzenia i powierzchnia chłopskich mieszkań, wiele rodzin ma tam po dwa domy – jeden letni, drugi zimowy. W mieście kwatery są drogie, budowa baraków specjalnie dla bieżeńców też kosztuje. Na wsi także, pod nieobecność powołanych na wojnę mężczyzn, potrzebne się ręce do pracy. W mieście z pracą bywają problemy.

Bieżeńcy mają więc być rozmieszczeni na urodzajnych wsiach; najlepiej podzieleni na małe grupki. To wydaje się rozsądne rozwiązanie. Dlatego prasa z tego okresu nie kryje zaskoczenia, że sami uchodźcy, choć przeważają wśród nich chłopci, często wolą zostać w miastach. Nie uśmiecha im się wiejska praca? No i dlaczego bieżeńcy nie chcą się rozdzielać? To jakieś fanaberie!

*

Orchowiacy w końcu wysiadają w Dżankuju na Krymie. „Zjawił się u nas naczelnik policji z członkami komitetu powiatowego i zaczęli namawiać, byśmy zostawali, bo w dużym mieście będzie jeszcze ciężiej. Potwierdził to miejscowy batiuszka. Uwierzyliśmy mu, wyładowaliśmy swoje rzeczy na podstawione podwozy i powieziono nas do osady” – pisze psalmista Paszczuk.

Zostają rozmieszczeni w czterech nieumeblowanych koszarowych domach i próbują się jakoś urządzać. Wieczorem przychodzą policjanci, by zaprowadzić wszystkich do łaźni. Choć od miesięcy się nie myli, orchowiacy są oburzeni. Tu było podobnie jak z barszczem. „U nas bania ma inne znaczenie jak w Rosji. Ludzie są przekonani, że chodzą do niej tylko Żydzi i żołnierze”.

Po kąpeli dostają zapomogi, *pajki* – po dwadzieścia kopiejek dziennie na osobę. Słyszą – pewnie od zajmującej się nimi organizacji pomocowej – że mają trzy dni na odpoczynek. Potem muszą iść do pracy. Jeśli ktoś zaproponuje im posadę parobka czy służącej, nie mogą odmówić.

Czy nie zarażą nas swoim tyfusem?

Do wsi przyjeżdża trzydzieści bieżeńskich rodzin. Osiedlają je w pustych domach z piecami (niektóre są typowo letnie); zima na dworze jest coraz ostrzejsza. Ludzi trzeba nakarmić, dostarczyć opału. Miejscowi zwracają się po środki do Związku Ziemstw i Miast, który przysłał bieżeńców. Ale tam pieniędzy na to nie mają. „Zwalili nam ich tu na głowę i róbcie, co chcecie” – rozkładają ręce urzędnicy.

Miejscowa starszyna zbiera się więc na naradę, by postanowić coś w sprawie opału. Drewna u nich nie ma, lasów jest mało, normalnie w piecach palą słomą. Już kilkakrotnie dawali snopy dla bieżeńców, ale jak tak dalej pójdzie, im samym do wiosny nie starczy. „Kto to widział? Oni dwa–trzy razy dziennie w piecu palą!” – denerwują się gospodarze. Przekrzykują się nawzajem. „Rano gotują śniadanie, w dzień obiad, a wieczorem kolację! Wszystko ma być gorące! A czy oni nie wiedzą, że my każdy snop oglądamy kilka razy? Czy spalić go dziś i mieć ciepło, czy zostawić na jutro, bo mróz

może być jeszcze większy?” Ktoś tłumaczy: „Bo tam, gdzie mieszkali, drewna było pod dostatkiem. Słomą palić nie umieją, nie wiedzą, jak robić to oszczędnie”. Inny radzi: „Może więc ich osiedlić razem z naszymi ludźmi, będzie oszczędniej?”.

Ale do kogo ich dokwaterować? Przecież będą sobie wzajemnie przeszkadzać! A może rozłożyć ciężar po równo: niech mieszkają w domach po kolei, po miesiącu? To będzie sprawiedliwe. Ale czy oni dadzą radę żyć w ciągłej tułaczce, bez stałego miejsca? Poza tym, jeśli u kogoś gromada swoich dzieci i chata mała, jak się pomieszczą? A może podzielić inaczej – do każdego domu po jednej osobie? Będzie akurat – u nich jest sto czterdzieści chat, bieżenców też podobnie. No ale jak to? Matkę oddzielać od dzieci? Męża od żony? Rozbijać rodzeństwo?

Staje na tym, że bieżenców dokwaterują do tych rodzin, gdzie mieszka tylko dwójka osób. Najliczniejsze rodziny, z małymi dziećmi, zostaną w osobnych mieszkaniach. Po opał miejscowi zwracają się do leśniczego. Ten daje duży upust, ale i tak za drewno trzeba zapłacić. A bieżency pieniędzy nie mają. Miejscowa starszyczna znów się zbiera. „Ja już poniosłem ofiarę. Mężowie moich obu córek poszli na wojnę; obaj zginęli. Mam gromadę wnuków na utrzymaniu” – mówi ktoś na propozycję, by zorganizować składkę. Inny też nie zamierza płacić. „Przyjąłem ich pod swój dach; znoszę ciasnotę we własnym domu”.

Tę dyskusję opisuje jeden z mieszkańców wsi, a w marcu 1916 roku jego anonimowy pamiętnik publikuje „Jeżemiesiacznej Żurnał Litieratury”.

*

Miejscowe władze stawiają chłopów przed faktem dokonanym. Same jednak są postawione w podobnej sytuacji. By przyjąć tysiące ludzi, muszą improwizować. Może i mieli czas, by się przygotować, ale machina carskiej biurokracji miele powoli.

W Stawropolu bieżenców kwaterują w więzieniu i w pośpiesznie wysprzątanym areście. W Kostromie, Symbirsku (dziś: Uljanowsk) i Kursku – w monasterach. W Charkowie w cyrku, w syberyjskich miasteczkach – w salach kinowych. W Moskwie na pomieszczenia dla uchodźców przerabiane są monastery, budynki szkół cerkiewnych, synagogi, kościoły różnych wyznań, ale to wciąż za mało. Ceny mieszkań dochodzą tu do obłędного poziomu, dwie mile od miasta władze stolicy budują więc miasteczko dla bieżenców. Wydaje się obszerne i przestronne, ale szybko się przepęlnia, bo ludzie wciąż napływają.

Pół biedy jeszcze rodziny. Ale przyjeżdżają całe wagony osieroconych dzieci. Trzeba je zakwaterować, nakarmić, zaopiekować się nimi. W Piotrogradzie Komitet Wielkiej Księżnej Tatiany buduje pawilony dla sierot. Gazety piszą: oryginalne w wyglądzie

i konstrukcji. To znaczy: ściany są zbudowane z drzwi użytych jako panele, przestrzeń między nimi wypełniona jest popiołem i torfem.

W całej Rosji jest za mało szpitali, a i te są przepełnione rannymi żołnierzami. Gdzie leczyć chorych, których wśród bieżenców jest mnóstwo? W październiku władze Saratowa donoszą, że nie mają miejsca dla bieżeńskich dzieci w ciężkim stanie. W Połtawie największy szpital odmawia przyjmowania dzieci ze szkarlatyną, szalejącą wśród bieżenców. Podobnie w Symbirsku.

*

Władze Symbirska alarmują, że gubernia jest przepełniona i więcej uchodźców już nie przyjmie. Gubernator Kubania zamyka dla nich swój rejon. Coraz więcej miast żąda przesiedlania już przywiezionych bieżenców, bo nie są w stanie ich utrzymać. Boją się też wybuchu epidemii.

W listopadzie 1915 roku książę Mikołaj Urusow z Jugobieżenca instruuje podwładnych, kierujących ruchem bieżenców, że liczba osiedlanych uchodźców nie może przekraczać pięciu procent populacji guberni. Nad ustanowieniem norm zastanawia się rząd. W końcu akceptuje poziom dziesięciu procent bieżenców wśród miejscowych. Ale urzędnicy wciąż przerzucają się cyframi. Na jednej z rządowych narad profesor Paweł Gieorgiewski, piotrogrodzki statystyk i ekonomista, mówi, że stumilionowa populacja rosyjskiego interioru bez problemu powinna przyjąć trzy miliony uchodźców. We wsiach większych niż dwadzieścia domów zmieszczą się przecież po trzy bieżeńskie rodziny.

Niby brzmi rozsądnie. Niby. Tylko jak umieścić w wiosce trzy bieżeńskie rodziny, skoro ludzie z jednej wsi za nic w świecie nie chcą się rozdzielać? Rosyjskie wioski są od siebie oddalone, rozdzielenie byłoby dotkliwie.

*

Rosyjska wieś dotychczas nigdy nie przeżywała napływu tysięcy ludzi, którym ma pomóc. To nowa sytuacja. Nic nie jest przygotowane. A bieżenci przyjeżdżają chorzy, brudni, głodni, bez środków do życia. Czy nie zarażą mieszkańców swoimi chorobami? Czy nie przyniosą epidemii tyfusu i cholery? Czy nie zjedzą całych zapasów żywności?

Problemów z bieżencami jest co niemiara. Jeszcze pół biedy z prawosławnymi; w końcu to ta sama wiara. Ale jak miejscowi przyjmą katolików, protestantów, a także trafiających się między uciekającymi Żydów? Władze bardzo się tego obawiają. Pojawiają się głosy, że może dojść do pogromów; obawy te jednak się nie potwierdzą.

*

Skulona kobieta przygarnia do siebie kilkuletniego chłopca. Drugą ręką tuli zawinięte w chustę niemowlę. Wynędziały starzec ni to próbuje podtrzymać kobietę, ni to sam się za nią chroni. Z tyłu rozbity wóz. Dwa brzozowe krzyże na świeżych mogiłach. Jest zima, śnieżycą. Noc. Kobieta wznosi oczy ku niebu. Tam błyszczą gwiazdy. W jej świetle mężczyzna prowadzi osiołka; na nim kobieta z dzieckiem. To Święta Rodzina ucieka przed Herodem.

Taki obrazek ukazujący się na początku stycznia 1916 roku w popularnym magazynie „Rodina” [Ojczyzna]. Cerkiew wspomina właśnie ucieczkę Świętej Rodziny do Egiptu. Tytuł obrazka – *Dwie ucieczki* – nie pozostawia wątpliwości co do tego, z czym ma się kojarzyć tragedia bieżących.

Pojawiają się kilkustronicowe, sprzedawane po parę kopiejek książeczki, które wyjaśniają, skąd wzięli się przybysze. Biedne kobiety i niewinne dzieci uciekły przed Niemcem. Są tam opisy, jak wróg bezczęści groby, niszczy świątynie, a wchodząc do chłopskich domów, zrzuca ze stołu leżącą tam Biblię. Strzela do dzieci i starców.

Mężczyźni w tych opowieściach pojawiają się rzadko, oni przecież nie wzbudzają litości. Co innego bieżenka, którą opisuje jedna z gazet. Błąka się, szukając miejsca na osiedlenie. W ramionach trzyma martwe dziecko.

Władza na różne sposoby próbuje oswoić Rosjan z nowym zjawiskiem.

Jedyna nadzieja w zaklinaczu węży

Węże są wszędzie. Wchodzisz do domu, wielkie cielsko leży na środku. Co robić? Bieżenci rozglądają się za kijem, pałką, może ostrym szpadem. Zabić gada, by nie zdążył zaatakować! Ale miejscowi kręcą głową. Tak nie można. Trzeba wziąć miotłę i delikatnie przesunąć węża. Skłonić go, by się sam przeniósł. Spokojnie i łagodnie. Broń Boże bić. Wtedy rzeczywiście zaatakują; na pomoc mu wypełzną też węże z całej okolicy. Zdarza się, że zajmują one cały dom i nikogo nie wpuszczają do środka. Wtedy jedyna nadzieja w zaklinaczu węży. Taki jest w każdej miejscowości.

Tę opowieść przytacza Jerzy Matulewicz, wnuk bieżenców z Knyszewicz. Węże były tam, gdzie trafiła jego babcia Matulewiczowa (drugą mamę wspólną, babcie Nadzie). Ale gdzie dokładnie, nikt dziś już nie pamięta. Wydaje się, że większość bieżenców z Knyszewicz mieszkała w Donskoje pod Stawropolem. Kilka rodzin trafiło za Kijów. We wspomnieniach pojawia się też Rostów nad Donem, możliwe jednak, że jako przystanek w drodze do Donskoje albo największe miasto w okolicy. Czy babcia Matulewiczowa mieszkała pod Stawropolem? Kiedyś – przypomina Jerzy – w jej domu

pod sufitem wisiał zwitek dokumentów, w których pewnie była odpowiedź. Potem, w czasie jakichś porządków, zniknął, a wraz z nim szansa na dowiedzenie się, gdzie spędziła bieżęństwo.

*

Stanisław Sawoń mieszka pod Knyszewiczami, tuż przy drodze, którą w dzieciństwie jeździłam do szkoły. Choć jest katolikiem i jego rodzina w bieżęństwo nie pojechała, świetnie pamięta bieżęńskie opowieści prawosławnej teściowej. Zwłaszcza jedną.

„W każdym domu mieszkał tak zwany *domowej*, taki czort – opowiada mi *po prostu*. – Bieżęńcy przyjechali, kładą się spać, ale nim zasną, rozlega się łoskot. Coś wywraca łóżka. Gospodyni na to łagodnie: »Dziadku, toż to biedni bieżęńcy, nieszczęśliwi uciekinierzy, uspokój się«. I wszystko się uspokajało. Ale jak się z takim domowym duchem nie liczyć, potrafił zrobić dużo złego. Gdy więc ludzie postawią tu nowy dom, z ceremonią przeprowadzają go ze starej chaty, żeby się zadomowił.

Kiedyś jeden woźnica-bieżęniec ze Słójki (powiat sokólski) w ciągu dnia przyszedł do domu chwilę odpocząć. Tylko zamknął oczy, słyszy, że ktoś chodzi po izbie. Jak to, przecież wszyscy są w polu! Przez półprzymknięte powieki widzi, że jakaś postać podchodzi do niego. Obok stały krosna, postać skoczyła do nich i jak nie zacznie w te krosna walić. Woźnica zerwał się na równe nogi, zwyzywał tę dziwną postać, że uciekła. Gospodyni, gdy jej potem opowiedział, tylko pokiwała głową: nie trzeba było krzyczeć, z nim lepiej łagodnie. Bo tam wszyscy z tym domowym duchem łagodnie się obchodzili”.

*

Babcia Matulewiczowa była poważną kobietą, nie powtarzała głupich plotek. Nie poznałam jej, ale tak mówią we wsi, a tu nie chwali się nikogo bez powodu. Pan Sawoń jest szanowanym człowiekiem, niesłychanie pracowitym; nie rzuca słów na wiatr. Czym więc są opowiadane przez potomków bieżęńców historie? Człowiekowi XXI wieku trudno ich słuchać jako relacji opisujących prawdziwe wydarzenia.

Może więc to rodzaj baśni? Może jakieś metaforyczne opowieści, które miały inną funkcję niż proste opisywanie rzeczywistości? I skoro przetrwały do dziś, muszą mieć dużą siłę. Zresztą ja też nie mogę o nich zapomnieć i gdy mówię o nich znajomym, przechodzą mnie ciarki. „To taka metafora przybyszów o układaniu sobie relacji z miejscowymi. O wchodzeniu w ich świat, o wzajemnym oswojaniu się” – odpowiada mi Janek Mackiewicz, nauczyciel historii, wnuk bieżęńców spod Hajnówki.

Że też na to wcześniej nie wpadłam! I *domowej*, i węże należą do zastanej rzeczywistości; bieżący początkowo bardzo się ich boją. Przybyszów czeka proces poznawania tego, co tamtejsze, co nowe i obce. Te opowieści brzmią trochę jak instrukcja. „Trzeba wziąć miotłę i delikatnie przesunąć węża. Skłonić go, by się sam przeniósł. Spokojnie i łagodnie. Broń Boże bić. Wtedy rzeczywiście zaatakuje”. Albo: „Nie trzeba było krzyczeć, z nim lepiej łagodnie”.

Piękna metafora.

Sterta desek znika, bo robią z nich trumny dla dzieci

W filmie o bieżęństwie, który powstaje w mojej wyobraźni z ludzkich opowieści, po scenie przebudzenia, gdy nocny deszcz zmył koszmar podróży, a poranek obiecuje jasną przyszłość, następuje kolejna. Uczta z miejscowymi. Biały chleb, słonina, życzliwość. Potem następuje zwrot akcji. Powrót do koszmarów, które wydawało się, że już odeszły.

*

Rodzina Zofii Oleszczuk z Kulika dojeżdża prawie na Ural, do miasteczka Kamjenska (prawdopodobnie chodzi o Kamieńsk Uralski) w guberni permskiej. Mróz dochodzi do czterdziestu stopni. „Za to śniegu moc, wszystko skrzy się w słońcu. Wspaniała zima” – zapamięta wrażliwa na urodę świata dziewczyna. Wraz z siedmioma innymi rodzinami Oleszczuków kwaterują u kupca Worobiowa. „Bogaci kupcy brali do swoich domów nawet po parę rodzin bieżęńców. Nie brzydzą się nas, nie bali chorób. Nasi panowie uciekliby pewnie na sam nasz widok” – pisze Zofia.

Wycieńczony podróżą ojciec zapada na tyfus. Zabierają go do szpitala, po kilku dniach wyprasza u lekarzy powrót do domu. Gdy inni go widzą, zaczyna się krzyk: „Wszystkich nas pozarażasz, jesteś chory, to wracaj do szpitala!”. Na szczęście nikt się nie zaraża; ojciec też wraca do zdrowia. Wkrótce jednak umiera jego brat i wielu znajomych.

*

W Czardżu śmiertelność upomina się o rodzinę Anastazji Opolskiej. W komplecie przetrwali podróż, teraz zaczynają chorować. Najpierw najmłodszy: Konstanty i Aleksy zapadają na coś, co nazywa się tu krwawką. Trafiają do szpitala. Gdy umiera pięcioletni Aleksy, krwawki dostaje też starszy Afanasij. Ojciec prowadzi go do szpitala, ale lekarze kładą ich obu – u ojca stwierdzają tyfus. Wkrótce dołącza do nich najstarszy, siedemnastoletni Janek, ma krwotok z ust. To gruźlica.

Trzej bracia i ojciec leżą w szpitalu; czwartego dopiero co pochowali, a choroby nie odpuszczają. Na tyfus zapada Anastazja i jej starsza siostra Julia, w końcu choruje siedmioletnia Eudokia. Tylko matka biega między domem, gdzie leżą córki, a szpitalem, w którym są synowie i mąż. Widzi, jak mąż traci pamięć, mający o Koleśnem i Odrynkach. Umiera po kilku dniach, niemal równocześnie z najmłodszym Kostkiem; ojciec i syn mają wspólny pogrzeb. Kilka dni później umiera Eudokia.

W ciągu trzech tygodni dziewięcioosobowa rodzina traci cztery osoby, w tym ojca. Najstarszy Janek nie odzyska zdrowia, umrze wiosną 1917 roku. Matka zostanie z trojgiem nastolatków: Julą, Anastazją i Afanasim. Gdy dzieci dochodzą do zdrowia, ona sama choruje – w szpitalu twierdzą, że to woda w płucach. Leczą ją, przykładając do boku denaturat. Gdy będzie wychodziła, dostanie butelkę na dalsze leczenie. Jakoś dojdzie do zdrowia.

*

O śmierć połowy rodziny Anastazji Opolskiej w opowieści jej córki oskarża się jeńców austriackich, którzy gotowali dla bieżenców i dolewali do kotła zimnej, nienadającej się do picia wody. Prawdopodobnie jednak chodziło o zabójczy klimat. Zauważają to władze i wiosną 1916 roku zaczynają przesiedlać bieżenców osadzonych w Kirgistanie, Tadżykistanie, Tatarstanie.

Ludzie spod Odrynek i Koleśnego wsiadają na wielki statek, boją się, że ich potopią. Gdy zaczyna się choroba morska, nie mają wątpliwości, że to pułapka. Wołgą docierają jednak do guberni saratowskiej, potem wozami są rozwożeni po okolicznych wsiach.

Na początku maja 1916 roku także mieszkańcy Hostynnego są przesiedlani z Kirgistanu. Nie chcą wyjeżdżać, ale nawet księdzu Kotorowiczowi nie udaje się nic wskórać. Na swoich wozach robią budy dla ochrony przed upałem i jadą, zostawiając dziewczyny, które powychodziły za miejscowych. W Buzułuku w guberni samarskiej, gdzie ich w końcu dowożą, nie udaje się uniknąć podzielenia i rozmieszczenia po różnych wsiach.

*

Rodzina czternastoletniej Fiauronii Stockiej spod Narewki – rodzice, pięć sióstr i dwóch braci – poprosiła o skierowanie do Omska. Tam mieszka siostra matki, która wyjechała na długo przed wojną.

Stoccy zatrzymują się w zbitych naprędce barakach. Podobne znajdują się na wielu stacjach i choć mają być tymczasowe, wielu bieżencom przyjdzie koczować w nich przez lata. Stoccy nie znają adresu ciotki. Ojciec idzie jej szukać, matka z dziećmi

obserwują, jak robotnicy zwożą pryzmy nowych desek. „Czyżby mieli budować następne baraki?” – zastanawiają się.

Zaczyna się epidemia szkarlatyny. Chorują dwie siostry Fiauronii; jedna szybko umiera, druga leży w szpitalu. Doktor leczy, przykładając lód do piersi chorych. Dzieci mrą jak muchy; bywa, że i dwadzieścioro chowają jednego dnia. Wielka sterta desek, które niedawno zwozili robotnicy, znika w oczach. Robią z nich trumny.

Matka Fiauronii nie odstępuje łóżka chorej córki. Nie zgadza się na lodowy okład. „To ja jestem lekarzem, uczyłem się dwadzieścia lat, wiem, co robię” – krzyczy lekarz. Ona zasłania dziecko własnym ciałem. Oskarża lekarza o mordowanie bieżęńskich dzieci, o wzbogacanie się na ich krzywdzie. Walczy jak lwica. Skąd w tej prostej kobiecie spod Narewki, przywykłej do posłuszeństwa, taka siła i zdecydowanie? Lekarz odchodzi. Nie będzie już nalegał na okłady. Matka siedzi przy córce dzień i noc, prawie bez snu.

Dziewczyna wkrótce zdrowieje. Przeżyje bieżęństwo. Umrze po powrocie do domu.

Małe serduszka rozpadły się na kawałki

Znany psychiatra, neurolog i psycholog Władimir Michajłowicz Biechtieriew proponuje otwarcie w Piotrogradzie kliniki dla psychicznie i nerwowo chorych bieżęńców. Stara się o finansowanie budowy z Komitetu Wielkiej Księżnej Tatiany. Tłumaczy, że ludzka psychika z trudem znosi ten ogrom nieszczęść, jaki spadł na uchodźców, a czasem nie jest w stanie go znieść. Takich głosów pojawia się więcej.

„Najsmutniejsi ludzie, jakich kiedykolwiek widziano” – pisze Violetta Thurstan, brytyjska pielęgniarka pracująca w tym czasie w Rosji. W swoich listach i raportach zauważa, że po traumie utraty całego dotychczasowego świata, po koszmarze podróży, pobyt w Rosji nie służy poprawie ich stanu. Podkreśla brak poczucia własnej wartości, spowodowany także aktualnym położeniem. Wymienia przyczyny: „Tłok w miejscach zamieszkania, brak jakiegokolwiek prywatności, beładne przemieszanie ludzi przyzwoitych i złodziei, prostytutek i innych, którzy teraz mieszkają obok siebie”.

Gazety zastanawiają się, jaki wpływ te przeżycia będą miały na dusze bieżęńców, zwłaszcza dzieci. „Być może ich małe, niemające jeszcze siły [...] serduszka, rozpadły się już na kawałki i takie pozostaną na całe życie, tak jak pęknięte są serca ich posępnych i wymęczonych matek oraz ojców” – pisze wychodzący w Jarosławiu liberalny „Gołos”.

Lekarze w Moskwie rezerwują sto łóżek dla leczenia chorób psychicznych. Z doniesień prasowych można sądzić, że to kropla w morzu potrzeb.

*

O chorobach psychicznych nie mówi się w rodzinnych wspomnieniach. Nie ma ich w tomie *Bieżanstwa 1915 hoda*. Poza biuletynem Komitetu Wielkiej Księżnej Tatiany nie znajduję informacji o psychiatrycznej opiece nad bieżącami. Świadomość problemu nie mogła być w tym czasie wielka^[37]. Choroby psychiczne były wtedy jeszcze bardziej wstydlive niż teraz.

A przecież część ludzi musiała tak reagować. Po latach, gdy rozmawiam z potomkami bieżęców, w ich opowieściach nie ma już takich szczegółów. Ale wciąż jest dużo emocji.

*

E. Głuchowcowa, wrażliwa obserwatorka, spotyka ludzi, którym mieszają się zmysły. Raz słyszy przeraźliwy krzyk. Widzi, że w oddali od jedzącej obiad grupy ludzi odrywa się kobieta; to pada na ziemię, to prostuje jak struna. Okazuje się, że niedawno zmarła jej córka.

Głuchowcowa woła więc strażników, prosi, by pochowali dziewczynkę.

„Próbowaliśmy... Matka nie pozwala, nie dopuszcza do zmarłej” – mówi cicho rosły strażnik i gdzieś ucieka błyszczącym wzrokiem.

„Chodźmy razem, porozmawiam z nią. Może być to coś zaraźliwego; dziś tak gorąco, tłum wokół, to niebezpieczne”.

Głuchowcowa relacjonuje:

„»Dziecięca cholera, widziałem zwłoki« – szepcze felczer.

Podeszłam do kobiety.

»Trzeba pochować dziewczynkę« – mówię, dotykając jej pleców. Nic nie słyszy, nie odpowiada; wciąż tarza się i krzyczy. Felczer nachyla się nad dziecięcym ciałkiem i niemal pada, odepchnięty przez matkę.

»Nie dam! Odejdź! Nie pozwolę! Ostatnia moja. Pogrzebcie mnie razem z nią! Moja gołąbeczka...«”.

*

Gdy bieżęcy znikają z Rohaczowa, Głuchowcowa z trudem radzi sobie z emocjami. „Cztery miesiące tej płynącej fali przewróciły mój światopogląd, zmieniły duszę. Gdy przejeżdżam dziś obok pustych baraków, wciąż czający się w środku ból ścisza serce i myślę: nie jestem już tym człowiekiem, którym byłam przed spotkaniem

z bieżącami” – pisze. Wspomnienia – zaznacza – same cisną się jej na papier. Pisanie jest formą autoterapii.

*

Władimir Biechtieriew nie dostaje pieniędzy na swój szpital psychiatryczny dla bieżęców. Nie dlatego, żeby nie było potrzeby. Potrzeba jest, i to wielka – biuletyn Komitetu Wielkiej Księżnej Tatiany, który opisuje sprawę, nie ma wątpliwości. Ale wśród decydentów pojawiają się pytania, czy Biechtieriewowi chodzi o leczenie bieżęców, czy o realizację własnego celu, jakim jest posiadanie kliniki. Odmawiają więc.

Nie po to uciekaliśmy od Niemca, by teraz na niego pracować

Orchowiacy w Dżankuju na Krymie nie czują się dobrze. Wszystko tu obce, dziwne. Zaczyna się zima, ale zamiast śniegu i mrozu jest gnijąca, deszczowa pogoda. Gлина rozmięka pod nogami i tak je oblepia, że grzęzną w błocie i trudno je z niego wyrwać. Zamykają się w czterech domach, w których ich skoszarowano.

Nawet cerkiew, do której chodzą w każde święto i niedzielę, jest inna. Ich chór, w guberni chełmskiej budzący zachwyty, tu wywołuje zdziwienie. „To jakieś polskie śpiewy” – kręcą głową miejscowi. Trochę czasu minie, zanim pierwszy raz pochwalą, zanim poproszą o wspólne śpiewanie.

Bieżęcy zatrudniają się głównie do prostych prac na kolei czy w miejscowej hucie. Nie chcą iść na wieś za parobków, choć przecież są chłopami. Dlaczego? Czy dla gospodarza to nie honor? Paszczuk nie wyjaśnia. Pojawiają się oficjalne nakazy władz, ale niewiele pomagają. W końcu część orchowiaków godzi się na pracę w pobliskim majątku. Gdy jednak okazuje się, że należy on do Niemca, kategorycznie odmawiają. Przecież nie po to uciekali od Niemca na koniec świata, by teraz na niego pracować!

*

Lenią się! Nie chcą pracować! Pewnie i w Dżankuju tak mówią o tych, którzy nie chcieli być parobkami u Niemca. „Dlaczego więc mamy im dawać zasiłki? Niech zarobią, pracy jest przecież mnóstwo. I w polu, i na ulicy. Jeśli ktoś odmawia, niech i zasiłków nie bierze” – takie rozmowy muszą się toczyć w tym czasie na rosyjskiej ulicy. W ówczesnej prasie pojawiają się artykuły w tym tonie.

Na szlachetnym obrazie tej świętej bieżęńskiej rodziny, który dominował w mediach jeszcze na początku 1916 roku, pojawiają się rysy. Jekaterynburskie „Wiadomości

Parafialne” już w grudniu 1915 roku piszą o uchodźcach, za dnia najmujących się na służbę, a nocą uciekających z całym majątkiem gospodarzy. Pojawiają się doniesienia o kradzieżach, rozbojach, nawet zabójstwach, których się dopuszczają. Gazety zaczynają pisać o „prawdziwych bieżęncach”, tych biednych i uczciwych, i „rzekomych bieżęncach”, „bieżęncach” w cudzysłowie. „Przecież ewakuowano też więzienia, a razem z nimi – znanych w całej Europie »fachowców«” – wyjaśniają.

Ale i z tymi zwyczajnymi bieżęcami, bez cudzysłowu, jest kłopot. Ponoć nie chcą pić kawy z mlekiem. Żądają śmietanki. Ponoć dostają zasiłki, które przewyższają te wypłacane dla rodzin poborowych. No i – to rozlega się wszędzie – ponoć nie chcą pracować!

*

Jak pomagać bieżęcom, by wsparcie nie okazało się demoralizujące? By nie rozleniwiało?

Politycy i urzędnicy dyskutują. „Organizacje rosyjskie, opiekujące się wygnańcami, wystąpiły z projektem okazywania pomocy w naturze: lokowania wygnańców w barakach i żywienia ze wspólnych kotłów” – pisze we wspomnieniach Stanisław Grabski. Polskie organizacje protestują, projekt pada. „Prowizoryczne kotły i baraki były usprawiedliwione jako doraźna pomoc, dopóki wygnańcy byli w drodze. Utrzymane na stałe, niszczyłyby życie rodzinne, uniemożliwiałyby umieszczenie wygnańców na wsi i walkę z epidemiami, pozbawiałyby możliwości utrzymania koni z wozami i zarobkowania przy ich pomocy” – komentuje Grabski.

Polskie organizacje proponują usamodzielnienie uchodźców i zapomogi. Władze przyjmują takie rozwiązanie, przez lata jednak, do czasu, gdy po rewolucji pomoc ustanie, nie uda się zlikwidować wielu prowizorycznych obozowisk i „pomocy w naturze”.

Sprawa z zasiłkami też nie jest prosta. Mówi się, że są one wypłacane na poczet odszkodowania za zniszczony majątek, jakie bieżęcy mieli dostać od państwa. Czy na pewno? Komu je dawać, na jakich zasadach? Ktoś wylicza, że u wielodzietnej rodziny wysokość zapomogi przekracza dochód pracujących miejscowych. Tak też być nie może. To grozi buntem tych drugich! Ostatecznie zapada decyzja, że szczegóły, wraz z wysokością zapomóg, określą władze każdej z guberni. W wielu z nich początkowo wypłaca się je wszystkim uchodźcom, z czasem tylko osobom niezdolnym do pracy. Wysokość zasiłków i dla nich będzie zresztą z czasem malała.

*

„Lenistwo bieżenców” nurtuje Fiedota Kudryńskiego w Rohaczowie. Z jego zapisków można wyczytać, że opinia o miganiu się bieżenców od pracy jest mocno utrwalona już jesienią 1915 roku. Ludzi czekających na transport w prowizorycznych obozach wokół stacji kolejowych władze wojskowe wysyłają wtedy do kopania okopów czy innych prac na rzecz armii.



[^] Rozdzielanie obuwia i płótna na odzież przez bachmucki oddział Komitetu Wielkiej Księżnej Tatiany

Kudryński pyta o tę mityczną już niechęć do pracy chłopą Krysiuka, bieżenca z guberni wołyńskiej. Rozmowę z nim zamieszcza w reportażu drukowanym pod pseudonimem w biuletynie Komitetu Wielkiej Księżnej Tatiany. Krysiuk przyznaje: „Bywa, że jak ktoś jest leniem, to woli brać zasiłki, niż pracować. Lenie zdarzają się wszędzie, dlaczego wśród bieżenców miałyby ich nie być?”. Ale to nie lenistwo jest przyczyną niechęci uchodźców do zatrudniania się.

„Pracę dają nieodpowiednią. Bo proszę sobie wyobrazić bieżenkę, prostą kobietę. Całe życie pracowała na wsi, w swoim gospodarstwie i ogrodzie, umie jeszcze praść i tkać. A teraz każą jej być kucharką czy pokojówką. Tak samo z mężczyznami. Czy

łatwo chłopu stać się nagle dozorcą? On woli znosić biedę. Zresztą czy pan – pyta chłop Kudryńskiego – poszedłby nagle pracować jako – dajmy na to – kupiec czy urzędnik?”

„Nie, nie poszedłbym”.

„Widzi pan. A pan jest wykształcony, pan wie, co to znaczy być kupcem, a mimo to nie poszedłby pan. A jak naszemu prostemu chłopu zajmować się czymś, o czym nie ma pojęcia? My przywykliśmy tylko do pracy na roli”.

*

Potomkom bieżenców coś takiego nie przychodzi do głowy. Problemów z pracą oraz oskarżeń o lenistwo nie ma we współczesnym przekazie bieżęstwa. „Pracowali u tamtejszych gospodarzy, razem z nimi” – mówi się często w tomie *Bieżęstwa 1915 hoda*.

Nie we wszystkich opowieściach jest sielanka. Zdarza się, że pan odmawia zapłaty bieżence za pracę jej dziecka przez całe lato. „Nie zaczynaj, bieżenka, z bogaczem – przestrzega, gdy ta się upomina. – Tobie ze mną się nie równać; nikt nawet cię słuchać nie będzie!” Czasem bieżęncy pracują bez wytchnienia, czują się wykorzystywani.

Ale takich opowieści nie ma wiele. Przeważa harmonijny obraz wspólnego z miejscowymi życia i wspólnej pracy.

*

W biuletynie Związku Miast jedna z osób zaangażowanych w pomoc bieżęcom pisze: „Bieżęncy to nie katorżnicy, nie można ich tak traktować [zmuszać do byle jakiej pracy, strasząc odebraniem zapomogi]; a *pajki* to nie miłosierdzie, tylko obowiązek państwa”. Skoro są ofiarami wojny prowadzonej przez państwo, państwo również winno im zapewnić opiekę. Autor zwraca uwagę na słabą kondycję bieżenców, wycieńczenie fizyczne i psychiczne oraz na to, że oferowana praca często im po prostu nie odpowiada. Nie można zabrać im godności i chęci wpływania na swój los.

Inny działacz też próbuje się wczuć w bieżęńską skórę. Z tej perspektywy widzi ludzi, których domy i cały świat zrujnowano, którzy przeżyli straszliwe rzeczy. Wbrew własnej woli trafili do miejsc, w których wcale nie mieli ochoty być. A teraz żąda się od nich, by podjęli jakąkolwiek pracę. Mało tego – w zamian za pomoc charytatywną oczekuje się wdzięczności i posłuszeństwa. A czy można wymagać wdzięczności za utratę dobytku i śmierć najbliższych? Za zniszczenie całego świata i skazanie na życie na czyjejś łasce?

*

Orchowiacy przez zimę układają sobie życie. Większość znajduje pracę; młodsze dzieci idą do prowadzonego przez Komitet Wielkiej Księżnej Tatiany przytułku-przedszkola, starsze do bezpłatnych dla bieżenców szkół. Wraz z wilgotną pogodą znów atakują choroby: odra, dezynteria, tyfus. Stłoczenie całej wsi w czterech koszarowych budynkach grozi wybuchem epidemii. Lokalny oddział Komitetu chce rozbić ich na małe grupki i rozwieźć po całym powiecie; po protestach wynajmuje jednak więcej pomieszczeń w Dżankuju i rozmieszcza każdą rodzinę osobno.

„Nikt nie głoduje, ale i nie żyje się lekko. *Pajki* obniżyli o połowę, pomocy coraz mniej” – pisze Paszczuk. Narzeka na zdrowie, wróciła dokuczająca mu wcześniej anemia.

Nie ma w jego relacji optymizmu. Brakuje tak częstego w dzisiejszym przekazie rodzinnym zachwytu Rosją. Nie widać wdzięczności wobec władz i Rosjan za pomoc bieżencom, którą spotyka się w powtarzanych dziś na Podlasiu opowieściach.

Nieznani z imienia państwo biuro, pomóżcie

Bieżący pogubili się w drodze, stracili kontakt z najbliższymi. Jeszcze w trakcie podróży chodzą po urzędach, pytają w armii, zachodzą do sklepów, zajazdów; wszędzie zostawiają informację i parę rubli. Gdy osiadają w Rosji, próbują wszystkiego. Piszą też listy do urzędów. „Chłopi robią to tak masowo po raz pierwszy w historii Rosji” – napisze na łamach magazynu „Wiestnik Jewropy” Wiera Sławienson, pracownica jednej z organizacji pomocowych.

„Listy” to określenie trochę na wyrost. Najczęściej są to informacje, że mężowie szukają żon (rzadko odwrotnie; kobiety znów płacą cenę za tradycyjny podział ról, w którym ich edukację uznawano za rzecz zbędną), a rodzice dzieci. Jako że chłopi nie nawykli do pisania i stworzenia nawet krótkiego listu, organizacje pomocowe (Komitet Wielkiej Księżnej Tatiany, Związek Ziemstw i Miast) rozdają specjalne druki. Wystarczy wpisać dane swoje i poszukiwanej osoby. Pracownicy mają pomagać je wypełnić.

Do tych listów i formularzy trudno dziś dotrzeć, poginęły albo leżą gdzieś w rosyjskich archiwach. Pozostała jedynie ich analiza autorstwa Wiery Sławienson, która w ten sposób próbuje „wniknąć w duszę bieżenców”.

„Dzień dobry, nieznani z imienia państwo biuro” – zaczynają swoje pisma bieżący. Widać nieporadność i brak obycia ze słowem pisanym. „Biuro do spraw rekwizycji” – tytułują listy, myląc rekwizycję z rejestracją.

Opowiadają swoje historie. „Jak nas wyganiaли z guberni grodzieńskiej, jeden z moich synów zgubił się w tłumie. Drugi pasł akurat bydło na polu. Nie mogłam ich znaleźć, więc gdzieś zagarnęła ich wojna”. Albo: „Opowiem wam o swoim życiu. Jest one bardzo złe. Mojego męża zabrali na wojnę. Zostałam sama z dzieckiem. Panowie, bądźcie łaskawi odnaleźć moich rodziców. Proszę was z całego serca – czy tam nic o nich nie wiecie? Może tam gdzieś u was wszystko o każdym z bieżących wiadomo? Boże, Boże, jak mam ich odnaleźć?”.

„Mnie tak smutno; nie pomijajcie mojej prośby, odpiszcie choć dwa słowa”.

„Ile listów już napisałem, wszystkie zostały bez odpowiedzi. Bardzo tęsknię – pół roku nie widziałem już żony i dzieci, wprost tonę we łzach”.

„Przy mnie została moja wnuczka Maria, trzylatka, bardzo tęskni za matką, wprost żyć nie może. Trudno mnie hodować dziecko bez matki”.

„Nie znaleźliście mojego syna? Jest średniego wzrostu, ma jasne włosy”. Brakuje jednak danych syna. Albo adresu zwrotnego.

W zamian za pomoc bieżący czasem obiecują modlitwy do końca życia. Niektórzy wkładają do koperty z formularzem pieniądze: rubel, trzy, pięć rubli.

*

Do połowy listopada 1915 roku do biura Związku Ziemstw i Miast wpływa czterdzieści jeden tysięcy próśb o pomoc w odnalezieniu bliskich. Oprócz samych pogubionych bieżących, szukają ich także walczący na froncie krewni, czasem dawni sąsiedzi albo znajomi, którzy wyjechali przed wojną do Ameryki i teraz stracili kontakt.

W tym czasie udaje się odpowiedzieć na dziewięćset dwa listy. Przez kolejne sześć tygodni biuro wysyła cztery i pół tysiąca odpowiedzi. Napływają też tysiące nowych zapytań.

Sztab ludzi – głównie młodych, wykształconych kobiet, często ochotniczek – dwoi się i troi. Czytają, szukają, odpisują. Ale brakuje im danych. Bieżący wciąż nie są spisani, wciąż się przemieszczają. Rejestrują ich Komitet Wielkiej Księżnej Tatiany, Związek Ziemstw i Miast, Siewieropomocz, Jugobieżeniec i organizacje narodowe. Nie zawsze wymieniają się one zresztą danymi. Ich władze prowadzą spór o kompetencje.

*

Rodzina Zofii Oleszczuk wypełnia poszukiwawcze formularze wielokrotnie. „Pisało się do córki cara, bo ona zajmowała się wszystkimi sprawami bieżącym; nazywała się Tatiana” – wspomina Zofia. Szukają babci i zgubionych w drodze krewnych. Krewni się znajdują; mieszkają w okolicach Ufy. Babcia nie. „Dużo razy pisaliśmy; zawsze przychodziła odpowiedź, że *takoj famili niet ani adriesa toże niet*”.

*

Związek Ziemstw i Miast jeszcze w 1915 roku wydaje *Spis poszukujących się bieżących*. Na dwudziestu stronach zamieszcza dane poszukiwanych oraz adresy poszukujących, które nadeszły do biura przed 20 września (3 października) 1915 roku. Najwięcej – cztery strony – zajmują mieszkańcy guberni grodzieńskiej; dwie i pół strony – chełmskiej, tyle samo kurlandzkiej. Trzy strony to bieżący, o których nie wiadomo, skąd uciekli.

Takie spisy rozsyłane do organizacji pomocowych w całym kraju bardzo ułatwiają poszukiwania, w 1916 roku Związek wydaje więc trzypięciotomowy spis adresowy zarejestrowanych bieżących: w sumie pięćdziesiąt tysięcy ułożonych alfabetycznie adresów, które napłynęły do połowy listopada 1915 roku. To kropla w morzu potrzeb, mała część wszystkich adresów. Przygotowane są wydania z kolejnymi danymi. Możliwe, że wzorem ma tu być gubernia tomska, gdzie w 1916 roku Komitet Wielkiej Księżnej Tatiany wydaje spis adresów wszystkich zarejestrowanych – ponad trzydziestu pięciu tysięcy osób.

Kolejne spisy nie zdążą się jednak ukazać przed rewolucją.

*

W spisie Związku Ziemstw i Miast szukam danych mojej rodziny. Znajduję coś takiego: „Maliszewska Ans. Gr. (Grodn.g.) 18. Okt. g.g. Stawropol. Gor. kom. po okaz. pom. bż”.

Z pomocą dołączonego skorowidza próbuję rozszyfrować skróty. Wychodzi mi następujący wpis: „Anastazja Maliszewska Grigoriewna, pochodząca z guberni grodzieńskiej, 18 [31] października przybyła do Stawropola. Informacje o jej aktualnym miejscu pobytu posiada miejscowy komitet pomocy bieżącym”. Nie jestem tylko pewna liter „g.g.”. Druk jest niewyraźny. Może to „t.g.”? *Tiekuszczij god* – bieżący rok?

Anastazja Maliszewska to matka babci Nadzi. Jest teraz głową rodziny; w drodze umarł jej mąż Wasyl, ojciec babci. Powinien być tu więc dopisek „s siem.” – „z rodziną”, ale pewnie o nim zapomniano. Z poskładanych rodzinnych opowieści wiem,

że do Stawropola oprócz Nadzi dojechało jej starsze rodzeństwo: Michał i Olga. Michał wkrótce zachoruje i umrze. Prababcia Anastazja też nie doczeka powrotu.

Szukam prababci Anny Prymaki, przyszłej teściowej babci Nadzi. Tak jak Anastazja Maliszewska i większość mieszkańców Knyszewicz miała dojechać do stacji Donskoje, czterdzieści kilometrów od Stawropola. Sprawdzam pod różnymi zapisami nazwiska, jakie mi przychodzą do głowy: Prymaka, Primaka, Prymak, Prymako. Pod imieniem prababci Anny, ale też najstarszego syna Siarhieja. Nic nie ma. Czy dojechali później? Czy po drodze wieś się podzieliła, a potem się odnalazła? Czy papiery gdzieś się zapodziały? Albo dopiero zostaną opracowane i wysłane?

Nie ma też Kuryłów, rodziny ojca mojej mamy. Byli w guberni tambowskiej. Możliwe, że dane ich i Prymaków są w przygotowywanych do druku w kolejnych edycjach spisu, które się już nigdy nie ukażą.

*

Trzyletnia Teofila, córka Michała ze wsi Planty w powiecie białostockim, uśmiecha się do obiektywu. Dołeczki na policzkach, radosne dziecięce oczka. Ale nie chciałoby się tego zdjęcia stawiać na kominku. Główka Teofili jest ogolona na zapałkę. Możliwe, że do walki z wszami, które roznoszą tyfus. We współczesnych oglądających wywołuje to jednak złe skojarzenia, nawet z obozami koncentracyjnymi z II wojny. Na zdjęciach innych dzieci, oprócz braku włosów, uwagę zwracają smutne, jakby przestraszone oczy. Wesoła Teofila jest wyjątkiem.

Pod zdjęciami są podpisy. Maria, Józefa, Irina, Anastazja, Mikołaj, Aleksy, Michał, Eufrozyna. Dzieci pochodzą z guberni grodzieńskiej, chełmskiej, wołyńskiej, czasem łomżyńskiej czy suwalskiej. Lat trzy, cztery, dziesięć czy trzynaście. Obecnie przebywają w takim i takim przytułku, w takiej i takiej guberni.

Publikowanie zdjęć dzieci w gazetach to jedyna szansa na odnalezienie ich rodzin. Wiele z nich, nawet ośmiolatki, nie umie podać swojego nazwiska. We wsi znajomość nazwiska nie była im potrzebna. Zresztą nawet gdy je podają, często robią to tak niewyraźnie, że nie wiadomo, jak je zapisać. Amiejłaniuk? Omiejłaniuk? Imelianiuk? Czy jeszcze inaczej? A jaka jest szansa, że – dajmy na to – Omielianiuk będzie szukał pod Amieljaniukiem?

Zdjęcie wydaje się więc pewniejszą identyfikacją niż nazwisko. Komitet Wielkiej Księżnej Tatiany publikuje fotografie na łamach swojego biuletynu od połowy 1916 roku. Zajmują zwykle stronę, czasem dwie albo nawet trzy. Robią to też inne czasopisma. Jaka jest skuteczność zamieszczania tych zdjęć, nie wiadomo.

Dziś wywołują silne wrażenie. Zwłaszcza zdjęcia grupowe. Z jednego, zrobionego w przytułku we wsi Podostrownoje przy stacji Kargaszino w guberni tambowskiej (nie udało się znaleźć wsi na mapach) patrzy jedenaście par oczu. Dzieci są w wieku od trzech do ośmiu lat. Siedzą na drewnianych schodach, w kilku rzędach. Trzech chłopców z przodu ma buty, pozostali są bosi. Nad każdym dzieckiem ołówkiem napisano numer, by móc podać ich dane. Troje pochodzi z guberni grodzieńskiej, reszta nie umie powiedzieć skąd. Sądząc po powtarzającym się otczestwie – Siemonowna i Iosifowna – są wśród nich dwa rodzeństwa. Jak się zgubili? Czy kiedykolwiek odnajdą kogoś z bliskich? Czy zdołają wrócić na swoją ziemię?



1. Дѣвочка Елена Семеновна, 7 л. Изъ Гроднен. губ.—2. Мальчикъ Владимиръ Семеновичъ, 5 л. Изъ Гроднен. губ.—3. Мальчикъ Гаврилъ Ивановичъ, 6 л.—4. Мальчикъ Захаръ, 4—5 л.—5. Мальчикъ Макарь. Изъ Гроднен. губ.—6. Мальчикъ Николай.—7. Дѣвочка Марія Іосифовна, 8 л.—8. Дѣвочка Анна Іосифовна, 6—7 л.—9. Мальчикъ Яковъ Іосифовъ, 3 л.—10. Дѣвочка Ганна, 5—6 л.—11. Мальчикъ Константинъ, 4—5 л. Фамиліи этихъ 11 дѣтей неизвѣстны. Всѣ дѣти помѣщены въ пріютъ въ с. Подостровномъ, п. ст. Каргашино, Тамбовской губ.

[^] Komitet Wielkiej Księżnej Tatiany zamieszczał w swoim biuletynie zdjęcia znalezionych dzieci, próbując w ten sposób odnaleźć ich bliskich

Nasi wyciągali skrzypce i zaczynały się tańce

Autorami większości z zachowanych do dziś wspomnień są ludzie, którzy jadąc do Rosji, mieli po kilka, czasem kilkanaście lat. Ich opowieści zawierają zwykle to, co w dziecięcych wspomnieniach znaleźć się powinno: odkrywanie świata, zabawa, zachwyty, kolory i zmysły. Często pojawia się też szkoła – nauka dla bieżęńskich dzieci jest bezpłatna – mocno utrwaliło się więc wspomnienie szansy, której nie miały one wcześniej.

Chyba że w bieżęństwie ci kilkulatkowie musieli szybko dorosnąć. Zamiast siedzieć w szkolnej ławce – zatroszczyć się o codzienność, o przetrwanie swojej rodziny. Wtedy barwy i zachwyty ze wspomnień zwykle znikają.

*

Konon Michalczyk, rocznik 1912, trafia do wsi nad Donem. Gdy rodzice idą do pracy, on z siostrą bawi się nad rzeką z miejscowymi dziećmi. „Och, jak bardzo niektórym z nich wtedy zazdrościłem – będzie wspominał po latach. – Ich rodzice mieli mnóstwo koni. I jak oni na nich jeździli! Można powiedzieć, że ten naród się w siodle urodził. Kozacy byli dobrymi ludźmi – umieli i pracować, i śmiać się, i bawić. Gdy Kozak jechał koniem, zawsze śpiewał. A wiatr rozwiewał jego czub”.

Fiodor Młodzian, rocznik 1907, jedzie do wujków i dziadka, którzy przed wojną wyemigrowali z Dubicz Cerkiewnych na Syberię. Wioska Bieriozowka liczy dwieście pięćdziesiąt domów. Ogromne podwórka, ze sto metrów szerokości, duże domy: dziesięć na dziesięć metrów, z okrągłaków, kryte deskami albo blachą. Ludzie też bogaci. Dziadek Fiodora ma młyn wodny i gospodarstwo. Każdy z wujków: po osiem koni i po trzydzieści dojnych krów, stawiają latem po trzydzieści–trzydzieści pięć stogów zboża. Mają maszyny: kosiarki, snopowiązałki, wielkie pługi konne, kultywatory i brony. „Wszystko niemieckie, bo w zamian za zboże przed wojną Niemcy dostarczały do Rosji wysokiej jakości maszyny” – opowiada zachwycony Fiodor.

Urodzony w 1906 roku Andrzej Kaliszuk trafia do guberni samarskiej, do wioski – jak opowiada – Tuarun (nie udało mi się jej dziś odnaleźć na mapach). Tu mieszkają Czuwasze, obok są wsie tatarskie. Zostaje pastuchem: najpierw pasie owce, potem świnie; chodzi też do szkoły. Zapamięta przede wszystkim wesołość – to nic, że niezbyt dostatnie – życie. Czuwasze lubią zabawę. Chłopcy z Malinnik przywieźli skrzypce, grają więc, a miejscowi tańczą. Głównie *kazaczka*. Każdy Czuwasz tańczy osobno, pozostali przyglądają się i klaszczą. A malinnickie dziewczyny śpiewają tutejsze pieśni.

Kilkuletnia Leonila Syczewska, zwana Lilką, mieszka za Orenburgiem. W bieżenstwie straci matkę, ojciec umarł jeszcze przed wojną; do rodzinnych Stryków przywiezie ją babcia. Z późniejszej opowieści Lilki jej wnuczka Iwona Zinkiewicz najbardziej zapamięta, jak dziewczynce i jej siostrze w drodze do szkoły miejscowy zaproponuje podwiezienie na wielbłądzie. Wsiadają trochę przestraszone, jadą, ale wielbłąd nagle się zatrzymuje, siada i – mimo wysiłków gospodarza – nie zamierza wstać. Dziewczynki ruszają pieszo. Gdy wracają ze szkoły, wielbłąd wciąż siedzi, właściciel robi wszystko, by go podnieść, łącznie z paleniem pod nim ognia. Uparte zwierzę nawet nie drgnie.

Natalia Kamarczuk z Orli ma dziesięć lat. W bieżenstwie przez cztery lata chodzi do szkoły, do końca życia zapamięta wiersze, których się wtedy nauczyła. Po lekcjach biegnie nad Wołgę. Opanuje pływanie tak, że po powrocie do Orli dzieci będą ją przezywać Wołga-Wołga. Próbuje też pomóc rodzicom. W tomie *Bieżanstwa 1915 hoda* wspomina: „Podczas wakacji zbierałam jagody i poziomki w lesie na drugim brzegu Wołgi. Codziennie woził mnie tam i z powrotem syn sąsiadów, szesnastoletni Aloszka. To, co nazbierałam, sprzedawałam. Za spodeczek jagód płacili trzydzieści kopiejek. Trzy spodeczki i dostawałam rubla – tyle, ile ojciec za dzień pracy. Przynosiłam do domu pieniądze i miskę jagód dla ojca i nauczycielki. Tata przytulał mnie i mówił: „Dziecko moje, ja zarobiłem dziś rubla, a ty – sześć rubli”.

*

Tichon Trochimiuk ma dopiero szesnaście lat, ale już ustawiają się do niego kolejki. Kobiety, nieraz z chutorów oddalonych o wiele wiorst, niosą listy z frontu, ze szpitala, z niewoli. Tichon na zmianę czyta i odpisuje. Przed wojną skończył dwuklasową szkołę w Klejnikach. Zarówno w chutorze Bierasławski, jak i w innych nikt nie umie czytać i pisać. Był staruszek, który trochę czytał, ale oślepl. „Jak taki młody mógł tak dobrze nauczyć się pisać i czytać?” – dziwią się stojące w kolejce kobiety. W podzięce niosą Tichonowi chleb, słoninę, mięso, mąkę. Oraz noszone, ale w bardzo dobrym stanie, ubrania i buty.

Gdy w 1916 roku ojca Tichona powołują do armii, chłopak idzie do pracy na jego miejsce w majątku miejscowego gospodarza. Latem zarówno wschód, jak i zachód słońca ogląda w polu; pracę zaczynają o trzeciej rano, kończą późną nocą. Jest w tych wspomnieniach zachwyty – chłopak pierwszy raz widzi żniwiarki i czteroskibowe pługi na kołach zaprzęgane w dwie pary koni – ale Tichon zapamięta głównie ciężką pracę.

*

Zofia Oleszczuk, choć ma czternaście lat, nie idzie do szkoły. Od początku pracuje. Nie wyjaśnia, dlaczego; może rodziny nie stać na to, by zrezygnować z jej zarobków.

Najpierw najmuje się jako służąca. Nie lubi tego, słuchanie rozkazów ją upokarza. Zatrudnia się więc w kamieniołomach, codziennie idzie do nich osiem kilometrów tam i z powrotem. Choć jest najmłodsza, jak inni ładuje piach na wagony. Zimą, gdy kamieniołomy są zamknięte, pracuje przy odśnieżaniu torów. Mimo że to ciężka praca, nie ma w jej wspomnieniach narzekania.

Przerażenie pojawia się, gdy zaczyna chorować matka. Ojciec oraz siostry mieszkają już wtedy w Moskwie, ściągają ich tam koleżanka najstarszej Oleszczakówny. Na Syberii zostaje Zofia z matką i najmłodszą z sióstr. Ale z matką jest coraz gorzej, niknie w oczach. Ponoć podźwignęła się w młodości, to dlatego. Któregoś dnia jej stan zauważa sąsiadka, Rosjanka, i przysyła teściową. Staruszka dotyka matkę, czymś smaruje. Ta wyje z bólu przy każdym dotknięciu, odrywa ręce znachorki. „Jak nie pozwolisz się leczyć, umrzesz” – tłumaczy staruszka. Zofia błaga: „Mamo, wytrzymaj”. Siedzi obok, gdy ta krzyczy podczas leczenia.

Wiosną ból ustępuje. Matka zaczyna chodzić i normalnie pracować. Ale we wspomnieniach Zofii już jakby mniej było barw i zachwyków nową rzeczywistością.

Ruscy jedzą czarny chleb, Polacy biały

W opowieści Anastazji Opolskiej jest taki fragment: „W Czardżuju katolików oddzielili i wysłali do Taszkientu, i tam mieli dobre życie. Nawet rowery mieli do dyspozycji. Mieli też specjalny szpital, w którym też potem i Janek leżał”.

Wiem już o polskich organizacjach narodowych i ich pracy na rzecz Polaków. Czytałam u Kudryńskiego o żalu Rusinów, że o nich nikt nie troszczy się tak jak o Polaków. Ale czy to możliwe, by w 1915 roku aż tak różnie wyglądał los ludzi z tej samej wsi tylko dlatego, że byli innego wyznania? Zastanawiam się, czy te słowa ze wspomnień Anastazji Opolskiej to opis faktu, czy raczej późniejszy stan jej świadomości, na który wpływ miały nie zawsze łatwe relacje katolicko-prawosławne po powrocie z bieżenstwa, a przede wszystkim po II wojnie światowej?

Wtedy dostaję pamiętnik Józefa Szymusiuka, rocznik 1907. Mieszkaniec Topolan, wsi między Zabłudowem a Gródkiem, swoje wspomnienia spisał w latach dziewięćdziesiątych, kilka lat przed śmiercią.

W 1915 roku Józef wraz z matką i siostrą trafia do Orenburga; mieszkają w barakach. „Baraki były ciepłe i widne, 8 dla Polaków i 4 dla Litwinów. W barakach mieściło się od 20 do 30 rodzin, przy tym w barakach była zbudowana szkoła, szpital, ochronka dla biednych i osieroconych dzieci. Pobudowali kaplicę, w każdą niedzielę ksiądz z Orenburga przyjeżdżał do tej kaplicy, a i do szkoły w dni powszednie. W mieście był duży i ładny kościół zbudowany za bardzo dawnych czasów przez Polaków, co byli po rozbiore Polski wywiezieni do Rosji, tam bardzo dużo Polaków, w szkole uczyli po polsku. W pobliżu naszych baraków było 30 baraków ruskich i 4 baraki niemieckie”.

Właściwie te „ruskie baraki” to raczej *ziemlanki*. „[...] cieplejsze od naszych baraków, ale ciemne i wilgotne – tłumaczy Józef. – Były wkopane w ziemię, to często z tych baraków zjeżdżaliśmy jak z dużej góry. Baraki były piętrowe, rodziny z małymi dziećmi na dole, a na półkach w starszym wieku. Była kuchnia, dawali obiady i chleb biały darmo. A *ruskim* dawali czarny razowy. Często jedni do drugich z wymianą. Biały chleb do kwaśnej strawy nie smakuje”.

Szymusiukowie mówią *po prostu*, w dialekcie języka białoruskiego, tak jak wszyscy mieszkańcy Topolan. Polskiego właściwie nie znają. Trafiają jednak do polskich baraków. Topolany to mieszana wieś, oni są katolikami. Uznani zostają więc za Polaków, dostaną biały chleb i wszystko, co wiąże się tu z byciem Polakiem. Ich prawosławni sąsiedzi osiedlani są w *ziemlankach* jako *ruscy*, dostają też czarny chleb. (Niemieckie baraki zamieszkują prawdopodobnie niemieccy osadnicy z Królestwa Polskiego).

Nieważne, że Józefowi początkowo trudno się dogadać z „rodakami” spod Ostrołęki czy Łomży z „polskich baraków”. Pójdzie w Orenburgu do polskiej szkoły, skończy dwie klasy. Polski będzie rozumiał, spisze po polsku pamiętnik. Ale do końca życia będzie rozmawiał właściwie tylko *po prostu*.

*

Opieka narodowych organizacji niesie same korzyści. Organizacje ustalają wysokość *pajek*, więc zwykle przewyższają one te wypłacane przez organizacje ogólnorosyjskie. A zdarza się, że przez bałagan w papierach podopieczni biorą podwójnie – w organizacji narodowej i w Komitecie Wielkiej Księżnej Tatiany.

Do tego dochodzi szeroka działalność kulturalna i edukacyjna. Wydana przez Radę Państwa i Dumę Ustawa o bieżącach z 30 sierpnia 1915 roku, określająca ich status i prawa, pozwala na skupianie mieszkańców z jednej wsi, gminy czy parafii. Polskie organizacje przy polskich koloniach – za budżetowe pieniądze – tworzą infrastrukturę: polskie szkoły (w całej Rosji trwa poszukiwanie nauczycieli do nich), ośrodki kultury,

czytelnie polskich książek i czasopism, ambulatoria, a nawet szpitale. Odbywają się kursy pisania dla analfabetów, a także różnego rodzaju dokształcanie. „Kobiety kompetentne”, czyli wiejskie baby odbierające porody, mogą odbyć szkolenia w szpitalach położniczych, a potem w nich pracować. Powstają ochronki i sierocińce; trwa wyszukiwanie polskich dzieci w rosyjskich przytułkach i pośpieszne przenoszenie ich, by nie dopuścić do wynarodowienia.

Do tworzonych dla bieżenców polskich szkół, wbrew zakazom władz, chodzą także dzieci Polaków od dawna mieszkających w Rosji. Paradoksalnie bieżęństwo wzmocni ich tożsamość narodową. Odegra też kluczową rolę w uświadamianiu narodowym chłopów uchodźców i zjednoczeniu ich wokół idei niepodległego państwa.

Podobnie jest w przypadku innej grupy uchodźców – Łotyszy. Również oni próbują osiedlić się jak najbliżej kraju. „Syberia jest cmentarzem tożsamości narodowej Łotyszy” – powtarzają łotewscy działacze, walcząc z zakupem ziemi przez ich uchodźców. Ci, którzy wyjechali za chlebem pod koniec XIX wieku, prawie już się wynarodowili. Bieżęństwo daje szansę na ich odzyskanie; łotewskie organizacje pomocowe zresztą ją wykorzystują. Po wojnie wielu z emigrantów ekonomicznych wróci na Łotwę, a zbudowane struktury pomocowe odegrają ważną rolę w tworzeniu łotewskiego państwa.

Prawosławni chłopci z Chełmszczyzny i Podlasia pozbawieni są tego, co dostają na co dzień ich polscy czy łotewscy sąsiedzi. Owszem, dzieci chodzą do szkół; miejscowych, rosyjskich. Oni mogą chodzić do miejscowych cerkwi. Nikt jednak nie dba o ich kulturę i tożsamość. Nikt nie troszczy się o potrzeby duchowe.

Grodzieńskie kartofle, kacapy, palaczki

„Jak wychodziliśmy z chłopakami na wioskę, ludzie mówili »*Polaczki gulajut*«. Polaczki się bawią” – powtarzał dziadek ciotki Eugenii Czechowicz z Knyszewicz, który w bieżęństwie spędzonym w Donskoje pod Stawropolem był młodym chłopcem. W jego głosie było zdziwienie. Zresztą i ona, choć urodzona w powojennej Polsce, też się dziwiła. Bo jakież on „*Polaczok*”? Polak to katolik. A on prawosławny, *ruski*, do końca życia *po prostu* mówił, po polsku tylko w urzędzie i u lekarza. A jak jechali w bieżęństwo, to po polsku pewnie nawet i nie umiał.

Dla Kozaków przybysze z Knyszewicz byli jednak Polakami, choć gubernia grodzieńska nie należała do Królestwa Polskiego. Gdy bieżęncy wracali do siebie, na ziemi odrodzonej Polski, po przekroczeniu granicy dla tutejszych urzędników i wojskowych przestali być Polakami. Znów stali się *ruscy*.

*

Tradycyjna kultura, w jakiej przed bieżenstwem zanurzeni są chłopi, nie stawia pytań o tożsamość narodową. Punktem odniesienia jest najbliższy świat. Nie trzeba się zastanawiać, kim się jest. To oczywiste. Jestem z Knyszewicz, w odróżnieniu od tych z Suchynicz, Harkawicz, a już na pewno ze Szczęsnowicz. Ci ostatni nie dość, że katolicy, to jeszcze szlachta. Ktoś inny. Nie my.

Jeszcze przed wyjazdem ta tradycyjna kultura zaczyna się chwiać. Chłopi powoli się edukują, ich świat się trochę rozszerza. Ludzie udający się za chlebem do Ameryki lub na Syberię przysyłają listy; ktoś wraca z armii, w której walczył na wojnie japońskiej.

Wyjazd w bieżenstwo i pobyt w Rosji wszystko gwałtownie wywraca. Chłop spod Sokółki spotyka chłopą spod Bielska: ta sama gubernia, ta sama wiara, ale język jakiś inny, choć przecież *ruski*. Widać różnicę w ubiorze, obrzędach, zwyczajach. Widzi też coraz bardziej różniących się od nich ludzi spod Chełma, Lublina, Łomży czy Ostrołęki. Mieszają się języki, ubiory, zwyczaje, wyznania. Rodzi się pytanie o tożsamość. Kim jestem?

*

Fiedot Kudryński opisuje spotkanie bieżenców z guberni mińskiej i chełmskiej. Mińszczanie krzyczą:

„To wy, z chełmskiej i lubelskiej guberni, nas gubicie. Gdybyście nas tu nie napadli, nie byłoby tej całej tragedii. Nie mieliście prawa jechać przez naszą gubernię. Wy Galiczanie”.

„Jacy Galiczanie? My *ruscy*”.

„Jacy wy *ruscy*? Wam tu nie droga!”

Włączają się Polacy. Z uwagą, że gdyby nie polskie komitety, wszyscy pozdychaliby z głodu w tej Rosji. Bieżency z ziemi mińskiej i chełmskiej zwierają szyki: „Polakom tak tu dobrze dlatego, że im pomagają i polskie, i rosyjskie komitety, a oni korzystają. Czy to uczciwe?”.

*

Prawosławni spod Chełma czy Białegostoku przed bieżenstwem mogą myśleć, że w Rosji mieszka ten sam naród. Prawosławni bracia. Tak głosi oficjalna retoryka, nieuznająca istnienia odrębnych narodów białoruskiego czy ukraińskiego. W bieżeńskich statystykach wszyscy oni są zapisywani jako Rosjanie.

Na miejscu okazuje się jednak, że rosyjscy Rosjanie rozmawiają inaczej. Z języka dzieci bieżenców w szkole się śmieją, a w sklepie go nie rozumieją. „Początkowo nie umiałam mówić po rosyjsku, ale po naszymu – białowiesku, i dlatego spotykały mnie na ulicy różne nieprzyjemności” – wspomina swoje pierwsze miesiące w Niżnym Nowogrodzie Nadzieja Rosko z Białowieży. „Rosyjska mowa to nie niemiecka, szybko się jej nauczyliśmy. Ale między sobą rozmawialiśmy po swojemu” – mówi Maria Lisowska z Załuk pod Gródkiem.

Prawosławie też nie jest takie samo. W Wielki Piątek, gdy na środek cerkwi wynoszona jest *płaszcznica*, płótno z wizerunkiem zmarłego Chrystusa, ludzie z Hostynnego chcą ją, jak zawsze w ten dzień, przystroić w kwiaty i świeże zielone gałązki. Ale miejscowy batuszka nie pozwala; tu się tego nie praktykuje. Podopieczni batuszki Kotorowicza patrzą na gołą *płaszcznicę* i płaczą.

*

Odrębność widać też w codziennym życiu. Rosjanie gotują inne potrawy. Gdy zabiją prosiaka, nikt nie robi kielbas, nie piecze pasztetów. Inaczej uprawiają pole, hodują zwierzęta. Fiauronia Stocka spod Narewki wspomina życie w Omsku: „Głodu tam nie było. Posadzą kartofle, nic z nimi nie robią. My, bieżenci, obsypywaliśmy je ziemią, a kacapy nawet tego nie robiły; nas »grodzieńskimi *kartoszkami*«, kartoflami nazywali”.

„Grodzieńskie *kartoszki*” po powrocie do kraju znikną. „Kacapy”, którymi nie tylko Fiauronia, lecz także inni bieżenci we wspomnieniach *Biezanstwa 1915 hoda* przezywają Rosjan, staną się po latach obelżywym przezwiskiem takich jak ona – prawosławnych mieszkańców Podlasia. Oni będą swoim katolickim sąsiadom odpowiadać określeniem: *miatieźniki*. Tak Rosjanie podczas zaborów nazywali polskich powstańców. Oczywiście nikt nie będzie analizował pochodzenia i znaczenia używanych słów.

Elegancka rodzina ze zdjęcia

W niektórych rodzinach te zdjęcia zachowały się do dziś. Odbitka naklejona na kartonik z napisem CABINET PORTRAIT – nazwą modnego wówczas sposobu robienia zdjęć. Na niej poważni ludzie wpatrzeni w obiektyw. To pewnie pierwsze w życiu spotkanie z fotografem.

Na zdjęciu zwykle rodzina. Matka siedzi na fotelu, obok stoją wyprostowany mąż i dzieci. Czasem obydwójce siedzą, stoją tylko dzieci. Kobieta jest gładko uczesana,

w chustce albo nawet bez chustki. Ojciec w ubraniu przypominającym mundur. Może pracuje na kolei albo na poczcie? Synowie też w czymś podobnym do munduru: gruby pas, skórzane buty do kolan. Dziewczynki w sukienkach, wokół szyi biały kołnierzyk.

Zdarza się, że zamiast rodziny fotografują się sąsiedzi, koledzy, przyjaciółki. Wtedy stoją obok siebie prości jak struna albo siedzą w wymyślonej przez fotografa pozie. Ubrani są też dostojnie i elegancko. To nic, że skromnie. Ze zdjęć bije spokój. Nie ma nędzy, nie widać obaw. Ale czy to oddaje nastrój fotografowanych? Czy nie jest częścią tej całej gry: tworzenia swojego ulepszanego obrazu, utrwalania tego, co chciałoby się zapamiętać?

To, że bieżenców stać na tę zabawę, może zdradzać stabilizację ich sytuacji. Raczej nie myśli się o zdjęciach, kiedy brakuje na chleb. Jak u Anastazji Opolskiej, gdy podczas pobytu w Czardżuju ojciec chce sfotografować rodzinę, matka jednak boi się wydawać skromne oszczędności. Wkrótce zresztą zaczynają chorować i umierać. Nie robią już dostojnej rodzinnej fotografii popularną techniką *cabinet portrait*.

*

Zachowały się też inne zdjęcia. Komitet Wielkiej Księżnej Tatiany w 1916 roku opublikował sprawozdanie z działalności. Rozlicza się z każdego tysiąca wydanych rubli, szczegółowo opisuje pracę każdego lokalnego oddziału. Oprócz tabel z cyferkami zamieszcza też zdjęcia na kredowym papierze.



[^] Pelagia i Łukasz Sawczukowie oraz ich córka Natalia z Nowosiółek pod Białą Podlaską. To zdjęcie przywieźli z bieżęstwa, rodzina nie ma jednak pewności, gdzie je spędzili

Jest tu przywitanie bieżenców w Niżnym Nowogrodzie. Rozstawione wprost na torach kotły; wokół bieżęcy z glinianymi dzbankami i poobijanymi blaszanymi kubkami. Między zmęczonymi chłopkami w chustkach dumnie prężą się damy w kapeluszach, z torebkami oraz panowie w melonikach i gronostajowych kołnierzach. Pewnie dostojnicy z przedstawiającego sprawozdanie Komitetu.

Kolejne: wydawanie obuwia i materiału na odzież przez bachmacki oddział Komitetu Wielkiej Księżnej Tatiany. Damy i panowie siedzą za stołem, nad nimi portret cara Mikołaja II. Przed nimi stoi chłopiec, może dziesięcioletni. Odziany lichy, na nogach wielkie buciory, w ręku długie, skórzane buty – dar od miłościwej komisji. Za nim – w pełnych wyczekiwania pozach – kobiety i dzieci. Zamiast butów na nogach zawinięte szmaty, na głowach – chustki. Czekają miłosierdzia.

Lazaret w Odessie. Na łózkach chorzy, oparta o kule kilkunastoletnia dziewczynka. Umęczone twarze, długie cienie pod oczami. I znów dama w futrzanym kapeluszu i jegomość w meloniku. To pewnie też działacze. Okrągłe twarze, duże brzuchy kontrastują z bieżęską nędzą.

Podobnie jest na wielu zdjęciach. Biedni bieżęcy przed dostojnymi działaczami organizacji charytatywnych. Relacja: petent – dobroczyńca.

*

Jest też seria zdjęć, która można by nazwać: „Bieżęcy się nie poddają”. Tak zatytułowano fotografię dwóch chłopców, zamieszczone w grudniu 1915 roku w magazynie „Letopis Wojny”. Po wcześniejszej serii zdjęć pokazujących dramat rozgrywający się na drogach miało podnosić na duchu, być trochę happy endem. I prawie byłoby: chłopcy są w nowych czapkach, krągłe twarze powinny świadczyć o dostatku. Jeden nawet uśmiecha się całą buzią. Tylko ten przejmujący smutek w oczach drugiego.

Fotografie pokazują rozmaite ochronki i przytułki, warsztaty szewskie i stolarskie dające pracę bieżęcom. Sieroty siedzą pod choinką albo bawią się w śnieżki, czasem pozują przed swoim nowym domem. Solidnie ubrane, zadbane; te grające w śnieżki wyglądają nawet na rozbawione. Znów jednak wyraz ich oczu nasuwa wątpliwość, czy happy end nastąpił.

Zachodni wiatr przynosi zapach swojskiego chleba

Gdy wieje zachodni wiatr, w Donskoje bieżeńcy wychodzą w pole, w step. Stoją tam godzinami. Wąchają. Mówią, że zachodni wiatr przynosi zapach swojskiego chleba. Nie tutejszego, białego. Tego, który pamiętają jeszcze z Knyszewicz. Prawdziwego, czarnego, z żytniej mąki.

Tę historię opowiadała babcia Nadzia. Tęsknota za czarnym chlebem pojawia się też często w innych opowieściach. Konon Michalczuk pamięta, że gdy do ich wioski nad Donem przychodzą żołnierze, bieżeńcy natychmiast rozpoczynają wymianę chleba: „Za kawałek czarnego – taki 5 na 5 centymetrów, czy za suchara, żołnierze dostawali od nas wielki *piroh*. Tak bardzo nasi ludzie chcieli spróbować zwykłego chleba”.

*

Chleb to jeszcze nic. Ludzie tęsknią do rzeczy, które wcześniej wydawały się nieszczęściem. Do piasku zamiast żyznych, tłustych gleb nad Donem czy Wołgą, na których rośnie ta wspaniała pszenica na wysokość człowieka. Wzdrygają się na myśl, że ich ciała miałyby spocząć w tych ciężkich czarnoziemach. Ojciec Natalii Kamarczuk w jarosławskiej guberni powtarza: „Nie daj Boże tu być pochowanym. Nie ma to jak żółty, suchy piaseczek w naszej Orli”.

Godzinami opowiadają, jak pięknie było u nich w wiosce, przypominają śpiew tamtejszych ptaków, zapach pola. Gdy się kłóć, najgorszym przekleństwem jest: „Obyś nie wrócił *na rodzinu*”. *Na rodzinu*, czyli do ojczyzny, ale raczej do tej swojskiej ziemi, z którą są związani, niż do wielkiego państwa. Ta *rodzina* podczas bieżeńskich poszukiwań wciąż im towarzyszy. Samo słowo brzmi nie zawsze identycznie, choć zawsze akcent pada na pierwszą sylabę. W moich rodzinnych stronach – pod Sokółką – mówi się raczej *rodzina* (i tak będę dalej to słowo zapisywać); pod Bielskiem czy Hajnówką – *rodina*. W każdej wersji niesie ten sam emocjonalny ładunek.

Urodzona już w Rosji Tania, ciocia Bazylego Sakowskiego, gdy zaczyna składać pierwsze zdania, powtarza, że kiedyś pojedzie na „łodzinu”. Od kołyski słyszy przecież od rodziców to słowo.

*

„Gdyby nie przewrót bolszewicki, nasi bieżeńcy pewnie by nie wrócili na swoją ziemię”^[38]. To popularna wśród potomków bieżeńców opinia. Nie wróciliby, bo tam

żyło się o wiele lepiej. Bo dostatek, bo ziemie urodzajne. Bo tu był głód ziemi. Bo nie chcieli wracać do biedy. Tak się dzisiaj mówi na Podlasiu.

Niektórzy dodają nawet, że bieżeńcy nie tęsknili za swoim domem, bo nie mieli za czym. W pamięci mają chłopską niedolę, znaną im z pełnych goryczy opowieści rodzinnych, głównie z czasów II Rzeczypospolitej.

Zresztą tęsknota to nie jest pojęcie z surowego chłopskiego języka.

*

O tym, że było tam dobrze i że pewnie by zostali, słyszę także od mieszkańców Gródka na spotkaniu poświęconym setnej rocznicy bieżeństwa. Wszyscy zapewniają, że tak mówiła babcia, tak mówił dziadek.

Na koniec podchodzi do mnie kobieta. Prawie nie ma rodzinnych opowieści. Teściowa, która była w bieżeństwie, tylko raz coś opowiedziała. „Ale ta historia jest tak dziwna, że i powtarzać nie ma co” – zaczyna kobieta. Po chwili jednak mówi: „Byli gdzieś w Omsku, może gdzie indziej. W nocy do ojca teściowej przyszła śmierć. Ten w krzyk, że nie może teraz umrzeć. Ma rodzinę, musi ją zawieźć do domu, nie zostawi przecież tutaj. Śmierć idzie w zaparte. Skoro już przyszła, musi go zabrać. Ojciec radzi więc: weź sąsiada, on stary, schorowany, samotny, nikim nie musi się opiekować. Śmierć na to: zgoda, wezmę jego. Ty dowieziesz rodzinę do domu, urządzisz ich. Umrzesz dopiero tam, ale będziesz miał straszliwą śmierć. Teraz odszedłbyś lekko, we śnie, wtedy będziesz cierpieć. Zastanów się. Dziadek zdania nie zmienia. Tej nocy umiera sąsiad; starszy, samotny człowiek. A dziadkowi pod okiem wyrasta brązowe znamię. Wkrótce rodzina wraca na swoją ziemię. Jest ciężko, ale dają radę. Gdy dzieci wyrastają i się usamodzielniają, znamię pod okiem ojca zaczyna się powiększać, ropieje. To rak, bardzo złośliwy. Ojcem opiekują się córki, cała rodzina. Umiera długo; strasznie się męczy. Tak jak w Omsku przepowiadała śmierć”.

Rewolucja

Więcej przed lekcjami modlić się nie będziemy

„W szkole na ścianie wisiały trzy portrety: cara, carycy i następcy tronu” – wspomina Fiauronia Stocka. Ma piętnaście lat, może już pracować, tutejsza ciotka przekonuje jednak rodzinę, by dziewczyna się uczyła. „Przed lekcjami śpiewaliśmy: »*Boże, cara chrani*«. Raz przychodzimy rano do klasy, czekamy i czekamy, a nauczycieli nie ma. Potem powiedzieli nam, że już więcej przed lekcjami modlić się nie będziemy”. Znikają też portrety cara, carycy i następcy tronu.

Trzynastolatek Anton Akaczuk w Czystopolu w guberni kazańskiej pilnuje przed złodziejami suszącej się na dachu pszenicy. Stąd można oglądać płynące Kamą statki; często robi to z tatarskimi rówieśnikami. Teraz nic nie płynie, kładzie się więc obok zboża i drzemie. Podrywa go przeciągły świst. Nie zdąży jeszcze zobaczyć statku, gdy coś zdmuchuje go z dachu razem z pszenicą. Potem się dowie, że to bolszewickie kanonierki ostrzelały miasto. Stojącego na dachu chłopca prawdopodobnie wzięły za wrogięgo obserwatora. Pociski rozerwały się obok domów, uszkadzając je lekko. Zaczął się dziwny czas. „Trudno było cokolwiek pojąć – wspomina chłopak. – Jednego dnia witają chlebem i solą białych oficerów, wkrótce przychodzą oddziały czerwonych, których też witają chlebem i solą. Za każdym razem wcześniej rozgrywa się straszliwa strzelanina, palą się domy, giną ludzie”.

Jedenastoletni Anton Bartoszuik zapamiętał zamknięcie szkoły, do której tak lubił chodzić. I porządki ustanawiane przez trzech bolszewickich milicjantów ochotników, zwanych w wiosce szucmanami^[39]. „Bawiłem się z kolegami koło plebanii. Pamiętam, jak batuszkę wyciągnęli, znęcali się nad nim. – Ty pop? – rechocząc, zapytał szucman. – Pop.... – A masz córkę? Batuszka milczał. Czerwony uderzył go w twarz. – A można się z nią kochać? – rechotali coraz głośniejsi milicjanci. Batuszka wciąż milczał. Wtedy oni zaczęli go ciągać za brodę i popychać jeden do drugiego, niczym piłkę futbolową”.

*

W opowieści babci Nadzi symbolami rewolucji 1917 roku są sypane do rzeki zboże i straszliwy głód. Rzeką zaczynają płynąć ludzkie trupy. Z opowieści o pobycie w Rosji znikają jasne barwy. Pojawia się groza. Jako tako odbudowany świat znów się wali.

Podobnie jest w innych relacjach. Zdarza się, że pojawiają się daty. Rzadko rewolucja przychodzi już w 1917 roku – częściej w 1918, 1919 czy nawet 1920 roku. Wsie zagubione gdzieś na Syberii zwykle dłużej cieszą się normalnością. Ale i tu w końcu zaczynają panować strach, głód, śmierć. Znow nie wiadomo, co będzie jutro.

Czy rewolucyjny chaos bieżeńcom łatwiej znieść niż ten w 1915 roku? Czego się nauczyli z tamtego doświadczenia? Teraz znow cały świat się wali. Padają ostatnie filary starego porządku: autorytet władzy uosabianej przez carat oraz Bóg.

*

Z tego czasu trudno o relacje spisywane na gorąco. Gazety nie podejmują już tematu bieżeńców; w kraju robotników i chłopów nie są oni niczym szczególnym. Organizacje pomocowe zostają rozwiązane, nie ma ich biuletynów. Znika też Komitet Wielkiej Księżnej Tatiany, księżna zostaje zamordowana. Nikt już nie zbiera relacji bieżeńców; nikt nie analizuje naukowo nowego zjawiska.

Psalmista Paszczuk może gdzieś i pisze dalszą relację z pobytu w Dżankoju na Krymie, ale nie ukaże się ona drukiem. Słuch o nim zaginie. Ksiądz Kotorowicz osiada gdzieś pod Samarą, ale swoją relację spisywaną w latach czterdziestych zakończy przed rewolucją. Pawlik z Wólki Wygonowskiej pod Kleszczelami w pamiętniku opuszcza cały pobyt w Rosji, o rewolucji nie wspomina. Zofia Oleszczuk, skupiona na chorobie matki i codziennej pracy, nie wyróżnia tego czasu. Władysław Glinka opisuje zaś niuanse życia politycznego. Codzienne życie dawnej służby z majątku spod Ostrołęką przestaje go zajmować.

*

W zgłębianiu czasu rewolucji przeszkadza mi jeszcze jedno.

Zdarza się to właściwie od początku, gdy zaczynam rozmawiać z potomkami bieżeńców, choć dopiero z czasem to sobie uświadomię. Czy w rodzinie, czy w grupie sąsiadów wygląda to podobnie. Opowiada kobieta: „Babcia chodziła do Kozaczek pielć ogrody, dużo słoneczników hodowali. Szła też młócić; tam już mieli młockarnie; całą zimę młócili”. Ale mężczyzna przerywa: „To nieważne, dokończysz potem...”. I zaczyna swoje: „Jak wybuchła rewolucja, dziadka zabrali biali. No i ci biali nacierają. A w mieście stoją czerwoni, bronią się. Postrzelili dziadka, wzięli do niewoli...”. Bywa, że w opowieści mężczyzny nie ma dziadka ani nikogo konkretnego. Jest po prostu walka. Czerwoni atakują, biali odступują, albo odwrotnie.

Ale ja nie chcę słuchać wojskowych opowieści. Czytałam już o walkach, wiem, kto zwyciężył i jak bardzo było to skomplikowane. Wolałabym o pieleniu ogrodów

u Kozaczek, o młóceniu przez całą zimę. O tym, co czują rodzice patrzący na słabnące z głodu dzieci. Zresztą, jeśli już musimy rozmawiać o tych wojnach dziadka, wolałabym się dowiedzieć, gdzie chował się przed poborem do oddziałów białych (lub czerwonych). I jak z tymi, którzy po niego przychodzą, rozmawiała babcia.

Przerywam więc, pytam kobietę o codzienne życie. Ale ona już nie opowiada. Patrzy na męża, niech on mówi o „ważnych” sprawach. Gdy ją dopytuję, tłumaczy, że wprawdzie jej dziadka słuchać przychodziło pół wsi, ale ona słabo pamięta. Te Kiereńskie, Kołczaki, Denikiny, Budionne jej się mieszają. Już szybciej wspomni babcine opowieści, ale to nic ważnego – podkreśla. Dom, praca, dzieci, gotowanie...

Słucham więc znów o tym, jak biali atakują, a czerwoni odступują (lub odwrotnie). Nawet jeśli udaje mi się skierować opowieść bardziej w stronę codzienności, z imienia i nazwiska występuje dziadek. Babcia często pozostaje bezimienna. Jakby była nieważna. Gdy jednego z mężczyzn z Białegostoku dopytuję o jego matkę, która w chwili powrotu miała trzynaście lat, słyszę: „Ona nic nie mówiła. Tylko mądrzejsi trochę pamiętali i coś z tego rozumieli; na przykład mój dziadek”. Córka mężczyzny protestuje: „Jak to? Babcia mnóstwo opowiadała. O życiu codziennym nad Donem, o Kozakach na koniach, o arbusach, o wyrabianej w domach gęstej oliwie, którą można było smarować chleb. O tym, że do szkoły chodziła, ale przyszła rewolucja, głód, trauma. I wtedy wszystko, co dobre, się skończyło. A po powrocie tu uczyć się już nie mogła”.

Córka mężczyzny pamięta wiele babcinych historii, opowiadanych przy codziennej pracy. Ale gdy dopytywała ją o bieżącość, babcia odsyłała do mężczyzn. „Oni lepiej opowiedzą” – mówiła.

*

Gdy w latach sześćdziesiątych XX wieku powstały gazety mniejszości narodowych, na łamach białoruskiej „Niwy” pojawiają się historie z czasów I wojny światowej i bieżącości. Żyją jeszcze ludzie, którzy dobrze to pamiętają. W materiałach drukowanych w „Niwie” także codzienne życie jest przykryte przez opowieść z cyklu: „Oni atakują, my odступujemy”. Starsi mężczyźni opowiadają o rewolucyjnej walce.

Tak więc Jan Ziniuk z Górnego w Kokandzie pod Taszkientem przed rewolucją czyta *Kapitał* Marksa. Dostał go od przyjaciela – studenta. Gdy Ziniuk chce się zgłosić do carskiej armii, by pomścić śmierć brata na froncie, student pyta go: „Czy tobie albo twojemu bratu potrzebne są jakieś Dardanele?”. Zamiast do wojska Jan jedzie więc do Moskwy i zatrudnia się w fabryce. Po wybuchu rewolucji bije się za władzę czerwonych.

Chrysan Iwaniuk z Pawłów walczy w Czerwonej Gwardii. Wzięty do niewoli przez białych, już klęczy na śniegu, a pluton egzekucyjny ładuje karabiny. Chrysan błaga o życie: jest biednym bieżącym, siłą wcielonym przez bolszewików. Kozacy litują się, biorą do siebie, ale on ucieka, z czerwonymi odbija Rostów nad Donem oraz walczy przeciw legionom Piłsudskiego. Bywa w okrażeniu i niewoli, parę razy ma zginąć, cudem unika śmierci. Idealna historia do filmów przygodowych.

Bohaterowie tych i innych żołnierskich opowieści z „Niwy” w latach sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych są zapraszani do szkół na akademie ku czci rewolucji październikowej. Opowiadają o swojej bohaterskiej walce. Codzienne życie chłopów w bieżącym, a tym bardziej „siedzących w domu” chłopiek, nikogo nie obchodzi.

Jeszcze raz wertuję więc *Bieżącego 1915 hoda*, przeglądam spisane przeze mnie opowieści. Szukam opisów zwykłego życia. Tych, które pokazałyby, jak ostatecznie rozpada się stary, jako tako znajomy świat.

To nie wasza sprawa, bieżący

Roman Bagrowski z Suchowolców mieszka we wsi Bolszoje Pirogowo w guberni riazkańskiej. Płacze, gdy z pobliskiego majątku *Otrada* – w dosłownym znaczeniu „pociecha” – bolszewicy wyganiają pańskie córki. „*Otrada*, ty nasza *otrada*, ty nas chowałaś jak rodzona matka” – śpiewają panienki, opuszczając dom. Roman pamięta, jak kiedyś uratowały mu życie.

Wracał wtedy z kolegami ze szkoły. Miało się ku wiosnie, topniały śniegi, przydrożna rzeczka przybrała. Chłopcy chcieli ją przeskoczyć, ale Roman pośliznął się i wpadł do wody. Koledzy wyciągnęli go, dostał jednak zapalenia płuc. Siostra pobiegła do *Otrady*. Pańskie córki przez kilka dni przyjeżdżały, przykładaly kompresy do piersi i dawały lekarstwa. Dzięki nim wyzdrowiał.

Pan też był dobry. Gdy do Bolszogo Pirogowa przyjechali bieżący, rozkazał kucharzom gotować tyle, by nakarmić wszystkich przyjezdnych. Codziennie wydawano im w *Otradzie* obiady; smaczne, trzydaniowe, jakich w swoich wsiach nigdy nie jedli. Wielu poszło do niego pracować. Taki jasny obraz – nie wiadomo, prawdziwy czy wyidealizowany przez czas i późniejsze doświadczenia – zachował się w pamięci Romana Bagrowskiego.

Wraz z rewolucją kończy się wszystko. Jedzenie, praca, leczenie. Znikają też Maria, Kławdia i Anastazja – córki batuszki, które uczyły w szkole. Do dworu wprowadzają się bolszewickie oddziały. Zużywają zapasy z pańskich spichlerzy, odbierają od

chłopów zboże i topią w rzekach, by nie trafiło w ręce wroga; palą kułackie młyny. Zaczyna brakować jedzenia.

We dworze bolszewicy osiedlają też bieżęńców. Roman Bagrowski popołudniami siedzi w pańskiej bibliotece i czyta. Stąd z okna obserwuje kontrrewolucję. Bolszewicy uciekają, za nimi ludzie ze wsi z kosami i widłami. Na stacji kolejowej tłum zabija komendanta i ustanawia swoją władzę. „Ogóreczki zielone, rzodkiewka *mołodaja*. / Nie trzeba nam sowietów, dawajcie Mikołaja. / Lenin łapcie plecie, podchmiela się, / a Trocki sprzedaje, uśmiecha się” – śpiewają rozradowani zwycięstwem ludzie. Próbuje przywrócić stary porządek. Młyny są jednak spalone, zboże zniszczone. Pana i jego dobrych córek już nie ma. Córek batiuszki też nie. Bieżęńcy zostają w pałacu. Bo i tak nikt w nim nie mieszka.

Mija tydzień. W niedzielę cała wioska jest w cerkwi. Wtedy otacza ją oddział czerwonych. Wywołują kupców, sklepikarzy, najbogatszych gospodarzy i natychmiast rozstrzelują. Nie pozwalają nikomu wyjść z cerkwi, nawet matkom z małymi dziećmi. Wpuszczają tylko bieżęńców. „To nie wasza sprawa, idźcie w swoją stronę” – mówią.

*

Ale czasem stać z boku się nie da. Pal licho, jeśli wymagają tylko wysłuchania propagandy, jak u Antona Akaczuka, którego pocisk zdmuchnął z dachu razem z suszącą się pszenicą. Na wiece pędzi go każda z szybko zmieniających się władz. „Ileż ja się wtedy różnych przemówień nasłuchałem! Chyba już na całe życie wystarczy” – wspomina. Najbardziej przemawiały do niego hasła głoszone przez czerwonych. Mówiły o krzywdzie biednych ludzi, którymi byli przecież także bieżęńcy.

Albo jeśli wciągają do komuny, jak czternastoletniego Józefa Nowickiego. Bolszewicy organizują ją po rozkułaczeniu pana w majątku pod Omskiem, gdzie Józef jest ogrodnikiem. Wszyscy razem mieszkają, jedzą, pracują; wieczorami śpiewają i się bawią; są młodzi, komisarz ma ze dwadzieścia lat. Po trzech miesiącach Józef ucieka do rodziców. Będzie po latach opowiadał: „Tam, gdzie stał Kołczak i kapitaliści, głodu nie było. Tam, gdzie czerwoni, głód i cholera zabijały ludzi”.

Ale zarówno biali, jak i czerwoni zaczynają wymagać krwi. Zabierają mężczyzn, nie pytając o poglądy. Bieżęńcy zasilają więc szeregi wojsk po wszystkich stronach; pewnie zdarza się, że do siebie strzelają.

Możliwe, że niektórzy idą nawet z ochotą. Zwłaszcza młodych mogą porwać hasła głoszone przez czerwonych, to ich później będą zapraszać na październikowe akademie. Większość jednak nie pali się do wojaczki; chce po prostu przetrwać. Czasem ktoś

próbuję uciekać, jak cioteczny dziadek Anny Kraśnickiej z Białegostoku. Zdezerterował z wojska, przyjechał do swojej szwagierki nad Don. Raz kobieta przypadkiem usłyszała, że mężczyźni we wsi naradzają się przeciw niemu, nie rozumieją, dlaczego nie chce walczyć po ich stronie. Biegnie więc do domu, daje bochenek chleba i kawałek słoniny, każe uciekać. Nad ranem przychodzą po niego. „To nie mój mąż, ja go nie pilnuję” – mówi Aleksandra Pietruczuk, babcia Anny.

Tym razem to wystarcza. Zdarza się jednak, że w podobnych sytuacjach leje się krew całej rodziny.

*

Ania Matysiuk z Bielska Podlaskiego pamięta z dzieciństwa niezrozumiałe wypowiedzi dorosłych. Że babcia urodziła się w 1917 roku w Barnaule. „Gdzie to jest?” – pytała. „W Rosji, aż za Uralem” – odpowiadali krótko. Albo że cioteczny dziadek był komisarzem ludowym. „Kim?” – dopytywała Ania. Ale nikt nie spieszył z wyjaśnieniami.

Gdy podrosła i zaczęła interesować się historią, dowiedziała się, co znaczy komisarz ludowy. Policzyła: dziadek był z rocznika 1900, podczas rewolucji miał siedemnaście lat. Chyba za młody na komisarza? Zapytała jego syna, dziadek już nie żył. Ten długo milczał. W końcu powiedział, że raz próbował ze swoim ojcem rozmawiać o rewolucji. Usłyszał: „Gdyby nie to komisarzowanie, cała rodzina z głodu by umarła, a ciebie nie byłoby na świecie”. Powiedział to takim tonem, że syn bał się później wracać do tematu.

Ania myśli, że choć o tym nie wolno było w rodzinie wspominać, to komisarzowanie wpływało na późniejsze życie dziadka. Gdy po II wojnie przysłani z ZSRR agitatorzy namawiali prawosławnych spod Bielska i Białegostoku na wyjazd „do raj”, prawie cała ich rodzina pojechała. Zostali tylko urodzona w Barnaule babcia Ani z mężem – dziadek upił dowódcę agitatorów i ten kazał opóźnić wyjazd tak bardzo, jak się da. Nie wyjechał też cioteczny dziadek – siedemnastoletni komisarz ludowy. Nigdy tej decyzji nie tłumaczył.

*

Hasło, które od bolszewików słyszy Roman Bagrowski: „To nie wasza sprawa, bieżęncy”, na niewiele się zdaje. Nieważne, że bieżęncy nie rozumieją tej rewolucji, a w późniejszych opowieściach nawet przekręcają słowa: mówią „rezolucja” czy jeszcze inaczej. Głód, choroby i dramatyczne wybory życiowe będą „ich sprawą” nie mniej niż miejscowych.

Ludzie ludzi jedli

Bolszewicy sypią zboże do rzek, palą albo rzucają ptakom. Te obrazy pojawiają się niemal w każdej opowieści o rewolucji. Zaraz potem przychodzi głód. Brakuje wszystkiego, szaleje inflacja. Wypłata, dotychczas zapewniająca rodzinie utrzymanie, starcza teraz na litr mleka. Zmieniają się pieniądze – każda władza ustanawia własne. Kwitnie czarny rynek, ludzie wracają do handlu wymiennego.

Bieżeńcy na początku jeszcze dostają zapomogi, czasem w naturze. Ojciec urodzonego w Samarze Grzegorza Tarasiuka przynosi co tydzień pięćdziesiąt jajek, po dziesięć na osobę. Ale państwowa pomoc szybko się kończy.

Znikają dotychczasowe źródła utrzymania: dwory i zamożni gospodarze, u których pracowali, są teraz rozkułaczani. Co zaradniejsi bieżeńcy uczą się nowych zajęć. Mąż Nadziei Dalewicz z Trywieży chodzi z ojcem po okolicy i handluje złotem. Gdy coś zarobią, kupują chleb, kaszę i mąkę. Nie mają oszczędności, ale nie głodują, rodzinę omija tyfus. Wujek Nadziei też handluje złotem. Ale żal mu wydać wszystko na jedzenie; odkłada. Umiera na tyfus i on, i żona. Niedożywione organizmy nie mają siły bronić się przed chorobą.

*

Tyfus, który dziesiątkował bieżeńców w czasie drogi do Rosji, znów zbiera żniwo. Niemal w każdej rodzinie ktoś choruje.

U Antona Akaczuka umiera matka. Trzynastolatek z rodzeństwem zostają bez środków do życia. „Ale bieda wszystkiego nauczy” – wspomina Anton. Z braćmi nosi sól do tatarskich wiosek, wymienia na chleb i mleko, które sprzedają w mieście. Dokarmiają ojca, bo szpital nie ma czym żywić pacjentów. Może dlatego mężczyzna przeżyje?

*

Józefowi Szymusiukowi choruje cała rodzina. Nie mieszkają już w polskich barakach w Orenburgu. Po rewolucji przyjechał do nich ojciec, którego nie widzieli od 1915 roku, kiedy poszedł na front. Gdy wśród bieżeńców rozchodzi się wieść, że na stacji są podstawione wagony, które zawiozą ich „na rodzinu”, chcą wracać do Topolan. Ale po przejechaniu kilkudziesięciu kilometrów pociąg zatrzymuje się w polu, żołnierze każą wysiadać i ładować się na podstawione chłopskie furmanki. Bieżeńcy jednak wkrótce uciekają ze wsi do miasteczka Buzułuk. Tu wynajmują mieszkanie, a ojciec Szymusiuka dostaje pracę zwrotniczego.

Najpierw umiera młodszy brat Józefa. Ojciec niesie go pochować; gdy wraca, sam ledwo trzyma się na nogach. Następnego dnia już wszyscy są chorzy, nikt nie ma siły wstać i napalić w piecu. Wokół ostra zima, w domu zamarza woda. Wtedy ojciec jakoś zwleka się z łóżka, dopęła do okna i woła przechodzącego ulicą żołnierza. Prosi, by wezwał dorożkarza, który odwiezie rodzinę do szpitala.

Matkę, ojca i córkę kładą w jednym łóżku; szpital jest przepełniony. Józefa odsyłają do domu. Wlecz się, opierając co chwila o budynki przy ulicy. W domu zimno, napalić nie ma czym. Chłopiec zasypia. Nie wie, jak długo śpi. Możliwe, że kilka dni. Kiedy się budzi, bierze pieniądze z rodzinnej skrytki i idzie na bazar kupić jedzenie oraz opał.

Jest już zupełnie zdrowy, gdy pojawiają się matka z siostrą. Mówią, że ojca zabrali na noszach do kąpieli i już nie wrócił. Dopiero następnego dnia pielęgniarka powiedziała, że umarł. Najpierw się rozplakały; potem matka wzięła córkę i uciekły ze szpitala.

*

Jest coraz gorzej. Głód i choroby szaleją. Dochodzi do rzeczy niewyobrażalnych nawet dla bieżących, którzy – wydawałoby się – przeszli wiele. W latach 1921–1923 z głodu umiera nawet ponad pięć milionów osób. Na żyznym Powołżu, które klęska dotyka najmocniej, dochodzi do aktów ludobójstwa.

Rodzice boją się wypuszczać dzieci z domu – ponoć to one najczęściej znikają. „Moja siostra ubrała się i poszła do miasta. Dorożkarze wołali, że podwiozą – relacjonuje Grzegorz Tarasiuk w książce *Bieżanstwa 1915 hoda*. – Obok był sklep i sprzedawczyni krzyczała, by siostra do niej natychmiast szła. »Dobrze, że z nimi nie pojechałaś. Wywieźliby ciebie za miasto, twoje ubranie sprzedali, a ciebie samą zarznąli na mięso« – powiedziała”.

Niech bieżący nie proszą o drewno na trumny

Rada bieżących w okolicach Riazania proponuje, by oddać jej ziemię po tutejszym dworze. Bieżący mogliby pracować na swoim, nie dochodziłoby do konfliktów z miejscowymi, na których łaskę są teraz zdani. Ale władze się nie godzą. Gospodarze dzielą ziemię między sobą, tłumacząc, że bieżący mogą przecież dalej u nich pracować.

Tę historię opowiada N. A. Garbanczewicz, bieżeniec z guberni grodzieńskiej. Przemawia na odbywającym się w Moskwie w lipcu 1918 roku Wszechrosyjskim Zjeździe Bieżących z Białorusi. Zwołują go bolszewicy; ma być przeciwwagą dla

działającego w Mińsku za przyzwoleniem Niemców rządu Białoruskiej Republiki Ludowej. Bierze w nim udział dwustu dwudziestu siedmiu delegatów z różnych rejonów Rosji; stu pięćdziesięciu pięciu z dawnej guberni grodzieńskiej. Niemal wszyscy to chłopi.

Protokoły ze zjazdu dostarczają wielu informacji o życiu i relacjach społecznych w okresie rewolucji.

*

W funkcjonującej dziś opowieści o bieżącej rewolucji kończy nie tylko czas spokoju i stabilizacji. Zmienia się stosunek miejscowych do przybyszów. Nie ma tej wylewnej serdeczności i hojności, o których często opowiada się w książce *Bieżanstwa 1915 hoda*. Na stole albo oknie niewidzialna ręka nie stawia już chleba, bułek i mleka. „Po rewolucji wszystko się zmieniło” – tak często kończy się opis sielskich relacji z tutejszymi ludźmi. Jak wyglądają one teraz? O tym w funkcjonujących dziś przekazach nie mówi się raczej wprost.

Najczęściej powtarza się: „Zaczął się głód, aresztowania, złodziejstwo, nikt nie był pewien następnego dnia”. Czy stosunek do bieżących stał się po rewolucji wrogi? Czasem ktoś wspomni, że *pajki*, które w niektórych guberniach bieżący dostawali jeszcze po rewolucji, budziły zawiść głodujących miejscowych. Albo że dotychczasowi gospodarze powiedzieli kiedyś, by wreszcie jechali do siebie, bo im tu samym ciężko. Opowiadający zresztą zaraz dodaje ze zrozumieniem: „Bo rzeczywiście było im bardzo ciężko”. W jednej z opowieści z tomu *Bieżanstwa 1915 hoda* znajduję krótką wzmiankę, która może dotyczyć pozbawiania bieżących udziału w parcelacji majątków. Ktoś inny mówi, że gdy wreszcie wyjeżdżają *na rodzinu*, miejscowi patrzą na nich z zazdrością. Czuć żal i współczucie opowiadających, czuć splątane emocje.

Dlatego lektura protokołów ze Zjazdu mnie zaskakuje. Z niemal każdego wystąpienia delegata wylewają się pełne gorczy skargi na wrogość miejscowej ludności. Dokument ten nie jest popularny wśród zainteresowanych bieżącem osób; znają go właściwie tylko zajmujący się tematem lokalni historycy. W ostatnich latach cytują go w rocznicowych tekstach skierowanych do prawosławnych albo Białorusinów; cytaty jednak zawsze dotyczą tęsknoty za rodzinną ziemią i planów powrotnych. Nigdy skarg na trudne relacje z miejscową ludnością czy władzą.

*

W guberni saratowskiej miejscowa ludność odmawia bieżącom sprzedaży chleba, wyrzuca ich ze stojących po żywność kolejek – mówią delegaci na Wszechrosyjski

Zjazd Bieżeńców z Białorusi. – Gdzie indziej każą płacić nawet za wodę ze studni. Wyganiają z zajmowanych kwater, staruszków czy matki z małymi dziećmi wyrzucają na bruk. Ponoć zdarzyły się przypadki odmowy pogrzebu dzieci bieżeńców na miejscowych cmentarzach.

Lokalni mieszkańcy nie tylko nie pozwalają bieżeńcom uczestniczyć w parcelacji majątków i stać się gospodarzami. Brutalnie ich wyzyskują. „Miejscowi dostają 5–7 rubli za dzień pracy; bieżeńcy – rubla. A były i przypadki, że bieżeniec pracował cały dzień za szklankę mleka” – opowiada cytowany już delegat Garbanczewicz. W guberni penzeńskiej nie jest lepiej. Mieszkający tam Filip Iosifowicz Farbman spod Witebska skarży się: „Zdarza się, że fabryki zwalniają nas z pracy”. W guberni tambowskiej bieżeńcy masowo idą żebrać, ale nikt nie chce się nad nimi ulitować. Całe dnie stoją pod oknami miejscowych chłopów, by usłyszeć: „My sami nie mamy co jeść”. Albo: „Ach, jak nam już to pomaganie wam nadojadło”. Na gminnych czy wioskowych zebraniach, na które bieżeńcy przecież nie mają wstępu, nakazuje się nie okazywać im żadnej pomocy, bo jeszcze zostaną tu na zawsze.

„Pracowaliśmy, walczyliśmy i oddawaliśmy życie razem z Wielkorusinami. A teraz umieramy z głodu!” – woła Kuźma Suławko, pochodzący gdzieś z Grodzieńszczyzny delegat guberni kazańskiej. Na Zjeździe wylewa się morze gorzkości. Najwięcej – wobec miejscowej ludności. Widać, że te relacje są nawet bardziej bolesne niż to, że państwo zabrało im *pajki*.

*

Delegaci skupiają się na problemach; nie przyjechali na Zjazd opowiadać o życzliwości, której część bieżeńców może wciąż doświadczać od miejscowych. Poza tym protokoły powstawały pod kontrolą bolszewików, którzy w rosyjskich chłopach chcą widzieć kułackich wrogów klasowych. O tym trzeba pamiętać podczas ich lektury.

Coraz trudniejsze bieżeńsko-rosyjskie stosunki, choć trudno je odnaleźć w funkcjonującym współcześnie przekazie, widać w innych materiałach źródłowych. Także tych tworzonych z perspektywy miejscowej ludności i władz. Analizowali je uczniowie szkoły w Nowoczerkasku koło Rostowa w 2011 roku, gdy pisali pracę o obecności bieżeńców w ich mieście. Korzystając z lokalnych archiwów, szczegółowo przeanalizowali nieznany sobie wcześniej temat. Opisali chęć pomocy ze strony Rosjan w 1915 roku, gdy bieżeńcy się pojawiają. W 1916 roku zryw społeczny mija, często można odnieść wrażenie, że ludzie mają już bieżeńców coraz bardziej dosyć. Po rewolucji pojawia się wobec nich wrogość. Obwinia się ich o brak żywności i szalony wzrost cen. Utracili wpływ na własne życie, stają się kozłami ofiarnymi.

*

Do protokołów ze Zjazdu są także dołączone urzędowe pisma przywiezione przez delegatów na dowód wrogości ludności i władz.

8 lipca 1918 roku komisarz miasta Sapożok w guberni riazańskiej pisze do bieżęńskiej rady: „Do Departamentu Ekonomicznego w ostatnim czasie przychodzi wielu bieżęńców z żądaniami wydania im drewna na trumny dla ich zmarłych bliskich. Przy czym prośby te bywają obcesowe, dochodzi do obrażania członków Departamentu. Jako że sam Departament Ekonomiczny dramatycznie potrzebuje materiałów drewnianych, nie jest więc w stanie spełniać próśb. Prosi więc Radę, by nie przysyłała bieżęńców z takimi sprawami”.

To już nie pierwsze takie pismo. W maju komisarz prosił o niewydawanie bieżęńcom zaświadczeń na bezpłatne leki, bo takie im teraz nie przysługują. W nowym ustroju za darmo leczą się tylko inwalidzi wojenni i ci, których choroba jest następstwem służby wojskowej. Pismo ponowił w czerwcu, bo bieżęńcy wciąż idą.

Z kolei zimą 1918 roku Centrplenbież (Centralne Kolegium do spraw Jeńców i Wygnańców przy Komisariacie Ludowym Spraw Wojskowych, utworzone w kwietniu 1918 roku, by przygotować i przeprowadzić powrót bieżęńców) napomina pisemnie władze Riazania, by podczas podziału żywności nie pomijały bieżęńców. Powinni być oni uwzględniani na takich samych zasadach jak ludność lokalna. „Przecież nawet burżuazja nie odmawiała bieżęńcom prawa do jedzenia” – pisze Centrplenbież.

Jest nas najwięcej, nie mamy przedstawiciela

Delegaci na Zjazd widzą jeszcze jeden ważny problem. „Inne narodowości: Polacy, Litwini czy Łotysze, swoich bieżęńców jako tako zabezpieczyły. Białorusini, których świadomość narodowa jest wciąż niewielka, są w o wiele gorszej sytuacji” – przyznaje Iosif Łatyszenko z Wileńszczyzny, osiadły w guberni orłowskiej. Aleksander Jaroszewicz, delegat Białoruskiej Narodowej Hramady Kaługi dodaje: „W guberni kałużskiej, w której jest czterdzieści pięć tysięcy bieżęńców z samej guberni grodzieńskiej, w radzie [bieżeńskiej] nie ma ani jednego przedstawiciela Białorusinów, podczas gdy z każdej innej narodowości do Rady weszło po czterech przedstawicieli”. Brakuje ludzi do pracy, bieżęńskie masy są bierne. Nieposiadający dotychczas własnej organizacji białoruscy chłopcy stają się teraz jeszcze bardziej osamotnieni i bezradni. Rozwiązano ogólnorosyjskie organizacje dotychczas zajmujące się bieżęńcami. Nikt nie troszczy się już o ich sprawy, odpowiedzialność za nie została rozrzuczona po różnych instytucjach. Pracującymi bieżęńcami zajmuje się Komisariat Pracy, niepracującymi –

Komisariat Opieki Socjalnej, któremu podlegają bieżenieckie sierocińce. Trudno im się w tym połączyć.

*

Zakładane już w drodze do Rosji polskie organizacje do rewolucji działały prężnie. W sumie – jak wyliczają Władysław Grabski i Antoni Żabko-Potopowicz w *Polsce w czasie wielkiej wojny (1914–1918)*: „założyły one 1422 szkoły początkowe polskie i ochronki z przychodzącymi dziećmi, do których uczęszczało 76 426 dzieci, 601 przytułków i internatów dla 29 831 osób, 36 szkół rzemieślniczych i warsztatów dla 3742 uczniów, 5 szkół średnich i kompletów dla 6547 uczniów, ogółem 2084 zakłady szkolno-wychowawcze dla 116 546 osób; wydały poza tym setki tysięcy tomów podręczników i książek dla ludu”. Organizacje te tworzyły szpitale, ośrodki zdrowia, ambulatoria. Zapewniły też wyższe niejednokrotnie niż u pozostałych grup bieżenieckich *pajki*. Troszczyły się o potrzeby duchowe: sprowadzały księży, dostarczały książek, organizowały koncerty i inne wydarzenia kulturalne. Po rewolucji organizacje narodowe zostają wprawdzie rozwiązane, wielu aktywistów jednak wciąż pracuje na rzecz swoich bieżenieckich.

To wszystko buduje wspólnotę między inteligencją a „dołami społecznymi”. Może też wyzwalać aktywność prostych, niewykształconych ludzi. Podobnie dzieje się wśród Łotyszy czy Litwinów. U Białorusinów, także u Ukraińców – nie. Od początku osamotnieni, teraz płacą dodatkową cenę. U nich przepaść między rodzącą się inteligencją a „dołami” w bieżenieckim jeszcze się pogłębia.

W 1915 roku zdecydowana większość białoruskiej inteligencji została w domu i znalazła się pod okupacją niemiecką. W 1918 roku jej przedstawiciele uczestniczą w tworzeniu w Mińsku rządu Białoruskiej Republiki Ludowej, który 25 marca ogłasza niepodległość. Niemcy, uznające zgodnie z traktatem brzeskim Białoruś za część Rosji, przyzwalają na to, nie przywiązując do tego faktu większej wagi. Zakazują tylko organizacji struktur militarnych.

Propaganda bolszewicka przedstawia rząd BRL jako twór burżuazyjny, dbający o interesy bogaczy i wyzyskujący chłopów. Niewyrobieni politycznie bieżenieckie nie są odporni na komunistyczną retorykę; z wielu powodów zresztą trudno im się z mińskim rządem utożsamiać^[40].

Wśród bieżenieckich z czasem zaczynają wyrastać aktywiści; regionalni historycy wymieniają też kilka nazwisk przedstawicieli nowej inteligencji, którzy znaleźli się w bieżenieckim i teraz w miastach próbują tworzyć zręby narodowych organizacji. W ich działaniach widać często wiele entuzjazmu i poświęcenia, jest ich jednak za mało i brak

im doświadczenia, by cokolwiek ugrać dla tych, których reprezentują. Uczestniczą oni też we Wszechrosyjskim Zjeździe Bieżeńców z Białorusi. Na poszczególne sesje przychodzą wprawdzie urzędnicy z ministerstw, ale władza nie liczy się z ustaleniami Zjazdu. Uchwały, które kończą każdą z sesji, pozostaną w większości tylko życzeniami.

Trudno powiedzieć, czy masy białoruskich bieżeńców wiedzą o odbywającym się Zjeździe, czy traktują go jako coś swojego, czy znają delegatów i czy wiążą z nim jakieś nadzieje. Pamięć o Zjeździe i białoruskich działaczach nie przetrwa w ludzkiej pamięci. W żadnym ze wspomnień, które przeczytam lub wysłucham, nie pojawi się o nich nawet wzmianka.

Do domu!

Reewakuacja. Powrót do domu. Mówi się o tym coraz częściej i coraz głośniej. Domagają się tego działacze chyba wszystkich organizacji narodowych; także delegaci na Zjazd. Powrotu pragnie i miejscowa ludność, której przecież przybysze już „nadojedli”.

Białoruscy chłopcy trochę się boją czekającej *na rodzinie* niewiadomej. Przecież wszystko zostało spalone, wszystko stracili. A ze sobą wiele nie przywiozą. O odszkodowaniach, które mieli otrzymać od państwa, nikt teraz nie wspomina. Chłopi właściwie ich nie dostali, choć – sądząc z relacji Władysława Glinki – wywalczyła je sobie ogromna część ziemian. Nie mają pojęcia także, co zastaną po latach panowania tego Niemca, przed którym uciekali. Właściwie czyimi będą poddanymi? Niemieckimi? Rosyjskimi? A może będzie jakieś państwo białoruskie? Pytań jest mnóstwo. Delegaci chcą wysłać nawet posłańca, by zbadał grunt, zanim pojedą zwykli ludzie. Ci nie zamierzają jednak czekać, chcą wracać. „Trzeba nam jechać jak najszybciej. Tu wszystko jest takie drogie, że już samo przeżycie stało się niemożliwością. Na Białorusi, w ostateczności, można znaleźć bezpłatną mogiłę” – uderzając w patetyczne tony, zapowiada Nestor Pierewoj, nauczyciel ze wsi Knorozy koło Bielska.

Na przeszkodzie stoi jednak granica. Władze – zarówno bolszewickie, jak i niemieckie, zajmujące wciąż tereny, z których pochodzą bieżeńcy – nie śpieszą się, by umożliwić im powroty. Nie widzą w tym żadnych dla siebie korzyści. Przeciwnie – raczej kłopoty. Przez kilka najbliższych lat bieżeńcy będą zakładnikami zmieniającej się burzliwie sytuacji politycznej. Na powrót do domu wielu z nich będzie musiało czekać jeszcze trzy, cztery, a nawet sześć lat. Najdłużej będą wracać chłopcy Białorusini i Ukraińcy.

Powrót

Najpierw Polacy, potem prawosławni i żydzi

Granica oddzielająca Dąbrowskich od rodzinnych Haciek znika pewnego lutowego dnia 1918 roku.

Gdy podczas rokowań pokojowych w Brześciu Litewskim Rosjanie nie godzą się na zaproponowane warunki, Niemcy ruszają z ofensywą na wschód. „Korzystając z rosyjskich dróg i kolei, Niemcy jechali niemal jak na wycieczkę. W 124 godziny posunęli się o 250 kilometrów”^[41] – pisze Martin Gilbert w *Pierwszej wojnie światowej*. Wchodzą do Dźwińska, Łucka, Mohylewa, Mińska, Kijowa, Rewla (dziś: Tallinn), Narwy. „Na zajętych ziemiach znajduje się dwieście osiemdziesiąt pięć tysięcy Polaków uchodźców” – podadzą później polskie organizacje pomocowe. Wątpliwe, by wliczały Dąbrowskich, prawosławnych mieszkańców byłej guberni grodzieńskiej.

Andrzej Dąbrowski ma wtedy jedenaście lat. Od 1915 roku mieszka z rodziną pod Mohylewem. Lubi chodzić pod pomnik cara Aleksandra II w centrum miasteczka. Polscy żołnierze, którzy zajmują miasto, rozbijają go. Chłopak nie rozumie dlaczego. Przecież Aleksander II zniósł pańszczyznę. O tłumieniu powstania styczniowego Andrzej nie ma pojęcia.

Do Haciek najpierw ruszają ojciec Andrzeja z kuzynem. Mają przetrzeć szlaki. Wojskowi po drodze biorą ich za szpiegów rosyjskich i osadzają w więzieniu w Białymstoku. Sprawdzają w Haćkach, czy Dąbrowscy mieszkali tam przed 1915 rokiem. Wioska jest prawie pusta, z bieżniostwa wróciło zaledwie kilka osób. Dzięki ich świadectwom ojciec z kuzynem opuszczają areszt.

Rodzina Andrzeja nie zdąży jednak wyjechać spod Mohylewa. Pod koniec 1918 roku do miasta wejdą bolszewicy. Znów pojawi się granica.

*

W lutym 1918 roku pracownicy polskich organizacji pomocowych w Wilnie zauważają pierwszych wracających z Rosji. Może to właśnie ci „wyzwoleni” przez *Giermańca*, od którego przecież uciekali w 1915 roku? Możliwe też, że po prostu przekroczyli granicę. Z wielu relacji wynika, że w tym czasie władze rosyjskie specjalnie nie utrudniają powrotu, a niemieccy wojskowi przepuszczają przez linię okopów. W razie potrzeby wracający pomagają sobie pieniędzmi.

Ci, którzy wracają na początku 1918 roku, stanowią niewielką część rozszarpanych po całej Rosji uchodźców. Możliwe, że zwłaszcza bieżący zagubieni gdzieś w azjatyckich wioskach jeszcze nie szykują się nawet do drogi. Może jeszcze nie dotarła tam rewolucja? A nawet jeśli – z pewnością nie są w stanie przewidzieć, czym to szaleństwo się skończy.

*

W 1918 roku polskie marzenia o niepodległości stają się coraz bardziej realne. Zrewolucjonizowana Rosja wycofuje się z wojny, Niemcy i Austro-Węgry, które teraz okupują polskie ziemie, są wykrwawione i pozwalają Polakom na coraz więcej. Rada Regencyjna, namiastka polskiego rządu, tworzy przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Wydział Reemigracyjny, który ma się zająć przygotowaniem i przeprowadzeniem powrotu „z wygnania w Rosji”.

Do kraju rwie się elita, chce się włączyć w odbudowę odradzającego się państwa. Poza tym w Rosji robi się coraz mniej bezpiecznie. W lipcu 1918 roku zostaje aresztowany i osadzony na Łubiance Władysław Glinka. Podobny los spotyka wielu polskich działaczy.

Wizja niepodległości, oprócz głodu i chorób panoszących się po rewolucji, pcha do kraju również polskich bieżących, zwłaszcza chłopów osiadłych w europejskiej części Rosji. Przynosi efekty praca uświadamiająca, prowadzona przez polskie organizacje pomocowe.

*

A babcia Nadzia i inni bieżący z Knyszewicz? Psalmista Paszczuk, ksiądz Kotorowicz i bieżący z dzisiejszej Białostoczczyzny i Chełmszczyzny? Co oni w tym czasie robią? Co planują? Odpowiedzi nie znajduję we wspomnieniach, nieważne, kiedy spisywanych. O tym się nie mówi.

Można się jednak domyślać, że informacje o odradzającej się Polsce, o ile do nich w ogóle docierają, nie muszą wzbudzać w nich większych emocji. Po polsku na ogół nie mówią, polskie organizacje nie poczuwają się do opieki nad nimi. Bieżącym z Chełmszczyzny jest do polskości bliżej – te ziemie wchodziły w skład Królestwa Polskiego^[42]. Gubernia grodzieńska zaś była wprost częścią Imperium Rosyjskiego. Tamtejsi bieżący, ich rodzice i dziadowie, rodzili się w nim i w tym kraju żyli.

Przyszła przynależność państwowa zarówno byłej guberni chełmskiej, jak i grodzieńskiej nie jest jednak jasna. 9 lutego 1918 roku państwa centralne w Brześciu porozumiewają się z Ukraińską Republiką Ludową (nie mylić z traktatem brzeskim

z marca, z Rosją sowiecką) i odstepują jej Chełmszczyznę oraz część południowego Podlasia; po polskich protestach jednak zaniechają realizacji tych ustaleń. Z kolei Białoruska Republika Ludowa, proklamowana 25 marca w zajęтым przez Niemców Mińsku, ma obejmować między innymi Białostoczczyznę i Grodzieńszczyznę. Dla delegatów kontrolowanego przez komunistów Wszechrosyjskiego Zjazdu Bieżeńców z Białorusi jest oczywiste, że ich wioski wejdą w skład Białorusi. Te ziemie za swoje uważają też Polacy.

Zresztą odradzająca się Polska ma kłopot z babcią Nadzią, Kotorowiczem, Paszczukiem, Pawlikiem z Wólki Wygonowskiej. Swoi to czy obcy? Tworząc Wydział Reemigracyjny na początku 1918 roku, władze planują, choć plan ten niezupełnie się powiedzie, że w pierwszej kolejności prawo powrotu dostaną stali mieszkańcy Królestwa Polskiego urodzeni na jego ziemiach. Potem ci, którzy mieszkali na jego terytorium przez co najmniej osiemnaście lat. Dopiero po zakończeniu ich repatriacji ma być zorganizowany powrót prawosławnych i żydów.

*

Znajduję opracowania historyczne dotyczące powrotu z Rosji. Brak szczegółowych naukowych analiz wcześniejszych etapów bieżęństwa jest sporą trudnością podczas mojej pracy.

Książka Doroty Suli *Powrót ludności polskiej z byłego Imperium Rosyjskiego w latach 1918–1937* zawiera mnóstwo nieznanymi wcześniej materiałów archiwalnych. Uwzględnia losy różnych grup, które znalazły się w Rosji: bieżęców, jeńców wojennych, zakładników, więźniów politycznych. Jeśli jednak ktoś chciałby z niej wyczytywać losy prawosławnych przodków mieszkańców dzisiejszej Polski, ma kłopot. Czasem się pojawiają, jak w informacji o planach Wydziału Reemigracyjnego dotyczących przywiezienia prawosławnych i żydów w dalszej kolejności. Albo jako adnotacja przy statystykach: „najliczniejszą grupę narodowościową wśród powracających stanowili Białorusini i Rusini”. W sumie blisko siedemdziesiąt procent. Potem giną, by znów się pojawić w jednym zdaniu, jako najliczniejsza, przytłaczająca w swojej masie, grupa.

Tak jest w polskich opracowaniach dotyczących tego okresu. Ale to i tak więcej niż gdzie indziej. W białoruskiej czy ukraińskiej historiografii tamtejsi bieżęcy w zasadzie nie istnieją, podobnie jak całe bieżęństwo.

Jak wyjść z rosyjskiego obywatelstwa?

3 marca 1918 roku Rosja sowiecka, Niemcy i Austro-Węgry podpisują traktat brzeski, kończący wojnę między nimi. Określa on też zasady powrotu ludności z Rosji. Mimo że władze i organizacje pomocowe apelują o pozostanie na miejscach do czasu wydania instrukcji, tysiące ludzi jadą w kierunku granicy. Ale ustalenia pokojowe utrudniają, a czasem wręcz uniemożliwiają jej przekraczanie. Trudniej niż przed podpisaniem traktatu będzie przejść linię okopów za niewielką łapówkę.

Zarówno władze niemieckie, jak i sowieckie nie są przychylnie powrotom. Rosja zrzekła się wprawdzie utraconych terytoriów Królestwa Polskiego, części ziem białoruskich, ukraińskich, litewskich i łotewskich, ale nie chce rezygnować z tamtejszych ludzi, którzy znaleźli się na jej ziemi. By „wyjść” z rosyjskiego obywatelstwa, muszą oni w ciągu miesiąca złożyć podanie do władz, wpłacić dwadzieścia pięć rubli, dostarczyć plik rozmaitych zaświadczeń, a po otrzymaniu zgody – natychmiast opuścić granice Rosji.

Formujące się w Polsce władze nie chcą się godzić na takie rozwiązanie. Przecież to dawni poddani Królestwa Polskiego, dlaczego mają się starać o „wyjście” z rosyjskiego obywatelstwa? Dlaczego wciąż są powoływani do rosyjskiego wojska? Polacy mają jednak ograniczone możliwości działania. Zwłaszcza że władze niemieckie, panujące na polskich ziemiach, też są niechętne wracającym. Mówi się, że przepuszczają tylko bogaczy, wyłącznie zdrowych i zdolnych do pracy. Biedacy nie są im potrzebni, nie zamierzają ich żywić i leczyć ich tyfusu. No i przede wszystkim obawiają się „wirusa komunizmu”, który mogą z Rosji przywlec wracający bieżęńcy.

*

W lipcu 1918 roku przedstawiciel Centrplenieżu przemawia na Wszechrosyjskim Zjeździe Bieżęńców z Białorusi: „W Kursku przebywa aktualnie około pięciu tysięcy bieżęńców; w Briańsku niewiele mniej. [...] Masa bieżęńskich pociągów znajduje się w drodze – tłumaczy. – Przez Kursk w ciągu ostatnich dwóch tygodni odprawiono do domu dwadzieścia pięć tysięcy bieżęńców. Niemcy obiecują, że za dziesięć dni otworzą granicę, ale nie ma co na to liczyć”.

O rosyjskiej, niechętnej wobec wracających, polityce przedstawiciel Centrplenieżu nie wspomina. Niemcy w lipcu godzą się na dwa miejsca przekraczania granicy. „Przez Toroszyn – pisze Dorota Sula – przepuszczano jedynie 25–30 osób dziennie. W Orszy na przekroczenie granicy czekano po kilka tygodni”. W sierpniu zostają otwarte dodatkowe przejścia, ale to wciąż za mało.

*

Późnym latem 1918 roku z Niżnego Nowogrodu w kierunku granicy pociągiem towarowym jedzie rodzina leśnika Szpakowicza z Białowieży. Prawdopodobnie cały skład to bieżęcy. Możliwe, że pociąg sformowała polska instytucja zajmująca się powrotami, ale Nadzieja Rusko (z domu Szpakowicz), wtedy dziecko, nie zajmuje się tym we wspomnieniach wydrukowanych w tomie *Bieżęstwa 1915 hoda*.

Przejeżdżają przez rosyjsko-niemiecką granicę. W Połocku, gdzie wysiadają z pociągów, przejmują ich Niemcy. Kierują za miasto, do ogrodzonych drutem kolczastym baraków. Przy wejściu szukają w ich bagażach „wywrotowej literatury”. Ubranie każą zdjąć i oddać do dezynfekcji. Wydają jedzenie, głównie zupę z brukwi z dodatkiem brzożowych wiórów. Nie dość, że niesmaczne, to jeszcze porcje są małe. Większość jadących nie ma ani zapasów, ani pieniędzy. Ludzie puchną z głodu i umierają.

Szpakowicze spędzają w obozie pod Połockiem sześć tygodni. Nadzieja ma dwanaście lat, jest drobna i mała, z młodszym bratem prześlizgują się więc przez ogrodzenie obozu i idą szukać jedzenia. Przekopują pola po zebranych kartoflach; przez cały dzień potrafią wykopać nawet kilogram bulw. Dzielą je między ośmioro rodzeństwa, matkę w zaawansowanej ciąży i ojca. Raz Nadzieja idzie do Połocka i kupuje sól oraz gruszki dziczki. Może to dzięki zdobywanemu przez dzieci jedzeniu rodzinie uda się opuścić kwarantannę w komplecie? Mało komu trafia się takie szczęście.



[^] Orsza, 1918. Wracający na rodzinę bieżący w kolejce po jedzenie

Gdy w listopadzie dowlekają się do Bielska i ojciec przynosi skądś dwa bochenki chleba, dzieciom daje tylko po kilka okruszków. Większa dawka dla wycieńczonego organizmu mogłaby być śmiertelna.

*

W podobnym czasie, co pociąg Szpakowiczów z Niżnego Nowogrodu, z Rosławia w kierunku granicy wyruszają cztery wozy z płóciennymi budami. Na jednym z nich jedzie Stanisław Wojciechowski, przyszły prezydent Rzeczypospolitej. Po drodze dołączają inni Polacy. Do przejścia w Siniawce dojeżdża karawana złożona z ponad stu pięćdziesięciu wozów.

Stanisławowi Wojciechowskiemu powinno być w tej drodze łatwiej niż chłopom z Białowieży: jest doświadczonym działaczem, jedzie w grupie, ma pieniądze. Ale i on wspomina ją fatalnie.

Najpierw jest lęk przed „zbolszewizowanymi chłopami rosyjskimi, którzy po powrocie z okopów zamiast pracą na roli, zajęli się grabieżą”. Potem, gdy dojeżdżają

do granicy, choć to jeszcze niezbyt późna jesień, przychodzi mróz i zaczyna padać śnieg. Niemcy każą wracającym czekać pod gołym niebem. „Na domiar nieszczęścia las przy drodze był doszczętnie wyrąbany, a pnie tak wypalone przez uprzednio przejeżdżających wygnańców, że nie było z czego rozpaścić ognisk i ogrzać zziębnięte dzieci. [...] Zrozumieliśmy, że i z Niemcami trzeba traktować za pomocą łopówek – notuje Wojciechowski. – Szczytem znęcania się nad wygnańcami – pisze dalej – była kwarantanna urządzona w Siniawce. Każda rodzina musiała przebyć tutaj przynajmniej 3 dni, o ile nie zdołała za pomocą łopówki wcześniej wydobyć się z tego niebezpiecznego obozu. Drewniane baraki, w których trzymano wygnańców, i łaźnia po prostu urągały elementarnym wymaganiom czystości. W środku obozu stał ogrodzony drutem barak z chorymi na tyfus plamisty”.

Po miesiącu od wyjazdu z Rosławia karawana ze Stanisławem Wojciechowskim wreszcie wjeżdża do kraju. „Przyjechałem zupełnie ogołocoony z pieniędzy, wydanych na łopówki bolszewikom i Niemcom” – napisze Wojciechowski.

*

Jeśli spojrzeć na przekrój przybywających z Rosji mieszkańców dawnych zachodnich guberni Imperium, w 1918–1919 roku wracają raczej ci wykształceni i zamożniejsi.

Wydział Reemigracyjny na początku 1919 roku podaje, że przy jego pomocy do swoich domów wróciło blisko pół miliona uchodźców. „Nie sposób oczywiście stwierdzić, na ile liczby te odzwierciedlają stan faktyczny” – pisze Dorota Sula. Uchodźcy często przechodzą przez zieloną granicę, korzystając z jej nieszczelności.

Na początku 1919 roku wybuchła wojna polsko-sowiecka, legalne powroty stają się niemożliwe.

Świadectwo polskości babci Aleksandry

W 1999 roku studentka historii Anna Kraśnicka (wtedy nosiła panięskie nazwisko Ostapczuk) odnajduje na strychu u dziadków w Socach zwitek dokumentów. Układa je chronologicznie. Najstarsze są z początku XX wieku. Wszędzie cyrylica, ręczne pismo trudno dziś odcyfrować. W 1919 roku pojawia się pierwszy dokument po polsku. „Świadectwo polskości” jej prababci.

„Agentura Konsularna Państwa Polskiego zaświadcza, że Pietroczyk Aleksandra [rodzina nosi nazwisko Pietruczyk, w dokumentach czasem jest Pietruczyk, czasem Pietroczyk], córka Szczepana, mężatka, lat 27, zawód gospodyni domowa, zamieszkała w st. Mitiakinskiej, Obwód Wojska Dońskiego^[43], jest polską obywatelką wyznania

prawosławnego rodem z gub. Grodzieńskiej”. Na formularzu skreślono wydrukowane słowa „jest z pochodzenia Polakiem” i powyżej ręcznie dopisano „polską obywatelką”. I dalej: „Świadectwo niniejsze wydaje się dla przedstawienia odp. władzom i na powrót do kraju. Rostów nad Donem, 6.11.1919. Ważne na trzy miesiące. Pobrano dziesięć rubli”.

Anna zna historię prababki Aleksandry. Pojechała z mężem Leonidem i córeczką. Trafili do Kozaków. Dziadka od razu zabrali do wojska, babcia pracowała u Kozaczek w ogrodach, przy młóceniu zboża, zajmowała się zwierzętami. Była pracowita i zaradna, żyła dobrze. Nie mogła tylko pogodzić się ze śmiercią córki jedynaczki. Dziewczynka umarła już w Rosji, gdy miała pięć lat. Pochowali ją na cmentarzu tuż za ich domem. Każdego ranka babcia spoglądała w tamtą stronę, witała się z córką i rozmową z nią zaczynała dzień.

Leonid przyjeżdżał z wojska na przepustki, w 1917 roku Aleksandra urodziła syna Piotra, dziadka Anny Kraśnickiej. Zaraz potem zaczęło się rewolucyjne szaleństwo. Jednego dnia rządzą biali, drugiego czerwoni, trzeciego jeszcze ktoś inny. Pojawił się głód, przestępcy, choroby. W 1918 roku w wyniku powstania przejmują tu władzę Kozacy dońscy i panują do początków 1920 roku. W tym czasie Aleksandra dostaje świadectwo polskość z Agencji Konsularnej Państwa Polskiego.

Czy sama podjęła decyzję o powrocie? Czy pisała do męża? A może ludzie z rodzinnych Soców, których rozsiedlili po okolicy, też się zbierali? Czy osobiście jeździła do Rostowa? Co musiała pokazać, by dostać świadectwo polskość? W jakim języku rozmawiała z urzędnikiem, który to świadectwo jej wydawał? Tego prababcia Aleksandra nie opowiadała. Można się tylko domyślać, że rozmawiała z urzędnikiem po rosyjsku, polskiego wtedy nie znała.

*

Gdy Polska jest w stanie wojny z Rosją sowiecką, opiekę nad przebywającymi w Rosji polskimi obywatelami przejmuje duński Czerwony Krzyż, w lipcu jednak i on musi się wycofać.

W tym czasie samorzutnie powstają polskie placówki konsularne: w Kijowie, Jekaterynosławiu (dziś: Dnipro), w Połtawie, Charkowie, Sewastopolu, Odessie. Mają one otaczać polskich uchodźców opieką do czasu wysłania ich do kraju.

Na „repatriację Polaków z południa Rosji” godzi się też na zajętych przez siebie ziemiach biały generał Anton Denikin. Te powroty są zarezerwowane dla zamożnych i obytych w świecie: odbywają się drogą wodną, Morzem Czarnym, i dalej lądem przez Rumunię.

Spotykam też pojedyncze relacje o, pewnie nielegalnych, powrotach w tym czasie – Polaków, ale także prawosławnych chłopów, pociągami lub wozami. Lawina ruszy w 1921 roku, po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej.

*

Wśród papierów, które na strychu znalazła Anna Kraśnicka, oprócz świadectwa polskości nie ma biletów ani innych informacji o powrocie.

Wydany dokument jest ważny przez trzy miesiące. Prababci musiało się udać zmieścić z wyjazdem w tym terminie. Podróż bieżęńskim pociągami – z opowieści wynikało, że jechali w nim uchodźcy z różnych miejsc odrodzonej Polski – trwa bardzo długo. Do Soców Aleksandra Pietruczuk wraz z synem Piotrem dociera jesienią 1920 roku. Czyli rok po wystawieniu świadectwa polskości. Podróż zajęła im więc co najmniej dziewięć miesięcy!

Na swojej ziemi zaczyna nowe życie. W nowym kraju. Od tej pory wszystkie dokumenty, które na strychu domu Aleksandry znalazła jej prawnuczka Anna Kraśnicka, są już po polsku.

Wracać czy zostać?

„Jak ja umrę, to nawet nie będziecie wiedzieć, gdzie wasza *rodzina*” – krzyczy matka Józefa Szymusiuka w Buzułuku pod Orenburgiem. Szykuje się do powrotu; tu życie stało się koszmarem. Ale jej dzieci nie chcą!

Józef ma dwanaście lat, jego siostra – dziesięć. Chodzą do rosyjskich szkół, wcześniej uczyli się w placówkach prowadzonych przez polskie organizacje pomocowe. Planują uczyć się dalej. Tu mają koleżanki i kolegów. *Rodzina*, o której mówi matka, niewiele dla nich znaczy. Gdy wyjeżdżali, byli małymi dziećmi i prawie jej nie pamiętają. Dla nich równie dobrze może być ona tutaj, w Rosji.

Matka jednak nie słucha dzieci. Przygotowuje suchary na drogę, zamówiła już wóz i rozgląda się za koniem. Dogadała się z ludźmi spod Chełma i Brześcia, że pojedą razem. Wyruszają wiosną 1920 roku.

*

Brat namawia Anastazję Ławreszuk, by została: „Tu będziesz się uczyć, ja ci pomogę. Niech matka z Adamem jadą sami”. Chłopak jest nauczycielem; przed bieżęństwem uczył się w seminarium w Jałówce, w Rosji dokończył szkołę i znalazł pracę. Mówi,

że i Anastazja mogłaby zostać nauczycielką. „Tam w najlepszym wypadku będziesz służącą u polskich panów – tłumaczy. – Nawet polskiego nie znasz”.

Dziewczyna ma czternaście lat i nie wie, co robić. Matka jest chora, brat Adam głuchoniemy, oboje bardzo chcą wracać do rodzinnych Rybaków. Nie chce ich zostawiać, bez niej nie dadzą sobie rady. Boi się tylko, czy ona sobie poradzi w drodze. Prosi brata: „Zawieź nas, a potem sobie tu wrócisz”.

*

Matka Fiauronii Stockiej chce wracać – ma tam dwadzieścia dwa hektary ziemi! Ojciec woli zostać. Żona kilkakrotnie wysyła go „tam, gdzie bieżący popisani”, by się dowiedział o wyjazd. Ojciec chodzi, ale za każdym razem mówi, że nikt żadnego powrotu tam nie organizuje. Gdy w końcu matka wybiera się sama, słyszy: „A gdzie dotychczas byliście? Przecież to ostatni moment, jeszcze chwila, a zostalibyście tu na zawsze”.

Gdy Stoccy siedzą już w pociągu, nie są pewni, czy ojciec nie ucieknie w ostatniej chwili. Nie wysiada, ale po drodze i już na miejscu będzie wciąż wyrzucał żonie: „Masz swoją *rodzinę*”.

*

Decyzja nie zawsze jest prosta i oczywista. Przeważnie jednak ludzie chcą wracać, bo w bolszewickiej Rosji żyje im się źle. Przeważnie. Każda opowieść o ludzkich losach to trochę inna historia.

Ci, którzy w chwili wyjazdu byli gospodarzami na może marnej, ale własnej ziemi, zwykle chcą jechać. W Rosji wciąż są parobkami. Niektórzy spróbowali rzemiosła. Zwłaszcza kobiety szyją, tkają, przędą i zarabiają na utrzymanie rodziny. Tacy zastanawiają się nad pozostaniem.

Nikt nie wie też, co zostanie na swojej ziemi. Co zostało z ich gospodarstwa po pięciu–siedmiu latach? Może nic? Wielu ludzi, wyjeżdżając, widziało pożar swojej wioski. Nie mają złudzeń. To nie ułatwia myślenia o powrocie.

Młodzi zbyt słabo pamiętają *rodzinę*, by za nią tęsknić. Jak Józef Szymusiuk. Choć przed rewolucją chłopak, jako katolik, chodził do polskich szkół, gdzie otrzymał patriotyczne wychowanie, nie tęskni za swoją wioską. Uczy się w rosyjskiej szkole, bolszewicy obiecują, że kto zechce, może zostać nauczycielem, lekarzem, inżynierem. A w „pańskiej Polsce będzie co najwyżej parobkiem”.

Niektóre dziewczyny powychodziły w Rosji za mąż; zostają z nową rodziną. Mówi się jednak we wspomnieniach, że gdy życie stało się tak ciężkie, panny nie chciały

ślubów z tamtejszymi chłopakami, wolały wracać. Za to tamtejsze kobiety próbowały się wydawać za naszych mężczyzn, by tylko się stamtąd wyrwać.

*

O papiery powrotowe wraz z córką bieżenką i jej synem stara się Ihnat, dziadek Fiodora Młodziana – tego samego, który kilka rozdziałów wcześniej zachwycał się bogactwem syberyjskiej wsi Bieriozowka. Wyemigrował przed wojną, ma własny młyn wodny, wielkie gospodarstwo, łowi ryby i poluje.

Bolszewicy zabijają synów Ihnata, oskarżywszy ich o kułactwo; jego oszczędzają tylko dlatego, że u niego zawsze mogą smacznie zjeść, wypić i jeszcze dostać butelkę na drogę. Ihnat wie jednak, że w każdej chwili łaska może się skończyć. Załatwia papiery i wraca z córką. Pewnie musi je kupić.

*

W wielu opowieściach gospodarze, u których bieżęncy mieszkali, proszą na pożegnanie: „Piszcie, może tam będzie wam lepiej i nam pozwolą przyjechać”. Niektórzy rzeczywiście piszą. Często jednak wysyłane listy pozostają bez odpowiedzi.

Przestępcy się nie mieszczą, trzeba przesiedlić dzieci

Rodzina Marii Lisowskiej z Załuk – rodzice i pięcioro podrośniętych dzieci – mieszka za Samarą. W 1920 roku zaczął się tu straszny głód. Wraz z kilkoma rodzinami ze swojej wsi wyruszają końmi i furmankami. Maria wspomina o braku dokumentów powrotowych, ale na razie nie są im potrzebne. Mają co jeść, mają czym jechać, nikt ich nie niepokozi.

Gdzieś w połowie drogi, w guberni tambowskiej, ojca Marii dopada dezynteria. Umiera po dwóch tygodniach jęczenia na wozie. Gdy przejeżdżają przez Morszansk, choruje matka. Wiozą ją więc do szpitala i zostawiają. Pięcioro osieroconych dzieci jedzie z ludźmi ze wsi. Nie odjeżdżają jednak daleko.

*

To częsty motyw wspomnień. Osierocone po drodze dzieci wracają same do domu. W tomie *Bieżanstwa 1915 hoda* takich historii jest co najmniej kilka. Choćby Luba Kozorez z Romanowa. Już gdy wyjeżdża w bieżęństwo, jest półsierotą. Nie ma matki, w Samarze w czasie rewolucji umiera ojciec. Macocha daje wtedy jej – czternastolatce

– i dwunastoletniemu bratu wiadro mąki. „Będziemy żyć osobno” – mówi. Dzieci zbierają kłosa na zżętych łanach i przekopują pola po ziemniakach.

Gdy ludzie zaczynają wracać i oni ruszają na swoją ziemię. Nie mają pieniędzy ani papierów, idą piechotą. Raz przekraczają rzekę. Lubie woda sięga po szyję, Michaś zaczyna się topić. Dziewczyna sadza go sobie na ramiona i idzie dalej. Nie utoną, ale Luba do końca życia będzie nienawidziła zapachu rzeki i ryb. Nie opowie, jak uda im się przekroczyć granicę i dotrzeć do wioski. Wrócili, to najważniejsze.

*

Starszy brat Marii Lisowskiej na postoju pęta konia i puszcza do rzeki, by się napił. Koń pije, ale gdy próbuje się odwrócić i wyjść z wody, przewraca się. Porywa go nurt, spętane nogi nie pozwalają wydostać się na brzeg. Szybko nadbiegają ludzie ze wsi, ale nie są już w stanie nic zrobić; patrzą tylko, jak koń tonie.

Czym dalej mają jechać osierocone dzieci? Wsiąść do pociągu nie mogą, potrzebne są dokumenty. Ludzie z Załuk odwożą sieroty z powrotem do Morszanska, do leżącej w szpitalu matki. Tu też nie wiadomo, co z nimi zrobić. „Może do aresztu?” – proponuje urzędnik, który jakimś cudem zainteresował się ich losem.

Przez dwa tygodnie dzieciaki śpią i jedzą z kryminalistami i miejscową żulerką. Są zadowolone, odwiedzają matkę w szpitalu. Ale przestępczość rośnie, miejsce potrzebne jest dla aresztowanych, dzieci muszą się wyprowadzić. Czworo przenosi się do monasteru za miastem, tylko najstarsza Maria zostaje w areszcie, by pomagać kucharce i odwiedzać matkę.

W szpitalu poznaje lekarkę z Białegostoku, też bieżenkę. Ta radzi dziewczynie: „Idź do Partkomu [Komitetu Partyjnego], tam jeden Żyd robi listy bieżenców na powrót. Nie będzie miły i od progu będzie próbował cię zbyć. Najpierw powie, że bumagi już odesłane. Ale ty się nie poddawaj, już na początku padnij mu do nóg i proś łaski, po rękach całuj. Żyd jak niemiły, tak litościwy”.

Maria idzie, pada do nóg, płacze; Żyd najpierw na nią krzyczy i każe wyjść; po chwili podnosi z kolan i pociesza. Po miesiącu dzieci dostają pozwolenie na powrót. Wsiadają do bieżeńskiego pociągu.

*

Inne dziecko, Julia Pierewoj z Narojek, zachorowała w drodze powrotnej i została w szpitalu w Mińsku. Ojciec z macochą i pięciorgiem ich dzieci pojechali. Gdy Julia zdrowieje, rusza za nimi. Dociera do granicy, ale nie ma dokumentów, by ją

przekroczyć. Prosi pogranicznika o pomoc, ten lituje się i mówi: „Będę strzelać, bo muszę, ale się nie bój, idź przed siebie”.

Julia więc idzie. Słyszy strzały, ale się nie zatrzymuje; nawet się nie ogląda.

Pytali, kto był naszym panem

W marcu 1921 roku Polska i Rosja sowiecka podpisują kończący wojnę traktat ryski, a chwilę wcześniej układ o repatriacji. O powrót mogą się starać ci, którzy „są lub mają prawo być zapisani do ksiąg ludności stałej byłego Królestwa Polskiego” albo z ziem należących aktualnie do Polski. Także potomkowie powstańców i emigrantów z Polski. Oprócz bieżących: jeńcy wojenni oraz ci, którzy jeszcze przed wojną, dobrowolnie lub po niewoli, znaleźli się w Rosji.

Nikt nie dzieli więc wracających na Polaków i nie-Polaków. Kryterium jest jasne – mieszkańcy ziem należących obecnie do Polski. Czyli zarówno służba Władysława Glinki (on sam wrócił w październiku 1918 roku), jak i babcia Nadzia, Kotorowicz, Paszczuk czy Pawlik. Pierwszeństwo mają mieć grupy zawodowe potrzebne do odbudowy kraju: inteligencja i fachowcy.

Rosjanie wymagają, by starający się o powrót wypełniali po dwa egzemplarze obszernego kwestionariusza. Muszą też dołączyć podanie do konsula lub innego przedstawiciela Polski, a także paszport i wypis z ksiąg metrykalnych. W przypadku braku dokumentów potrzebne są świadectwa odbycia służby wojskowej i wykształcenia. Dokumenty potwierdzające zamieszkiwanie w Polsce „powinny być legalizowane przez Delegację Rosyjską w Warszawie i odsyłane z powrotem”.

Strona polska protestuje. Wymagana przez Rosjan procedura jest straszliwie skomplikowana. A to uderza w bieżących, w ogromnej części analfabetów. Często nie mają oni żadnych dokumentów; wiadomo przecież, w jakich okolicznościach opuszczali swoje wioski. Ta biurokracja może wydłużyć całą akcję powrotu do kraju na cztery i pół roku! – przewidują polscy urzędnicy. Poza tym Rosjanie układają listy osób do repatriacji z pominięciem inteligencji i fachowców, których chcą wykorzystać do własnych celów; ingerują w nie Czrzwyczajna Komisja i władze lokalne. Do tego na rolniczych obszarach Ukrainy, Powołża, Kaukazu i Krymu panuje głód, więc władze chcą zwiększyć liczbę ludzi wyjeżdżających z tych obszarów, a zmniejszyć z innych.

Opracowania historyczne podają rejestr słanych w obie strony not dyplomatycznych. Jest imponujący. Nie widać z nich, by problemy były rozwiązywane. Są raczej przeciągane, głównie przez stronę rosyjską.

We wspomnieniach bieżący nie opowiadają wiele o procedurach. Prawdopodobnie nie mają pojęcia o dyplomatycznych przepychankach. Wspominają tylko, że starania o papiery powrotowe były czasochłonne i trudne. I że pomagały znajomości. „Potrzebne było zaświadczenie, tak znana *sprawka*. Na stacji w Iziumie takie zaświadczenia wydawał naczelnik stacji. Był on dobrym znajomym ojca i wkrótce udało nam się zdobyć potrzebny dokument. W nim mówiło się: »Obywatel Polski wraca do Ojczyzny wraz z rodziną«” – wspomina Wasyl Baran z Czeremchy.

Józef Nowicki z Zubek pamięta, że ojciec jeździł do polskiego konsulatu do Omska, by udowodnić swoje pochodzenie. Musiał nazwać najbliższy majątek, opisać jego wygląd, powiedzieć, kto był jego panem.

Ojciec Grzegorza Tarasiuka wysłał prośbę o zaświadczenie, że za cara jego rodzina żyła we wsi Kruhłe. „Wójt rozpytywał więc we wsi, czy taki a taki tu mieszkał. Sąsiad odpowiedział, że ludzi o naszym nazwisku nigdy tu nie było – liczył na to, że nie wrócimy i będzie mógł zagarnąć naszą ziemię. Ale drugi potwierdził, że jesteśmy tutejsi, i dostaliśmy pozwolenie na powrót” – wspomina Grzegorz.

Zdarza się, że negatywne odpowiedzi przychodzą z powodu błędnie wpisanego nazwiska lub nazwy miejscowości. Zaczyna się wyjaśnianie. Wszystko przeciąga się w nieskończoność.

*

Matka Anastazji Opolskiej wiosną 1921 roku wysłała do Moskwy prośbę o papiery powrotowe. Dołącza książeczkę wojskową męża. W niej jako miejsce zamieszkania figurują Odrynki, a ona pisze, że są z Koleśnego, gdzie kupili ziemię i zamieszkali w 1909 roku. Dokumentów nie dostają.

Siostra Anastazji zna jednak kierownika pociągu, który ma wieść uchodźców do Polski. Też jest bieżącym. Wpuszcza Opolskich bez papierów. Nie mogą tylko dostawać jedzenia, wydawanego bieżącym na niektórych stacjach. Ktoś odkrywa jednak, że Opolscy jadą „na gapę” i wyrzuca ich z pociągu.

Matka Anastazji ma jeszcze jeden dokument – dowód kupna ziemi w Koleśnem. Czy wysłać go do Moskwy? Ale jeśli zaginie? Wtedy nijak już swojej „polskości” nie udowodni. Wysyłają. Przez sześć tygodni czekają na stacji, bez środków do życia. W końcu dokumenty przychodzą. Opolskich wpuszczają do bieżęńskiego pociągu.

*

Polskie gazety donoszą, że w połowie 1921 roku do Warszawy dojeżdżają pierwsze pociągi z uchodźcami. Nazywają ich tu repatriantami. Polskie organizacje walczą

o formowanie kolejnych składów. Pociągi masowo ruszają w drugiej połowie 1921 roku i na początku 1922. Późną jesienią i zimą, bardzo mroźną. Pożegnanie z Rosją, która w późniejszych opowieściach wielu bieżenców stanie się synonimem dostatku, jest głodne. W porozumieniach i notach mówi się o punktach żywnościowych, które mają być urządzone po drodze, ale wracający powtarzają, że nikt ich nie karmił.

Zofia Oleszczuk umiera po raz pierwszy i drugi

Zofia Oleszczuk z matką i siostrą długo czekają, aż „rząd odwiezie ich do domu”. W guberni permskiej, w której spędziły całe bieżenstwo, nikt nie podstawia pociągów *na rodzinu*. Chodzą po urzędach, ale wszędzie każą im czekać.

W 1922 roku, gdy ludzie z Kulika decydują się sami wynająć wagony, one też dołączają. „Ale tamte rodziny pracowały na kolei, miały pieniądze i zapasy jedzenia. A my wszystkie oszczędności wydałyśmy na wagon” – wspomina Zofia.

Kobiety mają tylko pół worka sucharów, ale i te ktoś kradnie pierwszej nocy, gdy muszą wysiąść z wagonów i spać na peronie. Lituje się nad nimi bogaty gospodarz, dawny sąsiad, i daje pud pytłowej mąki. „Twój mąż jest już w Kuliku, odda, jak wrócimy” – mówi do matki Zofii. Rzeczywiście, ojciec pojechał z Moskwy do swojej wsi już w 1919 roku.

Ale choć Oleszczukowie mają mąkę, czasem nawet przez dwa dni nie mogą nic ugotować. W wagonie brakuje piecyka, rozpalają więc ogniska między wagonami. Jeśli jednak zobaczą to strażnicy kolejowi, rozrzucają ogień i wylewają gotującą się strawę.

*

Gdy wreszcie Anastazja Opolska z matką i siostrą dostają potrzebne papiery, jest późne lato 1921 roku. Ich pociąg porusza się wolno, z długimi postojami. Poprzewracane wagony leżą na torach; czasem tarasują przejazd i trzeba czekać, aż przeszkoda zostanie usunięta. Matka Anastazji ma jeszcze trochę soli, chce ją wymienić na jedzenie, ale brakuje chętnych. Głodują wszyscy – bieżenci w pociągach, ale także mieszkańcy mijanych miejscowości.

Na postojach ludzie rozbiegają się po okolicy. Zbierają wszystko: trawę, grzyby, jagody, resztki po poprzednich przejeżdżających. Anastazja do końca życia będzie wspominać smak dwóch grzybów, które zjadła surowe, oraz znalezionej przy torach wymazanej smarem skórki chleba.

Po postoju bieżenców wokół zostaje pustynia.

*

Czasem zostają też porzucone przy torach trupy. Obrazek, który pamiętam z opowieści babci Nadzi, spotykam często także w innych relacjach. Zwłaszcza u tych, którzy wracali zimą przełomu 1921 i 1922 roku. Wtedy rozgrywa się największa tragedia. Wstrząsa ona polską prasą, która opisuje przyjeżdżające z Rosji pociągi.

„Gazeta Warszawska” 19 stycznia 1922 roku pisze: „Repatrianci przybywają do Polski w stanie wycieńczenia i zarazy nie tylko z tego powodu, iż w Rosji panuje głód, przed którym uciekają do Polski, ale również dlatego, że podróże z Rosji trwają całymi tygodniami, a niekiedy i miesiącami, podczas których rząd sowiektów nie daje prawie żadnej pomocy żywnościowej i podróże te odbywają się w wagonach tak zawieszonych, iż nawet zdrowi repatrianci ulegają zarażeniu i często umierają w pociągach przed przybyciem do Polski”.

Dwa miesiące później, 18 marca, gazeta przytacza dane z okresu od 28 stycznia do 20 lutego. „Ze stacji nadawczych w Rosji i Ukrainie wyjechało 18 128 osób, pozostało w drodze 4129 osób, tj. 22,77 proc. ogólnej ilości. Osoby pozostałe w drodze dzielą się na: 3025 chorych (16,69 proc. ogólnej ilości [wyjeżdżających ze stacji początkowej]) i 1104 zmarłych (6,08 proc.). Zmarłych pozostawiano na stacjach kolejowych (63,31 proc. ogólnej ilości zmarłych), wyrzucano na tory kolejowe (19,47 proc.), oddano milicji (13,84 proc.) i pochowano przez samych uchodźców (3,64 proc.)^[44]. Z powyższego wynika, że repatriant ma 78 procent szans na dojechanie do granicy polskiej”.

*

Gdy po dwóch miesiącach wagony Zofii Oleszczuk dojeżdżają do Moskwy, jadących nimi kierują do obozu dla repatriantów. Kwaterują w namiotach i wspaniale karmią. Rano i wieczorem dają po dwie bułki i kubek kakao; na obiad zupę, kaszę i chleb razowy. Paradoksalnie, gdy Zofia się najada, przychodzi tyfus. Wiozą ją do szpitala, kładą do łóżka.

„Umrę, jeśli natychmiast nie przyjdzie lekarz” – kołacze się w głowie dziewczyny. Zwlekła się więc i obchodzi piętra, wołając lekarza. Pielęgniarki odprowadzają ją z powrotem raz i drugi, w końcu przywiązują do łóżka dwoma pasami na piersiach i dwoma na nogach.

Wtedy do sali wchodzi Chrystus w siwej szacie. Ciągnie długą linę, każe chorym ucześć się niej i milczeć. Zofia, choć przywiązana do łóżka, też chwyta. Ale czuje,

że nie da rady, że za chwilę puści linę. Wtedy Chrystus mówi: „Możecie puścić. Kto przemilczał, ten będzie żył”.

*

Anastazja Opolska, jej siostra i matka dojeżdżają do Mińska. Tu jest dłuższy postój, ale brakuje jedzenia. Anastazja wraz z innymi dziewczynami idą szukać pracy. Maszerują dwadzieścia kilometrów, doganiają ich jadący do żniw chłopcy. Dosiadają się na wozy, jadą dalsze dwadzieścia kilometrów. W jednej z wiosek żną razem żyto. Tu jest co jeść, co wieczór, po pracy, młodzi urządzają tańce. Proponują dziewczynom, by zostały tu na zawsze. One jednak odmawiają – na peronie w Mińsku czeka na nie rodzina. Wracając, niosą mąkę na plecach.

*

Gdy Zofia Oleszczuk się budzi, stoi nad nią młoda lekarka i mierzy gorączkę. Czterdzieści dwa stopnie. Z ust Zofii idzie piana, na wargach zrobiła się skorupa. Lekarka daje zastrzyk, pielęgniarki przynoszą herbatę. Zofia prosi o *kierosin*, naftę, by wytruć robaki – jest przekonana, że to przez nie ta piana z ust. Przy wypisie ze szpitala, miesiąc później, ta sama lekarka żartuje: „*Sonia, dat' kierosinu?*”. „Czy dać ci nafty?”

Zofia nie wie, dokąd iść. Nie zna Moskwy, nie pamięta adresu obozu, z którego ją przywieziono. Siada więc na skwerze przed szpitalem i płacze. Wtedy zdarza się kolejny cud. Przez łąy widzi dziewczynę z Kulika. „Gieniu, Gieniu!” – krzyczy. Idą razem. W punkcie Zofia nie zastaje ani mamy, ani siostry. Są w pobliskim szpitalu, też chorują. Gdy wyjdą, wszystkie ruszą pociągiem do Baranowicz. Tam jest tak zwany punkt etapowy, przez który przechodzi zdecydowana większość wracających.

*

W Baranowiczach, po wyjściu z pociągu, Zofia kładzie się na swoich tobołkach. Nie ma siły się ruszyć. Furmanka zabierająca chorych z pociągu zabierze i ją. W szpitalu odzyskuje siły. Krzyczy i śmieje się na zmianę, potem opada na pryczę i trzęsie się z zimna. Składa ręce jak do śmierci i widzi, że sinieją jej paznokcie. Dwie obce dziewczyny siadają obok, przyglądają się i płaczą. „Powiedźcie, niech matka nie płacze, mnie nie żal umierać. Szkoda tylko, że nie zobaczę już Kulika” – prosi je Zofia. I zamyka oczy.

W poszukiwaniu babci Nadzi

Z opowieści babci Nadzi zostały mi tylko te trupy wynoszone z pociągu i układane wprost na śniegu, obok torów. Nikt z rodziny nie pamięta już żadnych powrotowych historii. Tak się przynajmniej wydaje.

Tę opowieść słyszę przypadkiem od ciotki Eugenii Czechowicz z Knyszewicz. Zagaduję o bieżenstwo, nie licząc na wiele. To właściwie żona wujka, nie mamy wspólnych przodków. Ale ona zaczyna mówić o mojej babci Nadzi, o podróży powrotnej z Donskoje. Opowiadała jej teściowa – szwagierka babci, Luba, która w czasie powrotu miała prawie dziesięć lat.

„Straszna to była podróż” – zaczyna ciocia. Wyjeżdżają zimą, wokół wielki mróz. Dorośli jakoś próbują sobie radzić, ale najgorzej ma Nadzia z malutką córeczką; Szura urodziła się w marcu 1921 roku. Dziewczynka przez cały czas płacze. Nadzia przystawia ją do piersi, mała chwyta, próbuje ssać, ale pierś jest pusta. Wygłodzona kobieta nie ma pokarmu. Dziecko znów krzyczy. Gdy wchodzi żołnierze, by wynieść trupy i tych, którzy już dogorywają, jest całe sine od płaczu. Jeden wyciąga rękę po małą Szurę. Nadzia przyciska dziecko do siebie. Tłumaczy, że ono płacze z głodu, nie z choroby. Żołnierz kręci głową – to gorączka, pewnie tyfus, zabierzemy do szpitala. Nadzia przyciska Szurę do siebie jeszcze mocniej. Za nic nie odda.

Ma szczęście. Żołnierz kiwa tylko głową: „Oj ty *dura*; tobie będzie lżej, jak mała umrze. Młoda jesteś, będziesz jeszcze mieć dzieci. A tak wszyscy pomrzecie”. I odchodzi. Ludzie szepczą, że chorych na tyfus, których zabierają z pociągu, wcale nie leczą. Układają na śniegu, by szybciej doszli, albo trują.

Przy kolejnej kontroli Nadzia poi Szurę wodą, na zmianę z Siarhiejem noszą ją i kołyszają, by wreszcie umilkła. Czasem zdesperowani przykrywają poduszkami, próbując stłumić krzyk. Nadzia zapowiada: „Jak będą zabierać Szurę, ja pójdę razem z nią”.

*

Babcia w mojej pamięci jest zgarbioną staruszką, pod której fartuchem chowałam się w dzieciństwie. Teraz po raz pierwszy widzę więcej. Walczy o swoje dziecko jak lwica. Stawia czoło żołnierzom, jest gotowa iść w nieznane, by ocalić dziecko.

Wyciągam dowodowe zdjęcie, które znalazłam kiedyś w kufrze, i przyglądam mu się kolejny raz. Czterdzieści–pięćdziesiąt lat, poważne oczy, zdecydowane rysy twarzy. Tak; właśnie tak musiała się zachowywać. Zdecydowanie. Dzielnie i odważnie. Jak kobieta, która walczy o najważniejsze na świecie sprawy.

Czuję, że babcia jest mi bliska jak nigdy dotychczas.

*

W książce Doroty Suli znajduję fragment pokazujący, w jakich warunkach moi dziadkowie mogli wyjeżdżać ze Stawropola. „Członkowie kolonii polskiej w Stawropolu na Kaukazie w podaniu skierowanym do Pełnomocnika Delegacji Rzeczypospolitej Polskiej w Charkowie prosili, by poprzez wydanie odpowiednich dyrektyw przyspieszył ich wyjazd ze Stawropola. Jak pisali, ich dalszy pobyt w dotkniętym klęską głodu mieście, do którego przyjeżdżali też uchodźcy z powiatów, był ponad siły. Poważną przeszkodą w wyjeździe był brak stosownych dokumentów, ale też brak środków transportu. W kwestii wydania świadectw opcyjnych [w których uchodźcy wybierali, czy chcą wrócić na swoją ziemię, czy zostać w Rosji i przyjąć rosyjskie obywatelstwo; wystawiane były przez stronę rosyjską] liczyli na pomoc delegacji RP w Moskwie. Dwa pierwsze eszalony^[45] wyjechały ze Stawropola w styczniu 1922 r., zabierając tylko połowę osób pragnących wyjechać. Ponieważ miejscowe władze nie były w stanie podać konkretnego terminu formowania trzeciego eszalonu, więc przedstawiciele polskiej kolonii szukali pomocy w polskich instytucjach”.

Czy moi przodkowie, prości białoruscy chłopci, jadą tymi styczniowymi transportami? Czy ruszą dopiero następnym, a tymczasem przymierają głodem? W Knyszewiczach wszyscy, których przodkowie byli w Stawropolu, mówią, że jechali zimą. Padał śnieg, był ostry mróz. Strach było wyjść z wagonu. Może więc pojechali pierwszym transportem, a to, że byli prostymi chłopami, tym razem pracowało na ich korzyść? Może to inteligencji i fachowcom rosyjskie władze blokowały wydanie „świadectw opcyjnych”, o których wspominają archiwalne dokumenty? A chłopów nie zatrzymywały?

*

Szura, którą babcia Nadzia na zmianę z dziadkiem Siarhiejem noszą po pociągu i kołyszają, by przestała płakać, ma dziewięćdziesiąt cztery lata. Jadę powtórzyć jej opowieść cioci Gieni. Nigdy mi o tym wydarzeniu z drogi powrotnej nie wspominała, choć wypytywałam. Może sama o nim nie wie?

Opowiadam wzruszona, cioci też szklą się oczy. Tak, słyszała o tym. „Mama powtarzała. Nie mogła zrozumieć, jak oni mogli tak powiedzieć. Że jak jej córeczka umrze, jej będzie lepiej. Tam, w Rosji, chyba nie szanowali dziecięcego życia” – mówi mi.

Choć – myśli czasem ciocia Szura – może rzeczywiście jej mamie, Nadzi, lepiej by było, gdyby ona umarła wtedy po drodze? Ciężki to był czas w pociągu i zaraz potem.

Witajcie, rodacy!

W Kołosowie bieżenców wita napis: „Witajcie, rodacy!”. Wokół jest szczerze pole, nie widać stacji ani nawet wioski. Rosjanie każą wysiadać. Dlaczego? To nie jest chyba koniec podróży?! Nikt nic nie tłumaczy. „Nie zabierajcie rzeczy, jeszcze tu wrócicie” – mówią żołnierze. Ci, co posłuchają, więcej swoich bagaży nie zobaczą.

Bieżęncy wysiadają wprost na tory; potem każą im iść do innego pociągu. Już polskiego. Bo właśnie przekroczyli granicę. Są już w Polsce. Jeszcze tylko lekarze oraz sanitariusze przeniosą chorych, wyjmą trupy z rosyjskiego. I będą mogli jechać. W listopadzie i grudniu 1921 roku z każdego przyjeżdżającego składu wyciągają co najmniej kilkanaście ciał.

Polskie pociągi jadą do punktu etapowego w Baranowiczach. To prawie dziewięćdziesiąt kilometrów od Kołosowa (dziś: Kołasawa), ale znajdują wzmianki, że ten przejazd trwa prawie dobę. Na miejscu bieżęncy mają zostać nakarmieni, wykąpani, odwszeni, zaszczepieni przeciwko tyfusowi i cholercze, a przede wszystkim poddani dziesięciodniowej kwarantannie, która ma zatrzymać epidemię u granic kraju. Drugi po Baranowiczach, mniejszy punkt etapowy działa w Równem, na dzisiejszej Ukrainie.

Baranowicze, przez które przejdzie większość wracających, mocno wryją się w ich pamięć. Pojawia się w wielu opowieściach. Dla niektórych staną się symbolem upragnionego powrotu do ojczyzny, dla innych – koszmaru.

*

Szarość zdjęć rozświetlają białe kobiece chustki. Ludzie wysiedli właśnie z wagonów towarowych i uwijają się wokół tobołków i kufrów. Wszyscy są zajęci. Ot, taka podróżna scena.

Na innej fotografii mężczyźni i młoda kobieta w jasnej chustce siedzą wokół ogniska. Jeden z nich miesza strawę, pewnie zaraz zaczną jeść. Są w baranich kożuchach, spod nich wystają białe koszule. Można by pomyśleć, że przysiedli do posiłku w przerwie jesiennych prac polowych.



[^] Wracający bieżęcy wysiadają wprost na tory, prawdopodobnie w Równem

Kolejne – przed wozami z cygańskimi budami siedzi kobieta z pięciorgiem małych dzieci. Jedzą z szerokiego glinianego dzbana. Matka uśmiecha się do najmłodszego, może rocznego dziecka.

Te zdjęcia zrobiono latem i wczesną jesienią 1921 roku w punktach etapowych w Baranowiczach i Równem. 15 października 1921 roku zamieszcza je „Tygodnik Ilustrowany”. Choć tekst obok opowiada o tragedii repatriantów, dramat nie rzuca się w oczy. Nawet na fotografię staruszki w owiniętych szmatami łapciach, która przez ponad pół roku szła spod Samary, patrzę raczej z podziwem niż grozą. Uśmiecham się, widząc jeźdźca na wielbłądzie. „Młody uchodźca polski przebył »zieloną granicę« na własnym, zakupionym pod Samarą wielbłądzie. Oryginalna ta podróż trwała przeszło 6 tygodni” – głosi podpis.

„Przybywające [do Baranowicz] pociągi wyrzucają codziennie po 5 do 6 tysięcy uchodźców, którzy rozkładają się obozowiskami na polach i czekają cierpliwie swojej kolei – czytamy w tekście. – Muszą tu odbyć dziesięciodniową kwarantannę i poddać się

różnym zabiegom dezynfekcyjnym, zanim im pozwolą jechać dalej. Wyładowują więc swój ubogi bagaż i starają się możliwie znośnie urządzić pod gołym niebem. Rozpalają ogniska z chrustu, przyniesionego z lasu, warzą strawę, piorą bieliznę – swe biedne, podarte szmaty, wypłowią od słońca i deszczów, szernieją od kurzu. Tłum nie cieszy oka barwnością, lecz spotkać tu można wielką różnorodność typów i narodowości. Przeważają chłopcy polscy i białoruscy, w kozuchach i łapciach, z długimi włosami, wymykającymi się spod baranich czap. [...] Zmęczenie i przytępienie jest tak wielkie, że przeważnie nie znać na tych ludziach radości, że oto są na tej ziemi, do której tyle westchnień leciało z obczyzny”.

Może to przez te jasne chustki i koszule, ale na tych zdjęciach widzę triumf życia, a nie grozę. Może to dlatego, że wiem już, co się tu będzie rozgrywać za kilka miesięcy?

*

Zimą na przełomie 1921 i 1922 roku, gdy w Baranowiczach rozgrywają się najtragiczniejsze sceny repatriacji, przyjeżdża tu Marian Fuks, korespondent tygodnika „Świat”.

Już w pociągu ma przedsmak tego, co zaraz zobaczy. „Do dostojnika państwowego, który jedzie tym samym pociągiem, zbliża się komendant policji miejscowej. Krótki raport. – Epidemia? – Na tyfus umiera kilkadziesiąt osób dziennie. Zaraza rozszerza się na wsie okoliczne. Niektóre z nich już zamieniają się w cmentarzyska. Nie ma tygodnia, żeby kilka osób z personelu służbowego nie umarło. Poza tym wszystko w porządku”. Towarzysze podróży Mariana Fuksa nie wychodzą nawet z pociągu; od razu wracają do Warszawy.

Fotograf idzie do punktu etapowego. „Trafiam na »wyładowywanie« pociągu, przybyłego z Kołosowa, stacji granicznej. Walizki, kufry, zawiniątka walają się na śniegu. Zbiedzone, zaaferowane twarze. Wychudłe postacie. Wprost na śniegu rozpoczyna się kontrola przyjeżdżających. Im, przybywającym, serca biją ze wzruszenia. Tu – spojrzenia twarde, często niechętne urzędników, którzy tylko obowiązek spełniają. Surowe formalności, rewizje, podyktowane koniecznością państwową – i złą wolą wschodniego sąsiada. – Czy nie macie odezw komunistycznych?”

Wśród przybyszów wielu jest chorych, kalekich, starców, dzieci. „Oto kobieta wybladła, z sił wyczerpana, która zapominając o własnych cierpieniach, prowadzi chwiejącego się starca, otula go w jakieś resztki zbutwiałej chustki. Starzec co parę kroków przysiadła na śniegu, ona podnosi go, podpira, prowadzi dalej. Byle nie oddać do szpitala, bo tam – zostawcie wszystkie nadzieje! Nikt jej nie spieszy z pomocą.

Dozorcy, z ramienia etapowego, pilnują bacznie tylko jednego: by wchodzono i wychodzono przez właściwe drzwi”.

Ci, którzy przeszli kontrolę, kierują się do baraku – budynku dawnej stajni konnej artylerii rosyjskiej, gdzie trwa rejestracja. „Krzyk, hałas, gorączkowe wywoływania nazwisk, płacz kobiet, szloch dzieci, jęk i westchnienia chorych. Zimny wiatr, hulający po sali, nie jest w stanie rozproszyć i złagodzić strasznej woni... Na »narach« ze zbitych desek, w dwóch kondygnacjach, odpoczywają bezładnie ci, co zdołali zdobyć miejsce”.

*

Etap w Baranowiczach może zimą zmieścić maksymalnie osiem tysięcy osób. Gdy na przełomie 1921 i 1922 roku przyjeżdża tu Władysław Grabski, znajduje się w nim prawie trzydzieści tysięcy. Zdarza się, że na jednym łóżku śpi po sześcioro dzieci.

Tutejszy szpital ma 360 miejsc. W ciągu miesiąca przyjmuje 1678 chorych, często kładąc po kilka osób w jednym łóżku. W listopadzie zmarło tu 355 osób. Ale to i tak nic – w tym czasie z baraków wyniesiono 1131 trupów! Delegatka Polskiego Białego Krzyża w prywatnym liście z tego okresu pisze o 40–50 trupach dziennie grzebanych w zbiorowych mogiłach.

Grabski notuje, że w Baranowiczach panują chaos i brud, a urzędnicy nie nadążają z załatwianiem formalności. Są przemęczeni, nieraz brutalnie traktują uchodźców, wymuszając łapówki. Całkowity brak organizacji. Także odpowiedzialny za akcję Urząd Emigracyjny (powołany w 1920 roku) – jak ocenia Grabski – „przedstawił obraz zupełnej dezorganizacji. W ogóle w całej akcji dotychczasowej brak było skoordynowanych zarządzeń”. Na etapie działa wiele organizacji pomocowych, ale właśnie z powodu braku koordynacji często nie widać efektów ich pracy.

JAK SIĘ ODBYWA

Kilka obrazków



Repatrjanci, przybyli na granicę, oczekują pod gołym niebem wśród mrozu na pozwolenie dalszej podróży.



Szczęśliwi tylko mogą się dostać do namiotów płóciennych, w których przebywają całymi tygodniami.



Chorzy na tyfus—są odstawiani samochodami sanitarnymi do szpitala.



Zdrowych zaś czeka rewizja celna, przy której skromne mienie powracających podlega ścisłej kontroli.



Po dopełnieniu formalności celnych nieliczni mogą korzystać z dobroczynnego ciepła mocno dymiącego piecyka.



Inni, trawieni gorączką—nie zważając na przepisy sanitarne, piją z wspólnego wiadra wodę ze studzien zaskórnych.

POWRÓT REPATRJANTÓW?

z Baranowicz.



Często można widzieć smutną eksportację zwłok dzieci zamrażniętych w namiotach.



Na chleb trzeba czekać również długo, marznąc w „ogonkach” przed „stacją rozdzielczą”.



Mieszkanie w barakach murowanych, przerobionych ze stajen artyleryjskich—nie odznacza się warunkami higienicznymi.



Zbledzeni jednak repatrjanci z rezygnacją przyjmują swój los.



Tyfus zaś dziesiątkuje wszystkich. Na jednym łóżku leży chora matka obok trojga swoich dzieci.



Zmarli w szpitalach, rzućeni bezładnie, czekają pogrzebu. Nie dojechali...

Fot. M. Fuks.

Grabski, jadąc do Baranowicz, nie spodziewa się jednak porządku. Ma go dopiero zaprowadzić. Dla młodego i zniszczonego państwa polskiego repatriacja z Rosji to ogromne wyzwanie. Kosztuje krocie, a w państwowym budżecie pusto. Wszystko trzeba zorganizować od podstaw, brakuje ludzi i struktur. Nie chodzi tylko o ratowanie repatriantów, choć to oczywiście ważne. Ale epidemia tyfusu czy cholery może się rozlać na cały kraj. Dlatego właśnie 21 grudnia 1921 roku utworzony zostaje urząd Nadzwyczajnego Komisarza do spraw Repatriacji, który obejmuje właśnie Władysław Grabski. Ma on ogromne doświadczenia w pracy na rzecz polskich organizacji pomocowych w Rosji. Jako Nadzwyczajny Komisarz dostaje duże uprawnienia. Składane przez niego wnioski do ministerstw i rządu należy traktować jako pilne. Mają być rozpatrywane w ciągu trzech dni.

*

Gdy Marian Fuks, by nie zemdleć w smrodzie i zaduchu, wybiega na zewnątrz baraku-stajni, w którym trwa rejestracja bieżących przybyłych do Baranowicz, widzi jeszcze gorszy obrazek: „rozpięte namioty płócienne. Wczoraj było 15 stopni poniżej zera. W tych namiotach tulą się kobiety, starcy, dzieci. Dwóch ludzi z noszami. Jakieś zawiniątko na noszach. Zbliżam się. Zwłoki małego dziecka w łachmanach”.

Potem Fuks idzie do pociągu, którego przyjazd obserwował na początku. Stoi przy nim „automobil sanitarny”. Sanitariusze przenoszą chorych, „których Sowdepia tak obficie nam nadsyła. [...] Matkę, chorą na tyfus – pisze dalej Fuks – zabierają do »sanitarki«, trzyletnie dziecko uczepliło się jej. Krzyk i płacz maleństwa przejmuje nawet najobojętniejszych. Wzruszenie chwyta za gardło, zasnuwa oczy wilgotną mgłą... Matka patrzy na dziecko oczyma, w których pali się gorączka. Nie mówi nic. Jakiś mężczyzna – może ojciec – odrywa maleństwo. Wychudła dłoń kobiety podnosi się ciężko, kreśląc w powietrzu znak krzyża”.

*

Zofia Oleszczuk w szpitalu w Baranowiczach składa ręce jak do śmierci i widzi, że sinieją jej paznokcie. Ale nie umiera. Przecież „kto przemilczał, ten będzie żył”.

Gdy budzi się, sąsiadki śmieją się: „Nie umarłaś?”. To Łukieria i Kasia z guberni grodzieńskiej. Zaprzyjaźnią się. Zofia czeka na matkę albo siostrę, ale żadna z nich nie przychodzi. O tym, że jeszcze tego samego dnia podstawili im pociąg i pojechały dalej, dowie się dopiero, gdy dotrze do Kulika.

Wcześniej jednak kilka tygodni spędzi w szpitalu w Baranowiczach, a potem w Białymstoku. Codziennie w porze roznoszenia obiadu będzie łykać ślinę. Jest na diecie, dostaje więc wodniste kleiki. Inni jedzą pachnącą fasolę z mięsem.

*

Fasola to – obok trupów wynoszonych z pociągu – symbol Baranowicz i powrotu z bieżącego. W opowieściach występuje pod wieloma postaciami. Jako zupa fasolowa z zacierkami, fasola okraszona słoniną, fasola z pęczakiem, fasola pół na pół z mięsną konserwą. Zdarza się, że o jej smaku mówią dzieci i wnuki bieżących.

Nic dziwnego – to musiał być luksus na ówczesną miarę. Dobrobyt, o którym już zapomnieli. „Nareszcie mogliśmy zjeść coś normalnego” – mówią. Powtarzają, że to Amerykanie karmią bieżących. Organizacje humanitarne zza oceanu, między innymi Czerwony Krzyż, niosą pomoc także w Baranowiczach. Oprócz jedzenia dają też czystą bieliznę, ciepłe ubrania i buty. Niektórzy ustawiają się w kolejce po kilka razy. Zdarza się, że bieliznę wydają po zaszczepieniu na tyfus i cholere – młodzi chłopcy dostają po kilka zastrzyków, by tylko ją zdobyć. Sprzedadzą i zdobędą grosz na powrót.

*

Zdjęcia, które podczas pobytu w Baranowiczach zrobił Marian Fuks, drukuje kilka polskich magazynów. Tu, inaczej niż na fotografiach z punktów etapowych sprzed kilku miesięcy, nic nie rozświetla nędzy i nieszczęścia jadących bieżących. Nie ma białych chustek ani koszul – zmarznięci ludzie obwiązują się wszystkimi szmatami, jakie mają. Zresztą, nie wiem, czy jasny kolor coś by tu zmienił.

Kilka osób kuli się wokół żelaznego piecyka. Jedna z kobiet odwraca głowę i spogląda w obiektyw. Smutna twarz, jakby woskowa. Tuli zawiniątko, pewnie małe dziecko. Czy jeszcze nie zamarzło?

Mężczyzna w kożuchu przechyla wielkie wiadro. Wokół mróz, woda pewnie lodowata, wiadro namarznęte. Podpis: „Trawieni gorączką, nie zważając na przepisy sanitarne, piją ze wspólnego wiadra wodę ze studzien zaskórnych”.

Ogolona na łyso matka opiera się o ramę szpitalnego łóżka. Obok niej, na poduszce, dwoje małych dzieci, w jej nogach trzecie. Przykrywają się szczelnie, musi być zimno. Czy wszyscy są już chorzy na tyfus, czy dzieci położono z chorą matką, bo nie było co z nimi zrobić?

I najgorsze zdjęcia. Przysypane śniegiem namioty. Dwóch mężczyzn wynosi zawiniątko na noszach. Pod zdjęciem podpis: „Zwłoki małego dziecka”. I jeszcze bardziej dosłowne. Dziwaczna sterta w ciemnym pomieszczeniu. Gdy się przyjrzeć –

plątanina nóg i rąk, nienaturalne pozy. „Że trumien nie starczy, więc zwłoki składane są jedno na drugie... Tworzą bezładny, okropny stos...” – pisze Marian Fuks.

*

Władysław Grabski, Nadzwyczajny Komisarz do spraw Repatriacji, jeszcze w pierwszych miesiącach 1922 roku zwiększa liczbę miejsc w Baranowiczach do piętnastu tysięcy, a w Równem do trzech i pół tysiąca. Tworzy też „drugą linię przyjmowania uchodźców”: szpital w Dorohusku z dwustoma pięćdziesięcioma miejscami i w Białymstoku z ośmiuset miejscami. Wydaje się, że opanowuje sytuację. Poprawia ją też nadejście wiosny. Fala bieżących od lata 1922 roku zaczyna się zmniejszać, w 1924 roku akcja repatriacji zostaje zakończona.

Od kwietnia 1921 roku do kwietnia 1924, do zamknięcia granicy, na swoje ziemie powróciło 1,1 miliona osób. Najliczniejszą grupą są Białorusini i Ukraińcy – sześćdziesiąt pięć procent całej grupy. Polacy stanowią dwadzieścia siedem procent, Żydzi – siedem procent. Statystyka ta nie obejmuje wracających przez zieloną granicę. Nikt nie policzył też zmarłych w drodze.

Do upragnionej ojczyzny?

„Ziściły się marzenia! Po długich miesiącach oczekiwań znaleźli się w upragnionej Ojczyźnie!” „Oto ziemia ojczysta – cel upragniony”. „Oto są na tej ziemi, do której tyle westchnień leciało z obczyzny” – tak emocje repatriantów przekraczających polską granicę wyobrażają sobie polskie gazety.

„Do ukochanego Kulika, do kochanej ziemi i ojczyzny” – w spisywanych po sześćdziesięciu latach wspomnieniach tego samego języka używa Zofia Oleszczuk. Możliwe, że w chwili powrotu po polsku nie mówi. Rozmawia po ukraińsku i rosyjsku, niewykluczone, że jest prawosławna. W 1944 roku wraz z rodziną jako Ukrainka zostanie przesiedlona do ZSRR.

Nawet Józef Szymusiuk, który bardzo chciał zostać w Rosji, by się uczyć, ale nie ma siły sprzeciwić się matce, po latach pisze o powrocie do „upragnionych” Topolan. Czasem zresztą i bieżącym spod Sokółki czy Bielska wyrywa się: „do swojej ojczyzny, do upragnionej Polski wracali”. A tak przecież w 1921 roku myśleć nie mogli. Wracali do Polski, której nie znali i której nie było przed ich wyjazdem. Na swoją ziemię, ale do nieznanego kraju.



[^] Wracający bieżęcy. Album, z którego pochodzą te zdjęcia, nie zawiera opisu; wydaje się jednak, że to najprawdopodobniej 1922 rok, Równe



[^] Wracający bieżęcy. Album, z którego pochodzą te zdjęcia, nie zawiera opisu; wydaje się jednak, że to najprawdopodobniej 1922 rok, Równe



[^] Wracający bieżeńcy. Album, z którego pochodzą te zdjęcia, nie zawiera opisu; wydaje się jednak, że to najprawdopodobniej 1922 rok, Równe

Od tej „upragnionej ojczyzny” trudno dziś uciec. Ten zwrot z wierszyków i akademii szkolnych tak wrył się w nasze głowy, że gdy myśli się o powrocie, przychodzi automatycznie.

*

Co w chwili powrotu myślą bieżeńcy? Wydaje mi się, że większości z nich, wyczerpanym, głodnym i schorowanym nie w głowie uniesienia patriotyczne; nieważne, czy to patriotyzm skierowany „do naszej Polski ukochanej”, czy do swojej wioski.

Może tak jak ojciec Nadziei Sacharczuk z Pawłów położonych cztery kilometry od Narwi, przyziemnie myślą o tym, co zastaną? On próbuje zaczarować rzeczywistość. Wracają z Syberii; po kwarantannie w Baranowiczach jadą do Bielska pociągiem,

potem wynajmują Żyda z furmanką. Gdy są w Rybołach – do ich domu pozostały tylko trzy kilometry – ojciec nie wytrzymuje napięcia.

Prosi Żyda o zatrzymanie koni, zeskakuje z wozu i wspina się na rosnące przy drodze drzewo. „Jak zobaczę naszą lipę, tę na podwórku, to znaczy, że i dom stoi” – zapowiada. Już z drzewa krzyczy: „Dzieci, będziemy żyć. Nasz dom ocalał”.

Hoły kamień

Tak czy inaczej, ucieknę do Odessy

Jest grudzień 1918 roku; zima na razie łagodna, nie ma jeszcze śniegu, mróz niewielki. Pawlik dojeżdża do stacji Gregorowce, niecałe cztery kilometry od Wólki Wygonowskiej. Nie było go ponad trzy lata; od sierpnia 1915 roku nie miał żadnych wieści z rodzinnej wioski.

Niemal całą drogę do Wólki biegnie, zamiast iść, choć tego nie zauważa. Czy matka żyje? Czy dom ocalał? A może wszyscy pomarli i wieś nie istnieje? „Idę tylko zobaczyć. Pobędę jakiś miesiąc, a potem z powrotem do Odessy” – powtarza w myślach.

Co tam robił i jak mu się wiodło, nie dowiem się z pamiętnika. Pawlik szczegółowo relacjonuje drogę w bieżenstwo. To, jak bomba zabiła mu ojca, a matka wyprawiła go do Rosji, by się uczył, sama zaś została na drodze. Pobyt w Rosji opuszcza; opisuje dopiero swój powrót.

W Wólce zastaje ruinę. Dom jest spalony, gospodarstwo też. Z całej wsi ocalało tylko kilka budynków. „Twoja matka mieszka u Hawryłowej” – mówi ktoś z wioskowych. Pawlik leci więc do sąsiadki. Matka na jego widok wybucha płaczem. Pyta o pozostałe dzieci – pojechało ich pięcioro, nikogo nie ma jeszcze z powrotem. Pawlik mówi, że Mateusz, najstarszy, leży w szpitalu. Wracali razem, ale ich pociąg, już w Polsce, miał wypadek. Dwaj pozostali bracia i siostra są jeszcze w Rosji.

*

Pawlik ma szczęście. Podwójne. Raz, że przyjeżdża do matki, która choć mieszka kątem u sąsiadki i niby nie ma nic swojego, zdołała zgromadzić zapas kartofli na zimę. Wystarczy i jej, i synowi. A dwa – wraca wcześniej, właściwie jako jeden z pierwszych. Takim będzie najłatwiej się urządzać.

„W każdym majątku była założona przez Niemców kolonia rolna, więc Niemcy zrobili dość dużo zasiewu i wszystko to pozostawili, kto nie był tchórzem, to jeszcze podczas bytności Niemców nachował sobie zboża, a jak Niemcy wyjechali, to skorzystali ci, na czyich gruntach były porobione zasiewy kolonii niemieckiej” – pisze Pawlik.

W grudniu 1918 roku notuje, że oddziały niemieckie są jeszcze w okolicy, ale nie pilnują już majątku^[46]. Ludzie więc korzystają. Wożą siano i słomę z poniemieckich stogów. W lesie niedaleko Wólki Niemcy zrąbali dużo grubego drewna; okorowali, złożyli w pryzmy. Kto ma konia, wozi na potęgę. Jak wuj Pawlika, Stefan. To ten, który w sierpniu 1915 roku zostawił na drodze żonę z czworgiem małych dzieci, a sam uciekł, by „ratować pieniądze”. On też wrócił jako jeden z pierwszych we wsi; ma już konia. Jeszcze kilka nocnych wypraw po poniemieckie drewno i będzie mógł zacząć odbudowywać gospodarstwo. Inni jadą do lasu i tną, co im się podoba. Polska dopiero zaczyna formowanie struktur administracyjnych. Nikt nie pilnuje państwowego majątku, chociażby lasów.

Matka Pawlika też chciałaby z tego skorzystać. Uważnie przygląda się synowi. Choć jest mizerny, podczas pobytu w Rosji zmężniał i wydoroślał. To już przecież dziesiętnastolatek! „Nie mam teraz konia, ale może jakoś zaczniesz wozić drewno, weźmiemy się za budynki, zaczniemy odbudowę” – planuje.

*

Matka woła do stołu. Pawlik jest głodny; podsuwa miskę do siebie. „Nie zabieraj klusek, przecież nie dla ciebie jednego postawione” – napomina go wuj Stefan, którego rodzina też mieszka u Hawryłowej. Racja, przecież tu jedzą z jednej miski! Paweł zupełnie o tym zapomniał, odzwyczyił się. Odsuwa kluski na środek; sięga po nie siedem innych siedzących przy stole osób: matka, wuj, wujenka i czworo ich dzieci. „Wszyscy dość brudni, a i kluski jakieś czarne – zapisuje Pawlik w pamiętniku. – Żle. Długo tu nie pobędę”.

Myśl o powrocie do Rosji wciąż go prześladowa. Gdy matka planuje odbudowę spalonego w 1915 roku gospodarstwa, syn nic nie mówi. W pamiętniku zapisze: „Po co to mnie potrzebne, przecież nie będę tu z tymi nienawidzonymi Niemcami mieszkał. Tak czy inaczej, ucieknę do Odessy”.

Żaby spadają z sufitu

Pustkowie. Wioskowe drogi zarasta brzozy młodziak. Na miejscu domów pogorzeliśka. Jeśli ocalał jakiś budynek, okna i drzwi są powyrywane; wszystko, co mogło się komuś przydać – rozszabrowane. Tylko gdzieniegdzie sterczą kikuty kominów.

Dawne siedliska zamieniły się w płataninę zarośli. Pokrzywy rosną na wysokość dorosłego mężczyzny. Czasem w takim gąszczu trudno zlokalizować swoje

gospodarstwo. Wtedy ludzie szukają studni; choć zawalona, pomaga się zorientować w dawnej topografii. Pola także porasta zielsko, krzaki, młode brzozy, a blisko lasów sosna.

Bracia Naumiukowie z Kaniuk nad Narwią idą piechotą z Brześcia, dokąd przywiózł ich bieżęński pociąg. Im bliżej domu, tym bardziej są przygnębieni. Przed oczami mają scenę z chwili wyjazdu. Stary ojciec chwyta się furmanki i próbuje ją zatrzymać. Nie chciał jechać, nie wierzył w antyniemiecką propagandę; synom schował uprząż, by też nie jechali. Gdy ją znaleźli i już siedzieli na wozach, uczeplił się jednej z furmanek tak mocno, że trzeba było go odepchnąć, aby ruszyć. Synowie pamiętają, jak ojciec osuwa się na ziemię, a oni poganiają konie i odjeżdżają. Czy ojciec przeżył przejście frontu? Czy jeszcze żyje? Nie widzieli go ponad sześć lat, nie mieli żadnych wieści. Jest już przecież 1921 rok; może nawet 1922.

*

Dom Nadziei Sacharczuk, której ojciec po drodze włożył na lipę i próbował dojrzeć swoje obejście, rzeczywiście stoi. Jako jeden z kilku ocalałych w całej wsi. Ale ktoś trzymał tu konie; obornika jest więc po okienne dziury, okna są powyrywane z futrynami. „Tu nie da się żyć, wracajmy do Rosji” – płaczą Nadzieja z bratem.

Biorą się jednak do wyrzucania obornika i urządzenia choć prowizorycznego noclegu. Okna zastawiają gałęziami, na zapiecku robią posłanie ze starych szmat i jakoś nocują. Ale, korzystając z braku drzwi, do ich „pościeli” ciągle wchodzi lis. Widocznie mieszkał tu podczas ich nieobecności i nie zamierza tak łatwo zrezygnować.

*

Naumiukowie zastają spalone Kaniuki. Smutny to widok. Zamiast domów, chlewów, stodół, podwórek – plątanina zarośli, ciągnących się aż po płynącą za dawnymi budynkami Narew. Na środku wsi ocalał jeden dom; ktoś w nim już nawet mieszka. Gdy idą przez zrujnowane Kaniuki, serce bije coraz mocniej. Ich obejście na końcu wsi też ocalało! Może więc i ojciec jeszcze żyje?

Do domu prowadzi wyraźna ścieżka. W środku pusto; drzwi i okna wyrwane. Gdy budowali się w 1906 roku, dom był najbogatszy we wsi. Pokryty dachówką, nie strzechą. Zamiast typowego klepiska, była podłoga. Ale ani po dachówce, ani podłodze nie pozostał teraz ślad.

Kobiety rozglądają się za suchym miejscem do spania, sprawdzają piec w kuchni. Dzieci od kilku dni nie jadły nic ciepłego. Gospodarze chodzą po swoim obejściu jak zac zadzeni. Nie poznają go. Widać, że ktoś tu mieszkał; w kącie domu palił ogień;

w drugim – umościł sobie legowisko. Ale czy to ojciec? Może gdzieś jest przynajmniej pies Bobik, który pobiegł najpierw za bieżęciami, a potem zniknął? „Pewnie wrócił do domu” – orzekli wtedy mężczyźni. Ale czy wrócił?

*

Najgorzej mają ci, którzy wracają najpóźniej. W 1922 roku po niemieckich kartoflach i brukwi nie pozostał nawet ślad, nie ma opuszczonych stogów siana czy stert niczyjego drewna. Nie można bezkarnie iść do lasu, bo leśniczy pilnują i surowo karzą za kradzież. Nie ma co jeść, nie ma gdzie mieszkać. Ocalałe domy zajmują ci, którzy wrócili wcześniej.

*

Trudno Naumiukom prowadzić poszukiwania ojca. We wsi z dnia na dzień pojawia się więcej osób, ale wszyscy jadą z Rosji. Nie mają pojęcia, co działo się w Kaniukach podczas niemieckiej okupacji. Nie czas zresztą na rozwiązywanie zagadek, trzeba walczyć o przetrwanie. Nie ma gdzie mieszkać, nie ma co jeść. „W naszym rozszabrowanym, ale ocalałym domu mieszkało wtedy dwanaście rodzin” – mówi Włodzimierz Naumiuk, prawnuk Lawonia odepchniętego w chwili wyjazdu przez synów. Dziś w tym samym domu ma pracownię rzeźbiarską. Odwiedzam go w 2013 roku. Sień i dwie małe izby; w jednej kiedyś była kuchnia. Gdzie się pomieściło tyle ludzi? „Mieszkały tu same kobiety z dziećmi; u każdej było ze troje lub czworo – mówi Włodzimierz. – Gdy spać się kładli, wolnego miejsca na podłodze nie było. Mężczyźni ziemianki sobie pokopali, przynosili tylko kobietom jedzenie, ryby łowili, coś tam upolowali, ale nie wchodzili do domu, bo i tak tłok był niemiłosierny”.

*

Ci, których domy spłonęły, po powrocie z bieżęstwa kopią ziemianki. „Wstawiliśmy dwa okna, wyżej postawiliśmy balasy, oblepiliśmy je gliną i tak mieszkaliśmy. Piec z gliny w środku postawiliśmy, sufit zrobiliśmy z drewnianych żerdzi, które przykryliśmy słomą” – opisuje w książce *Bieżęstwa 1915 hoda* Grzegorz Andrejuk z Husaków.

W ziemiankach panuje wilgoć, bywa zimno. Zdarza się, że wiosną, gdy wszystko budzi się do życia, z nieuszczelnego sufitu spadają żaby lub wyłazi robactwo. A w takich warunkach niektórym – jak rodzinie Grzegorza Andrejuka – przychodzi żyć pięć albo nawet więcej lat. Państwo przyznaje wprawdzie części wracających drewno za darmo,

jeśli jednak ktoś nie ma konia ani własnej siły roboczej, nie stać go na zapłacenie za ścięcie drzew i ich transport, nie mówiąc już o budowie.

Niektórzy kupują gotowe budynki – stare spichrze, obory, stodoły. Rozbierają je, przewożą i składają mały domek; w nim budują piec. Jest ciasno, bywa zimno, ale to musi wystarczyć na lata, zanim staną na nogi.

Ostateczny koniec świata

Gdy rozmawiam o powrotach, te słowa pojawiają się automatycznie. Towarzyszy im chwilowe zawieszenie głosu. W końcu – westchnienie i machnięcie ręką, jakby się chciało odgonić wyjątkowo natrętą muchę. „*Ach, usiaho było. Wiarnulisia na hoły kamień*”. Złowrogo brzmi to twarde h w *hoły*, którego nie potrafią wymówić ludzie z centralnej Polski, Rosjanie zresztą też nie. Zamiast dźwięcznego, twardego h, Polacy mówią ch, Rosjanie g. „*Ach, wiele przeżyliśmy. Wróciliśmy na goły kamień*”. I znów cisza.

Babcia Nadzia nie była wylewna. Cała rozpacz na widok zniszczonego gospodarstwa, strach, czy nie umrą z głodu i nie zamarzną bez domu – wszystko to musiało się zmieścić w tych dwóch słowach. Wrócili na *hoły kamień*.

Przyjeżdżają wiosną 1922 roku. Z Baranowicz pociągiem do Sokółki. Stamtąd piętnaście kilometrów piechotą do Knyszewicz. Nadzia niesie Szurę; dziewczynka właśnie skończyła roczek. Widzą, że na polach w Starej Kamionce ludzie zaczynają siać zboże. A oni? Nie mają czym obsiać swojej ziemi. Gdy dochodzą do Knyszewicz, na pogorzelsku, które zostało z ich domu, dostrzegają rosnące młode brzozy.

Może wyobraźnia płata mi figla i podsuwa jakieś zmyślane sceny. Ale mam wrażenie, że doskonale pamiętam, jak babcia Nadzia mówi te słowa: „*Wiarnulisia na hoły kamień*”.

*

To musi być dramatyczny moment. Kolejny zwrot. A może kolejny, od lata 1915 roku, koniec świata? Czy powrót uświadamiał ludziom, że stary świat ostatecznie się skończył? Że już nic nie będzie takie, jak było wcześniej?

Podczas drogi do Rosji w zdecydowanej większości bieżący wierzyli, że jadą na chwilę. Wrócą i świat znów stanie się taki, jak był zawsze. Możliwe, że w dalekich wioskach nad Donem czy za Uralem też jeszcze myśleli, że wystarczy wrócić, a zapanuje normalność. Może trzymali się tego nawet po rewolucji, gdy runęło wszystko, nawet Bóg nie ocalał?

Hoły kamień pozbawia nadziei. Nic już nie będzie takie, jak było kiedyś. Gdyby zostali w Rosji, mogliby jeszcze tęsknić za mityczną *rodziną*. Tak, jak tęskni się za utraconym rajem. Karmić wyobraźnię tym, że dawna rzeczywistość gdzieś istnieje i wystarczyłoby tam pojechać, by wszystko wróciło na dawne, szczęśliwe tory. Wyobrażać sobie to dawne życie, idealizować, żałować, że minęło, porównywać z beznadziejną teraźniejszością.

Ale oni wrócili. Zobaczyli, że starego świata nie ma. I już nigdy nie będzie.
Czego zatem się uchwycić? Jak żyć?

*

Wracający bieżący przypominają pierwotną cywilizację zbieraczy. Zielsko, grzyby, żołądki. Przekopują pola, zbierają nawet kłaczka perzu.

Wiosną, latem i jesienią zupełnie gotują z pokrzyw albo lebiody. Ziele wrzuca się do garnka z wodą, a po podgotowaniu dodaje garść krup. Biedniejsi, zamiast kaszy, sypią otręby, które kupili w młynie. Dobrze, jak trafią się żytnie czy pszeniczne. Przy jęczmiennych jest bieda – ości dławia i duszą, a podrażnione gardło przez długi czas piecze. Ale najbiedniejsi i na strawę z jęczmiennych otrąb patrzą pożądliwie. Oni muszą obejść się samym zielskiem.

Ludzie pieką placki z utartego korzenia łopianu i wyżebranych obierków od kartofli; pod Orlą nazywa się je *hoład*, gład. Chleb piecze się ze wszystkiego, co rośnie w polu lub lesie i nie jest trujące: z wysuszonych kłaczy perzu, z mielonych żołądki, z młodych pędów sosen, ususzonych nasion polnego szczawiu, nawet ze zmielonej kory drzewnej. Dobrze, jak ktoś ma choć odrobinę żytniej mąki, by zrobić zakwas, ale wielu musi obejść się i bez tego. Dzieża z takim oszukany ciastem chlebowym robi się tak ciężka, że kilku mężczyzn nie może jej podnieść. Upieczony chleb przypomina brunatny zakalec.

Takie mieszanki nie idą na zdrowie wygłodzonym, osłabionym ludziom. Wzdęte brzuchy, biegunka, niekończące się dolegliwości żołądkowe to codzienność.

Ale i tak zielsko to błogosławieństwo wracających. Najgorzej mają ci, którzy jadą zimą. Spod śniegu nie sposób wygrzebać czegokolwiek do jedzenia.

*

Wynędzniałe kobiety zostawiają w domach lub ziemiankach małe dzieci, a same z workiem obchodzą wioski. W „swoich” wsiach ludzie są równie biedni, też dopiero wrócili z bieżęstwa. Idą więc „na Polszczy, na szlachtę” – do katolickich wsi na zachód od Bielska. Kilkadziesiąt kilometrów. Stamtąd ludzie raczej nie wyjeżdżali.

Ktoś da biednemu kartofelek, ktoś inny jajko, skórkę od chleba albo nawet obierki – wszystko ładuje w lnianym woreczku żebraczki.

Czasem taki obchód trwa tydzień, czasem nawet dwa. Gdy już coś się zbiera – kobieta wraca nakarmić wygłodzone dzieci. „Ciężko było iść tak daleko z tym workiem? – zapytał kiedyś swoją babcię Włodzimierz Naumiuk. „Nie, dziecko. Ciężko było, jak wracałam z pustym workiem. Jak coś niosłam, nigdy ciężko nie było”.

W większości nie wyjeżdżali też Żydzi z okolicznych miasteczek. Żyją więc w miarę normalnie. I do nich też idą bieżęcy. Wokół żydowskich ubojni w okolicznych miasteczkach: w Orli, Krynkach, Bielsku, Sokółce – ustawiają się kolejki. Ludzie biorą pozostałą krew i odpady. Wszystko, co nadaje się do zjedzenia. Zdarza się, że Żydzi pożyczają im też pieniądze na zboże, by mogli obsiać pole. Albo na krowę, by dzieci miały co jeść.

Odwieczny tutejszy styk kultur i narodów, nieraz boleśnie doświadczający ludzi, pokazuje teraz także swoje jaśniejsze oblicze.

*

Wiera Konończuk, jedenaście–dwanaście lat, niesie do domu wyżebrany skarb – kawałek chleba. Najchętniej puściłaby się biegiem. Ale nie da rady, jej nogi po kolana grzęzną w świeżym śniegu. Lepi się on do szmat, którymi są obwiązane, dodaje im ciężaru. Dziewczyna wyobraża sobie radość matki i rodzeństwa, gdy zobaczą chleb. Kiedy ostatnio go jedli? Chyba w Baranowiczach.

Ale zamiast spodziewanej radości będzie żal, którego Wiera nie zapomni do końca życia. Przystaje zmęczona, wyjmuje chleb z woreczka, by choć popatrzeć. Odszczypuje okruszek. Tylko przypomni sobie smak, który uleciał z pamięci. Potem odszczypuje jeszcze jeden. I jeszcze jeden.... Gdy dochodzi do domu, chleba już nie ma.

Wiera płacze. Tak bardzo chciała zobaczyć radość matki.

Niech wasza stara pomoże mi obrządzić zwłoki

Najpierw choruje matka Pawlika. To tyfus – chłopak rozpoznaje od razu. Ludzie jadą z Rosji coraz tłumniej. Chorować zaczynają także ci, którzy nie wyjeżdżali. W Wólce Wygonowskiej nie ma lekarza, z okolicznych wsi i miasteczek nikt nie przyjeżdża leczyć chorych. We wsi mówią, że na tyfus trzeba pić dziennie po kilka łyżek wina, Pawlik bierze więc mamine oszczędności i leci do Kleszczeli, do sklepu.

Gdy matka zdrowieje, zaczyna chorować Mateusz, który dopiero co wrócił do Wólki. W końcu Pawlik. Przez dziewięć dni leży nieprzytomny, sąsiedzi mówią, że nic już z niego nie będzie.

*

Tyfus tli się na zrujnowanych wojną ziemiach od kilku lat, ale gdy zaczynają się masowe powroty z Rosji, choć na granicy urządza się kwarantannę, wybucha epidemia. Pod koniec 1921 roku ogniska choroby zaobserwowano w okolicach Gródka, Sokółki, Krynek, Bielska – wszędzie tam, gdzie przyjeżdżają repatrianci.

„Nowy Dziennik Białostocki” relacjonuje w styczniu 1922 roku: „Wracają reemigranci wyniszczeni, głodni, nieodziani i niezmiernie brudni (nieodwzieszeni), niosąc z sobą tyfus, biegunkę, choroby skórne, a w takich warunkach z przyjściem wiosny niechybnie pojawi się cholera!”.

Wiosną 1922 roku gazeta donosi o odkryciu pierwszego przypadku czarnej ospy. Jej epidemia szczęśliwie nie wybucha, cholery też nie, ale tyfus dziesiątkuje wieś. Szaleje w Rosji – „Gazeta Warszawska” podaje, że pod koniec 1921 roku naliczono tu dwadzieścia milionów chorych. Do punktów etapowych repatrianci dojeżdżają zarażeni i brudni, roznoszące zarazki wszy są w każdym wagonie. Kontrole i kwarantanna na etapach w Baranowiczach i w Równem nie wystarczają, kierowanie chorych do szpitali zapasowych w Białymstoku, Dorohusku i innych miastach też nie.

Poza tym wiele osób wciąż przedostaje się przez zieloną granicę i nie podlega żadnej kontroli, tym bardziej kwarantannie. Gazety na początku 1922 roku piszą, że wracający do swoich wsi pod groźbą kary muszą się meldować u miejscowych władz i poddawać oględzinom lekarza. Ale czy ten przepis działa? Żadne ze wspomnień ani pamiętnik Pawlika tego nie potwierdzają. Gazety zresztą też piszą o słabości działań formującej się wciąż władzy. Opisują, że z etapów ludzie wracają głodni i brudni; w Baranowiczach czy Równem często wystawiają im świadectwa wykąpania, nie kąpiąc ani nawet zupełnie nie myjąc.

We wsiach tłoczy się po kilkanaście rodzin w jednym domu, chorują wszyscy po kolei. Miejscowe władze nie są w stanie im pomóc. „W ten sposób powstają coraz to nowe, obliczane dziś już nie na dziesiątki, lecz na setki ogniska tyfusowe. Przy takim systemie repatriacji nieopartej na żadnych cyfrach i zupełnie dowolnej, pozbawionej wszelkiego dozoru na tyłach, tyfus być musi i opanować się nie da” – pisze w styczniu 1922 roku Naczelnny Nadzwyczajny Komisariat do spraw Walki z Epidemiami w piśmie do ministra zdrowia publicznego.

*

Luba Bondaruk do Krasnej Wsi wróciła z rodzicami dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem. Zanim zaczęło się bieżenstwo, ojciec był nauczycielem. W Równem, gdzie przechodzą kwarantannę, robi wszystko, by jak najszybciej jechać dalej. Boi się, by w tym skupisku chorych dzieci nie zaraziły się tyfusem. Udaje się im skrócić kwarantannę, w komplecie dojeżdżają na swoją ziemię.

Od złego losu jednak nie uciekają. Najpierw chorują dorośli. Matkę grzebią kilka dni przed Wigilią, ojca w samą Wigilię. Dziesięcioletnia Luba też dostaje tyfusu; trafia do szpitala w Bielsku. „Położyli mnie tam w umieralni – wspomina w tomie *Bieżanstwo 1915 hoda*. – Rano widzę – przywieźli jednego trupa, potem kolejnego. Przywieźli Żyda, ale on szybko zmarł. Zostałam sama na sali [...]. Nikt mną się nie zajmował. Zajrzy ktoś, zobaczy, że jeszcze dyszę, i trach – zamyka drzwi. Przyniesie jedzenie, ale ja nie dam rady jeść”.

Z umieralni do sali dla żywych przenoszą Lubę dopiero wtedy, gdy dziadek, który nie pojechał w bieżenstwo i wojnę przeżył w swoim domu, przywozi siostrze jabłek ze swojego sadu.

*

Pawlik, choć był już umierający, zdrowieje. Odzyskuje siły i chce iść odwiedzić Mitkę. Razem się wychowali, razem paśli krowy, wrócili z Rosji w podobnym czasie; przyłgnęli więc do siebie, zaprzyjaźnili się. Mateusz go jednak nie wypuszcza z domu, wymyśla coraz to nowe powody, by go zatrzymać. W końcu mówi, że Mitki już nie ma. Zachorował, gdy Pawlik leżał nieprzytomny. Przez ostatnie dni wciąż wołał przyjaciela, by go ratował od śmierci. Nie pamiętał, że ten sam leży bez czucia.

Wieś to teraz jeden wielki szpital. Właściwie bardziej umieralnia. Choruje nawet miejscowy bogacz Julian. Został w Wólce w 1915 roku; gdy przechodził front, spaliło mu się wprawdzie gospodarstwo, ale zaraz zajął najlepszy z ocalałych domów, po psalmiście, który pojechał w bieżenstwo, i nieźle się urządził. Korzystał z ziemi nieobecnych sąsiadów, umiał też dogadać się z niemieckimi kolonistami, którzy przejęli okoliczne folwarki. Gdy zaczęli wracać bieżenicy, Julian powtarzał ze złością: „Jakie lichy ich tu niesie, czy nie mogliby zostać już w tej Rosji?”. Nie w smak mu było oddawać ziemię prawowitym właścicielom. Ale zgromadzone bogactwo nie uchroniło go przed tyfusem. Najpierw choruje on, potem żona. Umierają w ciągu niecałego tygodnia, oboje tego samego dnia. Zostawiają piękne gospodarstwo, dorosłą córkę i gromadkę małych dzieci.

W Wólce Wygonowskiej nie ma teraz dnia bez kilku pogrzebów. Wieczorem, gdy przy stole Mateusz opowiada ozdrowiałemu Pawlikowi wypadki ostatnich tygodni, raz po raz słyszą pukanie w okno: „To ja, Kasjan, niech przyjdzie wasza matka, zmarł wujek”.

Za chwile kolejne: „To ja, Prokop, przed chwilą zmarła mi żona, niech przyjdzie wasza stara i pomoże mi obrządzić zwłoki”.

*

Rozprzestrzenienia się epidemii na cały kraj boją się wszyscy: Naczelný Nadzwyczajny Komisariat do spraw Walki z Epidemiami, minister zdrowia publicznego i cały rząd. Boi się też Europa – jeśli tyfus wymknie się spod kontroli w Polsce, zagrozi całemu kontynentowi.

Temu poświęcona jest odbywająca się w marcu 1922 roku w Warszawie międzynarodowa konferencja sanitarna. Ustalono na niej – donoszą ówczesne gazety – że należy stworzyć „kordon sanitarny”: pierwsza linia wzdłuż granicy wschodniej, druga – w województwach zagrożonych. Powinny go tworzyć szpitale zakaźne, których wciąż brakuje, oraz kolumny dezynfekcyjne, by odwszyć i wyczyścić wracających i ich rzeczy. Tylko jak to zrobić? „Gazeta Warszawska” wątpi w realizację tych ustaleń. „Rząd polski – czytamy na jej łamach 27 marca 1922 roku – zmuszony od trzech lat do prowadzenia walki z epidemiami zaledwie może podołać utrzymaniu instytucji już istniejących. Niemożliwym jest tworzenie nowych, kiedy rozporządza się budżetem 2 miliardów marek”.

Epidemii boi się społeczeństwo, zwłaszcza we wschodnich województwach. Gazety nawołują do wszelkiej pomocy repatriantom. Nędza sprzyja przecież chorobom. Pojawiają się ogłoszenia w ramkach: „Pamiętajcie o pomocy dla repatriantów” albo: „Zamiast powinszowań noworocznych, składajcie ofiarę na uchodźców”. „Nowy Dziennik Białostocki” donosi, że jedna z klas miejskiego gimnazjum przeznaczyła dziesięć tysięcy marek jako ofiarę na repatriantów zamiast wieńca na trumnę zmarłej córki nauczyciela.

Wiele miesięcy potrzeba, by ogniska tyfusu powoli zaczęły gasnąć.

Wuj nie chce zimą daremnie żywić Józefa

Piękna, przywieziona z Rosji klacz Szymusiuków z Topolan dzieli ludzki los. Głoduje, potem pracuje ponad siły.

Józef z matką i siostrą przyjechali późną jesienią 1920 roku, wykończeni po półrocznej podróży. To fatalny czas na powrót. Zima tuż-tuż, a u nich ani źdźbła siana, ani ziarenka owsa. Nie wiadomo, skąd o powrocie Szymusiuków dowiadują się wszyscy okoliczni kupcy, ale zaraz zjawiają się u nich po kolei. Chcą kupić kobyłę, oczywiście za bezcen. „Kobieto, zima idzie. Twoja klacz zdechnie z głodu. A dzieciom co dasz jeść? Jak sprzedasz konia, przynajmniej kupisz im kartofli i jakiejś kaszy, ugotujesz i będziecie żyć” – pewnie tak ją przekonują. Gdy matka odmawia, demonstracyjnie pukają się w czoło. Taki upór może zgubić jej dzieci – przypominają.

Ona oddaje jednak klacz na prezimowanie do wuja w Ogrodnikach; w zamian za to całe lato wuj będzie robić tą klaczą. Ich samych zimą do pracy nikt nie chce wziąć; matka chodzi więc żebrać. Czasem przyniesie kartofelek, czasem brukiew, czasem kto da kubek żyta. Zmielą wtedy w żarnach, ugotują i mają wielkie święto. Znosi z lasu chrust, by nie zamarznąć w domu. Jakoś doczekają wiosny. Wtedy siostra Józefa idzie służyć za niańkę; a jego drugi wuj bierze za parobka. Trzynastolatek roboty ma co niemiara: bronuje, sieje, zwozi siano i snopy zboża, pomaga w obrządkach. Po nocach pasie konie, by się najadły i mogły pracować przez cały dzień.

Gdy przychodzi zima i roboty jest mniej, wuj wyprawia go do matki, choć wcześniej nie było czasu, by nawet na niedzielę puścić go do rodzinnego domu. „Matce nudno samej, idź” – mówi. Nie chce go żywić przez zimę. Za robotę od wiosny do późnej jesieni daje pud żyta. To niewiele.

W domu Józef zastaje opuchniętą z głodu matkę. Całe lato pracowała po ludziach, ale płacili marnie; chętnych do pracy na wsi jest dużo, wielu panów z tego korzysta.

Od drugiego wujka na zimę wraca też spracowana klacz.

*

Pawlik z Wólki Wygonowskiej przestaje myśleć o ucieczce do Odessy. Ponaglany przez matkę bierze się do odbudowy domu. Prosi kuzyna, który ma konia, by pomógł mu przywieźć parę bezańskich kłoców. „Pojechaliśmy do lasu wszyscy trzej, ja, kuzyn i wuj, na dwie fure – opisuje w pamiętniku. – Włożyliśmy na furę po kłocu i wieziemy. Nasze zgliszcza na wzgórzu, wuja w dole, gdy zaczęli podjeżdżać, to wuj pojechał na dół, a za nim kuzyn. Trudno, minęli nasze zgliszcza, stanęli naprzeciw zgliszcz wuja, przecież trudno zawracać pod górę konia z kłocami, trzeba wyrzucać i wyrzucili kłoce dla wuja. Więcej do lasu nie pojechałem [...]. Bo jakże, ja wujowi tak dużo pomagałem, a on pożałował mi kłoca”.

*

I Józef Szymusiuk, i matka są rozżaleni tym, jak potraktował ich wuj. Gdy wiosną znów przychodzi po chłopca, matka mówi: „Będziemy w tym roku na swoim gospodarzyć”. Wujek kręci głową, zniechęca, straszy. Żal mu darmowego parobka.

Józef w wieku czternastu lat zostaje więc gospodarzem. Orać nie umie, nie ma nawet pług. Dogaduje się z innym wioskowym sierotą, u którego jest pług, ale nie ma konia. Łączą siły i pracują wspólnie: jeden prowadzi konia, drugi trzyma pług. Ziemia jest zapuszczona, rosną na niej młode sosny. Gdy pług zaplącze się w korzenie, chłopcy we dwóch z trudem go wyciągają. Kobyła Szymusiuków też ledwo ciągnie, tej zimy nie widziała owsa. Mimo to po kilku dniach morderczej pracy pole jest zaorane. Może krzywo i brzydko, ale chłopcy mogą siał.

Przed sianokosami matka kupuje kosę w Zabłudowie. Ani ona, ani Józef nie umieją jej jednak osadzić. Matka idzie do sąsiada, ten mówi: „Nie mam czasu, idę grabić siano”. Matka grabi więc u niego przez cały dzień, by on w pół godziny osadził jej kosę. Podobnie jest z wyklepaniem kosy czy z pokazaniem Józkowi, jak się kosi. Za każdym razem nawet krótka lekcja kosztuje dzień pracy matki. Czasem w zamian ludzie chcą, by matka wypożyczyła im konia.

*

Dość zamożny, niewyjeżdżający w bieżnię wujek z biednego siostrzeńca chce zrobić darmowego parobka. Inny obiecuje wspólne zwożenie kłóców na domy – swój i siostrzeńca – ale efekty ich pracy zabiera sobie. Sąsiad za drobną męską pomoc żąda od wdowy odpracowania całego dnia. Jeszcze inny przesuwą miedzę o kilka metrów na pole innej wdowy, przecież biedna kobieta nie będzie się z nim bić, nie pójdzie też na policję. W sprawach spadkowych jest podobnie. W Wólce Wygonowskiej po śmierci najbogatszego gospodarza cały majątek przejmuje mąż starszej córki. Gdy z Rosji wraca jej siostra z mężem i domagają się swojej części spadku, ani myśli się dzielić. Wracający są biedni, schorowani, słabi; przy pierwszej okazji „dziedzic” bije szwagra-bieżniaka, a ten nie ma siły się bronić. Przez najbliższe lata będzie on za biedny, by dochodzić swoich praw w sądzie. Z żalem godzi się z krzywdą.

Podobne historie w opowieści o bieżniach zdarzają się nierzadko. Są w spisanych wspomnieniach; do dziś opowiadają też je ludzie na wioskowych ławkach. Jednocześnie na tych samych ławkach ci sami ludzie podkreślają dawną solidarność między ludźmi. Że ludzie żyli biednie, ale zgodnie. „Szesnaście gospodyń urzędowało w naszej chacie, nigdy kłótni nie było. Ludzie żyli dobrze, pomagali jedni drugim” – mówi Włodzimierz, wnuk Leona Naumiuka.

Jak pogodzić tę sprzeczność? Czy sto lat temu ludzie, choć biedni, byli bardziej niż dziś szlachetni? Wydaje się, że raczej po latach chcemy takimi siebie i naszych przodków widzieć. Nawet pamięć o mało szlachetnych postawach najsilniejszych, wykorzystujących nieraz najsłabszych, nie przeszkadza w tym nostalgicznym twierdzeniu. Na tych wioskowych ławkach słychać zresztą, że nie tylko po bieżąco, w ogóle kiedyś ludzie byli lepsi. Nawet w źle wspomnianych latach międzywojennych czy podczas kolejnej wojny. „Nas dziś bogactwo zepsuło” – słyszę. Tak jakby ludzie bardzo chcieli w tę dawną szlachetność i solidarność swojej społeczności wierzyć, jakby było im to do czegoś potrzebne.

*

Klacz Szymusiuków z Topolan dzieli trudny los najsłabszych w danej społeczności rodzin. Pracuje dzień w dzień, w zamian za drobną pomoc jej właścicielom albo dla zarobku. Ludzie eksploatują ją bezlitośnie, a i na jedzeniu oszczędzają. Mocna i piękna klacz, która wiozła Józefa i jego rodzinę z Orenburga, teraz ślepnie z niedożywienia i przepracowania.

Trzeba było przynajmniej zjeść obiad

Teściowa babci Nadzi, moja prababka Anna, oddaje za niańkę swoją niespełna dziesięcioletnią córkę Lubę. Przynajmniej nie umrze z głodu – wyżywienie i schronienie to główna forma zapłaty za pracę. Może dobra pani doda jeszcze chustkę czy swoją starą spódnicę?

Dziewczynka jednak po kilku dniach ucieknie od swoich pracodawców. „Więcej tam nie pójdę” – powie z płaczem matce w Knyszewiczach. Ta pogłaszcze córkę po głowie. „Trzeba było poczekać kilka godzin i przynajmniej zjeść tam obiad. Nie mam czym cię nakarmić”.

*

Za dzień wykopków jako zapłatę dorosły dostaje obiad, a jeśli pan jest dobry – dodatkowo kilka kilo kartofli. Przez kilka dni można uzbierać na zimę albo na obsadzenie wiosną własnego pola. Za dzień młócki dają, oprócz jedzenia, dwa–trzy kilo żyta. Za żęcie sierpem także zboże. Podobnie za oranie lub sianie. Pastuch – jeśli trafi na hojnego pana – za pracę od wczesnej wiosny do późnej jesieni dostaje owieczkę albo nawet cielaka.

Może się jednak zdarzyć, że nie dadzą nic i jesienią, na odchodnym, jeszcze poszczują psami. Bywają i tacy, którzy korzystają na nieszczęściu najbiedniejszych. Przecież za biednym bieżącym nikt się nie ujmie.

*

Późna jesień, wykopki gdzieś pod Michałowem. Zimno. Zaczyna drobny deszcz, wieje lodowaty wiatr. Nawet gdyby człowiek był ciepło ubrany i tak po godzinie zaczyna marznąć. Ale kobiety kopiące kartofle na dworskim polu zamiast ubrań mają łachmany. Ich kurtki dawno przemokły, bosa nogi posiniały. Nie zwracają na to jednak uwagi, pracują – zapłacą im za tyle, ile wykopią.

Tylko będąca razem z nimi dziewczyna, Olga Dębowska, szczęka zębami. Chude ciało drży. Jej matka umarła na tyfus w drodze powrotnej, ojciec ożenił się po raz drugi. Macocha jest dobra dla Olgi i jej siostry, zajmuje się nimi jak rodzona. Ale jest biedna tak samo jak oni. W domu nie ma co jeść. Dzieci muszą iść pracować.

Jedna z wioskowych kobiet z niepokojem patrzy na dziewczynę. Biegnie do lasu; przyciąga gałęzie i prosi pilnującego ich zarządcę o zapałkę. Ten odmawia. „Pan zobaczy i mi powie, że baby się grzeją, zamiast kopać. I że ja źle pilnuję” – mówi.

Kobieta jest jednak uparta. „Ty nie gadaj, dawaj zapałkę. Spójrz: dziewczyna już zamarza”. Zarządca się opiera, w końcu daje. I gdy Olga po ogrzaniu się idzie pracować i znów zaczyna drzeć, sam ją woła do ogniska. Może ten upór litościwej wioskowej kobiety uratował ją od zapalenia płuc, które w tamtych czasach kończyło się śmiercią?

Ze zgromadzonych w tomie *Bieżanstwa 1915 hoda* wielu smutnych historii pracujących ponad siły bieżańskich dzieci, krzywdzonych i poniżanych, tę – mimo wszystko szczęśliwą – zapamiętałam najmocniej.

*

Nie mogę też zapomnieć rodziny małego Anatola, którego ojciec po śmierci matki zostawił w pociągu-sierocińcu.

Rodzina, wróciwszy do Kleszczeli, zastaje rozwalony dom. Ojciec, gdy skądś dostanie kawałek chleba, dzieli go między dzieci i płacze z żalu, że tak go mało. Wkrótce umiera. Dzieci zostają same. Maria, która ma wtedy piętnaście lat, wspomina pod koniec życia: „Sąsiad pracował na kolei, najmował mnie do pielienia w ogrodzie. Głodna ciągle byłam i wstydziałam się do tego przyznać. Biorę więc butelkę, leję wody i idę do sąsiadów do pielienia. A sąsiadka zabrała mi tę butelkę, wylała wodę i mówi: »chodź, mleka weźmiesz«. Żydówka chleb piekła. Proszę ją, by dała na kredyt, jak wypłatę dostanę, oddam. Pytała, czyja jestem, i dawała mi chleb, a gdy dostawałam

wypłatę, oddawałam jej. A sąsiadka za mleko nie chciała pieniędzy, więc ja po kryjomu, żeby ona nie zobaczyła, pielikałam jej ogród”.

*

Gdy czytam te wszystkie historie, dostrzegam, że moja babcia Nadzia i jej teściowa Anna miały szczęście. Owszem, Nadzia wychowuje małe dziecko; gdy brakuje domu i jedzenia, to duże obciążenie. Ale w ich rodzinie wszyscy – oczywiście oprócz małej Szury – mogą pracować. Dziadek Siarhiej ma dwóch braci podrostków, jedną prawie dorosłą siostrę i drugą dziesięcioletnią – tę, która uciekła ze służby jako niańka. No i Anna, matka Siarhieja, jest silną kobietą i mądrze kieruje rodziną – tak mówią znający ją sąsiedzi.

Mało tego – mąż Anny umarł przed wojną, ale zdążył nauczyć najstarszego Siarhieja stolarki, którą się zajmował. Teraz ten fach jest na wagę złota. Ludzie, choć biedni, zaczynają się odbudowywać. Nawet jeśli na początku zamiast domów budują szopy, i do tego potrzebują fachowców. Za robotę Siarhiej z braćmi dostają kilka garści żyta, koszyk kartofli, nawet kawałek słoniny. Pieniądzy nikt nie ma, płaci się w naturze. Ale dzięki temu można przeżyć kilka dni; nawet tydzień.

*

Dobrze, gdy u wracających z bieżenstwa są już dorosłe dzieci, najlepiej silni, zdrowi chłopcy. Idą do pracy w lesie – podczas wojny nie tylko bieżenkie wioski zostały zniszczone; zrujnowany jest cały kraj. Legalnie lub nie, ludzie gromadzą drewno na domy, siła robocza jest potrzebna.

Gdy taka rodzina zarobi już trochę pieniędzy, rąbiąc drewno lub je wożąc, kupuje konia. Wtedy zarobki są o wiele wyższe. Można wynajmować się do pracy w lesie. Można też – to robią ci cwańsi – nocą naciąć gdzieś drewna i przywieźć Żydowi do Bielska, Orli, Zabłudowa czy Supraśla. To już całkiem niezły pieniądź.

Kwitnie kłusownictwo. W Witowie, wsi w Puszczy Białowieskiej, jeszcze do niedawna ludzie wspominali, że w pierwszych latach po bieżenstwie nie przeżyliby bez tego. Ceny są zawrotne – we wspomnieniach ludzie podają je w złotych, które wprowadzono w 1924 roku. Pamiętają, że za wiewiórkę płacą w mieście dziewięć złotych, za zajaca – siedem złotych, kuna kosztuje dwadzieścia złotych, a wydra – czterdzieści złotych. Ta ostatnia to ponoć cena krowy. Dla porównania – za dzień żniw pracująca sierpem kobieta dostaje, jeśli ktoś płaci gotówką, dwa złote, za kopanie ziemniaków – złotówkę.

*

Ale co ma zrobić wdowa, która wróciła z gromadką małych dzieci, i nie mają nic? Ani konia, ani krowy, ani zboża na obsianie pola? A dzieci są za małe, by je zostawić i pójść na cały dzień do pracy?

Co mają zrobić osierocone dzieci, które jeszcze nie umieją pracować albo są za małe, by utrzymać pług w ręku? Na polach przy żniwach spotyka się teraz siedmioletnie dziewczynki z sierpem, przy orce – chudych chłopców prowadzonych przez pług, przewracających się na byle kamieniu. Po pastwiskach chodzą dygocący z zimna kilkulatkowie; wypatrują tylko, gdzie krowa się wypróżnia, by w jej odchodach ogrzać zziębnięte stopy.

Ci biedacy pracują często ponad siły, klepią straszliwą biedę. Nawet gdy dostaną przydział na drewno, by odbudować dom, nie mają za co go przywieźć. Zdarza się więc, że sprzedają ten przydział za bezcen. Albo że do lasu idzie matka z podrastającymi dziećmi. Wyniszczona kobieta z piętnastoletnią dziewczyną i z czternastoletnim chłopakiem targają grube kłocę. Ponaciągają ręce, uszkodzą kręgosłup, ale przynajmniej część przydziału uratują – połowę albo nawet większość oddadzą za konia, wóz i wozaka, by zwieźć drewno do swojej wsi.

Silniejsi jakoś sobie radzą; ciężką pracą odbudowują gospodarstwo. Najbiedniejszym i najsłabszym, mimo nie lżejszej harówki, trudno wyrwać się ze straszliwej biedy.

Kto nie był tchórzem, mógł się urządzić

Wuj kpi z Pawlika. Niby taki uczony, w gimnazjum w Białymstoku się kształcił, a zwyczajny głupek. Jak nie wykorzystać sposobności, gdy sama się nadarza?

W Wólce Wygonowskiej zaczęli tworzyć listy na „zapomogę dzieciną”. Amerykańskie organizacje humanitarne chcą pomóc najbiedniejszym i najsłabszym w zrujnowanym wojną kraju. Będą dożywiać dzieci. Wioskowe władze zamiast biednych maluchów zapisują jednak w pierwszej kolejności co cwańszych dorosłych. Proponują Pawłowi; wszyscy jego rówieśnicy się zapisali. Ten stanowczo odmawia. „W wieku 19 lat nie wypada być dzieckiem. Niech z tego dobrodziejstwa lepiej skorzysta dziecko” – mówi, wywołując drwiące uśmiechy.

Gdy amerykańska pomoc przyjeżdża do Wólki, chłopak obserwuje, jak „rozpływają się” puszki mleka czy worki z mąką. „Każdy stara się wykombinować coś sobie tak, że w rezultacie do najbiedniejszego dziecka dociera bardzo mała ilość produktów” – zapisuje w pamiętniku.

*

Kto jest cwany, ma łatwiej. To nic nowego. Tacy zawsze potrafią wiele załatwić. A kiedy wokół panuje prawo silniejszego, mają używanie.

Syn gospodarza z Rzepisk wspomina opowieści ojca, jak stał się posiadaczem sześciu hektarów pola. Przed wojną pomagał pewnemu bezdzietnemu gospodarzowi i teraz ten nie wrócił z bieżęństwa. Chce przejąć jego ziemię, ale potrzebuje dokumentu, że właściciel przekazał mu te grunta jeszcze za cara. Odnajduje dawnego starostę, ten za niedużą opłatą stawia przedwojenną pieczętę na sfałszowanej umowie. Tę ziemię ktoś już obrabia, ojciec występuje więc do sądu i wygrywa sprawę.

*

Matka Pawlika za oszczędności z czasów wojny kupuje spichlerz w okolicznej wiosce; zdobywają jeszcze trochę drewna i zaczynają budować dom. Ale i tak podczas budowy brakuje materiału. Najłatwiej byłoby ukraść, wielu tak robi. Gospodarze pilnują swego, ale można wziąć z państwowego lasu. Tam ciągle leży sporo drewna pociętego jeszcze przez Niemców. „W wiosce obok jeden wybudował właśnie piękną stodołę” – podpowiada wujek.

Pawlik więc pewnej nocy jedzie. Rozglądając się dookoła i uważnie nasłuchując, ładuje furę. Wiezie na swoje podwórko, wciąż patrząc z niepokojem. Więcej już nie pojedzie – nikt go nie zatrzymał, ale strach paraliżował go jeszcze długo potem. Za wyhodowane na własnym polu zboże kupuje budulec od gospodarza, który właśnie wrócił z Rosji i aby przeżyć, wyprzedaje przedwojenne bogactwo.

Cwany wujek będzie na Pawlika zerkał teraz z jeszcze większym politowaniem.

Oni na naszej krzywdzie

Krywiatycze i Morze to jakby jedna wioska. Gdyby nie tablice z nazwami, można nie zauważyć granicy między nimi. Ale lepiej się nie mylić. Wsie bardzo się nie lubią. Ze dwadzieścia, trzydzieści lat temu, gdy jeszcze mieszkali tu młodzi ludzie, podczas zabaw nie obywało się bez bitwy mieszkańców Morza z tymi z Krywiatycz.

Gdy zapytać o tę wzajemną niechęć, ci z Krywiatycz mówią: to przez bieżęństwo. Ci z Morza machają ręką: nigdy się nie lubili, tak czasem z sąsiednimi wioskami bywa.

W 1915 roku pojechali wszyscy. Pierwsze Krywiatycze; zaraz za nimi ruszyli ci z Morza. „Oni mieli wielkie szczęście. Dojechali na jakiś most, na rzece. Nasi zdążyli przejechać, a tuż przed nimi ten most zamknęli, żeby podpalić. No i oni zostali” –

mówi mieszkaniec Krywiatycz Teodor Sulima, po tutejszemu Fiedia. Jego syn Grzegorz uszczegóławia: „To było pod Brześciem”.

Gdy ci z Morza wracali, ludzi z Krywiatycz pociągi rozwoziły po Rosji. Wiele rodzin trafiło w okolice Samary, jak Sulimowie. Oni wrócili jako jedni z pierwszych, zimą 1918 roku. Zastali Krywiatycze spalone. Kto spalił? „Częściowo Niemcy, a częściowo ci z Morza” – to powtarzają wszyscy w Krywiatyczach. Także dzieci i wnuki tych, którzy stamtąd wyjechali do miast.

Wracający mieszkańcy Krywiatycz szli do sąsiadów z Morza. Na ich podwórkach, w ich stodołach rozpoznawali: moja sieczkarnia, mój maneż, moje żarna. Gdy żądali zwrotu, ludzie z Morza najczęściej oddawali. „Ale co zostało spalone, tego już nie udało się odzyskać. I od tamtej pory jest animozja między Krywiatyczami i Morzem” – mówi Fiedia Sulima.

*

Ludzie z Morza trochę inaczej pamiętają te historie. Urodzony w Morzu tuż po powrocie z bieżenstwa poeta i pisarz Wiktor Szwed zanotował: „W bieżenstwo pojechała połowa naszej wioski. Swoimi wozami jechali w kierunku Prużan, Słonimia, Baranowicz i Pińska. I stamtąd zdecydowali wrócić. Tylko niewielka część chłopów zdecydowała się porzucić na wozach cały zabrany ze sobą dobytek i przesiąść się do pociągów wiozących ich w głąb Rosji. Dzięki temu nasza wieś ocalała. Ci, którzy powrócili, opiekowali się trzodą i majątkiem bieżenców, aż do ich powrotu *na rodzinu*”.

Opiekowali się. Chronili. Pomagali. O dobytku sąsiadów z Krywiatycz Wiktor Szwed nie wspomina, ale wydaje się, że to także o niego chodzi. Przecież to prawie jedna wioska.

*

Widok zgliszcz po powrocie, rozkopanych dołów, rozbitych skrytek, w których w 1915 roku chowali mienie, musiał budzić emocje. Skrajne, często sprzeczne. Wnuk bieżenców Włodzimierz Naumiuk mówi: „Patrzę, jak wracają teraz bociany – który wróci wcześniej, szabruje inne gniazda. Tak samo robili wtedy ludzie. Nie ma w tym nic dziwnego”. Ale on urodził się kilkanaście lat po powrocie z bieżenstwa, może o tym opowiadać spokojnie, bez emocji.

We wsiach Sieški i Puchły ludzie jednak wciąż się denerwują, powtarzając nie wiem na ile prawdziwą opowieść, że ci, którzy pozostali, rozbierali domy zrobione z solidnego drewna, dla niepoznaki mieszały pozyskany materiał i dzielili go między sobą, a na końcu spalili wieś, by zatrzeć ślady kradzieży.

Imam Stefan Jasiński, tatar z Malawicz Górnych pod Sokółką, miał jedenaście lat, gdy z matką i rodzeństwem wrócił na ruiny. Opowiada w 2014 roku, jako stotrzylatek: „Nasz majątek nie został spalony w 1915 roku, gdy przechodził front. On został rozciągnięty później. Brali sąsiedzi, najbliżsi. Jak wróciliśmy, niektóre rzeczy mamie ludzie oddali. Taki wielki stół, szafę, kilka krzeseł, dwa okna... Zdarzało się, że mama coś rozpoznała, będąc przypadkiem u kogoś na podwórku albo w domu”. Pytam, czy nie mieli żalu do sąsiadów? „Żal może i był – odpowiada. – Ale okazywać go nie można było. Przecież trzeba było żyć dalej. I człowiek był zależny od innych. Poza tym nic nie było proste. U najbliższych sąsiadów została matka z trzema córkami, gospodarz był na wojnie. Do lasu nie miały jak pojechać. By przeżyć, musiały chodzić i szabrować pozostałe gospodarstwa. A przez siedem lat pewnie i dom mogły rozebrać”.

Zresztą Jasińskich po powrocie pod swój dach przyjęły te kobiety, które prawdopodobnie rozszabrowały ich dom.

*

W 1922 roku wracającym musiała towarzyszyć cała paleta emocji. Złość, żal, agresja, bezsilność, ale czasem też wdzięczność. Musiało być w tym mnóstwo sprzeczności. Bo jak to wszystko połączyć?

Sąsiedzi, gdy my wyjechaliśmy, zabrali naszą sieczkarnię. Korzystali z niej, ale może dzięki temu ocalała od ognia i szabru? Obrabiali naszą ziemię. Ale może dzięki nim nie wyjałowila się?

Zdarza się, że ten obrabiający ziemię daje wracającym zboże na jej obsianie. Zwracając „pożyczony” podczas nieobecności pług, dorzuca koszyk kartofli albo przynosi dzieciom po kubku mleka. Ale bywa też – takie opowieści słyhać rzadziej – że gdy dawni właściciele przychodzą po swoje, szczuje psami, a i bata nie żałuje.

*

Tamara Kuryłowicz, pochodząca z Knyszewicz białostocka lekarz pediatra, opowiada o kufrze z rodzinnymi cennieściami, zakopany w ogrodzie jej babci Marysi w Knyszewiczach. I o tym, że po powrocie przez wiele lat nie mogli go znaleźć. Byli pewni, że ktoś go wykopał po ich wyjeździe. „Dopiero po jakimś czasie, gdy orali ogród, koń się nagle zawalił i wpadł pod ziemię. Trafili na zakopany kufer, który zgnił. Ale już wyciągać nie było czego. Wszystko zbutwiało”.

Pieniędzmi niektórzy ściany wyklejali

To też musi wywoływać złość. Dzieci puchną z głodu, brakuje zboża na obsianie pola, a pieniądze w lnianym woreczku – czasem carskie, czasem bolszewickie – zostawiane na czarną godzinę, okazują się nic niewarte.

Nic więc dziwnego, że ktoś z wściekłością wrzuca je do pieca. Albo przykleja je na ściany, niczym tapetę. Ich format, w porównaniu z dzisiejszymi, jest imponujący. Najczęściej jednak kolorowymi papierkami będą się bawić dzieci.

*

Jak połączyć te zwitki banknotów, bezwartościowych w odrodzonej Polsce, z opowieściami o ludziach umierających z głodu w zrewolucjonizowanej Rosji?

Chyba tylko poprzez opowieści o chłopskiej zaradności. Od 1915 roku bieżący uczą się, że bieda, którą przeżywają, nie musi być najgorsza. Może być biedniej, jedzenia może brakować jeszcze bardziej. Tu więc odłożą suchara, tam schowają pieniądze. Najlepiej złote carskie monety. Papierowe banknoty zmieniają się co chwila, gdy tylko nastanie nowy rząd. A złoto to zawsze złoto.

Gdy wyruszają do siebie, *na rodzinu*, zaszywają złote monety w ubrania, chowają po tobołkach, wkładają w dziecięce beciki. Kradzieże to plaga, zwłaszcza podczas podróży. Trzeba przechytrzyć złodziei. Ktoś drąży więc drewniany trzonek od łopaty, wsadza w dziurę złote ruble i osadza łopatę. Potem rzuca w wagonie pod nogi; niby niedbale. Złote ruble przywiezie do domu.

*

Na złote carskie monety czatują bolszewickie kontrole w pociągach, samowolni czerwonoarmiści oraz zwykli rabusie. Grasują całe szajki. Udają przejętych bieżęńskim losem. Czasem poczęstują sucharem lub machorką. I doradzają, by wymieniać złote pieniądze na papierowe. „Złote są ciężkie, łatwo zgubić podczas kontroli, Polacy je znajdą i odbiorą. Papier można schować, zaszyć w ubranie”. I ludzie wymieniają. Papierowe banknoty pakują w lniane woreczki i zaszywają w ubrania.

O szczęściu tych, co nie wymienili, będzie się opowiadać całe historie. Na przykład taki Wasyl Fiedoruk. Ojciec sprzedał w bieżęństwie krowę, schował złote monety i nie wymienił po drodze. Przywiózł dwadzieścia rubli w złocie, kupił dom. Przenieśli go na swoje siedlisko i mieli gdzie mieszkać.

Ktoś inny za złote ruble kupił krowę albo konia. Rodzina nie musiała głodować.

*

Gdy wspominam o bieżeniu ludziom urodzonym tuż po II wojnie światowej, zabawa rublami jest pierwszym skojarzeniem. Większość się nimi bawiła. Niektórzy podglądali czasem, jak dziadek chowa je w woreczku. „Władze się przecież zmieniają, granice przesuwają. Kto wie, czy carskie ruble jeszcze nie wrócą?” – mówił przy tym.

Testament Lawonia Naumiuka

Lawonia Naumiuka w domu w Kaniukach nie ma, nikt nie wie, co się z nim stało, gdy reszta wsi była w bieżeniu. Ale synowie czują się czasem, jakby dostawali od niego przesyłki.

Najpierw czyszczą studnię, by móc czerpać z niej wodę. Znajdują zatopione kamienie młyńskie z żaren. Wyciągają, ustawiają w sieni, uruchamiają. To jedyne żarna w okolicy. Wiadomość o nich szybko się roznosi, ludzie niosą zboże do zmielenia na mąkę lub kaszę. Ktoś garnek, ktoś wiadro, nikt nie ma teraz wiele. Jako zapłatę zostawiają garść mąki lub kaszy. Dzięki żarnom Naumiukowie mają więc co jeść. „To musiała być ogromna mądrość i zapobiegliwość pradziadka – mówi Włodzimierz. – Pewnie zatopił żarna, by ocalić od szabru. Wiedział, że po powrocie synowie pójdą czyścić studnię i je znajdą. Będą mieli na start”.

Żarna stoją do dziś w sieni ocalałego domu Naumiuków. Przed domem zwraca uwagę wielka, stara beczka. Jak się okaże – także przesyłka od pradziadka Lawonia.

*

Część tajemnicy wyjaśnia synom przypadkowe spotkanie z ludźmi z Koźlik. To wieś, z którą Kaniuki sąsiadują przez Narew (nie mylić z innymi Koźlikami, koło Zabłudowa). W 1915 roku pojechała na wschód, ale kilka rodzin po drodze wyprzedził front. Niemcy kazali im wracać do domu. Żyli w swojej wsi jak pustelnicy.

Zdziwili się, gdy wiosną 1916 roku zjawił się u nich Lawoń Naumiuk. Przypląnął na tratwie, korzystając z roztopów i rozlewisk między Kaniukami a Koźlikami. Jeszcze zimą wypatrzył dym, czekał tylko na warunki dla tratwy. Potem przypląwał jeszcze kilka razy. Był stęskniony rozmowy. Opowiadał, jak poił Kozaków samogonem, by nie palili jego domu. Posłuchali, ale wiatr niósł płomień od sąsiadów, zajęła się stodoła. Nie dało się jej uratować, choć żołnierze porzucili samogon i polecieli gasić.

Mówił też o beczce, którą ze sobą ciągnęli i za kolejną butelkę mu oddali. Zamierzał kisić w niej ogórki albo kapustę, by było co jeść, jak synowie wrócą z Rosji. To ona stoi do dziś przed domem Włodzimierza.

Wspominał o bandyckich napadach, to zresztą ludzie z Koźlik sami znali. W opuszczonych wsiach grasowali szabrownicy, rabusie, przyfrontowi degeneraci. Gdy przyszedli do Lawonia pierwszy raz, wrzucili go do Narwi. Grozili, że utopia, jeśli nie zdradzi, gdzie ukrył złoto. Uratował go pies Bobik, ten sam, który pobiegł za synami, ale wrócił. Rzucił się napastnikom do gardeł. Gdy jednak przyszedli po raz drugi, zarabali psa, a Lawonia okradli.

Potem starzec przestał przyplływać do Koźlik. Tamtejsi ludzie nie mają pojęcia, co się z nim stało.

*

Jakiś czas później Bukowski, katolik z sąsiedniej wsi Puchły, podaje Klimowi – najstarszemu z braci Naumiuk – niewielki, złożony papier. „Wyciągnąłem z kieszeni, zanim go pogrzebałem” – mówi. Klim rozkłada papier. To niemiecki dowód osobisty. Ze zdjęcia spogląda ojciec, Lawoń. Dawno niegolona broda, przydługie włosy, ręce trzyma w kieszeni swojego kożucha. Zarósł, postarzał się, ale patrzy pewnie, hardo. Data – 1916 rok.

Klim spogląda na Bukowskiego. Ten opowiada. Niemcom uciekło dwóch rosyjskich jeńców. Może z obozu jenieckiego, który urządzili w niewykończonej cerkwi w Puchłach, może aż z Białegostoku? Byli wygłodzeni, szukali schronienia. Gdy zobaczyli chatkę Naumiuka, wpadli do środka. Ten akurat jadł pieczone kartofle, rzucili się na nie. Wtedy dopadł ich niemiecki pościg. Nie było dyskusji, wszystkich zabrali do obozu jenieckiego w cerkwi w Puchłach. Jeńców natychmiast przykładnie rozstrzelali, Naumiuka pobili za pomoc zbiegom. Z ran i wycieńczenia starzec wkrótce zmarł. Niemcy kazali Bukowskiemu pochować go na miejscowym cmentarzu.

*

Tę historię opowiada mi urodzony w 1933 roku Włodzimierz Naumiuk, wnuk Klima, prawnuk Lawonia. Dziadek często wspominał o odepchniętym w 1915 roku, osuwającym się na ziemię ojcu.

Ale to nie rodzinne poczucie winy będzie głównym dziedzictwem Włodzimierza z czasu bieżęstwa. Jako rzeźbiarz ludowy będzie kontynuował tradycje zapoczątkowane przez wracających z Rosji ludzi.

Ot tabie i majasz rodzinu

Polski celnik na granicy pyta rodzinę Fiauronii Stockiej o pieniądze. Matka pokazuje zwitek banknotów. Ten bierze i drze wszystkie na ich oczach. „*Ot tabie i majasz rodzinu*”. „Masz swoją ojczyznę” – mówi ojciec, który nie chciał wyjeżdżać z Omska. Miał tam pracę, polował w lasach pod Omskiem, było co jeść. To matka chciała na te swoje dwadzieścia dwa hektary.

Gdy dojeżdżają do wioski, ojciec znów mówi: „*Ot tabie i majasz rodzinu*”. Dom jest spalony, ze stodoły i chlewów zostały gołe ściany. Ktoś zdarł strzechę, rozmontował szczyty. Ocalał tylko świronek – spichlerz. Jest zima, zanim ojciec zbuduje w świronku piec, nocują u sąsiadów. „Oto i nasz dom” – myśli Fiauronia, gdy pierwszy raz śpią na swoim. Leży wprost na ziemi; łóżek nie ma. Przypomina sobie, jak na Syberii, gdy już nastali Sowieci, człowiek rodem z Białegostoku, by ratować się przed oskarżeniem o kułactwo, chciał Stockim oddać swój dziesięciopokojowy dom, ale oni się bali przyjmować. Brat Fiauronii myśli o tym samym. Obydwoje jednak milczą. Wystarczy, że ojciec wciąż dogaduje matce.

Stoccy pożyczają od Żydów pieniądze, by nie umrzeć z głodu. Dorosłe dzieci idą do pracy do lasu, do pobliskiej Puszczy Białowieskiej. Synowie rąbią i piłują, córki – Fiauronia ma już dwadzieścia lat – korują i uprzątają gałęzie. Chodzą też na zarobki do majątków. Dziewczyny żną zboże, kopią ziemniaki, pielą ogrody, doją krowy. Chłopcy orzą, bronują, koszą łąki.

Mają dużo ziemi, od gospodarzy, którym brakuje paszy, biorą więc krowę na chowanie „do trzeciego cielaka”. Karmią ją na swoim, gdy krowa się cieli, dwa kolejne razy młode zostawiają sobie. Po trzecim porodzie krowę wraz z cielakiem oddają właścicielowi. Dzięki temu dochowują się własnego stada. Niby jakoś sobie radzą; wydaje się, że lepiej niż przeciętni wracający bieżący. Mają pełną rodzinę, wszyscy pracują. Ale ojciec zwleka z budową domu. Nie chce budować gorszego niż ten, w którym mieszkali na Syberii, a na taki na razie go nie stać.

Starszy brat Fiauronii wciąż jednak planuje ucieczkę do Rosji. „Tam to kwitnące życie było” – powtarza.

*

Hoły kamień, na który wraca większość bieżących, udaje się jakby przykryć. Ktoś wybudował ziemiankę, ktoś inny zamieszkał w ocalałym świronku. Ktoś, jakiś wioskowy bogacz, stawia prawdziwy dom. Udało się też obsiać kawałek pola, wprawdzie na kredyt albo kosztem gigantycznych wyrzeczeń, ale coś już rośnie, daje

nadzieję. Tak jak cudem zdobyta kurka czy owieczka, o które gospodyni dba jak o własne dzieci.

Zaczęła się odbudowa nowego życia. Wydawałoby się, że już powinno być prościej. Że idzie ku normalności. Wracającym bieżącym jednak trudno się odnaleźć na swojej ziemi. Zarówno tym dojrzałym, pamiętającym świat sprzed 1915 roku, jak i młodym, których kształtował pobyt w Rosji. To nie są już tradycyjni chłopci sprzed I wojny.

No i zamiast *rodziny* sprzed bieżącego jest tu teraz Polska. Kraj, którego nie znają; który tworzy się po stu dwudziestu trzech latach zaborów. Od początku jednak wiadomo – to prawosławni chłopci białoruscy i ukraińscy odczuwają bardzo szybko – że ma z ich powrotem z bieżącego problem.

W nowej ojczyźnie

Ty mały bolszewiku!

Leśniczy łapie Józefa Szymusiuka na zbieraniu chrustu w lesie. „Ty Polak czy *ruski*?” – pyta. Józef milczy. Leśniczy szarpie go, jest coraz bardziej wściekły. Krzyczy: „Polak czy *ruski*?”. Józef się nie odzywa. Czy nie jest pewien odpowiedzi? Nie wie, jaka będzie lepsza w tej sytuacji? „Polak” – szepcze w końcu pod nosem. „A pacierz umiesz?” – dopytuje leśniczy. „Umiem”.

*

Los Józefa Szymusiuka po powrocie z bieżącego nie różni się od tego, co przeżywają inni wracający; zwłaszcza ci biedniejsi. Nędza, głód, praca ponad siły. Do tego – dojmująca samotność. Jego rodzina jest w trudnej sytuacji, choć wtedy nie było to nic szczególnego. Matka jest bardzo pracowita i oddana dzieciom, ale trudno jej sobie radzić w zrujnowanym świecie. Józef, gdy zaczyna gospodarzyć w 1922 roku, ma czternaście lat; jest za słaby do wykonywania męskich prac. Kiedy wychodzi orać, pierwszy napotkany w ziemi kamień przewraca i pług, i chłopaka. O dwa lata młodsza siostra idzie za niańkę, potem za parobka, w końcu jednak zapada na gruźlicę i leży w domu. Trzeba się wystarać o drewno, by nie marzła.

W pamiętniku Józefa najsmutniejsza wydaje się jednak bezradność. I to nie tylko wobec losu. Raczej wobec ludzi: bogatego wujka, który robi z niego darmowego parobka, gospodarza wyganiającego nocą siostrę, by szukała w lesie zgubionego cielaka; wykorzystujących matczyną pracę sąsiadów.

Z takimi jak Szymusiukowie nie liczy się też władza. Pańszczyznę zniesiono pół wieku temu, chłop jednak ciągle jest nikim. Tak jak Józef Szymusiuk dla leśniczego Nowakowskiego.

Choć tu pojawia się dodatkowe kryterium. „Ty Polak czy *ruski*?” – dopytuje leśniczy, jakby od tego uzależniał dalsze postępowanie. Czy katolicycy chłopci mają być traktowani inaczej niż prawosławni?

*

W tomie *Bieżanstwa 1915 hoda* przeważa przekonanie, że wracający „nie przeżyliby, gdyby nie Polacy i Żydzi”. Czasem jednak ktoś słyszy od sąsiadów: „Tu teraz jest nasza Polska, jedźcie sobie, gdzie chcecie”.

Bywa, że gdy chłopci idą do urzędu w gminie czy powiecie i zaczynają mówić najbardziej elegancko, jak potrafią, czyli po rosyjsku, urzędnicy ich wyganiają albo straszą policją. Najgorzej, gdy komuś – jak Tichonowi Trofimiukowi z Klejnik – wyrwie się jeszcze słowo „towarzyszu”. Z przyzwyczajenia, przez tyle lat żył przecież tam, gdzie takie słownictwo obowiązywało. Urzędnik sinieje ze złości i rzuca się na Tichona z pięściami.

*

Mimo swojego katolicyzmu Józef Szymusiuk z Topolan nie unika gniewu leśniczego. O tym, że siostra chłopca jest chora na gruźlicę, a matka spuchnięta z głodu, Nowakowski słucha obojętnie. Dopiero przy wzmiance, że ojciec umarł w Orenburgu, leśniczy wpada w szał. „W Rosji? Też tam byłeś, co? Ty mały bolszewiku! U nas też chcesz bolszewickie porządki zaprowadzać?!” – krzyczy. Każe wyprząc konia Józefa, zdjąć koło z wozu i zamknąć je w spichrzu, zanim Józef nie wpłaci dwóch tysięcy marek kary. Chwyta za gałąź, uderza klacz i zamachuje się na Józefa. Ale chłopca już nie ma. Skoczył za kobyłą. Gdyby ślepa uderzyła w sosnę, zabiłaby się albo co najmniej poroniła – jest ciężarna.

Józef idzie więc po pieniądze, których nie ma. „Gdyby tu rzeka była, utopiłbym się i byłoby po kłopotach” – myśli.

*

Bawię się w „gdybanie”. Mieszanie się rodzin i wyznań nie było niczym dziwnym w okolicy (sam Józef zresztą w przyszłości ożeni się z prawosławną dziewczyną). Ale gdyby matce Józefa, katoliczce, wiele lat wcześniej spodobał się prawosławny sąsiad (a nie katolik, za którego wyszła) i rodziny zgodziłyby się na ślub, możliwe, że wzięliby go w cerkwi. Wtedy chłopak byłby prawosławny. Cóż by to znaczyło w praktyce? Niewiele. Mówiłby tym samym, *prostym* językiem, pracował równie ciężko. W niedziele chodziłby tylko do cerkwi zamiast kościoła. I w bieżenstwie nie korzystałby z pomocy polskich organizacji.

Ale czy wtedy spotkałaby go kara gorsza niż ta, którą nałożył na niego leśniczy?

*

Józef idzie do ciotki, siostry ojca, prosi o pożyczanie tysiąca marek; połowy potrzebnej kwoty. „Oddam, ale dopiero jesienią. Żyto mamy posiane, a i jarego posiejemy, sprzedamy” – zapewnia. Ciotka daje pieniądze. W leśniczówce akurat nie ma Nowakowskiego; dyżurującemu tu gajowemu robi się żal chłopaka. „Niech będzie połowa kwoty, zabieraj koło i uciekaj” – mówi.

Gdy Józef wraca przez las, jest już ciemno. Jest daleki od patriotycznych uczuć, które próbowano mu zaszczerpić w polskiej szkole w Orenburgu. „Cudze dzieci w moim wieku śpią, a ja muszę ciągać się po lesie – myśli. – Po co mnie i siostrze taka *rodzina*? Nam i w Rosji było nieźle, już tam była nasza *rodzina*. Matka gospodarki żałowała, ale co nam z niej? Tylko nędza i poniewierka. Nam żyło się nieźle, tylko rewolucja ciężkie przeżycie”.

Zasadniczo mowę polską rozumiem

Brat Pawlika, Mateusz, tuż przed bieżniństwem pracował jako kolejarz. Gdy wraca z Rosji, tutejszy wójt – dziedzic z Gregorowicz o nazwisku Kosiński – szykuje go na sekretarza gminy. „Naucz brata pisma i mowy polskiej” – relacjonuje Pawlik. Mateusz nieźle mówił po polsku już przed wojną, nauczył się, mieszkając w Białymstoku i Warszawie. Ale podczas pobytu w bieżniństwie mowę polską zapomniał.

Pawlik też uczy się języka nowej ojczyzny. Sam. Zapiski, które od 1919 roku prowadził po rosyjsku, teraz próbuje robić po polsku. Przed wojną w carskim gimnazjum nie wykładali polskiego, ale studiując francuski i niemiecki, poznał łaciński alfabet. Ostro uczy się zwłaszcza wiosną 1922 roku, gdy dostaje powołanie do jednostki wojskowej w Częstochowie. Ale – sam widzi – efekty nie są zadowalające. „Zasadniczo mowę polską rozumiem dobrze – pisze w pamiętniku – najgorzej, że jak zaczynam mówić po polsku, to rozmawiający ze mną jest zawsze uśmiechnięty, widocznie bawi ich mój akcent i sposób wymawiania wyrazów polskich. Niewątpliwie, że dość prędko osiągnąłbym dość znaczne postępy mowy, gdybym obcował z ludźmi władającymi poprawnym językiem polskim. Ależ trudno – tu nikogo takiego nie ma, a jeśli i kto z katolików mówi po polsku, no to jeszcze ładniej jak ja – lepiej nie zaczynać”.

Koledzy idący do wojska razem z nim swoim językiem się nie martwią. Dogadują mu, że „pokłada zbędne starania w naukę”. I rzeczywiście. Już w jednostce kapral każe wystąpić tym, którzy umieją pisać. Pawlik występuje. Kapral zamiast piór wręcza im jednak miotły i każde wysprzątać cały plac. Niepiśmiennym pozwala odejść na odpoczynek.

Wkrótce jednak Pawlik zostaje kancelistą przy dowództwie. „Ale biegle to ja piszę tylko po rosyjsku” – zastrzega. „Nic nie szkodzi, nauczysz się i po polsku” – słyszy. Wśród poborowych niewielu jest takich, którzy liznęli jakiegokolwiek edukacji. Rzeczywiście, po kilku tygodniach Pawlik biegle pisze po polsku. Ale w swoim pamiętniku wciąż będzie się skarżył na kłopoty z językiem.

*

Brak wykształconych kadr władających językiem polskim to problem całego odrodzonego kraju. W wielu miastach organizowane są kursy polskiego o różnej intensywności i różnym poziomie. Także w Białymstoku, Sokółce, Bielsku. Korzystają z nich najambitniejsi i najzamożniejsi. We wspomnieniach bieżących nie ma o nich wzmianek. Oni walczą o przetrwanie, nauka im nie w głowie.

Znajduję je tylko w króciutkiej biografii Pawła Wołoszyna, chłopskiego syna z Harkawicz, wsi po sąsiedzku z Knyszewiczami. Po powrocie z bieżącego ucześnie on na kursy polskiego w Sokółce. W 1923 roku^[47] Wołoszyn zostanie posłem do polskiego sejmiku oraz aktywnym działaczem mniejszości białoruskiej.

*

Pawlik, wychodząc z wojska jesienią 1923 roku, dostaje propozycję służby zawodowej. Odrzuca ją; tęskni do swojej wsi. Wkrótce jednak wstępuje do policji. Ale wiosną, gdy rolnicy idą w pole, nie daje rady wysiedzieć na komisariacie i rezygnuje z pracy. Żeni się, staje się rolnikiem pełną gębą.

W 1926 roku dostaje od brata rocznik „Poradnika Gospodarstw Wiejskich”. Rzuca się z zaciekawieniem do lektury. „Dużo mi przeszkadza niezrozumienie niektórych wyrazów, w ogóle nie przyzwyczałem się do książki polskiej” – notuje. Ale z „Poradnika” korzysta, wciela w życie opisywane tam rozwiązania, sprowadza polecane odmiany owsa i uzyskuje wspaniałe plony. Z niego dowiaduje się o kursie melioracyjnym w Warszawie.

Na wykładach z języka polskiego i nauki o Polsce wykładowca, pan Mikułowski, każe uczestnikom napisać, co dotychczas czytali. „Chcę poznać wasz poziom duchowy” – mówi. Ankiety Pawlika jednak nie przyjmuje. Jest obszerna, ale zawiera tylko utwory powieściopisarzy rosyjskich. Nauczyciel prosi o wpisanie lektur w języku polskim. Nie wierzy, gdy Pawlik mówi, że nic nie czytał po polsku. W końcu wymienia „Poradnik Gospodarstw Wiejskich”, pan Mikułowski uznaje to jednak za żart.

*

Pawlik w 1925 roku zeni się z miejscową dziewczyną i rodzi się im córka. Z radością przygląda się on, gdy zaczynająca mówić dziewczynka recytuje wyuczony przez matkę wierszyk Konopnickiej, o tym, że – jak wymawia dziecko – „posli zeki w klaj daleki”. Żałuje, że wiosną, gdy nie ma czasu na uczenie dzieci, mała wszystko zapomina. Powtarza tylko to, co zasłyszała na podwórku. Pewnie w *swojskim* języku. Albo recytuje rosyjskie wierszyki przywiezione z bieżeństwa.

Możliwe, że Pawlik stara się uczyć swoje dzieci polskiego, by, kiedy pójdą do szkoły, mówiły w tym języku i by miały łatwiej. Na wsi dzieci mówią wyłącznie *po swojemu*, nie mają szansy poznać polskiego przed pójściem do szkoły. Tak będzie przez wiele kolejnych dekad. Choć gdy w latach osiemdziesiątych XX wieku będę uczęszczać do szkoły w Suchyniczach, polski będzie wśród nas powszechny. Coraz więcej rodzin zwraca się do dzieci wyłącznie po polsku, żeby w szkole nie wymknęło im się nic z „prostego języka”. *Prosty* jest uznawany za wstydlivy.

*

Wiecier był, swierkali zwiozdy; / Na dworie moroz trieszczał / Szoł po ulice malutka...
Gdy w podlaskich wsiach zbieram materiały o bieżeństwie, wzruszający wierszyk o małym sierocie recytują mi staruszkowie urodzeni tuż po I wojnie oraz ich dzieci. Też go znam, od mojej babci Oli i jej córki Ludy. Bezdomny chłopczyk tuła się po wsiach i miastach, ślania się z głodu, już niemal zamarza; przygarnia go staruszka, karmi i kładzie spać w ciepłej pościeli. Wiersz kończy się refleksją, że Bóg opiekuje się nawet zagubioną w polu małą ptaszyną. Dlaczego miałyby zostawić biednego sierotę? Nic dziwnego, że wracający na *hoły kamień* ludzie powtarzali ten wiersz niczym zaklęcie.

Ciocia Luda pokazuje mi stary rosyjski podręcznik. Od zawsze był w ich domu. Może ojciec cioci, mój dziadek Aleksander, się z niego uczył? Kończył szkołę podczas bieżeństwa gdzieś pod Tambowem, prawdopodobnie stamtąd przywieźli książkę. W niej jest ten wierszyk o sierotce. Dziadka nie zdążyłam poznać, zabiły go bandy grasujące tu po II wojnie światowej.

Podobne podręczniki po powrocie z bieżeństwa to jedyne książki w biednych, wiejskich domach. Ludzie je czytają, uczą się na pamięć wierszyków. Gdy jednak o książkach dowiadują się nauczyciele wiejskich szkół, zdarza się, że konfiskują je jako „nielegalną literaturę”. Nieważne, że to nic politycznego: carskie elementarze z wierszami i czytankami, modlitewniki, żywoty świętych.

*

Imiona i nazwiska nauczycieli powstających w nowej ojczyźnie wiejskich szkół odróżniają się zwykle od miejscowych. Brunon Węsierski, Leon Przegródka, Albina Rybak, Edmund Duczmał, Tadeusz Nadomski, Edward Dziemiański. Przyjeżdżają z Mazowsza, z Małopolski, Wielkopolski. Miejscowi, zwłaszcza ci wyuczeni w Rosji, rzadko są przyjmowani do pracy.

Gdy uczniowie w szkole mówią w swoim języku, przybyli z daleka nauczyciele nie rozumieją. Za takie rozmowy karzą klęceniem pod tablicą z podniesionymi do góry rękami albo biją drewnianą linijką w otwarte dłonie. Nie znają tutejszego świata i nie chcą znać. Jeden z nauczycieli, przyjeżdżając do miejscowości Trywieża, proponuje nawet zmianę nazwy na Trzywieże, by brzmiało bardziej po polsku. Ale miejscowi protestują.

Szkoła ma być polskim światem. Nauka, nawet tam, gdzie zupełnie nie ma katolików, zaczyna się modlitwą *Duchu Święty*, a kończy *Dzięki Ci, Boże, za światło tej nauki*. Przed modlitwą i po niej prawosławni mają prawo zęgnąć się po swojemu, ale swoich *ruskich* modlitw odmawiać nie mogą.

*

Z wyników pracy Pawlika nauczyciel Mikułowski jest bardzo zadowolony. Za dobrą naukę zwalnia go z egzaminu końcowego z języka polskiego.

W swoim pamiętniku Pawlik wciąż będzie narzekać, że choć stara się trochę czytać, dalej nie zna niczego z polskiej literatury. Na wsi nie ma takich ksiązek. Są rosyjskie, całe mnóstwo.

Nasza cerkiew już nie jest nasza

Jan Ostapczuk do Rosji nie pojechał. W 1918 roku, gdy wracają pierwsi bieżęncy, do cerkwi w Białowieży przyjeżdża batiuszka. Wieść szybko się roznosi; dociera i do Trześcianki, ponad pięćdziesiąt kilometrów. Jan zaprzęga konia, bierze narzeczoną i jadą. Ślub chcieli wziąć już dawno, ale w okolicy nie było duchownego. W Białowieży czeka trzydzieści par. To i tak dobrze – kilka dni wcześniej przyjechało ich siedemdziesiąt. Masowo przywożone są też do chrztu podrośnięte dzieci.

Podobnie jest wszędzie, gdzie wrócił duchowny. Niemieckie władze nie ingerują w działalność cerkwi.

*

W grudniu 1918 roku, zaraz po odzyskaniu niepodległości, dekretem Naczelnika Piłsudskiego państwo polskie przejmuje majątek pocerkiewny. Oficjalnie chodzi o przejęcie dóbr pozostawionych przez bieżęńców. Ich powrót jednak nic nie zmienia. Dekret nie traci mocy po uchwaleniu konstytucji marcowej, która głosi wolność praktyk religijnych i swobodę dysponowania mieniem przez związki religijne. Klucze do cerkwi pozostają w rękach władz lokalnych, które decydują, kto, kiedy i na jakich warunkach będzie korzystał ze świątyń.

Dla odradzającego się państwa drugie co do wielkości wyznanie – ponad cztery miliony wiernych – jest problemem. I nie chodzi tylko o nienawiść do byłego zaborcy, który Cerkiew traktował jako narzędzie rusyfikacji. Prawosławni to głównie ludność ukraińska oraz białoruska, chłopci w zwartej masie zamieszkujący wschodnie rejony państwa. Procesy narodotwórcze dotychczas przebiegały wśród nich bardzo wolno, o ile w ogóle. Teraz gwałtownie przyspieszyły. A religia jest dla tej ludności ważnym składnikiem tożsamości. Władze przyglądają się temu z niepokojem. Zamierzają polonizować Kościół prawosławny, umniejszać jego wpływy, a ostatecznie stopniowo likwidować.

Z pierwszymi efektami tej polityki stykają się wracający bieżęńcy. Okazuje się, że ich cerkiew, nawet jeśli ocalała w czasie wojennej zawieruchy, nie należy już do nich.

*

Sergiusz Borowik, doktor matematyki i pasjonat lokalnej historii, prześledził dzieje swojego rodzinnego dekanatu sokólskiego. To tereny niejednorodne wyznaniowo; są tu wsie prawosławne, katolickie i mieszane.

Z przestudiowanych przez niego dokumentów wynika, że w 1913 roku tutejszy prawosławny dekanat liczy jedenaście parafii i trzy filie, czternastu księży, trzech diakonów i dziesięciu psalmistów. W sumie ponad osiemnaście tysięcy parafian. Na tym terenie mieszka także pięćdziesiąt trzy tysiące katolików i dziesięć tysięcy niechrześcijan – Żydów i Tatarów.

W 1915 roku większość prawosławnych wyjeżdża w bieżęństwo. Jadą też wszyscy duchowni. Z czternastu przedwojennych wróci jeden – ksiądz Bazyli Iwaniuk, proboszcz z Szudziałowa. Przyjeżdża pod koniec 1918 roku. Tamtejsza cerkiew jest uszkodzona i przeznaczona do rozbiórki, ksiądz zatrzymuje się więc w Samogródzie. Udziela tu dwudziestu jeden ślubów, a w sąsiadującym z Szudziałowem Ostrowie Północnym – kolejnych dziewięciu.

W 1918 roku wraca też biskup grodzieński Włodzimierz, któremu podlega dekanat sokólski. Do końca 1919 roku udaje mu się otworzyć cztery parafie etatowe: w Sokółce,

Kuźnicy, Jacznie i Samogródzie (później przeniesiona do Jurowlan; Samogród stanie się filią). Ogromna część wiernych jest jeszcze w bieżenstwie, ich nieobecność wykorzystują władze. Nie godzą się na otwieranie kolejnych świątyń, choć wiele w nich ocalało. A cerkiew w Siderce przekazują katolikom. Powrót bieżenców nie wpłynie na zmianę decyzji. Każda z czterech parafii liczy po kilka tysięcy osób, z niektórych wsi wierni muszą do cerkwi jechać ponad dwadzieścia kilometrów^[48].

Pod koniec 1919 roku proboszcz z Jaczna, ksiądz Mikołaj Rudeczko, w raporcie do cerkiewnych władz informuje: „Dziewiątego listopada w sobotę przybył do Jaczna okręgowy inspektor z Dojlid z policją różanostocką i urzędnikiem p. Gąsowskim i zakazał mi odprawiania ogólnych nabożeństw, aby uniknąć dużych zgromadzeń ludności prawosławnej, stwarzających możliwość dyskusji niepożądanego charakteru. Zakaz obowiązuje przez trzy tygodnie do przyjazdu delegata z Warszawy”.

Wracający bieżęncy zastają swoje cerkwie zamknięte, „dyskusje niepożądanego charakteru” muszą się więc zdarzać.

*

Gdy w 2014 roku czytam historię dekanatu sokólskiego, jestem zdziwiona. Nie wiedziałam, że przed II wojną moja samogródzka cerkiew była na co dzień zamknięta, nabożeństwa odbywały się tylko w największe święta. Nikt mi o tym nie wspomniał.

Pytam więc najstarszych parafian. Potwierdzają. Mówią, że cerkiew otwarto – paradoksalnie – za „pierwszego Sowietą”, w 1939 roku (nie znajduję materiałów, które mogłyby to potwierdzić lub temu zaprzeczyć). Podczas okupacji niemieckiej też się modlono. Tylko potem, przez kilka lat po wyzwoleniu, „polscy partyzanci” atakowali idących na nabożeństwa ludzi.

Starsi ludzie, którzy znają mnie od dziecka, kiedy opowiadają te historie, ściszą głos. Gdybym była obca, prawdopodobnie nic by nie powiedzieli. O bolesnych stosunkach wyznaniowych rozmawia się tu tylko w swoim gronie.

*

Przypominam opowieść o innej cerkwi. Babcia Ola z Surażkowa, rocznik 1908, wraz z matką i siostrą idą w niedzielę przez las. To dobrych kilka kilometrów. Buty niosą w rękę, włożą je dopiero przed cerkwią. Wcześniej w źródółku obmyją nogi, by godnie wejść do świątyni.

Tym razem drzwi są zamknięte. Ze środka dochodzą śpiewy. Modlą się katolicy, prawosławnych nie wpuszczają. Ci stoją przed drzwiami, ktoś intonuje śpiew. Na schodach swojej niedawnej świątyni odprawiają liturgię. „Świętą Wodę w Wasilkowie

nam zabrali, klasztor w Supraślu^[49] zabrali” – mówiła babcia. Pamiętam tamte słowa, czuję gdzieś głęboko jej żal.

Dziś Święta Woda, o której mówiła babcia, to sanktuarium katolickie. Widać je z ekspresówki z Białegostoku na granicę w Kuźnicy Białostockiej. Nad okolicą górują podświetlane betonowe krzyże. Przeglądam rys historyczny na stronie parafii. Kaplicę w XVIII wieku ufundował człowiek uzdrowiony nad źródłem, wyświęcił ją supraski metropolita unicki. Potem, po likwidacji unii brzeskiej w guberni grodzieńskiej w 1839 roku, Święta Woda wraz z wiernymi stała się prawosławna.

*

Na wschodzie dzisiejszej Polski od wieków mieszały się kultury i wyznania. Chrześcijaństwo, żydzi, muzułmanie. Prawosławie płynące ze wschodu i katolicyzm z zachodu. Rusini i Polacy.

W Rzeczypospolitej Obojga Narodów w 1596 roku unia brzeska tworzy Kościół unicki – greckokatolicki, do którego mają przystąpić prawosławni. Stając się unitami, uznają prymat papieża i katolickie dogmaty; zachowują wschodni obrządek i kalendarz juliański. Dobrowolnie lub nie, prawosławna ludność przyjmuje unię. Szlachta już wcześniej przechodziła na katolicyzm, to wiązało się z przywilejami.

Po rozbiórce Rzeczypospolitej władze carskie rozpoczynają przygotowania do „powrotu unitów na wiarę ojców”; w guberni grodzieńskiej następuje on w 1839 roku. Odbywa się to bez większych protestów, oporni duchowni są osadzani w klasztorach albo przesiedlani w głąb Rosji. Na Chełmszczyźnie, drugim ośrodku chrześcijaństwa wschodniego, „powrót” w 1875 roku nie idzie tak łatwo. Jest fatalnie przygotowany; interweniuje wojsko, są zabici i ranni. Gdy w 1905 roku ukaz tolerancyjny daje taką możliwość, ponad sto pięćdziesiąt tysięcy byłych unitów poprzehodzi tu na katolicyzm. W guberni grodzieńskiej takich przypadków jest nieporównywalnie mniej.

*

W 1918 roku na Podlasiu pojawiają się próby wskrzeszenia unii. Ale urodzeni już w prawosławiu chłopcy uznają je za tradycyjną wiarę, główny wyznacznik swojej tożsamości. To, że cerkwie ich unickich przodków należą teraz do nich, wydaje się im oczywiste.

„Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, katolicy przystąpili do rewindykacji swoich świątyń, plebanii i klasztorów. Oficjalny zwrot kaplicy świętowodzkiej nastąpił w dniu 30.11.1921 roku, a poświęcenie i przywrócenie pierwotnego tytułu sanktuarium

»Matki Bożej Bolesnej« dnia 26.12.1921 roku» – czytamy na stronie internetowej Świętej Wody w Wasilkowie.

Czy prawosławny chłop może zostać Polakiem

„Tylko nierozumny człowiek chwali sanacyjny porządek” – mówi Włodzimierz Panfiluk z Dubicz Cerkiewnych. W wydanym przez „Niwę” kolejnym – po *Bieżanstwie 1915 hoda* – tomie wspomnień *U nowaj ajczyinie* [W nowej ojczyźnie] te słowa zresztą mógłby wypowiedzieć którykolwiek z bohaterów. Sanacyjny porządek, który oznacza tu zwykle całe dwudziestolecie międzywojenne, potomkom ówczesnych prawosławnych chłopów kojarzy się wyłącznie źle. I nie chodzi tylko o nędzę po powrocie z bieżaństwa. Bardziej o poczucie krzywdy ze strony państwa. Niby swojego, ale obcego. Tej „pańskiej Polski”, którą straszili ich bolszewicy.

*

Lista żalów jest długa. Zamknięcie cerkwi i odebranie majątku cerkiewnego. To, że ze względu na wyznanie i narodowość wykształceni przed wojną albo w Rosji nie mają szans na urzędnicze i nauczycielskie posady. A młodzi, nawet jeśli ich stać, nie są przyjmowani do szkół. Urzędnicy i policjanci traktują ich jako obywateli gorszej kategorii; sekwestраторzy nachodzą z wyjątkową uporczywością i bezwzględnością. No i osadnictwo wojskowe. Ono bardzo psuje krew miejscowym.

Rozpoczyna się zaraz po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Władze nagradzają wojskowych nadaniem ziemi na tak zwanych kresach. Bezpłatnie oddają im przeznaczone do parcelacji grunta; często przedwojenny majątek cerkiewny. Chcą w ten sposób wzmocnić polskość i rozwodnić miejscowy, białoruski lub ukraiński, żywioł. Ale wywołują wściekłość u miejscowego ludu, duszącego się w swoich małych, przeludnionych gospodarstwach. Nawet jeśli ktoś ma pieniądze, ziemi kupić nie może. „Lud ten nienawidzi osadnictwa, w nim właśnie upatruje najjaskrawszy wyraz ucisku i krzywdy” – pisze publicysta i polityk Konstanty Srokowski, który w 1923 roku, na polecenie premiera Sikorskiego, odbywa podróż po województwach wschodnich. „Mniejszości słowiańskie na kresach są uciskane narodowościowo i wyniszczane gospodarczo” – podsumowuje on swój raport.

*

Profesor Włodzimierz Pawluczuk, socjolog z Rybołów między Zabłudowem a Bielskiem, analizował zjawiska zachodzące na początku XX wieku na

prawosławno-katolickim pograniczu. Zauważa rozchodzenie się chłopskich dróg, które przypieczętuje bieżąco.

Opisuje chłopów pod Sokółką i Suchowolą. Katolicy i prawosławni mówią tu *po prostu*, z językiem białoruskim związana jest cała ich kultura. Choć ich świadomość narodowa jest jeszcze w powijakach, polska religia pod rosyjskim zaborem staje się głównym wyznacznikiem tożsamości. Lud katolicki zaczyna więc swoją wędrówkę ku polskości. Na początku XX wieku wyrzeka się etnograficznego dziedzictwa: białoruskiego języka i kultury. Proces ten opisuje katolicki ksiądz Stanisław Szyroki, obejmując parafię w podsokólskim Janowie: „ludowe śpiewy weselne nie istnieją wcale dla tej racji, że młodzież po białorusku śpiewać albo się wstydzi, albo zapomniała, a po polsku jeszcze się nie nauczyła. Zniknęły z oblicza ziemi w tej okolicy ludowe zwyczaje, śpiewy, stroje – słowem – cała kultura ludowa. Nic tu bowiem lud swojskiego nie ma, prócz języka białoruskiego, do którego też sam nie wie, czy się przyznawać”.

Ostatecznie tutejsi katoliccy chłopci po odzyskaniu przez Polskę niepodległości stają się Polakami. Zostawiają swoją kulturę ludową, ale zyskują przynależność do polskiej kultury narodowej. Jak pisze profesor Pawluczuk w rozprawie *Światopogląd jednostki w warunkach rozpadu społeczności tradycyjnej*, rzeczywistość tradycyjna płynnie przechodzi do narodowej. Wzmacniają ją struktury państwa: szkoła, wojsko, urzędy. To Polska, a nie tradycyjna wioska staje się centrum ich wszechświata.

Ich prawosławni sąsiedzi takiej możliwości nie mają. Nie czują się Polakami; polityka ówczesnej Polski jeszcze wzmacnia w nich poczucie obcości. „Również integracja z bardziej kulturowo bliskimi tej ludności wspólnotami narodowymi – białoruską czy ukraińską – jest poważnie utrudniona” – pisze profesor Pawluczuk. To tereny na peryferiach tamtych kultur, nie docierają tu rodzące się w ich ramach prądy. Zresztą i tak raczej nie znalazłyby one zrozumienia. Lata panowania caratu zakorzeniły tu panrosyjskie idee, nieuznające różnic między prawosławnymi narodami wschodniosłowiańskimi.

Dodatkowo – poprzez bieżąco – upadek kultury tradycyjnej dla tutejszych prawosławnych jest szczególnie dramatyczny. Nagle zostali pozbawieni całego swojego świata; przeżyli osobiste dramaty, ale też odkryli świat, o którego istnieniu nie mieli pojęcia. W końcu rewolucja od podstaw zniszczyła ich chłopską świadomość. Po powrocie do dawnej wsi, ale do nowego świata, nie umieją się odnaleźć, czują się bezradni. Profesor Włodzimierz Pawluczuk tak opisuje ten stan: „Zrodziło się silne napięcie duchowe, niezadowolenie z dnia dzisiejszego i strach przed dniem jutrzejszym. Różni wiejscy prorocy i apostołowie nowych wier głoszą niechybny koniec świata”.

Prorok Ilja buduje na Sokólszczyźnie stolicę świata

Nawet drzewa zaczęły chorować. Liście więdły i opadały. To był pierwszy ze znaków. Potem nad Rybołami przyszła straszliwa burza, tak silna jak nigdy. Innej nocy niebo zrobiło się różowe. Czyż nie tak ma się dzieć przed apokalipsą? – zastanawiali się ludzie. Takie opowieści o znakach pojawiających się w latach dwudziestych w Rybołach słyisał jeszcze profesor Włodzimierz Pawluczuk, rocznik 1934.

*

Cerkiew nie jest w stanie pomóc ludziom poradzić sobie z metafizycznymi lękami. Sama jest w głębokim kryzysie: duchowieństwo przetrzebione i podzielone, struktury zniszczone, przyszłość niepewna. Nie ma zgody hierarchii co do cerkiewnej polityki. Bywa, że któryś z batuszków zaczyna głosić kazania po polsku, jak chce władza. Albo wprowadza nowy, gregoriański kalendarz. Ludzie są dezorientowani. Boją się, że wraz z językiem czy kalendarzem stracą całą religię, a wraz z nią – tożsamość.

Bieżeńców, przy ich tragicznym położeniu, wady kleru rażą szczególnie. Powtarzają sobie historię o ojcu, który jedzie pochować zmarłe z głodu dziecko, batuszka jednak żąda zapłaty. Ojciec grzebie więc dziecko sam.

*

Mówią o tym wszyscy w okolicy. Latem 1929 roku we wsi Folwarki Duże koło Zabłudowa odnawia się ikona ukrzyżowanego Chrystusa. Podarowana przez matkę odchodzącemu na wojnę synowi, przetrwała front, przypadkiem znalazła się u chłopów i wisiała w jednej ze stodół. Była tak stara i zniszczona, że nie dawało się rozpoznać, co przedstawia. Któregoś dnia niespodziewanie zaczyna lśnić. Zbiegają się sąsiedzi, dotykają, oglądają. Wkrótce uroczyscie przenoszą do cerkwi w pobliskim uroczysku Piatienka; do cudownie odnowionej ikony ruszają pielgrzymki.

Podobne cuda mają się zdarzyć w Kleszczelach, Litwinowiczach, Rybołach, Hołodach i w wielu innych wsiach. W Prużanach z oczu na ikonie Bogurodzicy zaczynają płynąć łzy. Może wreszcie po tylu latach i o nich Bóg sobie przypomniał – mówią ludzie.

*

Wieści są coraz bardziej zaskakujące. „W Grzybowszczyźnie sokólskiego powiatu żyje biblijny prorok Ilja – Eliasza [Klimowicz], który onego czasu wzięty był żywcem do nieba, a obecnie powrócił z nieba, by przygotować naród do wtórnego przyjścia

Chrystusa; [mówią] że wybudował on świątynię, prorokuje i czyni cuda” – pisze profesor Pawluczuk w *Wierszalinie. Reportażu o końcu świata*.

W Grzybowskiźnie i okolicznych wioskach pojawiają się apostołowie, kilka Matek Boskich, wielu świętych i realne osoby z niedawnego życia: dwóch cudownie ocalałych carów Mikołajów II. Jeden urzęduje w Ostrowie Południowym, pod Krynkami; drugi, wraz z małżonką – w Wojszkach koło Zabłudowa. Czas się zatrzymuje, a nawet cofa. Historia i niesione przez nich wydarzenia zostają unieważnione. Prorok jeździ koniem zaprzęgniętym w wóz o drewnianych osiach, nieużywanych już nawet przez tutejszych biedaków.

Ludzie, choć biedni, sprzedają swoją ziemię i niosą Prorokowi wszystko, co mają. Wierzą, że wróci dawna stabilność. Że będzie tak jak przed 1915 rokiem. Rodzi się gigantyczny ruch, który pociągnie za sobą tysiące wyznawców. Sława Ilji sięga Polesia i Wołynia.

*

Życiorysy tych „apostołów”, świętych i wyznawców są podobne. Zwyczajne, bieżące. To ludzie urodzeni przed wojną w chłopskich prawosławnych rodzinach. Gdy wyruszali w bieżęństwo, byli podrośniętymi dziećmi. Kiedy wybuchła rewolucja – właśnie dorastali; chłonęli świat. „Przyjechało do wsi dwóch bolszewików, to jednego chłopci zabili. Tacy byli... – z przejściem opowiada Aleksander Daniluk, apostoł Szymon. – A potem przyjechało pięciu i zabili tego, co zabił. Popu mieli głowę uciąć za to, że nie chciał pochować zabitego na cmentarzu”.

Gdy podczas pogadanki agitacyjnej Daniluk słyszy, że Boga nie ma, jest w szoku. „[...] choć o boskości nic nie wiedziałem, gotów byłem uszy zatkać” – wspomina. W dwa tygodnie później bolszewicki agitator ginie. „Czy to jednak nie dowód, że Bóg istnieje?” – myśli chłopak.

Ale rewolucyjne hasła także uwodzą. Jak Dorofiejuka ze Staroberezowa [obecnie: Stare Berezowo], który po drodze gubi się matce i przygarnięty przez kolejarza pomaga mu kolportować rewolucyjne pismo „Zaria Swobody”. W czasie rewolucji jako trzynastoletni pomocnik szewca dostał się na okręt Armii Czerwonej. Potem próbuje łączyć zasłyszane rewolucyjne hasła z tradycyjną religijnością. Podczas jednego z „przeżytych cudów”, gdy aniołowie zabierają go do bram raju, spotyka „marynarzy Krasnowo Flota strzegących włodarstwa boskiego”. Gdy opowiada o tym Włodzimierzowi Pawluczukowi, ten przerywa mu: „Panie, przecież żołnierze Czerwonej Armii w Boga nie wierzą!”. „To nic, panie, że nie wierzą – spokojnie wyjaśnia Dorofiejuk. – Nieważne. Ważne, żeby prawdę czynili, ot co. Nie słowa ważne,

ale czyny. A czyny ich są prawdziwe. I dlatego oni, żołnierze Krasnowo Fłota, są stróżami tronu niebieskiego i będą obrońcami prawdy podczas Armagiedonu. Tak, panie, to jest w Piśmie Świętym powiedziane”.

*

Kiedy uświadamiam sobie, że budowa cerkwi przez Eliasza Klimowicza w Grzybowszczyźnie była czymś wyjątkowym w międzywojniu^[50], zastanawiam się, czy polityka państwa – tu: mimowolnie – nie potęgowała kultu proroka^[51].

Gdy Klimowicz wraz z całą okolicą rusza w bieżnięstwo, zostawia kościół nieskończony. Po powrocie władze nie zezwalają na kontynuowanie budowy. Pawluczuk pisze: „Uzyskanie takiego zezwolenia kosztowało go niemało wysiłków i wydatków finansowych. Na pokrycie ich Klimowicz zaczął wyprzedawać ziemię z własnego gospodarstwa”.

W opowieści profesora Pawluczuka legenda proroka w nadnarwiańskiej okolicy zaczyna się od tego, że dzięki niemu „w cudowny sposób powstała owa cerkiew, sama z ziemi wyrosła”. Skoro budować cerkwi nie można, władza je zamyka (a w roku 1938 na Chełmszczyźnie zacznie je burzyć), czy ten, któremu udało się jedną zbudować, nie jest co najmniej świętym?

*

Piotr Batura ze wsi Reduty, wcześniej prawosławny, stał się baptystą. Też przeżył cud. Wstąpił w niego Duch Święty. „Widziałem ogień spadający z nieba. Strzałę ognistą, ot, takiej mniej więcej długości – pokazuje rozpiętością ramion. – Tylko tknęła mnie ta strzała i rozpałiło się we mnie wszystko, rozgrzało się, *nu, takaja blahodat'*, że po prostu słów brak. I odczułem, że Duch Święty jest we mnie i zacząłem mówić w nieznaney mi mowie. I nikt z zebranych mnie nie rozumiał”.

Zielonoświątkowcy, baptyści, Kościół Chrystusowy, Adwentyści Dnia Siódmego, badacze Pisma Świętego, świadkowie Jehowy. Przed wojną na tutejszych wsiach zupełnie nie było tych Kościołów protestanckich i związków wyznaniowych. Teraz się pojawiają. Konwersje dotyczą tylko prawosławnych; wśród katolików zdarzają się niesłychanie rzadko.

Profesor Pawluczuk: „Gdyby połączyć wszystkie te ideowo-światopoglądowe prądy w jedną całość, utworzyłyby one coś, co odpowiadałoby modelowi tradycyjnej społeczności terytorialnej”.

Od wieków spaliśmy, ale nas obudzili

„Ludzie czytali gazety, polskie i białoruskie. Zbierali się wspólnie i dyskutowali, bo w Rosji liźnęli trochę polityki – przyznaje Jan Borowik z Harkawicz. – Mówiło się też, że spotykają się na polach i łąkach, organizują zebrania. Rozrzucali ulotki. Policja często do wsi przyjeżdżała, zdarzały się aresztowania”^[52].

Harkawicze, prawosławna wieś sąsiadująca z moimi Knyszewiczami, biedna jak one, zapisuje się w historii. Stąd pochodzi nie tylko Paweł Wołoszyn, lecz także Siarhiej Prytycki, w II RP działacz polityczny, pod koniec lat sześćdziesiątych – przewodniczący Rady Najwyższej Białoruskiej SRR.

W 1926 roku w Harkawiczach powstaje *hurtok* – koło Białoruskiej Włościańsko-Robotniczej Hromady. Takie tworzą się wtedy w niemal każdej białoruskiej wsi. Hromada, która w czerwcu 1926 roku liczy niewiele ponad pięćset osób, przez pół roku staje się masowym ruchem. Zapisuje się do niej ponad sto tysięcy osób, tworzą co najmniej dwa tysiące kół. Badająca jej dzieje historyk Aleksandra Bergman twierdzi, że była najbardziej masowym ruchem chłopskim w ówczesnej Europie.

*

„*Adwieku my spali, no nas razbudzili*” – słyhać po wioskach *Białoruską Marsylianę*, hymn Hromady. Bo ludzie są wściekli. I wydaje się, że wreszcie tej wściekłości, wbrew tradycji pokornego milczenia, chcą dać ujście.

Już w 1924 roku Konstanty Srokowski pisał: „Polityczna i socjalna rewolucja rosyjska [...] wyłobiła w jego psychice ślady głębokie i od razu widoczne. Bardziej abstrakcyjne hasła rewolucji politycznej, jak narodowościowe, demokratyczne itp., puścił przeważnie Białorusin mimo uszu. Zapamiętał natomiast fakt walenia się w jego oczach całego systemu władzy i autorytetu, do wczoraj jeszcze tak absolutnego. Względność wszelkiej władzy poznał tedy Białorusin z własnej obserwacji”.

I dalej: „Hasła komunizmu agrarnego, pojęte jako wywłaszczenie panów, utkwіło głęboko w duszy białoruskiej. [...] przebieg [...] wojny polsko-rosyjskiej, ciężkie błędy popełnione przez polską administrację wojskową wobec ludności białoruskiej, terytorialne postanowienia pokoju ryskiego^[53], wreszcie panujący obecnie system polityczny na kresach zniweczył w świadomości Białorusinów wszelką podstawę do opierania programów politycznych na federacji z Polską”.

Za Hromadą stoją białoruscy posłowie. Rozgoryczeni państwową polityką, po nieudanych próbach porozumienia z poszczególnymi rządami, zbliżają się do

komunistów. W programie Hromady mówią o „niezależnej republice pod władzą chłopów i robotników”. Poza tym żądają dopuszczenia białoruskiej edukacji, wolności kulturowej i wyznaniowej, zniesienia osadnictwa. W 1926 roku, po przewrocie majowym, gdy terenowy aparat władzy czuje się niepewnie, Hromada stanie się żywiołowym ruchem społecznym.

We wsiach oprócz *hurtków* powstają czytelnie, biblioteki, szkoły, spółdzielnie rolnicze, kasy pożyczkowe, zespoły śpiewacze i teatralne; nawet wydawnictwa. Prawdziwe przebudzenie.

*

Profesor Włodzimierz Pawluczuk: „Mniej więcej w tym samym czasie, gdy jego [Dorofiejuka, tego od „Zarii Swobody” i marynarzy Krasnowo Fłota] sąsiad Grzegorz Jankowski organizował koło Hromady i przygotowywał lud do rewolucyjnej walki przeciwko burżuazyjno-obszarniczemu reżimowi, Dorofiejuk zaczął czytać święte księgi i modlić się”.

W interpretacji autora *Wierszalina* radykalne ruchy społeczne, jakie w latach dwudziestych i trzydziestych ogarnęły tereny zamieszkałe przez wracających z bieżenstwa Białorusinów, to drugi – po mistycznych oświeceniach w rodzaju Eliasza Klimowicza – sposób radzenia sobie z dezintegracją światopoglądową.

*

We wspomnieniach *U nowaj ajczyinie* pojawiają się *hurtki*, potajemne zebrania, na których śpiewa się, że „*Adwieku my spali*”, i na które przyjeżdżają białoruscy posłowie. Oraz odczucie coraz większej wrogości ze strony polskich władz. Roman Bielawiec z Wojnówki opowiada: „Na jedno zebranie w Berezowie przyjechał Miatła^[54] i inni powszechnie znani białoruscy działacze. Policja przysłała prowokatorów, którzy szybko rozpoczęli bójkę. Miatła przekonywał policję, że wszystko robimy zgodnie z prawem, ale ci i tak rzucili się na ludzi z bronią. Bili i straszliwie katowali. Tych, co uciekali, doganiali i deptali końmi. Konie nie chciały stąpać po ludziach, ale policjanci ich do tego zmuszali. Męczyli straszliwie białoruskich aktywistów”.

Potem zaczyna się prześladowanie wioskowych działaczy, ich aresztowania. „Pamiętam, zakuli im ręce w kajdanki, związali nogi i siedzącym tak rzucali chleb niczym psom. Ci wygłodzeni pełzali i próbowali jeść. »Jedzą jak wilki« – śmiali się policjanci. W naszym domu też robili rewizję. Zauważyłem, jak policjant podrzuca pod łóżko pistolet. »Po co pan pistolet podrzucił?« – zapytałem. Zaczął na mnie krzyczeć,

ale pistolet zabrał. [...] Po tym wszystkim *hurtki* po cichu się rozpadły” – kończy swoją opowieść Roman Bielawiec.

*

Adwieku my spali, no nas razbudzili. / U sraku nam dali i znou pałazyli – z goryczą śpiewają teraz chłopi. Mówiąc cenzuralnie – po tym słynnym obudzeniu dostali w tyłek i znów ich położono w odwieczny sen.

Nie jest on już jednak możliwy. Po aresztowaniu przywódców Hromady na początku 1927 roku i zdelegalizowaniu jej coraz silniej działają na tym terenie nielegalne partie komunistyczne, zwłaszcza Komunistyczna Partia Zachodniej Białorusi. Chłopi, rozgoryczeni i upokorzeni polityką Rzeczypospolitej, wciąż zagubieni po powrocie z bieżęstwa, są podatni na komunistyczną propagandę. Nie zaszczepliły ich przeciwko niej wspomnienia porewolucyjnego koszmaru w bieżęstwie.

Młodzi, co wciąż się nie odnajdują

Gdy Wasyl, młodszy brat Pawlika, wraca z Rosji w 1921 roku, jest podrostkiem. Ale zachowuje się czasem gorzej niż dziecko – denerwują się w rodzinie. Do pracy się nie kwapi, gospodarstwo niewiele go obchodzi. Eliasza, który wrócił razem z Wasylem i teraz jest w rodzinie głównym gospodarzem, wciąż goni go do roboty. Awantury w domu wybuchają więc codziennie. Pawlik początkowo broni Wasyla. Gdy sam przyjechał z Rosji, z trudem wstawał z łóżka i nic mu się nie chciało. „Do czego się nie wezmę, to wszystko waliło się z rąk, nie z tego powodu, że nie chciałem, a tylko z powodu mej słabości i nieudolności mej pracy fizycznej” – tłumaczy braciom. Poza tym w czasie, gdy chłopscy synowie dorastali i uczyli się przy ojcu, Wasyl wałęsał się z kolegami po Odessie. Nie umie teraz pracować.

Ale ani czas, ani lepsze niż w Rosji odżywianie, ani szansa nauki gospodarskiej roboty nie pomagają Wasylowi odnaleźć się w Wólce Wygonowskiej. Poznaje we wsi dwóch kolegów i snuje się z nimi z kąta w kąt. Przez całe noce o czymś dyskutują, a potem śpią do południa, denerwując pracujących ludzi.

*

Czy Wasyl komunizuje? Pisanie o tym na początku lat trzydziestych w pamiętniku na oficjalny konkurs byłoby ryzykowne. Pawlik musi o tym wiedzieć. Wspomina tylko, że brat z kolegami wciąż mówią o ucieczce do Rosji. Ale – sądząc z lektury innych wspomnień – to na ówczesnych wioskach częste, i to nie tylko wśród prawosławnych.

Za Rosją przecież wciąż tęskni Józef Szymusiuk, młody katolik z Topolan. Za szkołą i obietnicą dobrej przyszłości. Nędzne życie w rodzinnej wsi sprawia, że tamten czas jawi mu się rajem.

Włodzimierz Pawluczuk postawę niektórych ówczesnych młodych ludzi określa jako nihilizm. W ich życiu znaczenia nie ma już ani Cerkiew, ani kultura ludowa, ani tradycyjna moralność – wszystkie wartości upadły na ich oczach. Bywa więc, że pary żyją bez ślubu i tradycyjnego wesela. Pawluczuk opisuje historię własnej babki, która po powrocie z bieżenstwa zastaje w domu swojego męża z inną kobietą i ich dzieckiem. Żyją razem, aż zjawi się jej mąż i zabierze swoją żonę z owym nieślubnym dzieckiem.

Poza tym nie chcą pracować, śpią do południa. Z największą satysfakcją jednak nihilistyczni młodzi profanują świętości. Pisarz Aleksy Karpiuk wspomina, jak z bratem niszczą obelisk z żeliwnym krzyżem na rozstaju dróg: „*My i czortu skrucim rohi. Bohu wyrwiem baradu*” „I diabłu przytrzemmy rogów. I Bogu wyrwiemy brodeń” – śpiewają. Złorzeczą batuszce, nawet Bogu. A przecież – mówi się po wsiach – złorzeczenia Bogu to jedyny grzech, który nie zostanie odpuszczony.

*

Wiosną 1926 roku „Wasył zastrąjkował, nic nie chciał mi pomagać” – pisze Pawlik. Rodzina wysłała go do Ameryki, gdzie przed wojną wyjechał Łukasz. Teraz przysłał on bratu dokumenty wyjazdowe i siedemdziesiąt pięć dolarów, konieczne na podróż, każe czekać na jeszcze jeden dokument. I przestaje pisać. Do Ameryki więc Wasył nie pojedzie.

Chłopak jeszcze zapala się do budowy młyna. Stawia prototyp, ale ten najpierw nie chce się kręcić, a potem się przewraca. Trochę pomaga Pawlikowi w budowie stodoły i chlewów, ale i na to szybko macha ręką. Znowu mówi o Rosji. „Albo jedź już wreszcie, albo bierz się do roboty” – nie wytrzymują bracia.

Któregoś dnia Wasył i jego koledzy znikają. Nie rozmawia się o tym głośno. Tylko matka wciąż płacze.

*

Takich, którzy jak Wasył nie odnaleźli się w rodzinnej wiosce, jest wielu. Część z nich postanowiła przez zieloną granicę wracać do Rosji.

Wśród nich jest Gabriel Ławreszuk, który w Rosji miał posadę nauczyciela, ale siostra Anastazja, chora matka i głuchoniemy brat prosili, by odwiózł ich do domu. Tu, zgodnie ze swoimi przewidywaniami, nie mógł być nauczycielem, wyruszył więc z powrotem. Teraz wpatruje się w lufy wycelowanych w niego karabinów. Bolszewicy

złapali go i uznali za szpiega; takich rozstrzelują bez sądu. Żegna się już z życiem, gdy ten, co ma do niego strzelać, pyta: „Ławreszuk, to ty? Co tu robisz?”. Przyglądają się sobie. To kolega z rodzinnej wioski. Nie wrócił z bieżenstwa, służy tu w armii. Zabiera go spod ściany i każe uciekać.

Ale tam, gdzie mieszkali w czasie bieżenstwa, Gabriel też nie może się odnaleźć. Bez rodziny, sam, czuje się obco. Jedzie do Moskwy; tam mieszka trochę ludzi z rodzinnych stron. W listach do Anastazji pisze, że ma dobrą pracę, mieszkanie, służącą. I przyjaciółkę – Rosjankę, też nauczycielkę. Potem przestaje pisać.

W końcu przychodzi list z obozu gdzieś pod Archangielskiem. Przyjaciółka doniosła na niego do NKWD, że jest polskim szpiegiem. Gabriel rąbie więc teraz las w łagrze, prosi o jedzenie. Anastazja, choć sama głoduje, wysyła mu paczki raz w miesiącu. Gabriel w listach pisze krótkie „dziękuję”. W końcu przestaje pisać.

Ci, którzy mieli mniej szczęścia na granicy, nie napiszą ani razu.

*

Kilka dni po zniknięciu Wasyla jego rodzina dostaje wiadomość, że jest on w więzieniu w Bielsku. Mateusz jedzie, wykorzystuje swoje znajomości i wyciąga niedoszłego uciekiniera. W domu Wasyl „dużo opowiada o swych ciężkich kolejach”. Pawlik ich jednak nie przytacza. W ogóle nie pisze, co się stało.

Wydaje się, że rosyjska przygoda dla Wasyla się skończyła. Bierze się do pracy, rozgląda za żoną. Próbuje ułożyć sobie życie. Zaczyna gospodarzyć, wraz z braćmi szuka możliwości dorobienia. Raz zakładają cementownię, innym razem mleczarnię. Słabo im idzie, próbują jednak dalej. Pawlik rozwija we wsi kasę oszczędnościowo-pożyczkową, zakłada kółko teatralne.

Tak jakby we wsi nie chodziło już tylko o przetrwanie; jakby osadzało się normalne życie.

Nowe życie

Miłość. Marusia i Marcin

On jest przystojny, ona ładna. Mają po osiemnaście lat, może nawet mniej. On jest bieżącym z Knyszewicz, ona miejscowa, ze stancy Donskoje na Przedkaukaziu. Dla miłości to żadna przeszkoda. Ale rewolucja i wojna domowa rozdzielają bieżących. Czy na dworcu w Stawropolu dochodzi do dramatycznego rozstania kochanków? A może on wyjeżdża z ulgą, bo miłość się już ulotniła?

On, Marcin, wraz z innymi wioskowymi po wielu miesiącach, przez Baranowicze, dociera *na rodzinu*. Knyszewicze są ruiną, ryje więc ziemiankę i łapie każdą pracę, by przetrwać.

I wtedy zjawia się ona, Marusia. Nie wiadomo skąd, nie wiadomo jak. Ludzie będą potem mówić, że po prostu przyszła na własnych nogach. Jest w zaawansowanej ciąży.

*

Historię Marusi i Marcina słyszę latem 2014 roku. Bohaterów tej miłosnej historii już dawno nie ma, dziecka ich kaukaskiej miłości też nie. Został tylko dom, w którym mieszka już ktoś inny, i ziemia, należąca do lokalnego przedsiębiorcy rolnego, o której miejscowi wciąż mówią: *marcinawa*.

Z dziecięcych wspomnień wydobywam drobną, ubraną na czarno postać staruszki. Pomarszczona, ale pogodna twarz, promienna mimo swojej starczej szarości. Intrygowało mnie jej imię. Kojarzyło się z *Czterema pancernymi*, nie z bieżącym. Nie miałam pojęcia, że była Rosjanką. Syn Iwan, którego wtedy niosła w rosnącym brzuchu, dożył 1998 roku. Był miejscowym *czudakiem*, polskie słowo „dziwak” niezupełnie oddaje znaczenie. Dziwactwo *czudaka* jest z pogranicza światów, jest bożym dotknięciem. Nie przynosi majątku, nie daje społecznej pozycji. Ale jest akceptowane, na swój sposób nawet szanowane – tak jak szanuje się boski dar. Może taki *czudak* ma światu coś ważnego do przekazania?

Iwan, syn Marusi i Marcina, miał. Na przykład o polityce. Po przeżyciach II wojny światowej, kiedy to został wcielony do Armii Czerwonej i walczył na froncie, pozostało mu przekonanie, że Niemcy tylko czekają, by nas zaatakować. Albo o Bogu – pięknie mówił o religii i opartej na niej filozofii życiowej. Wtedy natychmiast z chłopskiego *prostego* przechodził na rosyjski, z wzorowym akcentem. Myślałam wtedy, że to Armia Czerwona mu ten język zaszczepiła.

*

Dlaczego wcześniej nie słyszałam historii Marcina i Marusi? „Ludzie za dużo nie mówili, ale wszyscy i tak wiedzieli” – przyznaje Wiera Sokołowska, rocznik 1928 (mieli pole w pobliżu ziemi Marcina). Opowiada o Marusi z podziwem. Zdobyła się na nieludzki wysiłek – przeszła przecież kilka tysięcy kilometrów – by dać ojca dziecku, które urodzi.

Sąsiadka Marusi jest mniej romantyczna. „Ona z biednej rodziny była, chyba sierota, jedyna u matki. Przyjechała czy przyszła za tym Marcinem, bo cóż jej pozostawało? Ale tutaj też była bieda. Nigdy zresztą do Donskoje już nie pojechała. Stać na bilet ich nie było. A może nikogo już tam nie miała?”

*

O miłości czasu bieżącego nie opowiada się romantycznie. Właściwie w znanych mi historiach nie ma wzmianek o uczuciu. Owszem, wspomina się, że kobiety powychodziły za mąż za tamtejszych mężczyzn, za Rosjan, Czuwaszy, Kirgizów, nawet Tatarów. Gdy bieżący w końcu ruszyli *na rodzinu*, zostały z nowymi rodzinami. Mężczyźni żenili się z miejscowymi jakby rzadziej, choć niektórzy przywieźli sobie żony. Będzie się o nich mówić w okolicy *Rasiejka* – Rosjanka.

Moi dziadkowie pobrali się w Donskoje, ale gdy wspominałam o miłości, urodzona na Kaukazie ciocia Szura macha tylko ręką. „Jaka tam miłość? Zeszli się i żyli”.

Tak jakby w chłopskiej kulturze nie wypadało mówić o miłości. Jakby małżeństwo było elementem odwiecznego porządku, naturalną kolejną rzeczą, a nie jakimś tam uniesieniem serca.

*

Piotr Juszkiewicz ze Zbucza pokazuje zdjęcie swojej córki Kławdii. W bieżącym był małym dzieckiem. Pamięta jedynie maminy ogród, który zniszczył, bawiąc się z kolegami, oraz wielki śnieg w drodze powrotnej. Do kół wozów przybijali deski i jechali jak na saniach; inaczej konie nie dały rady ciągnąć.

Pamięta też piękną Kławdię. Była z bogatego domu; zalecał się do niej jego wujek. W czasie rewolucji zabito jej rodziców. Potem miłość się rozpadła, wujek wrócił do siebie, założył rodzinę, o Kławdii nie wspominał. Tylko mały Piotr nie mógł o niej zapomnieć; gdy urodziła mu się córka, dał jej to imię.

*

Marusia z Donskoje i Marcin z Knyszewicz wspólnie przeżyli życie. Oprócz Iwana, który urodził się zaraz po przybyciu Marusi do Knyszewicz, mieli jeszcze trzy córki. Nie dorobili się bogactwa. Iwan, który przejął gospodarstwo po rodzicach, też nie. Pamiętam z dzieciństwa, jak przynosi uciulane monety, by tata sprzedał mu kilka kilogramów pszenicy. Nie dla kur, dla gołębi. Nie hoduje ich na sprzedaż. „One upiększają świat, są boskimi wysłannikami. Nie bez przyczyny gołębica jest symbolem Ducha Świętego. A kury? No cóż – one tylko znoszą jajka” – mówił.

Albo – już jako staruszek Iwan idzie do sklepu, cztery kilometry, by za niską emeryturę kupić kotu kiełbasy. Sobie gotuje zupę, kiełbasę je tylko od święta. Ale kot zupy jeść nie chce. Więc Iwan idzie.

Sąsiedzi na darmo tłumaczyli Iwanowi, że postępuje nierozsądnie, że trzeba inaczej. On i tak robił swoje. Nieśpiesznie, spokojnie, pewnie. I wydawał się w tym swoim dziwnym świecie szczęśliwy. O wiele bardziej niż jego korzystający ze zdobyczy nowoczesności, wciąż zapracowani sąsiedzi. Tylko że szczęście Iwana należało do innego świata: tego, który rozpadł się w 1915 roku, ale w jego rodzinie przetrwał jeszcze prawie sto lat.

*

Marusia umarła w Wielkanoc w latach osiemdziesiątych. Dla człowieka religijnego to wielkie szczęście – bramy rajy są otwarte, zmartwychwstały Chrystus właśnie pokonał piekło. Miałam wtedy pewnie z dziesięć lat, poszłam z mamą na wyprowadzenie nieboszczki z domu. Był piękny, słoneczny dzień. Kondukt pogrzebowy sunął połą drogą. Śpiewały skowronki. Zaczynała się wiosna.

Nie pamiętam, czy ludzie tę pogodę komentowali. Pewnie tak. Wtedy jeszcze zwykle szukało się podczas pogrzebów czy ślubów znaków z zaświatów. Ten piękny wiosenny dzień był dopełnieniem życia Marusi. Kobiety, która z miłości – nieważne, czy bardziej do dziecka, które miała urodzić, czy do jego ojca – wyruszyła tysiące kilometrów w nieznane. Rodziny, która w tej zawierusze ocaliła swój świat.

Pawlik, zarażony Rosją i innym życiem

Pawlik kilka lat po powrocie z Rosji buduje stodołę. Ale brakuje mu pieniędzy na dach. Własnej słomy wystarczy mu tylko na niewielką część, wciąż jeszcze nie jest w stanie obsiać całej ziemi. Przychodzi mu do głowy myśl, by pokryć stodołę inaczej, niż robią to we wsi. Z Rosji pamięta dachy robione z drewnianych szczap. Bardzo mu się podobały. Może zrobić podobny?

Bierze więc drewno i rozpoczyna próby, trudno jednak uzyskać dobry materiał. „Odszczepia się to zbyt grube, to znowu wychodzi klinem i z dość grubej szczapy miałem trzy dobre wióry. Obliczenia wskazały, że trzeba będzie bardzo dużo napsuć drzewa i to doborowego – nic nie wychodzi, *nu* i dałem spokój”. Pokrywa ostatecznie część stodoły swoją słomą; resztę do kolejnych zniw zostawia bez dachu.

Ale to nie koniec prób przeniesienia do Wólki Wygonowskiej podpatrzonych w Rosji rozwiązań. Pawlik chce przed domem założyć ogródek kwiatowy podobny do tego, jaki widział przed willą jakiegoś bogacza w Odessie. „Ogrodzony był grubym łańcuchem, przymocowanym do cementowych słupków; łańcuchy zwieszały się tak, że na ogół wyglądały bardzo poważnie i ładnie. Ponieważ o prawdziwym łańcuchu nie było mowy, więc zacząłem robić drewniany. Miałem to pomalować na czarno i chciałem osiągnąć wygląd taki sam jak tej willi” – notuje w pamiętniku.

Matkę pomysł śmieszny – w ich wsi nikt przydomowych ogródków nie robi. „Jeżeli nie zagrodisz siedziby, to świnie sąsiadów, a jak my się dorobimy, to i nasze, poobrywają te łańcuchy. A co do słupków, to psy będą je uważać za najwygodniejsze miejsce do podnoszenia nogi i załatwiania swych potrzeb” – dogaduje synowi, gdy ten wieczorami struga oczka do drewnianego łańcucha. Pawlik w końcu przyznaje jej rację i porzuca swój pomysł.

Ale to, co widział w Rosji, wciąż będzie dla niego ważnym punktem odniesienia.

*

W chacie wybudowanej w Kaniukach w 1906 roku przez Lawonia Naumiuka, w 2015 roku jego prawnuk Włodzimierz kontynuuje bieżące dziedzictwo. Tak przynajmniej nazywają to miejscowi. Jako rzeźbiarz ludowy, oprócz postaci z dawnego wiejskiego życia i świątków, wycina drewniane ozdoby na domy – okiennice, narożniki, szczyty. Na nich ornamenty, postaci ludzkie i zwierzęce.

Bogate zdobnictwo drewnianych domów to symbol nadnarwiańskiego Podlasia. Kraina Otwartych Okiennic – mówi się o tutejszych wsiach. Po epoce fascynacji pustakiem i bloczkiem betonowym drewniane budownictwo dziś się odradza. Owszem, młodzież ucieka do miast i niewielu zostaje na gospodarstwach, tradycyjna wieś wymiera. Włodzimierz ma jednak dużo zleceń od budujących się letników, którzy często chcą kultywować tutejsze tradycje.

Kaniuki są zresztą ich wspaniałą reklamą. Wioska wygląda bajkowo. Nie dość, że położona nad samą Narwią, zaciszna i spokojna, to jeszcze te domy. Niebieskie, zielone, czerwone, orzechowe, fioletowe, bordowe, a nawet jaskraworóżowe. Wszystkie możliwe kolory, a jednak całość świetnie ze sobą harmonizuje. Do tego każdy zdobiony

w szczycie i narożnikach drewnianymi wycinankami. No i okiennice, prawdziwe dzieła sztuki rzeźbiarskiej.

„Drewniane zdobnictwo zabudowań było tu już przed I wojną, ale w bardzo skromnym, biednym wydaniu – tłumaczy Włodzimierz Naumiuk. – Pamiętam budynki w okolicy, które przetrwały bieżęństwo. Stodoła biedna, skromna, mała, ale na szczycie wyrzeźbione ptasie skrzydła albo inne ornamenty; na domach tak samo. W Rosji ludzie zobaczyli bogate zdobnictwo drewniane, majstrowie przywieźli stamtąd ogrom wzorów. Gdy po powrocie zaczęli się odbudowywać, wykorzystywali przedwojenne wzory, ale dodawali to, co podpatrzyli w bieżęństwie. A że budowali już większe, bardziej okazałe domy niż przed wojną, starali się je też okazałe ozdobić”.

Część badaczy, jak Artur Gaweł, dyrektor Białostockiego Muzeum Wsi, wyjaśnia, że to nie tylko bieżęństwo. Wcześniejsze rosyjskie panowanie sprzyjało napływowi rzemieślników ze wschodu, którzy długo przed bieżęństwem zbudowali na przykład misternie zdobiony drewniany dworzec w Białowieży.

Dzięki nałożeniu się tych czynników odbudowywane po powrocie z bieżęństwa domy w wielu wsiach zmieniały się w stolarskie dzieła sztuki. Dobrych majstrów nie brakowało, podobnie jak rąk do pracy. Za kilka pudów żyta czy udostępnienie własnej łąki do wypasu majstrowej krowy można było wspaniale ozdobić swój dom. Ludzie więc zdobili.

*

Leon Tarasewicz, znany malarz, pochodzi z Walił pod Gródkiem, trzydzieści kilometrów od Białegostoku. Jego rodzina, tak jak wszyscy w okolicy, pojechała w bieżęństwo, on sam przez całe dzieciństwo bawił się przywiezionymi z Rosji pieniędzmi – carskimi rublami (do dziś pamięta majestatyczny portret carycy Katarzyny na sturublowym banknocie) i *kierenkami*.

„To była podróż, niezwykła dla tych ludzi, czasem tragiczna. Ale każda podróż kształci. Oni wrócili jako inni ludzie. Gdyby tu siedzieli i nawet chodzili do szkół, nauczanie się tego wszystkiego zabrałoby im pewnie kilka pokoleń. To był dla tych ludzi ogromny skok mentalnościowy. Przywieźli zarówno praktyczne umiejętności, na przykład zdobienie domów, inna uprawa ziemi, jak i idee. Przecież ten cały ruch Hramady i KPZB to też był efekt bieżęństwa i tego, z czym zetknęli się w Rosji” – mówi. Czasem, wyraźnie podkreślając ten rozwój, zaskakuje ludzi przyzwyczajonych do opowieści o bieżęństwie wyłącznie jako nieszczęściu.

*

Pawlik już nie struga drewnianego łańcucha przed dom. Pochłania go gospodarstwo i życie rodzinne, pracy nie brakuje. Ale do głowy wciąż przychodzą mu nowe, często niezrozumiałe dla tutejszych gospodarzy pomysły. Wiosną 1929 roku sprzedaje krowę i świnie, wynajmuje człowieka do pracy w gospodarstwie, a sam jedzie na dwuletni kurs melioracyjny organizowany przez Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie. Podupadł ostatnio na zdrowiu, słabnie przy ciężkiej pracy. Gdy idzie kosić łąkę, po dziesięciu minutach pracy musi odpoczywać przez pół godziny. Może dzięki kursowi uda się zdobyć posesję w mieście? – myśli.

Po zaliczeniu pierwszej części kursu w Lubiejewie koło Sochaczewa, Pawlik jedzie na wykłady do Warszawy. Jest bardzo ciekaw miasta. Przecież to stolica! Po wizycie w niej notuje jednak: „Warszawa na mnie większego wrażenia nie zrobiła, może dlatego, że byłem w największych miastach w Rosji”.

Wciąż nie sposób tej Rosji przebić. Uczył się tam w szkole technicznej, niektóre przedmioty na obecnym kursie są zbliżone do wykładanych wtedy; dzięki temu nauka nie sprawia mu trudności.

Nawet gdy kolega z kursu, Wołyniak, zaprasza go na zebranie lewicowej organizacji, ma wrażenie, że już to zna. „Z zaciekawieniem przysłuchiwałem się gromom rzucanym przez prelegenta (zdaje się Landau) na ustrój religijny. Nie było to mi nowiną, o tym słyszałem w Rosji, jednakże ciekawiło mnie słyszeć te rzeczy w Polsce” – pisze w pamiętniku.

Trochę zachowuje się tak, jak ci, których krytykuje: „Ci wszyscy, co mianują siebie inteligentami, niczego tu nie chcą uznać za dobre, oczy ich zawsze zwrócone ku przedwojennej Rosji i wszelkie przejawy, czy to życia naukowego, czy politycznego doby obecnej, traktują po macoszemu i chórem mówią, że tu nic nie ma i być nie może, że najlepsi politycy i uczeni byli tylko w przedwojennej Rosji”.

*

Choć Pawlik kurs kończy z bardzo dobrym wynikiem, posesji w mieście nie dostaje. Wraca do Wólki Wygonowskiej. Nie jest zadowolony z tutejszego życia. „Żona i tak stara się o lepsze odżywianie, a ja nalegam, by starała się pod tym względem dorównać odżywianiu się, jakie miałem w Rosji” – notuje.

Czyta „Poradnik Gospodarstw Wiejskich”, choć wciąż przeszkadza mu „niezrozumienie niektórych wyrazów, w ogóle nie przyzwyczailem się do książki polskiej”. Szuka nowych pomysłów na swoje gospodarstwo i nie boi się podjąć kolejnego ryzyka. W czerwcu 1931 roku zanotuje: „Posadziliśmy z żoną 600 sztuk pomidorów i teraz mam zajęcie koło pielęgnacji pomidorów. Oprócz tego [...]

zakładam jeszcze stawy rybne na wydzierżawionym w tym celu terenie. Mój staw będzie miał około 2 ha obszaru”.

Możliwe, że to właśnie „skok mentalnościowy w wyniku bieżenstwa”, o którym mówi Leon Tarasewicz, daje Pawlikowi odwagę, by podejmować coraz to nowe poszukiwania i by próbować wciąż nowych rozwiązań.

Julia planuje wyjechać do Izraela

Po raz pierwszy Julia Kuczevska znacznie dobrze jeść w latach trzydziestych, gdy pójdzie służyć do Żydów w Białymstoku.

W 1915 roku Kuczewscy: pięcioro dzieci, rodzice i babcia, byli szczęśliwą i dość zamożną rodziną; mieli pół *uczastka* ziemi^[55] w Iwankach pod Narwią. Ale Julia tych czasów nie pamięta. Matka i starsza siostra umarły, jeszcze jak jechali wozami do Rosji. Potem, gdy wysiadali z pociągu w guberni penzeńskiej, umarł malutki braciszek, nie miał jeszcze roku. Najstarszy brat Wołodia bardzo dobrze się uczył w Rosji, nauczyciele wysłali więc go do szkoły w Samarze. Gdy zdecydowali się wracać, powiedział rodzinie: „Wy jedźcie, ja przyjadę, jak skończy się wojna”. (Nie przyjedzie, nigdy się nie zobaczą). W drogę powrotną wyruszyła więc tylko połowa rodziny: ojciec, babcia, dziesięcioletnia Julia i o kilka lat starszy brat Fiedia. Dorośli zachorowali w pociągu, wynieśli ich na stacjach, których nazw Julia nie pamięta. Do stacji Żednia w 1922 roku dojeżdża więc tylko dwoje dzieci.

Dom zastają rozszabrowany; okna i drzwi wyrwane, piece rozbite. Widząc to, Fiedzia obejmuje rosnącą za domem jabłonkę i płacze. Jest starszy od Julii, dobrze pamięta, jak gospodarstwo wyglądało przed ich wyjazdem. Ona tylko bezradnie patrzy.

By nie umrzeć z głodu, na przeoranych kartofliskach rodzeństwo zbiera wybite przez deszcz kartofle, przekopuje ziemię po ogrodach, żebrze. Gdy czasem wracają do domu z niczym, szukają kamieni przypominających chleb. „To moja bułka chleba, a to twoja” – dzielą się i udają, że jedzą.

Z czasem próbują gospodarzyć. Julia, choć nie daje rady podnieść większego garnka z wodą, gotuje, pierze, sprząta. Ktoś litościwy daje im kure, Julia rozmawia z nią, karmi ją, głaszcze, przytula. Gdy widzi pierwsze własne jajko, skacze z radości. Fiedia pożycza konia od sąsiadów i idzie orać. Ledwo trzyma pług, przewraca się razem z nim na byle kamieniu.

Raz, wracając, widzi, jak siostra na progu nieporadnie pierze mu kalesony. Musiała stać się dorosła, jeszcze zanim od matki czy babci nauczyła się dobrze prac. Fiedzia jest wściekły na swoje niepowodzenia przy orce, nie może znieść widoku równie nieudolnej

siostry. Podchodzi i trąca ją nogą. „Dobra siostra umarła, a ty zostałaś” – mówi. Julia przewraca się razem z cebrzykiem i pranymi kalesonami.

*

Bieda czasem ludzi jednoczy – to widać w wielu bieżących opowieściach. Ale musi też wywoływać bezradność, bezsilność, beznadzieję, złość, frustrację. Tych uczuć po powrocie musi być dużo, choć nie zawsze później się o nich opowiada. A one nie zawsze rodzą szlachetne zachowania.

Przypominam sobie słuchane w dzieciństwie opowieści miejscowych starszuchów o biednych sierotach, głodnych i opuszczonych, do których ludzie nie wyciągają pomocnej dłoni. Mało tego – nieraz ich jeszcze wyśmiewają, wykorzystują. Czasem ze złościwości, a czasem, by odreagować własną bezradność czy słabość. Jak brat, w złości przewracający kopniakiem młodszą siostrę.

*

Julii Kuczewskiej jest trochę lżej po ślubie brata. Gospodynią zostaje jego żona – dorosła, silna kobieta. To ona teraz gotuje, dźwiga gary z jedzeniem dla ludzi i zwierząt. Zaczyna się im lepiej powodzić. Czasem bratowa Julii od rodziców przynosi nawet kawałek słoniny – od powrotu z Rosji ani razu nie gościła ona na stole rodzeństwa Kuczewskich. Ale bratowa stawia na stole dwie miski. W jednej – dla niej i męża – kartofle okraszone skwarkami; w drugiej kartofle dla Julii, postne. We wspomnieniach Julia nie mówi jednak o żalu, raczej o tym, że wtedy, gdy każdy walczył o przetrwanie, to było naturalne.

Gdy brat zakłada rodzinę, Julia staje się w domu mniej potrzebna. Idzie na służbę do Żydów do Białegostoku. To częsty los ówczesnych dzieci i młodzieży. Nareszcie uśmiecha się do niej szczęście. Wspomnienia nabierają barw. Może najeść się do syta, nikt nie stawia jej gorszego jedzenia niż domownikom. Dostaje wypłatę; ma własne pieniądze i może kupić to, co jej się podoba.

Zaprzyjaźnia się z gospodarzami. Oni planują wyjazd do Izraela, chcą ją zabrać ze sobą. Dziewczyna się zgadza. Ale przychodzi wojna, jej Żydów zamkną w getcie, potem wywiozą do Majdanka. Ona wróci do siebie, do wiejskiego życia.

Anastazja ściąga rodzeństwo

Anastazja Iwaniuk z Soców, która wróciła z rodzicami jako jedyna z rodzeństwa, przez ponad dziesięć lat walczy o odzyskanie braci i siostry. Gdy w końcu się udaje, z trudem się z nimi porozumiewa. Oni należą już do zupełnie innego świata.

*

Iwaniukowie w 1915 roku nie zamierzają wyjeżdżać. Mają dużo do stracenia: ziemię, dwa młyny, dobre gospodarstwo. Do tego gromadkę małych dzieci. Nie wierzą też w plotki o dzikim *Giermańcu*. Ojciec, gdy służył w armii, spotkał ich wielu. Żonę, protestantkę, poznał, kiedy zaraz po wojsku pracował w Myszyńcu, tuż przy granicy z Niemcami. Ale gdy cała wieś ucieka, jadą i oni. Anastazja ma wtedy dziewięć lat; możliwe, że pędzi trzodę obok wozu. Kiedy przystają, by ostatni raz spojrzeć na swoją wioskę, widzą, że płonie ich młyn.

W Kazachstanie, gdzie trafili, Anastazja kończy gimnazjum. W drodze powrotnej dwóch braci i siostra chorują na tyfus; na jednej ze stacji jacyś ludzie wynoszą ich z pociągu. Możliwe, że któreś z rodzeństwa w czasie tej podróży zmarło, nikt w rodzinie już dziś tego nie pamięta.

Po powrocie jest ciężko, wiadomo. Jedzą gotowaną lebiodę albo pokrzywę. Rodzicom rodzi się jeszcze dwoje dzieci, ostatni syn w 1927 roku. Anastazja jest dla nich bardziej matką niż siostrą. Rodzice chorują na gruźlicę, zresztą wkrótce oboje umierają.

Dziewczyna, choć zajęta walką o przetrwanie, wciąż pisze listy. Wysyła je wszędzie. Do konsulatów i ambasad, do Czerwonego Krzyża, do ministrów i pełnomocników. Pyta o losy dwóch braci i siostry. Chce nawiązać z nimi kontakt, chce sprowadzić ich do domu. Listy pozostają bez odpowiedzi.

*

To miało być rozstanie na chwilę. Dziadkowie Ireny Kuryło z Michałowa w bieżeństwie trafiają gdzieś za Mińsk, dwie ich córki wychodzą tam za mąż. Jedna z nich rodzi dziecko, po porodzie jest jednak tak słaba, że nie daje rady zajmować się niemowlęciem. Gdy decydują się wracać, zostawiają więc do pomocy młodej matce dwunastoletnią Wierę. „Wiosna i lato szybko miną, po wykopaniu ziemniaków ojciec przyjedzie i cię zabierze” – mówią na pożegnanie.

Ale po ich powrocie granica zostaje zamknięta. Kiedy to było dokładnie, nikt w rodzinie już nie pamięta. Wiadomo tylko, że dziadkowie Ireny Kuryło nie mogą już

pojechać po córkę. Zobaczą ją dopiero w 1940 roku, „za pierwszych Sowietów”, gdy zniknie granica. Wiera przyjedzie ze swoją małą córeczką. Nie poznają jej, kiedy stanie na progu ich domu. „To ja, wasza córka, którą zostawiliście na obczyźnie” – powie.

Do końca życia nie wybaczy rodzicom. Jej matka też sobie nie daruje. Będzie płakać zawsze, ilekroć wspomni Wierę.

*

„Dobrze byłoby, gdyby twoi bracia nie wrócili... Miałbyś duże gospodarstwo, a jak przyjadą i wszystko podzielicie, będziesz zupełnym biedakiem” – mówią sąsiedzi Pawlika. Spekulacje, wrócą czy nie, trwają jeszcze wiele lat po 1922 roku, w którym wróciła większość bieżenców. Nie brakuje chętnych, by uszczknąć kawałek gruntu zaginionych, swój płot przesunąć o kilka metrów, a może przejąć całe gospodarstwo. Niektórzy idą do wrózek, dopytują o los zaginionych, by wiedzieć, co mają robić.

Bracia Pawlika w końcu wracają, siostra wyszła za mąż i została w Rosji. „Będzie przynajmniej jednej osoby mniej do podziału gospodarstwa” – komentują sąsiedzi. On sam jest z powrotu rodzeństwa zadowolony – będą razem gospodarzyć, będzie lżej.

*

„Najpierw Anastazja ściąga braci. Są już pewnie lata trzydzieste” – opowiada Dorota Łukaszuk, cioteczna wnuczka Anastazji Iwaniuk. Jest lekarką, mieszka w Warszawie; babcia Anastazja najpierw wychowywała ją samą, a potem jej córkę i syna. „Młodsze, Waśki, nikt nie poznaje. Postura dziecka, choć ma dobrych kilkanaście lat; łysy, bez brwi i rzęs. To łysienie plackowate, choroba z rodziny autoimmunologicznych”.

Waśka, gdy wyzdrowiał, uciekał z kolejnych domów dziecka i wiódł żywot *bezprizornego*, drugi raz przeszedł tyfus. W którymś z domów dziecka jego przypadek rozpatrywało konsylium lekarzy. Postawili go na stole, ważyli i mierzyli, pytali o wiek. „Tak wyczerpany organizm nie ma prawa żyć” – stwierdzili na koniec. Ponoć opisywali jego przypadek w piśmie medycznym.

Drugi z odzyskanych braci, Siergiej, jest w lepszym stanie. Ciągłe śpiewa o Bajkale, mówi tylko po rosyjsku, *po swojemu* nie nauczy się nigdy. Gdy przeprowadzi się do Białegostoku, będzie rozmawiał po polsku; z rodziną w Socach – po rosyjsku. Ale o niesprawiającym kłopotów Siergiej w rodzinnych i wioskowych opowieściach mówi się mało. Króluje w nich Waśka.

Gdy już okrzepł po przyjeździe, w domu zagadują, że trzeba iść orać (*po swojemu: harać*). Ten nie reaguje. „A *harać* ty umiesz?” – w końcu pytają go wprost. „*Arać?*” –

upewnia się Wasyl, wymawiając słowo z rosyjska. „Pewnie, jak ja *oriu*, to na dziesiątej wiosce słyhać”. I krzyczy tak, że sąsiedzi przybiegają zaniepokojeni. *Orat'* po rosyjsku znaczy wrzeszczeć. O orce chłopak oczywiście nie ma pojęcia. Nauczy się wkrótce – zostanie w Socach, będzie gospodarzył. Ale łobuzerskich zachowań, wyuczonych w radzieckich sierocińcach, nie wyzbędzie się nigdy.

*

O losie siostry Olgi bracia nie mają pojęcia. Rozdzielono ich. Anastazja w końcu znajduje i ją. „Dla niej nie było rzeczy niemożliwych” – wspomina wnuczka Dorota.

Okazuje się, że dziewczynka po wyleczeniu trafia do domu dziecka. Stąd zabiera ją w *diety* – tak wtedy mówiono o braniu na wychowanie – wiejska rodzina. Robi z niej parobka. Nad obdartą i wiecznie zapracowaną dziewczyną lituje się nauczycielka z Petersburga (tak mówi się w rodzinie; w tym czasie jednak miasto nazywa się Leningrad), która spędza tu wakacje. „Zabiorę cię i w Petersburgu znajdę ci lepszą pracę. Chcesz?” – pyta kiedyś. Olga chce, bardzo. Ale nauczycielka wyjeżdża i jej nie bierze. Dziewczyna więc ucieka, dojeżdża do Petersburga, Dorota nie ma pojęcia jak, i odnajduje nauczycielkę. Ta załatwia jej posadę niańki u wysoko postawionego generała. Dziewczyna odżywa. Rodzina pana jest dla niej dobra, kupuje ubranie, odkarmia, chce posłać do szkoły.

I wtedy przychodzi zawiadomienie z Czerwonego Krzyża, że rodzina Olgi jest w Polsce i jej szuka. „Tam jest bieda; polskim panom będziesz służyć, sama żyjąc w nędzy. Tu pójdiesz do szkoły, wyuczysz się za pielęgniarkę, będzie ci dobrze” – słyszy od generała.

Dziewczyna ma pewnie trzynaście–czternaście lat, wierzy swojemu pracodawcy. Ale tęsknota za odnalezioną rodziną nie daje jej spokoju. Po kolejnym liście od siostry decyduje się na powrót. Niech już będą ci „polscy panowie”, ale przecież tam są też wszyscy najbliżsi Olgi.

Mogły bliskich zostały tam

Na co dzień o nich się nie mówi. Co najwyżej mimochodem, przy okazji większych świąt, gdy myśli się o najbliższych. No i w niedzielę przewodnią, tydzień po Wielkanocy, gdy całe prawosławne wioski odwiedzają swoich zmarłych.

„Widzisz dziecko, jutro Prowady, a ja nawet na grób swego ojca nie mogę pójść” – gdy Tamara Kuryłowicz usłyszała to kilkadziesiąt lat temu od swojej cioci Luby w Knyszewiczach, nie zrozumiała. Na cmentarz w Samogródzie może jest i kilka

kilometrów, ale przecież dojść można, ostatecznie zawsze ktoś furą podwiezie. Ciocia jednak pokiwała głową. „Ach, dziecko, jaki Samogród? Z *Rasiei* jechali, zima była, umarł w pociągu. Śnieg trochę rozkopali i tak pochowali. W polu, przy torach, nie wiadomo gdzie”.

*

Takich rozmów przez wiele lat po powrocie z bieżęństwa musi być więcej. Może nawet odbywały się w moim domu i ich słuchałam, ale byłam za mała, by je zrozumieć? Babcia Nadzia przecież straciła w Rosji obydwój rodziców i brata; ojca pewnie zostawili gdzieś przy drodze w tamtą stronę, możliwe, że bez pochówku. Groby matki i brata zostały prawdopodobnie w Donskoje. Czy Nadzia nie tęskni za nimi? Czy nie chciałaby wyzaliczyć się nad matczyną mogiłą, gdy w 1943 roku zabierają jedną z jej córek na roboty do Rzeszy? Albo gdy dwa lata później, już po zwycięstwie, jej Niny nie ma wśród wracających z Niemiec? Ginie po drodze z rąk radzieckich żołnierzy.

Właściwie niemal w każdej bieżęńskiej opowieści są groby bliskich pozostawione gdzieś w Rosji lub w drodze. Ale tylko czasem coś mignie w rozmowie. Że głód, chłód i bieda, a nad grobem matki czy męża nie można się wypłakać. Albo zostawili przy drodze, nie pochowali. Może ich kości do dziś się gdzieś walają.

*

W Orchówku pod Włodawą wypytuję o psalmistę W. I. Paszczuka, który tak poruszająco opisywał drogę orchowiaków w bieżęństwie i pierwsze lata w Rosji. Nie znam jego dalszych losów, może dotrę do jego potomków i czegoś się dowiem? Ale spotkani ludzie kręcą głową. Takiego nazwiska nigdy tu nie słyszeli. W gminie, kole gospodyń wiejskich, tutejszej parafii katolickiej (prawosławna już nie istnieje, najbliższa jest we Włodawie) też nie.

Także wśród czytelných nagrobków w starej, zapomnianej części orchowskiego cmentarza nie znajduję żadnego Paszczuka. Mnóstwo tu nieczytelnych tablic, może więc któryś z grobów należy do rodziny psalmisty? A może Paszczukowie nie wrócili z bieżęństwa? Albo potem, w czasie II wojny lub po niej, zostali wywiezieni na Ukrainę, jak ogromna część tutejszych mieszkańców? Albo padli ofiarą akcji Wisła?

Na jednym z nagrobków moją uwagę zwraca napis „Zmarła w Rosyi”. Maria Kratiuk, 23 grudnia 1919 roku. Bazyli, jej mąż, umarł 15 września 1922 roku w wieku siedemdziesięciu lat. Mogę się domyślić, że Bazyli umarł na tyfus po powrocie. Maria – może też na tyfus, ale jeszcze tam, w bieżęństwie.

Czy Kratiukowie byli razem z W. I. Paszczukiem w Dżankuju na Krymie? Z jego opisu wynika, że orchowiacy podzielili się pierwszego dnia po wyjeździe. Z którą częścią pojechali Maria i Bazyli? Może z Paszczukiem? Czy na Krymie jest prawdziwy grób Marii Kratiuk? Może kilka mogił dalej od niej leży W. I. Paszczuk, który pod koniec pobytu narzekał na anemię? Albo reszta jego rodziny? Zastanawiam się, czy jego malutka córeczka, która miała roczek, jak wyjeżdżali, przeżyła bieżęństwo? Nie dowiem się, nie pojedę na Krym, możliwe zresztą, że po grobach sprzed stu lat nie pozostał tam ślad, a księgi metrykalne w rewolucyjnej zawierusze zostały zniszczone.

Grób Kratiuków na cmentarzu w Orchówku przetrwał w dobrym stanie. Ktoś jeszcze do niedawna musiał czyścić kamień, z którego jest zrobiony, szlifować i malować litery inskrypcji. Może córka, podpisana na nagrobku: „Kochanym rodzicom Anna Czerwiaczuk”? Może wystawiła ten grób i pielęgnowała go troskliwie z tęsknoty za matką, której ciało zostało „w Rosji”?

Nazwisko Kratiuk pojawia się jeszcze raz na innym grobie. Jako A. Kratiuk, która funduje nagrobek siostrze. Eufemia zmarła jeszcze przed bieżęństwem, w 1909 roku, miała wtedy dwa latka. Paraskiewa była prawie dorosła; umarła w Rosji w 1916 roku w wieku szesnastu lat. Kratiuk to pewnie nazwisko fundatorki po mężu; panińskie to samo co zmarłe siostry, czyli Wortnik. Pewnie A. Kratiuk też była w Rosji, może właśnie na Krymie? Może jej mąż jest synem tych Kratiuków z sąsiedniego nagrobka?

Możliwe też, że za pozostałymi na zawsze w Rosji tęsknili ci, którzy leżą w nowej, uporządkowanej, już katolickiej części cmentarza? Krzyże są tu bez poprzeczki, znika cyrylica. Tylko nazwiska i imiona najstarszych pochowanych przypominają o dawnych dziejach tych ziem. Eufemia i Onufry Chwedoruk, obydwójce rocznik 1900, pewnie byli w Rosji. Horszczarukowie, rocznik 1906 i 1909, też. W nagrobkach następnych pokoleń ruskie imiona zostają zastąpione przez inne, niepozostawiające wątpliwości co do polskości ich posiadaczy: Rajmund, Zygmunt, Teresa, Jadwiga. Zostają tylko zakończone na „-uk” nazwiska. I brak pamięci; także o bieżęństwie.

*

Jeden z bohaterów *Wierszalina* Włodzimierza Pawluczuka, dziesięcioletni chłopiec, latem 1915 roku po sprzeczce z matką wyrwa się jej, wyskakuje z wagonu i biegnie przed siebie. Bieżęński pociąg rusza, matka nawołuje syna, wychyla się, prawie wypada. Wyskoczyć nie może – w wagonie ma młodsze dzieci. Pawluczuk opíše dalszy los chłopca, matka z bieżęństwa nie wróci.

Ale najczęściej to rodzice zagubionych dzieci wracają. To chyba emocjonalnie jeszcze trudniejsze. Bo jak wspominać dziecko? Jak się modlić? Wymieniać imię

podczas panichidy za zmarłych czy modlitw za żywych? Kiedy pożegnać nadzieję na odnalezienie? Czy w ogóle można pozwolić sobie na żałobę?

Takie historie wciąż opowiada się na Podlasiu. Jak w rodzinie Anny Kisielewskiej-Baturo. Jej pradziadkowie siedzieli w powrotnym pociągu w Moskwie, gdy gdzieś zapodział się ich syn Józef, może jedenasto-, może trzynastoletni. Na darmo szukali; na darmo nawoływali, gdy pociąg odjeżdżał. Wsiąść nie mogli – to był ostatni powrotny pociąg dla bieżęńców. Matka Anny, opowiadając o swoich dziadkach, mówiła: „Wyobrażasz sobie, jak to jest zostawić swoje dziecko na dworcu w wielkim mieście, w czasie gdy szaleje wojna i rewolucja, i nie wiadomo, czy samo przeżyje i czy kiedykolwiek się odnajdzie?”. Gdy Anna słuchała tego jako młoda dziewczyna, nie wyobrażała sobie. Teraz po latach, gdy sama jest matką, tym bardziej sobie tego nie wyobraża.

W latach pięćdziesiątych, trzydzieści lat po powrocie, do pradziadków Anny Kisielewskiej-Baturo przyszedł list z Polskiego Czerwonego Krzyża. To zagubiony na moskiewskim dworcu Józef szukał rodziny. Był tramwajarzem w Czerniachowsku, miał żonę i dzieci. O reakcji na ten list, czy ktoś z rodziny wierzył jeszcze, że Józef się kiedyś odnajdzie, wspomnienia jednak milczą.

*

Odnajduję kilka nieprawdopodobnych historii o spotkaniu rozdzielonych.

W obu trwa II wojna światowa, przyszli „drudzy Sowietci”. Bohaterem jednej jest młody żołnierz, weterynarz, który podczas postoju w Narewce ciężko choruje. Kładą go u Natalii – kobiety z nie najlepszą reputacją: z bieżęństwa wróciła z Kozakiem kubańskim (od nazwy: Kubań) i żyje z nim; ponoć w ochronce w Rosji zostawiła syna. Teraz pielęgnuje chorego czerwonoarmistę z tak wielką troską, że ten mówi któregoś dnia: „Pani jest wspaniałą kobietą. Moja mama taka nie była”. Ale stan chłopaka się pogarsza, wiozą go do szpitala. Natalia codziennie wozi mu jedzenie, choć mąż się sprzeciwia. Po śmierci żołnierza wyjawia, że to był jej syn, który został w rosyjskim przytułku.

W podobnym czasie, co syn Natalii, ma się odnaleźć Anatol, którego ojciec oddał malutkiego do sierociego wagonu w Mińsku, gdy po drodze umarła mu żona. Siostra Anna Jefimiuk szuka go uparcie; wysyła zapytania wszędzie, gdzie się da. Po II wojnie ktoś jej donosi, że Anatol jest w Białymstoku, przyszedł z sowieckim wojskiem. Gdy jedzie się z nim spotkać, mówią jej, że służy gdzieś w okolicy Bielska, ale adresu nie podają. Potem jedzie brat Anny, słyszy tę samą odpowiedź. „To znaczy, że brat przeżył” – będzie powtarzać rodzeństwo oddanego dawno temu Anatola.

Zastanawiam się, czym są te opowieści. Czy historią nieprawdopodobnych zbiegów okoliczności? Przeznaczenia? A może po prostu próbą uspokojenia wieloletniej tęsknoty i trudnych do przeżycia emocji związanych ze stratą najbliższych?

*

Żenia Gamułczycha – tak na nią mówiono – mieszkała w połowie drogi z Knyszewicz do mojego domu na kolonii. Pamiętam, że rosły u niej wspaniałe czerwone porzeczki, wiśnie i żółte śliwki. Latem, gdy jeździliśmy rowerami do wsi, zrywaliśmy je ukradkiem.

Ponoć Żenia miała fantastyczną pamięć. Śpiewała w cerkiewnym chórze, podpowiadała batuszce jego kwestie w czasie nabożeństw. Nie zdążyłam z nią porozmawiać, umarła kilka lat temu. Choć Tamara Kuryłowicz, która mieszkała niedaleko niej, mówi, że o bieżeństwie niewiele opowiadała. Wspominała jedynie zmarłą w Rosji matkę albo to, że jak wracali, bardzo chciała zobaczyć Knyszewicze. Ale kiedy przyjechali do Sokółki, ojciec od razu oddał ją na służbę i powiedział, by nie przychodziła do wsi, zanim nie zarobi na sieczkarnię.

Już jako starowinka, kobieta postanowiła odnaleźć matczyny grób. W Rosji mieszkała jej młodsza siostra. Po śmierci matki trafiła do ochronki dla dzieci, została potem lekarzem. Żenia pojechała do niej, zaczęła namawiać na wyjazd do Donskoje. „Ale Żenia, tyle lat minęło, my już tam nie trafimy. A może i tego grobu już nie ma?” – zniechęcała ją siostra.

Ale Żenia nie ustąpiła. Poleciały samolotem, siostra mieszkała w innej części kraju. I Żenia odnalazła grób. Ponoć trafiła bezbłędnie, jakby była tam wczoraj, choć przecież minęło co najmniej pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt lat. Zaczęła płakać, wypowiadać wszystkie żale, których nazbierała przez lata całe morze. Siostra się przestraszyła. „Żałuję, że cię tu przywiozłam. Nie przypuszczałam, że będziesz tak reagować. Po tylu latach?”

Żenia nie słuchała. Wypłakała się, wyżałiła, wypowiedziała wszystko, co chciała powiedzieć matce. Potem znalazłą gałęzią podparła walący się już krzyż, wyrwała rosnące wokół grobu chwasty. Zrobiła to, co córka winna jest swojej matce.

„Dziękuję. Teraz będzie mi lżej. Będę mogła spokojnie umrzeć” – powiedziała do siostry na pożegnanie.

Gdy myśli o dzieciństwie, widzi Kazań

Ze ściany patrzą kolejne pokolenia Jasińskich; zdjęcia układają się w drzewo genealogiczne. Obok arabskie inskrypcje. Na półkach stoją księgi po arabsku; rozpoznają też Koran. Jestem przecież u tatarskiego imama. Na wyższej półce cały rząd książek o Kazaniu, w większości po rosyjsku.

*

Gdy w 2012 roku zaczynam zajmować się bieżąco, szukam kogoś, kto świadomie przeżył ten czas. Pytam u znajomych, w parafiach, w urzędach gminy. Trafiam na kilka osób urodzonych w Rosji, ale najczęściej wracali jako niemowlęta i bieżąco znają z opowieści rodziców.

Ktoś mi mówi, że w jednej ze wsi mieszka człowiek z 1910 roku, w świetnej formie, z fenomenalną pamięcią! W chwili wyjazdu miał pięć lat; wracał jako dwunastolatek. Jadę. Początkowo jest niezbyt rozmowny, zaraz jednak się rozgaduje. Ale z opowieści orientuję się, że musi być dużo młodszy, niż zapisano w dokumentach. Z Rosji nie pamięta prawie nic.

Babcia znajomej urodziła się w 1917 roku, ponoć sporo pamięta. Chcę jechać, ale jej rodzina nie zgadza się na spotkanie. Dla babci to była duża trauma i nie chce do niej wracać – mówią.

Gdy jeżdżę po wsiach i podczas rozmów dopytuję o najstarszych, kilka razy słyszę, że w sąsiedniej wsi była taka kobieta, ponad sto lat miała i wszystko pamiętała, miejsca, daty, wydarzenia. Ale umarła ostatniej zimy albo jeszcze wcześniej.

Wtedy ktoś przysłała mi link do filmu Tomasza Wiśniewskiego o imamie Stefanie Jasińskim. Szczupły, starszy człowiek o pogodnej twarzy opowiada swoje życie. Zaczyna od wyjazdu do Rosji w 1915 roku; miał wtedy cztery lata. Jest podlaskim Tatarem, ma ponad sto lat i mieszka z córką Aiszą w jednym z białostockich bloków. Staram się o spotkanie. Modlę się, by zdążyć.

*

Mówi do mnie: *ziamlaczka*, krajanka, osoba z tych samych, bliskich sercu, ziem. Rozmawiamy jesienią 2014 roku^[56]; trochę po polsku, trochę *po prostu*. Ten drugi to język jego młodości, rozmowa w nim sprawia mu ogromną przyjemność. Z natury pogodny, gdy mówi *po prostu*, promienieje jeszcze bardziej. Cieszy się, że spotkał kogoś z rodzinnych stron. Jego Malawicze Górne i moje Knyszewicze dzieli osiem

kilometrów. Polnymi drogami to góra pół godziny jazdy rowerem. Samochodem – dziesięć minut.

Imam wypytuje mnie o Knyszewicze. Z uśmiechem opowiada o ludziach, których znał. To pokolenie moich dziadków, nie mogłam ich spotkać. Tamten świat to dla mnie barwna historia. Przez Malawicze położone na skrzyżowaniu dróg w poniedziałek na sokólski bazar jadą Żydzi z Odelska i Indury, wiozą hodowane w tamtejszych koloniach rolniczych jabłka. Na górcie za wsią stoi wiatrak, obok jest droga na Bobrowniki, skrót na Knyszewicze; nimi ludzie wiozą zboże do zmielenia.

Imam chodził tamtędy wielokrotnie, ja jeździłam rowerem albo samochodem. Kilka lat temu kolega fotografował tutejszy wiatrak dla „National Geographic” jako jeden z lepiej zachowanych typowych wiatrowych młynów na Wzgórzach Sokólskich. Niedawno ktoś go spalił, na jego miejscu sterczą dziś zwęglone belki. Za rok, dwa ktoś pewnie to miejsce zupełnie zaorze.

*

Imam Jasiński mieszkał tuż przy wiatraku, na początku Malawicz Górnych. To dawny zaścianek szlachecki, oprócz polskich rodzin jest też kilka tatarskich. Sąsiednie Malawicze Dolne zamieszkiwali chłopci. Imam wyciąga z teczki i pokazuje mi kilka kartek A4 z naszkicowaną drogą, domem, budynkami gospodarczymi. Z pamięci naszkicował siedlisko swojej rodziny sprzed I wojny. Tak jak je zapamiętał sprzed odjazdu do Rosji. Gdy wrócili, zastali ruinę. Zaczął rysować, gdy zorientował się, że jest ostatnim, który pamięta ten świat sprzed 1915 roku. A więc dwa domy, obora, stodoła, spichlerz, klon o średnicy półtora metra, który był widoczny z ostatniej góry pod Krynkami.

Z samego wyjazdu pamięta migawki. Pies Żuczek leży przed gankiem i wyje – nie pozwolili mu lecieć za dwoma drabiniastymi wozami, którymi pojechali. Potem Lida, gdzie porzucają fury i wsiadają to pociągów towarowych. Tłok, ścisk. Oni kierują się do Symferopola; wuj ojca jest tam ministrem spraw wojskowych, wysoko postawionym człowiekiem. Może dlatego pojechali? Z Malawicz Górnych w bieżąco ruszyło pięć rodzin; głównie Tatarzy. Polacy raczej zostawali. Z tatarsko-prawosławnych Kruszynian pojechała większość mieszkańców.

*

Słucham tego trochę jak bajki. Jest w niej smak *abrikozów* – imam wciąż mówi na morele z rosyjska – gdy Jasińscy wczesną jesienią 1915 roku przyjeżdżają na Krym. Tatar, u którego mieszkają, ma wielki ogród. Z okna domku letniskowego widać

ogromną polaną, chodzą po niej wielbłądy, imam Jasiński nie pamięta tylko – dwugarbne czy jednogarbne. Zjawiają się ubrane na białe dziewczęta z polewaczkami. Śpiewają. Ich dźwięczne głosy niosą się po okolicy.

Albo inny ogród. Tam stróżuje tata małego Stefana. Syn chodzi razem z ojcem. Kiedyś kupuje on dziecku zabawkową szablę. Stefan bawi się w ogrodzie, gdy widzi dzieci zbierające pilnowane owoce. Bierze szablę, leci, próbuje uderzyć, szabla się łamie. Zaczyna płakać. Chowa szablę pod poduszkę, ze strachu, że ojciec będzie krzyczał za jej zniszczenie.

Próżno w tych wspomnieniach szukać logicznie wyłożonych przyczyn wyjazdu, formalności, których należało wcześniej dopełnić, procedur przy wsiadaniu do pociągu, opisu, jak ich kwaterowano na miejscu, refleksji społeczno-politycznych. To nie są sprawy dzieci.

*

Podobnie wygląda wiele ze znanych mi wspomnień. Spisywano je z opowieści tych, którzy w 1915 roku byli dziećmi. Los rodziny i wszystkie sprawy bytowe były w rękach ich rodziców. Oni pamiętają dziecięcą baśń.

To musi wpływać na dzisiejszy obraz bieżącej rzeczywistości. Często trochę bajkowy, trochę naiwny.

*

Jasińscy nie zagrzewają miejsca na Krymie. Ojciec choruje. Klimat mu nie odpowiada, szkodzi mu też tutejszy biały chleb. Stefan idzie czasem do wojskowej karczmy (koszarów) po razowy, ale to niewiele pomaga. Płyną do Kazania, przepelniony statek w porcie zaczyna tonąć. Gdy część ludzi wysiada, odbijają od brzegu.

W Kazaniu spędzają siedem lat. Z początku tego czasu Stefan ma zwykłe chłopięce wspomnienia. Chodzi do szkoły rosyjskiej i do religijnej, gdzie uczy się po tatarsku i arabsku. Jeździ z ojcem na zebrania bieżących; są tu Tatarzy, prawosławni, katolicy; burzliwie o czymś radzą. Zakrada się do sąsiedniego sadu. Właściciel go łapie, zamyka w komórce i gdy chłopak już się żegna z życiem, przychodzi mama.

Ojca – pracownika poczty – wysyłają do pracy gdzieś w terenie. Zabiera on ze sobą troje starszych dzieci, w tym Stefana. Płyną Wołgą, potem Kamą. Matka z trojgiem najmłodszych zostaje w Kazaniu; w Kazaniu, jak mówi imam Jasiński. Potem ojciec choruje, matka zabiera dzieci. Jest zima, mkną trojką po zamrożonej Wołodze jak po autostradzie, tylko wiatr rzuca nimi to na lewo, to na prawo. Na pogrzeb ojca nie dojadą: właśnie zaczyna się wiosna, trzeba poczekać, aż Wołgą spłynie kora i znów ruszą statki.

Potem wspomnienia robią się coraz bardziej dorosłe; coraz bardziej świadome realiów; tak jakby siedmioletni Stefan szybko dorastał. Rewolucja, Kołczak, Kiereński, kwadratowe pieniądze *kierenki*, Denikin; w końcu Lenin i bolszewicy. Chłopak wychodzi w Kazaniu przed bramę domu, w którym mieszkają. Widzi wielkie jezioro Kaban, na brzegu mnóstwo ludzi. To bezdomni. Umierają z głodu. Przed ich bramą leży chłopak, może w wieku Stefana. Chyba trup. Podchodzi kobieta, wkłada mu do ust rozmoczone suchary. Chłopak ożywa. Je łapczywie.

W 1922 roku Jasińscy jadą do Polski ostatnim transportem. Matka ciężko pracuje, dzieci pomagają, jak mogą. Odbudowują się. Stefan się uczy, to tradycja w jego rodzinie. Powoli odnajduje się w ówczesnym świecie, jako dojrzały człowiek zostanie imamem.

Film, który o stuletnim imamie Jasińskim nakręcił Tomasz Wiśniewski, nosi tytuł *Bóg prowadzi mnie za rączkę*. Jest w nim ciężka praca, bywa nędza, jest podziw dla matki, która sama w zrujnowanym świecie wychowywała sześcioro dzieci. Ale zasadniczo wspomnienia te są dość jasne, bez tych ciemności, tej straszliwej szarpaniny z opowieści prawosławnych mieszkańców Podlasia.

Może to kwestia osobowości imama Jasińskiego, jego niezwykłej pogody ducha? A może jako członkowi tatarskiej społeczności, nie tak zniszczonej bieżącym światem, było mu łatwiej? Może jego Bóg nie umarł? Jego świat nie zawalił się tak zupełnie jak świat prawosławnych sąsiadów? A może pomagało wykształcenie rodziny i obycie w świecie, których nie mieli moi dziadkowie z Knyszewicz i ich sąsiedzi?

*

Imam Jasiński, gdy myśli o dzieciństwie, widzi Kazań. Jest w nim wszystko. Piękne miasto, okazałe cerkwie i strzeliste minarety meczetów. Wspaniałe sady, do których się wciąż zakrada. Barwny ludzki tłum, zabawy z rówieśnikami. Ale czasem pojawia się i to, o czym chciałoby się zapomnieć. Śmierć. Głód. Stołówka amerykańska, w której każdemu dziecku dają kanapkę i zupę. Stefan idzie z kanką, przelewa zupę, kanapkę wkłada do kieszeni i niesie do domu. Mama rozcieńcza zupę wrzącą wodą i cała rodzina się tym żywi.

„Tak, dzieciństwo to Kazań – uśmiecha się. – O tym się nie zapomina. Im człowiek starszy, częściej się do tego wraca”.

Spoglądam na półkę z książkami o Kazaniu, które zauważyłam na początku. „Sentyment – mówi imam Jasiński. – Chcę dowiedzieć się, jak tam teraz jest, zobaczyć to choć na zdjęciu. Spędziłem tam przecież tyle lat. Kiedyś chciałem pojechać, ale się nie udało. A skąd mam książki? Czasem ktoś przyjeżdża, czasem pisze listy i przysyła

książki. Skąd kontakty? Jak się człowiek czymś interesuje, one same przychodzą. Kiedyś na przykład przypadkiem poznałem człowieka stamtąd, który w Niemczech pracował jako dyrektor zajmujący się fontannami. Przywiózł mi mnóstwo bardzo ciekawych książek o Kazaniu. Po tatarsku i po rosyjsku. Przysyłał je też pocztą. Kilku takich znajomych i uzbierała się spora biblioteka”.

Kiedy mówią, że w Rosji nic nie ma, nie wierzę

Gdy w latach siedemdziesiątych Fiodor Młodzian jedzie na Syberię, przed oczami ma tamtejsze bogactwo z czasu pierwszych lat bieżęństwa, które zapisała jego dziecięca pamięć – w 1915 roku miał osiem lat. W rzekach szczupaki, dwadzieścia–trzydzieści kilogramów każdy. Wystarczy wejść do lasu, by przynieść zajaca czy dorodną sarnę. W każdym gospodarstwie osiem koni, trzydzieści dojnych krów. Pszenica tak bujna, że podobnej nigdy nie widział, gospodarz stawia latem trzydzieści–trzydzieści pięć stogów. Domy dziesięć na dziesięć metrów, z okrągłaków, kryte gontem. U nich w Dubiczach Cerkiewnych nikt tak bogato nie żyje nawet dziś – jest przekonany.

Fiodor chce zobaczyć świat, w którym spędził dzieciństwo i za którym gdzieś w głębi serca tęskni. Choć ma już prawie siedemdziesiąt lat, przed wyjazdem kipi od emocji jak dzieciak.

*

W wiosce Bieriozowka wciąż żyją kuzyni Fiodora, których rodzice przyjechali z Dubicz jako osadnicy na początku XX wieku i z którymi chłopak bawił się w bieżęństwie. Wujków, ich rodziców, już nie ma – bolszewicy uznali ich za kułaków i zabili.

Gdzieś powinien żyć też młodszy brat ojca, Aleksiej. Wyjechał razem z nimi w 1915 roku. Był bardzo zdolny i gdy oni wracali, został w Rosji, by się uczyć. Raz nawet przysłał list. Pisał, że skończył Instytut (nikt nie pamięta, jaki dokładnie), jest inżynierem, ma żonę, dzieci, żyje im się dostatnio. Przysłałby trochę pieniędzy, ale „nie chodzą” one w sanacyjnej Polsce. I więcej się nie odezwał.

*

„Gdyby w Rosji dziś było tak jak wtedy, ludzie nie chcieliby umierać” – mówi Nadzieja Nesteruk z Ochrymowców, gmina Narewka.

Dobrobyt, bogactwo niespotykane nigdzie na świecie. Kraina mlekiem i miodem płynąca. Ten mit troskliwie pielęgnowany jest wśród wielu potomków bieżęńców do

dzisiaj. Opowieść o dostatku przerywa wprawdzie rewolucja, sielanka trwa więc ledwo dwa lata. Potem przez trzy–cztery lata są bratobójcze walki, głód, choroby; trzeba uciekać. Ale w opowieści o pobycie tam i tak przeważają wspaniali ludzie i dobrobyt. „Po drodze o nas bardzo dbali, i dlatego ci, co byli w bieżenstwie, ciepło wspominają naród rosyjski, bo lepszego w świecie nie ma” – mówi jedna z bieżenek.

W micie nie ma miejsca na prawdziwy obraz ogarniętej kryzysem Rosji tuż przed wybuchem rewolucji. Nie mieści się z nim katastrofa wielkiego odwrotu 1915 roku, której bieżenicy byli ofiarami. Mit rządzi się swoimi prawami.

Nadzieja Nesteruk, która po latach powie, że „gdyby w Rosji dziś było tak jak wtedy, ludzie nie chcieliby umierać”, w 1915 roku ma cztery lata. Po drodze w bieżenstwo jej rodzina traci cały dobytek; ginie także jej ojciec. Zostaje matka z trojgiem dzieci. Gdy dojeżdżają na miejsce, kobieta idzie do pracy, pracują też jej starsze dzieci. Najmłodsza Nadzieja zapamiętała z tego czasu głównie szczodrość miejscowych ludzi. „Zanim mama wróci z pracy, stół u nas był już zastawiony. Gospodynie przynosiły. Jedliśmy do woli, co tylko dusza zapagnie”. Oraz to, co mogło zobaczyć kilkuletnie dziecko: „Tam rzeka była, i góry. Rosyjscy ludzie bardzo dobrzy i bogaci. Stogi pszenicy stały tak wielkie, że strach; dzieci na tych stogach urządzały sobie wspinaczki”.

Inna sprawa, że powrotu do rodzinnej wioski Nadzieja też nie wspomina źle, choć „chodziła po ludziach i prosiła o jedzenie”, a potem – jako dziesięcioletnie dziecko – z bratem jeździła do lasu i ładowała kłocę na budowę domu, które później pomagała piłować.

Podobnie wspomina Fiauronia Stocka, która przecież w bieżenstwie przeżywała nie tylko sielankę: w szpitalu w Omsku umarła jej siostra, potem też różnie bywało. „Tam było tak dobrze. Teraz mówią, że nic tam nie ma. Ja w to nie wierzę” – mówi po latach.

*

Jest rok 1933; chłopcy z całej Rzeczypospolitej piszą pamiętniki na konkurs organizowany przez Instytut Gospodarstwa Społecznego. W Wólce Wygonowskiej pod Kleszczelami Pawlik tłumaczy na polski to, co wcześniej notował po rosyjsku.

We wsi Zawady w powiecie łomżyńskim swoje przeżycia spisuje Julian S. Był sierotą, miał ciężkie życie. Wychowywała go babcia alkoholiczka, potem krewni, dla których był darmowym parobkiem. Przed wojną ożenił się i stanął na nogi. Kupił ziemię, cztery morgi, konia, wóz, pług, bronę. „Kiedyś, za rosyjskich czasów, można było przy oszczędności na wszystko zarobić” – podkreśla. Gdy jako bieżeniec trafia pod Czernihów, notuje: „Rosyjski naród można pochwalić, bo głodu tam nie cierpieliśmy, a byliśmy tam prawie trzy lata”. W 1933 roku żyje mu się ciężko. „Nie będę chwalił

czasów rosyjskich, w których przeżyliśmy długie lata, a nie będę ganił czasów polskich, w których żyjemy obecnie” – zaczyna, robi jednak to, czego nie zamierza. Bo za rosyjskich czasów był w stanie zarobić na wszystko, czego potrzebuje. A teraz, za Polski, nie może nawet pójść do kościoła, bo nie stać go na buty.

„Nie należy dziwić się, że wieś bardzo chętnie wspomina rosyjskie czasy przedwojenne, bo oczywiście miała w nich bez porównania lepiej” – pisze „Gospodarz na niepodzielonej schedzie szesnastomorgowej w pow. łączyckim”. I dodaje: „kiedyś przyjdą podobne przedwojennym czasy, w których wieś będzie mogła pozwolić sobie na lepsze odżywianie”.

Nostalgia za dawnymi, przedwojennymi czasami, o której mówią też chłopi z innych zaborów, rozplynie się wraz z nadchodzącą II wojną i wszystkim, co ona przyniesie. Pamięć o czasach sprzed I wojny zresztą w ogóle odejdzie. Na dłużej przyjmie się u prawosławnych na Podlasiu, głównie potomków bieżeńców.

*

Fiodor Młodzian nie odnajduje we wsi Bieriozowka na Syberii krainy mlekiem i miodem płynącej. „Zobaczyłem tam wielki kołchoz, *bardak* [bałagan] i biedę” – będzie opowiadał po powrocie sąsiadom.

Poznaje też historię stryja Aleksieja, który pisał, że jest inżynierem i chciał słać pieniądze. Już podczas studiów zaczęto na niego patrzeć jak na obcego i podejrzanego. Uciekł więc do Władywostoku, skończył uczelnię, zaczął pracę, ożenił się, ułożył sobie życie. Ale i tam dopadła go stalinowska ręka. Zginął gdzieś w obozie karnym. To, ścisząc głos, opowiedział mu daleki kuzyn mieszkający w Moskwie. Wielokrotnie spotykał się z Aleksiejem, lubili porozmawiać po wioskowemu.

Fiodor wraca przygaszony, smutny. Nie wszyscy we wsi wierzą w jego historie. Niemożliwe, by ten wspaniały kraj z bieżeńskich opowieści tak wyglądał! Rozmowa często się nie klei. Możliwe, że zbyt mocno burzy ona mit, którego bieżeńcy na Podlasiu wciąż potrzebują.

To, co zostało

Pamięć

W pamiętniku wysłanym na konkurs Instytutu Gospodarstwa Społecznego Pawlik pomija pobyt w bieżenstwie. Tłumaczy: „Z Rosji wróciłem w grudniu 1918 roku, ten czas naumyślnie opuściłem, sądząc, że dla Instytutu będzie nieciekawym. Nadmieniam tylko, że w Rosji zacząłem prowadzić pamiętnik i prowadzę go przez cały czas, prowadziłem do roku 1919 po rosyjsku – obecnie w języku polskim”.

Kilka razy wspomina o „wracających z Rosji” czy „pobycie w Rosji”. Słowo „bieżenstwo” tu nie pada.

*

W 1932 roku, rok przed tym, gdy Pawlik zacznie tłumaczyć na polski swój pamiętnik, w Warszawie ukazuje się *Historia społeczna*, część opracowania *Polska w czasie wielkiej wojny (1914–1918)*. Jeden z rozdziałów – pięćdziesiąt sześć stron – nosi tytuł: *Ratownictwo społeczne wśród mas wygnańców i uchodźców na wschód od linii walk pozycyjnych rosyjsko-niemiecko-austriackich*.

Zaczyna się cytatem z rosyjskiego pisarza Doroszewicza: „Oto idzie gubernia chełmska. Poznać ją można po uczesaniu kobiet...”. Autorzy rozdziału, Władysław Grabski i Antoni Żabko-Potopowicz, nie zgadzają się z opisem Doroszewicza. „To bezbrzeżne morze wygnańców nie stanowiło, jak on sobie wyobrażał, bezmyślnego, zrozpaczonego tłumu. Rozpacz i nędza były straszne, jednak te szare, wyrwane z ojczyzmy masy nie przestawały być żywą częścią Polski i w najkrytyczniejszych momentach nie zamarło w tej – rzuconej na nieznaną jutro – części ojczyzny serce i mózg...” – piszą.

Tym „mózgiem i sercem szarego polskiego tłumu” są załączki organizacji ratowniczych, głównie Centralny Komitet Obywatelski w Rosji, które opisują szczegółowo. To dzięki nim „masy wiejskiego ludu polskiego w pochodzie swoim w głąb Rosji od razu zajęły inne odrębne stanowisko niż wielka masa wygnańców, stłoczona na szosach i drogach i złożona po większej części z Rusinów i Białorusinów”.

Te opisy brzmią znajomo. Zachwytów nad polskim ludem na tle niebudzących sympatii autora „Rusinów i Białorusinów”, jest wiele w *Pamiętniku z wielkiej wojny* Władysława Glinki.

*

Może gdyby jakiś pisarz odczuwał jedność z „idącymi ławą Rusinami i Białorusinami”, w tej „masie wygnańców” dostrzegłby też „mózg, serce”, albo coś innego? Ale historia tych bieżenców żyje na wsiach, w rozmowach. Jedne opowieści przekazywane są dalej, urastają do rangi legendy; inne umierają wraz z opowiadającymi. Wygrywają ciekawsze i te, które bardziej odpowiadają społecznym, zwykle nieuświadomionym, potrzebom. Nikt nie zastanawia się nad terminologią, nie dyskutuje, czy to uchodźcy, czy wygnańcy. Nazywano ich bieżencami, dlaczego mieliby o sobie mówić inaczej? Nikt świadomie nie kształtuje powstającego przekazu.

*

Pamiętnik z wielkiej wojny Władysława Glinki czytam w wersji zdigitalizowanej przez Chełmską Bibliotekę Cyfrową. W skanowanym egzemplarzu ktoś porobił podkreślenia czerwonym i zielonym długopisem.

Cały fragment ze słowami: „Czyż ten nieszczęsny, dziki lud białoruski, tak starannie w nieprzeniknionej ciemności trzymany przez Rząd rosyjski, można uważać za duchowego pana tej ziemi?” – został zaznaczony naprzemiennie dwoma czerwonymi i dwoma zielonymi pionowymi kreskami z prawej i z lewej strony tekstu. Dodatkowo na zielono podkreślono słowa: „Jedynie Polacy przedstawiają tu żywioł zarazem zakorzeniony i kulturalny, rozwojowy”.

Zupełnie niepodkreślone pozostają słowa: „Źle się spisuje polska szlachta na wygnaniu. Piszą sobie fantastyczne protokoły, podają zasiewy i zapasy o 100% większe od rzeczywistych, uzyskują poświadczenia od wójtów i dostają masę gotówki”.

*

Na początku lat dziewięćdziesiątych Polska żyje wolnością i zmianą. Środowiska mniejszości narodowych też.

Doroteusz Fionik, Białorusin z Bielska Podlaskiego, z księdzem Grzegorzem Sosną przygotowują monografie okolicznych wsi i parafii prawosławnych: Bielska Podlaskiego, Rybołów, Orli. Największy problem mają z I wojną i bieżenstwem. Materiałów jest niewiele. W polskich opracowaniach bieżenstwo nie istnieje; tu ważne są zabory, potem odzyskanie niepodległości. W historiografii rosyjskiej i białoruskiej – rewolucja październikowa; I wojna jest do niej przypisem, bieżenstwa nie ma zupełnie. Fionik i ksiądz Sosna, potomkowie bieżenców, są przekonani, że dla tutejszych ludzi

to najważniejsze wydarzenie XX wieku. W każdej z monografii tworzą więc rozdział *Bieżeństwo*.

W 1995 roku, gdy zbliża się osiemdziesiąta rocznica, Doroteusz Fionik przygotowuje wystawę o bieżeństwie. Z Ireną Matus i Olegiem Łatyszonkiem, też Białorusinami, zbierają dokumenty po wsiach, jeżdżą do archiwów i bibliotek w Mińsku. Na wernisaż w muzeum w Bielsku Podlaskim przychodzą ostatni żyjący bieżeńcy. Wśród prelegentów są naukowcy z Białorusi oraz z Białegostoku, ale jedynie z białoruskiej mniejszości. Recenzje zamieszczają media. Ale tylko mniejszościowe.

*

Pięć lat po ukazaniu się po białorusku wspomnień *Bieżanstwa 1915 hoda* w Łomży wychodzi pierwsza literacka opowieść o uchodźstwie 1915: *Bieżeńcy* Bożeny Diemjaniuk.

Autorka jest z rodziny mieszanej: ojciec z prawosławnej wsi nad Narwią; matka z katolickiej, na zachód od Białegostoku. Wychowana w katolickim środowisku, ma polską tożsamość. Boli ją jednak nieobecność w historiografii części jej białoruskiej rodziny. „Los Białorusinów będących obywatelami Rzeczypospolitej jest przecież częścią historii naszego kraju” – stwierdza we wstępie do pracy dyplomowej o bieżeństwie. Po obronie pisze książkę. „Prawosławną” treść łączy z „katolicką” formą: ostatnia część książki to rodzaj nabożeństwa Drogi Krzyżowej.

Ojciec pani Bożeny po ukazaniu się książki powie: „Po coś ty to napisała? Teraz będą mówić na ciebie kacapka”. W jego pokoleniu bezpieczniej było ukrywać tożsamość. Pamięć o powojennych pacyfikacjach prawosławnych wsi była żywa i bliska. Poza tym kacapa mogli nie przyjąć do szkoły, a jeśli już, to stawiać gorsze stopnie, wyśmiewać. A potem prześladować w pracy.

*

Książka *Tułaczy los. Uchodźcy polscy w imperium rosyjskim w latach pierwszej wojny światowej* Mariusza Korzeniowskiego, Marka Mądzika i Dariusza Tarasiuka, wydana w Lublinie w 2007 roku, jest – jak czytamy na okładce – „pierwszym polskim tak kompleksowym opracowaniem na temat losów Polaków w Rosji w czasie pierwszej wojny światowej”.

Ta solidna, zawierające wiele historycznych faktów pozycja, na Białostocczyźnie jest jednak prawie nieznaną. Zresztą po pobieżnym przejrzeniu tutejszy zainteresowany mógłby się nie zorientować, o czym jest ta książka. „Tułacze”, „wygnańcy”, „Centralny

Komitet Obywatelski”, „wychodźcy z guberni łomżyńskiej”. Te słowa nic mu nie mówią. Zupełnie nie kojarzą się z opowieścią o bieżenstwie, którą zna.

*

Gdy wydaje się, że historia bieżenstwa odeszła wraz z ostatnimi uczestnikami tamtych wydarzeń, zaczyna ją odkrywać pokolenie wnuków i prawnuków.

Tomasz Sulima, dziś dziennikarz i działacz mniejszości białoruskiej, jako czternastolatek trafia na *letnik* do Hryniewicz. Spisuje tu wspomnienia najstarszych mieszkańców, głównie o bieżenstwie. Tomka dziadkowie też o nim ciągle opowiadali. „Ale tak naprawdę nie miałem pojęcia, o co chodzi. Jaka Rosja? Jaka wojna? Interesowała mnie piłka nożna i komputery” – wspomina. W Hryniewiczach słucha opowieści o prostych ludziach, którzy zostawili swój świat, pojechali tysiące kilometrów przed siebie i przetrwali, a po latach wrócili na swoją ziemię. „Wtedy to abstrakcyjne pojęcie bieżenstwa zaczęło mi się krystalizować”.

Pawła Grzesia, artystę fotografa z Gródka, rocznik 1983, w dzieciństwie uwodzi opowieść o kolei transsyberyjskiej. Pradziadkowie jechali nią przez miesiąc do Władywostoku, ponad dziesięć tysięcy kilometrów. Oni, prości białoruscy chłopci. A ojciec, już miastowy, bo przeprowadził się do Gródka, najdalej był w Mińsku, trzysta kilometrów!

Gdy jako student Paweł zaczyna podróżować po Białorusi, myśli: a dlaczego nie Władywostok? Z kolegą za dziesięć złotych dojeżdża *elektryczką* do Grodna, tam za trzysta pięćdziesiąt złotych kupują bilet na kolej transsyberyjską. Trasę, która dziadkom zajęła miesiąc, pokonują w dziesięć dni. We Władywostoku śpią na plaży, kąpią się w Morzu Japońskim. Jest lato, wilgoć, człowiek straszliwie się poci. Miasto nie zachwyca. Trochę drewnianej architektury z końca XIX wieku, z piecami kaflowymi. Charakterystyczny sowiecki styl.

Paweł czuje jednak ulgę. „Jakby powietrze ze mnie zeszło. To było spełnienie wewnętrznej ciekawości, jak tam jest, choć wiem, że od 1915 roku wiele musiało się zmienić. [...] Jakbym jakiś rozdział zamknął” – opowiada mi w wywiadzie dla portalu Bieżenstwo.pl.

*

Marek Orciuch w 2000 roku jest dziennikarzem „Kuriera Porannego”, regionalnego białostockiego dziennika. Gdy nowy naczelny pyta o ciekawe tematy, mówi o bieżenstwie. Ten nie zna zagadnienia, dopytuje: „Kto jeszcze o tym pisze?”. Media

prawosławne i białoruskie. Zapada cisza. Chyba nie udźwigną, jeszcze coś zadrażnią w lokalnych stosunkach. Może wróćą do tego, jakby znaleźli dobrego rozmówcę.

W czerwcu 2011 roku, gdy Marek pracuje już gdzie indziej, „Kurier Poranny” zamieszcza rozmowę z księdzem Grzegorzem Misijukiem, prawosławnym duchownym znanym z audycji w lokalnym radiu. Czuć napięcie. I nie tylko wtedy, gdy dziennikarz Tomasz Mikulicz pyta o winnych bieżenstwa, sugerując, że są wśród nich prawosławni duchowni. Ksiądz Grzegorz Misijuk odpowiada wymijająco: „Panika rodzi obsesyjny strach. Batuszka mógł w cerkwi powiedzieć, że idzie wojna i niech każdy ratuje się jak może. Wierni mogli zrozumieć to jako zachętę do ucieczki”.

Gdy dziennikarz mówi, że „środowisko prawosławne powinno więcej niż do tej pory o tym mówić, tak by problem ten zaistniał w świadomości ludzi”, ksiądz Misijuk przyznaje: „To prawda, że jest taka potrzeba. Musimy przełamać tu pewne stereotypy, jak chociażby ten mówiący o tym, że skoro uciekali do Rosji, to po co wracali i czego tam jeszcze chcieli. Trzeba jednak pamiętać, że o bieżenstwie należy mówić słowami, które nie ranią”.

Kogo miałyby ranić? Dlaczego? Gdzie jest punkt sporny? Tego ani rozmówca, ani dziennikarz nie precyzują.

*

W lutym 2014 roku uruchamiam blog Bieżenstwo.pl. Zamieszczam tu informacje o wydarzeniu, mapę poglądową, kilka zdjęć, tytuły lektur i swoje rodzinne wspomnienia. Zakładam też profil na Facebooku. W ciągu dwóch godzin ma on dwieście lajków i wiele udostępnień.

Pojawiają się komentarze, przychodzą listy. Oprócz wnuków i prawnuków bieżenców spod Bielska, Hajnówki, Gródka, Sokółki, piszą ludzie z okolic Łomży, Zambrowa, Siedlec. Odkryli, że ich przodkowie też byli w 1915 roku w Rosji. Są pytania o losy konkretnych rodzin, o materiały w archiwach. Przeważa jednak tęsknota za tymi, którzy opowiadali o bieżenstwie. Jak u Anny: „Babci nie ma już 4 lata, zmarła, mając 100 lat. Ta strona jest dla mnie przedłużeniem jej opowieści, których tak bardzo mi brakuje”. M. Kamińska tęskni za matką, która umarła w 2012 roku, miała dziewięćdziesiąt sześć lat. Często wracała do wspomnień. „[...] czytając tutaj historie innych rodzin, mam wrażenie, jakbym odnalazła część tego, co niestety gdzieś umknęło, co już jest nie do odtworzenia, tylko żal został...”

*

Rok 2015. Setna rocznica bieżenstwa. Dużo się dzieje. Kilka konferencji naukowych, wiele wykładów i spotkań. Spektakle: jeden wystawiony przez Teatr Dramatyczny imienia Aleksandra Węgierki w Białymstoku; drugi w języku okolic Bielska i Hajnówki, przygotowany przez niezależną artystkę Joannę Troc i czworo licealistów. Co najmniej dwa przedstawienia teatrów dziecięcych, do tego szkolny teatr cieni. Dwie podróżujące wystawy o bieżenstwie, jedna jest nawet pokazywana w Sejmie. Rajd motocyklowy śladami bieżenstwa. Plener rzeźbiarski. Rekonstrukcja historyczna. Mural w jednej z lubelskich galerii. Kilka broszur i ulotek, powieść wspomnieniowa, książka o bitwie pod Bielskiem z rozdziałem o bieżenstwie, drugie wydanie *Bieżanstwa 1915 hoda*, kilka książek w przygotowaniu. Konkurs dla dzieci, młodzieży i dorosłych, mający przywracać pamięć o bieżenstwie. Artykuły w mediach, audycje i reportaże radiowe i telewizyjne. Jedno z białostockich rond, mimo protestów prawicowych radnych, zostaje nazwane rondem Pamięci Bieżenstwa 1915 roku.

Większość wydarzeń ma miejsce na Podlasiu; kilka na Chełmszczyźnie i Lubelszczyźnie. Dla środowisk prawosławnych, białoruskich i ukraińskich bieżenstwo staje się tematem roku. Po raz pierwszy też wychodzi z mniejszościowego getta.

*

Agnieszka Korytkowska-Mazur wychowała się w Łomży, o bieżenstwie po raz pierwszy usłyszy, gdy w 2012 roku zostanie dyrektorką białostockiego Teatru Dramatycznego. Im więcej o tym słucha i czyta, tym bardziej jest przekonana, że wiąże się ono z dzisiejszymi trudnymi relacjami na tym terenie, których wciąż nie może zrozumieć. Robi spektakl *Bieżenicy. Exodus*.

„Gdy pracowaliśmy w plenerze, w Sokołach, podchodzili do nas ludzie i pytali – a czy to naszych brali, czy *ruskich*? Podział na »my–oni«, »nasze–ich« jest na stałe wpisany w Podlasie” – opowie mi w wywiadzie dla portalu *Bieżenstwo.pl*.

*

Wioleta Szymusiuk-Poreda, gdy zaczyna pracę jak producentka spektaklu *Bieżenicy. Exodus*, przypomina sobie o starym zeszycie w linię. Przynosi go reżyserce Agnieszce Korytkowskiej-Mazur. „To zapiski dziadka. Nikt tego nie czytał, nie bardzo wiedzieliśmy, o czym to jest” – mówi. Otwierają na pierwszej stronie: „Pamiętam jakby sen moje życie, jak mój ojciec odchodził na wojnę 1914 roku z pierwszej mobilizacji i pozostawił nas w Topolanach... Matkę i nas, troje dzieci – ja byłem najstarszy, miałem siedem lat, siostra pięć lat, brat dwa lata – pamiętam, jak Kozaki na koniach jeździli i nas z wiosek wyginali do Rosji”.

Potem jest Orenburg, rewolucja, śmierć ojca, matka postanawia wracać. Cała bieżęńska historia Józefa Szymusiuka. Przeżył prawie dziewięćdziesiąt lat; wciąż chciał opowiadać dzieciom i wnukom, ale oni nie słuchali. Został wysłuchany dopiero po śmierci, gdy w Białymstoku zaczęto o bieżęństwie mówić. Całe spisane pod koniec życia bieżęskie wspomnienia aktorzy odczytali podczas spektaklu *Bieżęńcy. Exodus* w sierpniu 2015 roku. W swojej książce *Wojna mocarstw* zamieszcza je też Marcin Tomkiel.

Wiola myśli teraz o podróży z ojcem do Orenburga, śladami dziadka Józefa.

Tożsamość

Profesor Eugeniusz Mironowicz, historyk, pomysłodawca tomu *Bieżęństwa 1915 hoda*: „Wyrosło pokolenie prawnuków. [...] Próbują odtwarzać tę historię, piszą własny przekaz o tym, co się wtedy wydarzyło, piszą własne interpretacje. Nie wiem, może to początek jakiejś nowej mitologii, nowej legendy, która stanie się źródłem nowej tożsamości najmłodszego pokolenia?”.

*

Świadectwo niewiedzy. Tak Anna Szerszunowicz tytułuje swoją pracę na konkurs „Jestem, bo wrócili. Przywracanie pamięci w setną rocznicę bieżęństwa”. „Aż troje moich dziadków brało udział w bieżęństwie. Tak mi się wydaje, z udowodnieniem jest trudniej” – pisze. Rodzina przeniosła się do miasta, więzi się rozluźniły, przekaz się zerwał. Pamięć Anny jest więc raczej niepamięcią, wspomnienia – możliwe, że wytworem fantazji. Mimo to Anna zaczyna szukać. Wypytuje ojca, jedzie do ciotek, których właściwie nie zna, chodzi na poświęcone bieżęństwu spotkania. „Zadajesz sobie pytanie: kim tak naprawdę jestem? [...] Pracuję, mam dzieci. Ale kim jestem? Szukam, to jest moja próba odpowiedzi na to pytanie” – opowiada mi.

*

Joanna Troc, niezależna aktorka i reżyserka, czyta książkę Bożeny Diemjaniuk *Bieżęńcy*. Jest poruszona, historię zna z przekazu rodzinnego. Czuje, że dla niej i ludzi z jej środowiska to ważny temat. Gdy zbliża się setna rocznica bieżęństwa, robi spektakl z licealistami z Bielska i Hajnówki. W języku przodków, bo tak łatwiej wyrazić im emocje sprzed stu lat. Jej aktorzy o bieżęństwie nie wiedzą właściwie nic; trudno im poczuć tamte emocje, zrozumieć.

Po przedstawieniu ludzie, głównie potomkowie bieżeńców, klaszczą na stojąco, większość płacze. Ktoś podchodzi, by podziękować, ale nie może wydobyć słowa. „To był moment, gdy cała grupa przeżyła bieżęństwo. Coś pękło, już nie trzeba było nic tłumaczyć” – mówi Joanna Troc.

Ona sama poczuła też wspólnotę. „Pewne rzeczy nas jako potomków bieżeńców dzielą – mówi. – Jedni nazywają się dziś Białorusinami, inni prawosławnymi Polakami, inni w ogóle się nie określają, jeszcze inni stali się katolikami. Wiele ważnych świąt świętujemy osobno. A rocznicę bieżęństwa świętujemy razem. To jest wspólna historia, wspólna tożsamość”.

*

We wrześniu 2015 roku z laureatami konkursu „Jestem, bo wrócili” jedziemy do Tomka na Syberii. Mamy szukać potomków tych bieżeńców, którzy nie wrócili w rodzinne strony. Nasi rosyjscy partnerzy umawiają nas z działającymi tam polskimi stowarzyszeniami. Ale one zajmują się pamięcią o zesłanych za cara i przez NKWD; raczej historią elit niż chłopów. Typowego bieżęńca z guberni grodzieńskiej czy chełmskiej pewnie nie wzięliby za Polaka.

Trudno zrozumieć to Rosjanom, którzy podsuwają nam nowe kontakty do badaczy losów Polaków na Syberii. Tłumaczymy, że pochodzimy z terenów mieszanych etnicznie, z pogranicza, że nasi przodkowie byli *ruscy*. Dziś powiedzielibyśmy – to Białorusini lub Ukraińcy. Dostajemy więc kontakty do stowarzyszeń białoruskich i ukraińskich. Tam też kręcą głową. Niewiele słyszeli o bieżęństwie.

„To kim my jesteśmy? Z naszą historią trafiamy gdzieś do czarnej dziury” – denerwują się laureaci konkursu.

*

„Lud polski jak żebrak jedzie w obce strony” – czyta lektor TVP Historia. Opowiada o tułaczce po rosyjskich bezkresach, akcji antypolskiej w Związku Sowieckim, o strachu przed przyznawaniem się do polskości. Na zdjęciach widać ubranych w wyszywane *soroczki* ludzi, rozbrzmiewa *Wiecznaja pamiat'* z żałobnego nabożeństwa za bieżeńców. To relacja z inscenizacji wyjazdu latem 1915 roku, przygotowanej przez Doroteusza Fionika.

Potomkowie bieżeńców przesyłają sobie nagranie tego materiału. „Bieżeńcy jak sybiracy. Ciekaw jestem, czy to celowe zawłaszczanie pamięci, czy zwykła ignorancja” – pyta na facebookowym profilu Tomasz Sulima. Ludzie piszą, że bieżęństwo nijak ma się do polskiej martyrologii sybirackiej. Wpisanie go w tę narrację robi z bieżęństwa

inną opowieść. Nie mieszczą się w niej prawosławni chłopcy i ich doświadczenie. Jak więc opowiadać, by było to zrozumiałe dla Polaków i by wciąż była to historia bieżącego?

*

Jest grudzień; kończy się rocznicowy 2015 rok. Jeszcze rok wcześniej nikomu do głowy nie przychodziło, że o bieżącym będzie się tyle mówić. I że temat zacznie być tak ważny dla młodego pokolenia.

Aleksandra Czerniawska, malarka, autorka muralu *Bieżące*, mówi: „Teraz zdarzy się coś ważnego. Albo zrobimy z tego historię: zapiszemy, udokumentujemy, opowiemy. Albo to zniknie i już nie będziemy o tym pamiętać”.

Córka

„Mamo, opowiedz tę historię” – prosi moja czteroletnia córka. Leży w łóżku, właśnie wróciliśmy z poświęconej bieżącemu Nocy Muzeów w Białowieży.

„Jaką historię? – nie rozumiem. – Chcesz bajkę?”

„Nie. Opowiedz historię, tę, co na wykładzie” – mówi. Truchleję. Podczas Nocy Muzeów opowiadałam o narastaniu strachu w sierpniu 1915 roku. Czytałam wspomnienia, przy których zawsze przechodzą mnie ciarki. Córka była w sali, ale nie sądziłam, że słucha.

Nie chcę powtarzać tego koszmaru. Zaczynam o babci Nadzi, że pędziła owce, a rodzice szli obok wozu. Przerywa mi: „Ale mamo. Żołnierze domy palili i zabijali ludzi. Była wojna. O tym opowiedz”.

Waham się. Czy powinnam opowiadać o tym czterolatce? Mówię. Najdelikatniej, jak umiem. Babcia Nadzia jest młodą dziewczyną, wieczorami pasie krowy. Któregoś dnia do wioski przyjeżdża goniec na koniu. „Wojna!” – krzyczy. Mężczyźni odchodzą do wojska, wszyscy płaczą. Wkrótce przez wieś zaczynają jechać wozy, idą ludzie. Mówią, że trzeba uciekać. Babcia Nadzia i jej rodzina pakują dobytek. Za wyjeżdżającymi płoną domy, wioski... Gdy opowiadam o Kaukazie, słońcu, stepie, majaczących na horyzoncie ośnieżonych szczytach i o soczystych owocach, moja czterolatka usypia.

Ale następnego wieczoru znów prosi: „Mamo, opowiedz tę historię”. Tym razem słucha do końca. Na Kaukazie babcia Nadzia wychodzi za mąż za dziadka Siarhieja, rodzi im się córeczka Aleksandra. Ma kilka miesięcy, kiedy wsiadają do pociągu, by wrócić na swoją ziemię. Gdy jest głodna, płacze całą drogę; Nadzia i Siarhiej z troską ją

tułą. Dojeżdżają w komplecie. Malutka Aleksandra dziś jest babcią Szurą. Odwiedzamy ją, gdy jesteśmy w Knyszewiczach.

Minęło pół roku, a moja córka wciąż prosi, by opowiedzieć jej „tę historię”.

Styczeń 2016

Podziękowania

Książka ta powstała dzięki wsparciu wielu osób, które dzieliły się ze mną wspomnieniami i emocjami, udostępniały materiały, inspirowały, dyskutowały, na różne sposoby pomagały.

W szczególności dziękuję cioci Szurze – Aleksandrze Sokołowskiej, urodzonej w bieżęństwie, oraz jej córce Galinie Grzybek, a także (w porządku alfabetycznym): dr. Sergiuszowi Borowikowi, cioci Eugenii Czechowicz, Oli Czerniawskiej, Małgosi Dmitruk, Stefanowi Dmitrukowi, Doroteuszowi Fionikowi, Jarosławowi Godunowi, Alle Gryc, Pawłowi Grzesiowi, Jarkowi Iwaniukowi, imamowi Stefanowi Jasińskiemu, Janowi Kańsausowi, ks. Aleksandrowi Klimukowi i matuszce Ludmile, Agnieszce Korytkowskiej-Mazur, Annie Kraśnickiej i jej rodzicom, cioci Tamarze Kuryłowicz, prof. Olegowi Łatyszczonkowi, Dorocie Łukaszuk i jej mamie, Jarkowi Łukaszukowi, Jankowi Mackiewiczowi i jego mamie, Andrzejowi Malcowi, dr. Arturowi Markowskiemu, cioci Wali Matulewicz i Jurkowi Czesławowi Matulewiczowi, prof. Irenie Matus, Ani Matysiuk, prof. Eugeniuszowi Mironowiczowi, ks. Włodzimierzowi Misijukowi, Ewie Moroz-Keczyńskiej, Katarzynie Nadanej, Włodzimierzowi Naumiukowi, dr. Andrzejowi Nieuważnemu, prof. Włodzimierzowi Pawluczukowi, mec. Piotrowi Piesiewiczowi, Kasi Popławskiej, Niurze Romaniuk, Ewie Sankowskiej-Sieniek i Bartkowi Sieńkowi, Joannie Sapieżyńskiej, Mariuszowi Sawie, Kasi Sawczuk, Stanisławowi Sawoniowi, Zinie Sawoń, dr hab. Katarzynie Sierakowskiej, Wierze Sokołowskiej, jej córce Annie i synowi Grzegorzowi, Aleksandrowi Sośnie, ks. Grzegorzowi Sośnie, trzem pokoleniom rodziny Sulimów: Fiodorowi, Grzegorzowi i Tomaszowi, Danucie Supronik, Ani Szachowicz, Ani Szerszunowicz, Wiolecie Szymusiuk-Poredzie, Iwonie Trochimczyk i Sławkowi Sawczukowi, Mikołajowi Uściłko, Alicji Wappie, Alinie Wawrzeniuk, Tomaszowi Wiśniewskiemu, Dorocie Wysockiej, Iwonie Zinkiewicz, Grzegorzowi Zinkiewiczowi, cioci Ludmile Żukowskiej i Tomkowi Żukowskiemu.

Fotografowie stowarzyszenia Sputnik Photos: Agnieszka Rayss, Janek Brykczyński, Michał Łuczak, Rafał Milach, Adam Pańczuk oraz gościnnie Vojtěch Veškna, przyjeźli mnie pod dach Zakładu, gdzie powstała lwia część tej książki. Świetnie pracowało mi się też w domu Jarka Prymaka w Knyszewiczach oraz w letnim domu Bogdana Szumieluka w Pawłach.

Hojność przyjaciół umożliwiła mi korzystanie z zasobów petersburskich bibliotek. W organizacji wyjazdu pomógł także Eugeniusz Czykwin, a polski konsulat udostępnił nocleg. Współpraca ze Stowarzyszeniem Orthnet, kierowanym przez Alikę Wasyluka, zaowocowała wyjazdem do Tomsku. Spotkałam tam inspirujących ludzi, m.in. ks. Dionisiosa Ziemiłanowa i matkę Katię, która okazała się potomkinią białoruskich bieżęńców, Daniła Kropczunowa, prof. Irinę Nam.

Dzięki ekipie Wydawnictwa Czarne, zwłaszcza redaktorowi Tomaszowi Zającowi i fotoedytorce Kasi Bułowicz, książka nabrała pożądanych kształtów.

Przez cały czas pracy nad książką ogromnym wsparciem była dla mnie Mama oraz siostry: Maryla, Agnieszka i Marysia (Supronik). Basia Dzierżanowska była dobrym duchem i pogotowiem w nagłych wypadkach. Córki Anastazja i Lidka skutecznie pilnowały, bym nie straciła kontaktu z rzeczywistością. No i mój mąż. Piotrze, bez Twojej pomocy niczego bym nie napisała.

Wszystkim Wam bardzo dziękuję.

Bibliografia

Najbardziej pomocne w mojej pracy były teksty źródłowe zawierające relacje bieżenców lub stykających się z nimi osób. Zarówno te powstające na gorąco, jak i współczesne. Ich zestawienie pomaga zrozumieć współczesną pamięć o bieżęństwie oraz dostrzec funkcjonujące dziś mity.

W książce skupiłam się na losie bieżenców-chłopów, lektura źródeł dotyczących innych warstw społecznych kreśli jednak pełniejszy obraz wydarzenia i pomaga lepiej je zrozumieć. Podobnie ze sprawami wyznaniowo-narodowościowymi.

Źródła współczesne

Zbiory wspomnień

Bieżanstwa 1915 hoda, red. Wital Łuba, Biełastok 2000 (wyd. I) oraz 2015 (wyd. II)

U nowaj ajczyinie. Sztodzionnaje žyccio biełarusau Biełastoczczny u miżwajenny pieryjad, red. Wital Łuba, Biełastok 2001

Wspomnienia zamieszczane w czasopismach

„Bielski Hostineć”, 1998–2015

„Czasopis”, 1990–2015

„Nad Buhom i Narwoju”, 1991–2015

„Niwa”, 1956–2015

„Przegład Prawosławny”, 1985–2015 (w latach 1985–1991 pod nazwą „Tygodnik Podlaski”)

Rękopisy

Nowik Lidia, wspomnienia spisane przez Alicję Wappę, w posiadaniu autorki

Oleszczuk Zofia, *Moje zyce muj pamjentnik. Wszystko z pamienicy*, Biblioteka Narodowa, sygn. akc. 19500

Szymusiuk Józef, *Pamiętnik mego žycia*, w posiadaniu rodziny Józefa Szymusiuka

Inne

Materiały nadesłane na konkurs „Jestem, bo wrócili. Przywracanie pamięci w setną rocznicę bieżęństwa”

Materiały ze strony internetowej Bieżęństwo.pl

Źródła archiwalne

Gazety, czasopisma, wspomnienia, inne

Bieżency w tomskoj guberni. Spisok siemiejstw bieżencew i adresa ich, Tomsk 1916

Bieżęstwo i bieżency, Odiessa 1916

„Bieżęncy”, 6 grudnia 1915 (numer specjalny tygodnika ilustrowanego „Žyżń i sud”)

- Chlebcewicz Jan Aleksander o., *Kratkij biograficzeskij oczerk studenta W. I. Chlebcewicza*, Syzrań 1917
- Czagin Gieorgij, *Bieżency pierwoj mirowoj wojny w Czerdynskom kraje: istorija pieresienienija, obustrojstwo na nowom miestie, dalszyje sud'by*, w: „Wiestnik Piermskogo Uniwersiteta” 2010, nr 1
- Federowski Michał, *Lud białoruski na Rusi Litewskiej. Materyały do etnografii słowiańskiej zgromadzone w latach 1877–1893*, t. 1, Kraków 1897
- , *Lud białoruski na Rusi Litewskiej. Materyały do etnografii słowiańskiej zgromadzone w latach 1877–1893*, t. 2, Kraków 1902
- , *Lud białoruski na Rusi Litewskiej. Materyały do etnografii słowiańskiej zgromadzone w latach 1877–1893*, t. 3, Kraków 1903
- , *Lud białoruski na Rusi Litewskiej. Materyały do etnografii słowiańskiej zgromadzone w latach 1877–1893*, t. 4, Warszawa 1935
- , *Lud białoruski na Rusi Litewskiej. Materyały do etnografii słowiańskiej zgromadzone w latach 1877–1893*, t. 5, Warszawa 1958
- , *Lud białoruski na Rusi Litewskiej. Materyały do etnografii słowiańskiej zgromadzone w latach 1877–1893*, t. 6, Warszawa 1960
- , *Lud białoruski na Rusi Litewskiej. Materyały do etnografii słowiańskiej zgromadzone w latach 1877–1893*, t. 7, Warszawa 1960
- , *Lud białoruski na Rusi Litewskiej. Materyały do etnografii słowiańskiej zgromadzone w latach 1877–1893*, t. 8, Warszawa 1969
- Galiak Leanid, *Uspaminy*, [b.m.] 1982
- „Gazeta Białostocka”, 1915
- „Gazeta Warszawska”, 1922–1925
- Glinka Władysław, *Pamiętnik wielkiej wojny*, t. 1, Warszawa 1927
- , *Pamiętnik wielkiej wojny*, t. 2, Warszawa 1928
- Grabski Stanisław, *Pamiętniki*, Warszawa 1989
- Grabski Władysław, Antoni Żabko-Potopowicz, *Ratownictwo społeczne w czasie wojny*, w: *Polska w czasie wielkiej wojny (1914–1918)*, t. 2: *Historia społeczna*, red. Marceli Handelsman, Warszawa 1932
- „Izwestija Wsierossijskogo Komitietu dla Okazanija Pomoszczi Postradawszym od Wojennych Biedstwij” (znany także jako: „Izwestija Komitietu Jeja Impieratorskogo Wysoczewstwa Wielikoj Kniażny Tatiany Nikołajewny”), 1916–1917 (tu m. in. relacje psalmisty Paszczuka, Głuchowcowej)
- „Izwestija Wsierossijskogo Sojuza Gorodow”, 1915–1916
- Kancer Jewstawij, *Sud'by bieżencew*, w: *Bielorusskij wopros*, Piotrograd 1919
- Kossak Tadeusz, *Wspomnienia wojenne (1918–1920)*, Kraków 1925
- Kotorowicz Jan o., *Ciernisty szlak Chełmszczyzny*, w: „Wiadomości Krakowskie” 1941, nr 94, 96, 97, 98 i 99, przeł. z języka ukraińskiego Mariusz Radosław Sawa
- Kronika cerkwi sokólskiej, przeł. Mikołaj Talarczyk, <https://naszasokolka.wordpress.com/artykuly/sokolscy-prawoslawni/kronika-sokolskiej-parafii-prawoslawnej-od-roku-1886-do-1915/>
- Kudryński Fiedot, *Ludskije wołny. Bieżency*, Piotrograd 1917; przedruk: „Nioman” 1997, nr 6

„Kurier Białostocki”, 1922
Lemkie Michał, *250 dni w carskiej Stawce 1914–1915*, Minsk 2003
„Letopis Wojny”, 1915
Libken Grigorij, *Bieżency. (Diety razorennogo kraja): Drama na sowrem. tiemu w 5 cz*, Moskwa 1915
Masalskaja-Surina Jewgienija, *Zapiski bieżenca*, Pietrograd 1916
„Nasza Niwa”, 1915, 1920
„Nowy Dziennik Białostocki”, 1921–1922
Pamiętniki chłopów. Seria druga, red. Ludwik Krzywicki, Warszawa 1936
Paustowski Konstanty, *Burzliwa młodość*, przeł. Jerzy Jędrzejewicz, Warszawa 1956
Protokoły, Postanowlenija i Materiały Wsierossijskiego Sjezda Bieżencew iz Biełorusii w Moskwie 15–21 jula 1918 goda, Moskwa 1918
Rodziewiczówna Maria, *Wrażenia i przeżycia. Lato 1915*, w: *100/XX. Antologia polskiego reportażu XX wieku*, t. 1, red. Mariusz Szczygieł, Wołowiec 2014
Sosna Grzegorz, *Kościół prawosławny na Białostocczyźnie w ocenie władz II Rzeczypospolitej. Wybór dokumentów. Sytuacyjne sprawozdania Urzędu Wojewódzkiego w Białymstoku z lat 1928–1939*, Ryboły 1991
Spisok adresow bieżencew, wyp. 1–3, Moskwa 1916
Spisok razyskiwajemych bieżencew, Moskwa 1915
Srokowski Konstanty, *Sprawa narodowościowa na Kresach Wschodnich*, Kraków 1924
Szyroki Stanisław ks., *Monografia parafii Janowskiej w dekanacie sokólskim województwa białostockiego*, Białystok 1936
Szwiedier Jewgienij, *Bieżency: rasskazy iz wielikoj wojny*, Moskwa–Riga 1915
„Świat”, 1922
„Tygodnik Ilustrowany”, 1921, 1922
„Wiestnik Jewropy”, 1915, 1916
Wietkin K.M, *Bieżency (rasskaz)*, Twer 1916

Opracowania

Bajko Piotr, *Białowieża pod rządami Georga Eschericha*, w: „Czasopis” 2014, nr 10
Bergman Aleksandra, *Sprawy białoruskie w II Rzeczypospolitej*, Warszawa 1984
Bieliawina Walentina, *Białaruś w gody pierwszej mirowoj wojny*, Minsk 2013
Białaruś w gody pierwszej mirowoj wojny (1914–1918). Sbornik dokumentow, Minsk 2014
Biendina Anna, Tatiana Wasiliewa, Walerij Domczenko, *Kogda pogorielcy brieli na wostok (bieżency 1915-go goda)*, <http://urokiistorii.ru/node/1423>
Choruży Wiesław, *Działalność Białoruskiej Włościańsko-Robotniczej Hromady w powiecie białostockim, bielskim i sokólskim w latach 1925–1927*, w: „Białoruskie Zeszyty Historyczne” 1994, nr 1
Diemjaniuk Bożena, *Bieżenicy*, Łomża 2005

- Fijonik Darafiej, *Ewakuacja carkounaj majomasci u 1915 hodzie i sproby jaje wiartannia pasla 1921 hoda na prykladzie Bielastoczczyny*, w: „Białoruskie Zeszyty Historyczne” 1996, nr 2
- Fionik Doroteusz, *Bieżeństwo. Droga i powroty 1915–1922*, Studziwody 2015
- Gatrell Peter, *A Whole Empire Walking. Refugees in Russia during World War I*, Bloomington 2005
- Gaweł Artur, *Zdobnictwo drewnianych domów na Białostocczyźnie*, Białystok 2007
- Gilbert Martin, *Pierwsza wojna światowa*, przeł. Stefan Amsterdamski, Warszawa 2003
- Głaz Alicja, *Ewakuacja ludności cywilnej z Lubelszczyzny w 1915 roku*, w: „Annales Universitates Mariae Curie-Skłodowska” 2001, vol. LVI
- Głogowska Helena, *Białoruś 1914–1928. Kultura pod presją polityki*, Białystok 1996
- Karnialuk Wital, *Historycznaja demahrafija pierszaj suswietnaj wajny: bieżanstwa z zachodnich hubierniau Rasijskaj Impieryi (1914–1917)*, w: „Białoruskie Zeszyty Historyczne” 1999, nr 12
- Karpiuk Aleksiej, *Raj w Wierszalinie, czyli Przypadki Eliasza*, przeł. i oprac. Sokrat Janowicz, Białystok 1993
- Kietliński Marek, *Wydarzyło się w XX wieku. Umowa białostocka*, http://bialystok.wyborcza.pl/bialystok/1,35235,7552438,Wydarzylo_sie_w_XX_wieku__Umowa_bialostocka.html
- Korzeniowski Mariusz, *Na wygnańczym szlaku... Działalność centralnego Komitetu Obywatelskiego Królestwa Polskiego na Białorusi w latach 1915–1918*, Lublin 2001
- Korzeniowski Mariusz, Marek Mądzik, Dariusz Tarasiuk, *Tułaczy los. Uchodźcy polscy w imperium rosyjskim w latach I wojny światowej*, Lublin 2007
- Kościół prawosławny w Polsce dawniej i dziś, red. Lucjan Adamczuk, Antoni Mironowicz, Warszawa 1993
- Kurcew Aleksander, *Bieżency pierwoj mirowoj wojny w Rossii*, w: „Woprosy istorii” 1999, nr 8
- Latawiec Krzysztof, *Ewakuacja ludności cywilnej administracji ogólnej szczebla powiatowego z guberni lubelskiej latem 1915*, w: „Radzyński Rocznik Humanistyczny” 2004, t. 1
- , *Ewakuacja organów administracji ogólnej wyższego i niższego szczebla guberni lubelskiej w sierpniu 1914 roku*, w: „Radzyński Rocznik Humanistyczny” 2002, t. 2
- Łapanowicz Siarhiej, *Pierszaja suswietnaja wajna i bieżanstwa jak dziażaunaja prablema*, w: „Białoruskij Histaryczny Czasopis” 2005, nr 10
- Łatyszonek Oleg, *Białoruskie formacje wojskowe 1917–1923*, Białystok 1995
- Łatyszonek Oleg, Eugeniusz Mironowicz, *Historia Białorusi od połowy XVIII do końca XX wieku*, Białystok 2003
- Marrus R. Michael, *The Unwanted: European Refugees in the Twentieth Century*, New York 1985
- Matus Irena, *Lud nadnarwiański*, Białystok 2000
- , *W Drohiczynie, Patoce, Jałówce, Różanymstoku. Z dziejów oświaty ludu białoruskiego na Podlasiu*, Białystok 2003
- , *W Puchłach, Stawku, Trześciance. Z dziejów oświaty ludu białoruskiego na Podlasiu*, Białystok 2000
- , *Wiś Strzelce-Dawidowicze w tradycji historycznej*, Białystok 1994
- Mironowicz Eugeniusz, *Konsekwencje uchodźstwa (bieżaństwa) 1915 r. dla mniejszości białoruskiej, ukraińskiej i rosyjskiej w Polsce*, ekspertyza przygotowana na posiedzenie Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych Sejmu RP, która odbyła się w dniu 21.07.2015

- Mironowicz Eugeniusz, Siarhiej Tokć, Ryszard Radzik, *Zmiana struktury narodowościowej na pograniczu polsko-białoruskim w XX wieku*, Białystok 2005
- Musiewicz Georgi, *Uchodźstwo-bieżeństwo*, w: „Po sąsiedzku” 2007, nr 8
- Najdus Walentyna, *Polacy w rewolucji 1917 roku*, Warszawa 1967
- Oskin Maksim, *Niezwiastyje tragedii Pierwoj mirowoj. Plennyje. Dieziertiry. Bieżency*, Moskwa 2011
- Papierzyńska-Turek Mirosława, *Między tradycją a rzeczywistością. Państwo i Kościół prawosławny w Polsce w latach 1918–1939*, Warszawa 1986
- Pawluczuk Włodzimierz, *Światopogląd jednostki w warunkach rozpadu społeczności tradycyjnej*, Warszawa 1972
- , *Wierszalin. Reportaż o końcu świata*, Warszawa 1983
- Pękala Krzysztof Piotr, *Migracje ludności guberni chełmskiej w pierwszych latach „Wielkiej Wojny” (1914–1915)*, Lublin 2012 (niepublikowana praca doktorska, UMCS)
- Polski wir I wojny 1914–1918*, wybór i oprac. Agnieszka Dębska, Warszawa 2014
- Sosna Grzegorz o., *Święte miejsca i cudowne ikony. Prawosławne sanktuaria na Białostocczyźnie*, Białystok 2001
- Sosna Grzegorz o., Doroteusz Fionik, *Orla na Podlasiu. Dzieje Cerkwi, miasta i okolic*, Bielsk Podlaski–Ryboły–Białystok 1997
- , *Parafia Ryboły*, Bielsk Podlaski–Ryboły–Białystok 1999
- , *Pasynki i okolice*, Bielsk Podlaski–Ryboły–Białystok 2001
- , *Szczyty. Dzieje wsi i parafii*, Bielsk Podlaski–Ryboły–Białystok 2006
- Sosna Grzegorz o., Antonina Troc-Sosna, *Zapomniane dziedzictwo. Nie istniejące już cerkwie w dorzeczu Biebrzy i Narwi*, Białystok 2002
- Spustek Irena, *Polacy w Piotrogradzie 1914–1917*, Warszawa 1966
- Sula Dorota, *Powrót ludności polskiej z byłego Imperium Rosyjskiego w latach 1918–1937*, Warszawa 2013
- Tomkiel Marcin, *Wojna mocarstw. Podlasie 1914–1915*, Białystok 2015
- Utgof Walentina, *Biełoruskije bieżency Pierwoj mirowoj wojny w 1914–1922 gg*, Sankt-Pietierburg 2003
- Utkin Anatolij, *Zabytaja tragedia. Rossija w pierwoj mirowoj wojnie*, Smolensk 2000
- Wysocka Dorota, *Wokół albumu „Bieżeńcy wracają”*, w: „Przegląd Prawosławny 2016”, nr 1 (367)
- Żwanko Lubow, *Bizenci Perszoji switowoj wijny: ukrajinskyj wymir (1914–1918 rr)*, Charkiw 2012
- , *Bizenstwo. Pierszoji switowoj wijny w Ukraini: dokumenty i materiały (1914–1918 rr)*, Charkiw 2010

Źródła fotografii

- 7 Centralnyj gosudarstwiennyj archiw kinofotofonodokumentow Sankt-Pietierburga, P-199 sn. 17, fot. S. Łazowiert
- 37 humus.livejournal.com/2546708.html
- 40 humus.livejournal.com/2546708.html
- 46 Biblioteka Narodowa Polona, Album ze zdjęciami Pułku Saljańskiego
- 49 Biblioteka Narodowa Polona, Album ze zdjęciami Pułku Saljańskiego
- 54 Zbiory Aleksandra Sosny
- 57 Nacyjonalny historyczny muziej Respubliki Biełaruś, Minsk; KP 12982_2
- 67 Zbiory Aleksandra Sosny
- 75 Rossijskaja nacyonalnaja biblioteka, Sankt-Pietierburg
- 82 Biblioteka Narodowa Polona, Album ze zdjęciami Pułku Saljańskiego
- 86 Centralnyj gosudarstwiennyj archiw kinofotofonodokumentow Sankt-Pietierburga, P-16 sn. 35
- 90 Biblioteka Narodowa Polona, Album ze zdjęciami Pułku Saljańskiego
- 94 Centralnyj gosudarstwiennyj archiw kinofotofonodokumentow Sankt-Pietierburga, P-199 sn. 2, fot. S. Łazowiert
- 109 Biblioteka Narodowa Polona, Album ze zdjęciami Pułku Saljańskiego
- 118 Centralnyj gosudarstwiennyj archiw kinofotofonodokumentow Sankt-Pietierburga, P-199 sn. 33, fot. S. Łazowiert
- 127 Nacyjonalny historyczny muziej Respubliki Biełaruś, Minsk; KP 6961_9
- 138 Centralnyj gosudarstwiennyj archiw kinofotofonodokumentow Sankt-Pietierburga, P-16 sn. 34
- 151 Fot. Władimir Antoninowicz von Agte, oficer 22 Dywizji Piechoty Imperium Rosyjskiego
- 153 Zbiory Aleksandra Sosny
- 154 Rossijskaja nacyonalnaja biblioteka, Sankt-Pietierburg
- 155 Rossijskaja nacyonalnaja biblioteka, Sankt-Pietierburg
- 159 Rossijskaja nacyonalnaja biblioteka, Sankt-Pietierburg
- 181 Rossijskaja nacyonalnaja biblioteka, Sankt-Pietierburg
- 188 Rossijskaja nacyonalnaja biblioteka, Sankt-Pietierburg
- 199 Dzięki uprzejmości Katarzyny Sawczuk
- 228 Kobrinskij wojenno-istoriczeskij muziej im. A. W. Suworowa, KP 2990
- 247 Muzeum Wojska w Białymstoku, MWB/D/4778/031
- 250 „Tygodnik Ilustrowany”, 4 lutego 1922, nr 6 (s. 94 i 95); Biblioteka Uniwersytetu Łódzkiego
- 251 „Tygodnik Ilustrowany”, 4 lutego 1922, nr 6 (s. 94 i 95); Biblioteka Uniwersytetu Łódzkiego
- 256 Muzeum Wojska w Białymstoku, MWB/D/4778/025 i MWB/D/4778/010
- 257 Muzeum Wojska w Białymstoku, MWB/D/4778/007

Przypisy

[1] Cytaty z tekstów archiwalnych podaję w wersji uwspółcześnionej pod względem ortograficznym i interpunkcyjnym.

[2] Wieś ta 29 stycznia 1946 roku została spacyfikowana przez oddział Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, którym dowodził Romuald Rajs „Bury”; dwóch mieszkańców wsi zastrzelono. W 2005 roku Instytut Pamięci Narodowej w ustaleniach kończących śledztwo w sprawie tej i innych zbrodni w powiecie Bielsk Podlaski napisał, że czyn ten „należy rozpatrywać jako zmierzający do wyniszczenia części tej grupy narodowej i religijnej”.

[3] Ksiądz Griszkowski podaje daty zgodnie z kalendarzem juliańskim, używanym w Imperium Rosyjskim. W chwili wybuchu I wojny światowej w różnych krajach obowiązują różne kalendarze. Europa Zachodnia używa kalendarza gregoriańskiego (tzw. nowy styl), Imperium Rosyjskie zaś, prawosławne kraje bałkańskie (Serbia, Bułgaria, Rumunia), Grecja, Turcja i Egipt – juliańskiego, w stosunku do gregoriańskiego spóźnionego o trzynaście dni (tzw. stary styl). W Królestwie Polskim stosuje się niekiedy podwójne datowanie, oprócz starego stylu dodając w nawiasie daty zgodnie z nowym. We współczesnej historiografii wydarzenia związane z I wojną światową funkcjonują zgodnie z kalendarzem gregoriańskim. Tak też podaję daty historyczne. Nie zmieniam jednak dat związanych z opowieściami występujących w książce bohaterów, używających kalendarza juliańskiego; tu w nawiasie podaję daty według kalendarza gregoriańskiego.

[4] Cytaty z kroniki parafii prawosławnej w Sokółce podaję w tłumaczeniu Mikołaja Talarczyka.

[5] Ksiądz Griszkowski ma prawdopodobnie na myśli zburzenie Kalisza na początku sierpnia 1914 roku. Niemcy zajmują tę miejscowość bez jednego wystrzału – Rosjanie uznali obronę za bezcelową i się wycofali. Potem jednak, po przypadkowej strzelaninie, Niemcy wywlekają z domów i rozstrzelują zwykłych ludzi, w końcu wycofują się i bombardują bezbronne miasto, burząc je całkowicie. Zburzenie Kalisza odbiło się echem wśród europejskiej opinii publicznej i – obok miejscowości w Belgii i Serbii – stało symbolem niemieckiego bestialstwa. Skala okrucieństw wobec ludności cywilnej podczas I wojny światowej była jednak nieporównywalna do tego, co znamy z następnej wojny. Co nie znaczy, że ludność ta nie cierpiała i nie ginęła. Martin Gilbert podaje, że w czasie I wojny śmierć poniosło pięć milionów cywili (bombardowania, głód, choroby, okupacja).

[6] Odezwa wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza do Polaków, ogłoszona 1 (14) sierpnia 1914 roku.

[7] Jeśli nie zaznaczono inaczej, cytaty ze źródeł obcojęzycznych w tłumaczeniu Anety Prymaki-Oniszk.

[8] 1 pud to 16,38 kg.

[9] Po wybuchu I wojny światowej Petersburg stanie się Piotrogradem; niemiecko brzmiąca nazwa miasta ze względów patriotycznych zostanie zamieniona na jej rosyjskie tłumaczenie.

[10] *Pajok* (ros.) – przydział, racja.

[11] Otawa; drugi pokos trawy z łąk w sierpniu–wrześniu.

[12] Pawlik, relacjonując czas wojny, używa kalendarza juliańskiego.

[13] Zwierzęta gospodarskie.

[14] 1 wiorsta to 1066,78 m.

[15] Na nastroje tutejszych prawosławnych Rusinów mogą wpływać dodatkowo wydarzenia z początku wojny. 21 sierpnia 1914 roku wojska austro-węgierskie na kilka tygodni wkroczyły na południowe ziemie Lubelszczyzny

i Chełmszczyzny. Ta krótka okupacja okazała się tragiczna dla prawosławnej ludności – Austriacy traktowali ją często jako rosyjskich szpiegów, zdarzały się aresztowania chłopów, ich torturowanie i konfiskaty majątku. Część aresztowanych trafiła do obozu koncentracyjnego w Talerhof koło Grazu. Włodawa i Orchówek nie były zajęte przez Austriaków w sierpniu 1914 roku, musiały jednak dotrzeć tu wieści o prześladowaniu współwyznawców.

[16] Paszczuk podaje daty zgodnie z kalendarzem juliańskim.

[17] Wspomnienia wysłuchane i spisane przez Alicję Wapkę.

[18] Chodzi o święto Zaśnięcia Bogurodzicy przypadające 15 sierpnia; gdy świętują uznający kalendarz juliański prawosławni, w gregoriańskim jest już 28 sierpnia.

[19] 6 (19) sierpnia prawosławni świętują Przemienienie Pańskie, powszechnie zwane tu „Spasem” – świętem Zbawiciela. Ogromna część wspominających podaje święto Spasa jako datę wyjazdu. Możliwe jednak, że oznacza to „około Spasa” – kilka dni wcześniej lub później. Wydaje się, że wtedy ludzie podawali orientacyjnie najbliższe święta religijne.

[20] Bitwa pod Bielskiem (obecnie Bielsk Podlaski), rozegrała się w dniach 19–25 sierpnia 1915 roku (kalendarz juliański: 6–12 sierpnia) i zakończyła niemieckim zwycięstwem. Według obliczeń badacza tematu dziennikarza Marcina Tomkiela wzięło w niej udział blisko pół miliona żołnierzy: 200 tysięcy po stronie rosyjskiej i 300 tysięcy po niemieckiej; zginęło 10 tysięcy. Mimo ogromnej skali bitwa nie istnieje w lokalnej pamięci. Jedną z przyczyn jest bieżność. „[...] toczyła się więc bez świadków. Tu już poza wojskiem nikogo właściwie nie było. Tylko spalone pola i wsie” – przyznaje Marcin Tomkiel.

[21] Ten fragment felietonu Włosa Doroszewicza był często cytowany przez międzywojennych polskich historyków (tłum. za: *Polska w czasie wielkiej wojny (1914–1918)*, pod red. Marcellego Handelsmana, Warszawa 1932).

[22] Drewniany kabłąk służący do umocowania rzemieni przy chomacie i połączenia go z dyszlami (hołoblami) w zaprzęgu jednokonnym; ten rodzaj uprzęży popularny był na ziemiach białoruskich, ukraińskich, rosyjskich.

[23] Cytaty z *Burzliwej młodości* w przekładzie Jerzego Jędrzejewicza.

[24] Nabożeństwo za zmarłych w Kościele prawosławnym.

[25] Chodzi o ręcznik obrzędowy, ważny we wschodnich kulturach. Ozdobny pas haftowanego w symboliczne znaki płótna wieszona się nad ikonami w cerkwiach i chatach; jest używany także w obrzędach, głównie związanych ze ślubem lub śmiercią.

[26] W kwietniu 1915 roku działacze białoruscy z Wilna powołali Białoruskie Towarzystwo Pomocy Ofiarom Wojny; niektórzy wyjechali podczas przejścia Niemców do Rosji i próbowali organizować pomoc uchodźcom, lecz ich możliwości finansowe i organizacyjne były znikome.

[27] Wydaje się, że ksiądz Kotorowicz używa kalendarza juliańskiego.

[28] Wspomnienia, drukowane w kilku odcinkach jako *Ciernisty szlak Chełmszczyzny*, odnalazł i przetłumaczył historyk Mariusz Radosław Sawa.

[29] W czasie bieżności jest on diakonem; święcenia kapłańskie otrzyma po powrocie z bieżności.

[30] Możliwe, że w ramach prohibicji.

[31] Zdrobnienie od imienia Anna.

[32] Książka została wydana w 1917 roku, prawdopodobnie jeszcze przed rewolucją październikową.

[33] Swoją relację Zofia Oleszczuk spisała własnoręcznie po polsku, jej język jest jednak specyficzny. Ze wzmianek w tekście i dołączonego do niego życiorysu można wnioskować, że rodzinnym językiem Zofii był ukraiński. Jeszcze

przed bieżniem chodziła do rosyjskiej szkoły, polskiego alfabetu uczyła się sama. Cytaty podaję w wersji poprawnej.

[34] To mało prawdopodobne – w linii prostej miasta dzieli sto kilometrów.

[35] Bułgaria walczyła w I wojnie światowej po stronie państw centralnych.

[36] Ksiądz Kotorowicz pisze o nich „ukraińscy przesiedleńcy, bracia, rzućni przez los dawniej aż tutaj”, nie wspomina więcej o okolicznościach, w których tu trafili.

[37] Komitet Wielkiej Księżnej Tatiany nie tylko w tej sprawie wyprzedza swoją epokę. Na przykład zaczyna tworzyć archiwum bieżniem. „Największą wagę spośród tych materiałów przedstawiają świadectwa naocznych świadków bieżniem, a także wspomnienia i opowieści samych bieżniem” – zauważa i wysyła ludzi, by spisywali relacje niepiśmiennych chłopów. Niestety zachowały się tylko te, które przed rewolucją opublikuje biuletyn Komitetu.

[38] Słowa profesora Olega Łatyszonka, białoruskiego historyka z Białegostoku, wypowiedziane na Dialogu Białoruskim w Łapiczach koło Krynek w 2010 roku; za: „Czasopis” 2010, wrzesień, nr 9 (234).

[39] Mało prawdopodobne, by to słowo funkcjonowało na rosyjskiej prowincji w czasie rewolucji. Tak określano w czasie II wojny światowej rekrutujących się z miejscowej ludności policjantów (od *Schutzmannschaften* – policja pomocnicza).

[40] Nie bez znaczenia jest też fakt, że większość działaczy wywodzi się z ziemiaństwa i jest katolikami.

[41] Tłumaczenie Stefan Amsterdamski.

[42] Prace nad oderwaniem Chełmszczyzny od Królestwa Polskiego i włączeniem jej w skład Imperium Rosyjskiego rozpoczęły się przed I wojną światową; oficjalnie nastąpiło to w 1915 roku.

[43] Określany także jako Kraj Wojska Dońskiego – wydzielona administracyjnie dla Kozaków dońskich część Imperium Rosyjskiego; po rewolucji bolszewickiej Kozacy dońscy walczyli po stronie białych.

[44] Cytuję dane oryginalne; wyliczenia procentowe dotyczące zmarłych zawierają błąd – ich suma daje 100,26 procent.

[45] Nazwa wojskowej jednostki transportowej, jak kolumna wozów, samochodów lub wagonów kolejowych z zaopatrzeniem. Tu: kolumna wagonów kolejowych.

[46] W listopadzie 1918 roku Białystok na krótko znalazł się w granicach odrodzonego państwa polskiego. 14 listopada – jak pisze Marek Kietliński, dyrektor Archiwum Państwowego w Białymstoku – „Niemcy przejęli na powrót w Białymstoku pełnię władzy, a okoliczne miejscowości spacyfikowali”. Zależało im na utrzymaniu tych terenów, by przez nie ewakuować z Ukrainy na Prusy Wschodnie swoją armię; Białystok był najważniejszą stacją przeładunkową. Niemieckie oddziały ostatecznie zostały wycofane z Podlasia dopiero na początku 1919 roku; wojsko polskie wkroczyło do Bielska Podlaskiego 16 lutego, a do Białegostoku 19 lutego 1919 roku.

[47] Wybory do Sejmu odbyły się 5 listopada 1922 roku, Pawłowi Wołoszynowi zabrakło wtedy głosów, by zostać posłem. Jednak zwycięzcy z jego listy, adwokatowi Kazimierzowi Kalinowskiemu, zarzucono brak polskiego obywatelstwa i pozbawiono mandatu (nie był to odosobniony przypadek). Otrzymał go Paweł Wołoszyn, który złożył poselskie ślubowanie 31 lipca 1923 roku.

[48] Według danych Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w 1924 roku w województwie białostockim na jedną parafię prawosławną przypada 3970 wiernych (za: Mirosława Papierzyńska-Turek, *Między tradycją a rzeczywistością. Państwo wobec prawosławia 1918–1939*, Warszawa 1989).

[49] Klasztor w Supraślu został pod koniec XX wieku zwrócony prawosławnym.

[50] Jak pisze Mirosława Papierzyńska-Turek: „Obowiązywała zasada nieudzielania zezwoleń nie tylko na budowę cerkwi, ale nawet kaplic”.

[51] Państwo dostrzega zresztą, że ruch tworzący się wokół proroka Ilji osłabia prawosławie i dzieli wiernych, wspiera go więc też całkiem świadomie.

[52] We wsiach działali współpracujący z policją konfidenti; policja często podrzucała podejrzanym ulotki, by mieć powód do ich aresztowań.

[53] Dzielił on ziemie białoruskie między Polskę a Rosję sowiecką.

[54] Piotr Miatła, poseł białoruski i działacz narodowo-społeczny.

[55] Uczastek lub ucząstek – miara ziemi, zastępująca włóki, stosowana w czasie reformy uwłaszczeniowej 1861–1864; jego wielkość była we wsiach różna, miała uwzględniać też jakość ziemi; 1 ucąstek zawierał od 10 do 18 dziesięcin (1 dziesięcina = 1,09 ha).

[56] Imam Stefan Jasiński zmarł 4 września 2015 roku w Białymstoku.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75
mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl
dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl, edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa
tel./fax +48 22 621 10 48
agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl
zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl
magda.jobko@czarne.com.pl

Dział marketingu: honorata@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl
agnieszka.wilczak@czarne.com.pl, urszula@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, info@d2d.pl

Wołowiec 2016
Wydanie I